

ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

OPOWIADANIA, WARIANTY, SZKICE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1989

SZPICA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 446

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0114-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

OPOWIADANIA, WARIANTY, SZKICE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

WYDAWCA: INSTYTUT LITERACKI, 100-000 PARYŻ, FRANCJA

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Pierścień z papieru, 1963

WSTEP

THE JOURNAL OF THE AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION
PUBLISHED WEEKLY
535 N. Dearborn Ave. Chicago, Ill. 60610
Subscription price: \$5.00 per year in advance
Single copies: 15¢
Second-class postage paid at Chicago, Ill.
Acceptance for mailing at special rate of postage provided for in Section 1103, Act of October 3, 1917, authorized on July 1, 1968.
Postmaster: Send address changes in U.S.A. to JOURNAL OF THE AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION, 535 N. Dearborn Ave., Chicago, Ill. 60610.
Outside U.S.A.: Send address changes to THE AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION, 535 N. Dearborn Ave., Chicago, Ill. 60610.

„MIESZKAŁ UBOGI SZLACHCIC NA PODOLU...”

W przewodniku encyklopedycznym *Literatura polska*, PWN, Warszawa 1984, nie ma w indeksie nazwiska Zygmunta Haupta, a tym bardziej osobnego hasła mu poświęconego. Taka zмова milczenia wobec pisarza emigracyjnego sporo lat po jego śmierci wydaje się zagadkowa, tym bardziej, że Haupt nie był autorem pamfletów politycznych. Zgon pisarza bywa dla cenzury okolicznością łagodzącą w stosunku do jego dzieła. Może zatem o pominięciu Haupta zdecydowały nie tyle względy cenzuralne, co niedostatek uwagi.

A jest to poważne uchybienie. Roman Zimand w swoim referacie na sesji o *literaturze źle obecnej* zorganizowanej przez Instytut Badań Literackich PAN w grudniu 1981 roku zacytował fragment listu Konstantego A. Jeleńskiego z krótką, ale istotną wzmianką na temat Zygmunta Haupta. Jeleński stwierdził wówczas, że jest on w jego opinii największym prozaikiem emigracyjnym. Rzecz dziwna jednak: w zbiorze szkiców *Zbiegi okoliczności* próżno szukać eseju poświęconego Hauptowi. Jego dzieło nadal czeka na krytyków.

Za życia Zygmunt Haupt opublikował jedną tylko książkę — zbiór opowiadań *Pierścień z papieru* (Instytut Literacki, 1963). Laureat literackiej nagrody *Kultury*, przyznanej mu w 1962 roku, pozostał autorem o niezbyt obfitym dorobku, istniejącym dotychczas w rozproszeniu. Jest nadal mało znany, choć zainteresowanie nim rośnie. Przyszłym badaczom należy polecić materiały archiwalne zdeponowane w zbiorach słowiańskich Biblioteki Uniwersytetu Stanford w Kalifornii. Jak przekazał znany bibliograf piśmiennictwa na emigracji, Jan Kowalik, znajdują się tam maszy-

nopisy opowiadań Haupta, zarówno w oryginale jak w przekładzie na angielski, rękopisy fragmentów utworów literackich, teksty artykułów pisanych dla Radia Głos Ameryki i pisma *Ameryka*, obszerna korespondencja, w tym między innymi z Marią i Józefem Czapskimi, z Jerzym Giedroyciem, Czesławem Miłoszem, Jerzym Stempowskim, Józefem Wittlinem, Kazimierzem Wierzyńskim, Tymonem Terleckim, Teodorem Parnickim, Janem Lebensteinem, wreszcie nieco fotografii, korespondencja rodzinna i kilkanaście szkiców ołówkowych. Sporo materiałów, przede wszystkim korespondencja Haupta oraz manuskrypty fragmentów literackich, jest w złym stanie. Zostały poważnie uszkodzone w czasie powodzi w Nowym Orleanie, w domu wdowy po pisarzu. W Stanford znalazły się dzięki zabiegom kuratora zbiorów słowiańskich, dr Wojciecha Zalewskiego. Przypuszczalnie zostały poddane konserwacji i dadzą się mimo wszystko odcyfrować. W przyszłości zatem będzie można dodać sporo szczegółów do zwięzłej *Noty biograficznej* pióra samego pisarza, którą w tym miejscu przytaczam:

Urodził się w 1907 roku jako jeden z bliźniaków (matka ich nosiła w swym łonie równocześnie jednego późniejszego obywatela Stanów Zjednoczonych Brazylii i jednego przyszłego obywatela Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej), na Podolu gali cyjskim, w Ułaszkwcach nad Seretem, gdzie co roku na Św. Jura odbywały się słynne jarmarki końskie, takie jak w Berdyczowie, Jarmolińcach i w Bałcie na Ukrainie zakordonowej. Ukończył I Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Lwowie, które tak przemianowano z dawnej I Szkoły Realnej im. cesarza Franciszka Józefa I (jego nauczyciel literatury polskiej w gimnazjum, prof. Wincenty Kubik, który mu przepowiadał karierę literacką, bardzo był oburzony na to przemianowanie, twierdząc, że takich rzeczy się nie robi). We Lwowie studiował potem inżynierię i architekturę, ale tych studiów nie ukończył. W latach 1931/32 zapisany do Instytutu Urbanistyki Uniwersytetu Paryskiego tych studiów nie kończy, ale zajmuje się malowaniem i pisze. Po powrocie do kraju do roku 1939 mieszka stale we Lwowie, gdzie w dalszym ciągu maluje i pisze. Zmobilizowany w maju 1939 roku, przydzielony do 10 Brygady Kawalerii, odbywa w niej kampanię w Polsce (jego dowódca dyonu, major Kazimierz Żmudziński, który zresztą ginie 2 września, przepowiada mu karierę wojskową, co się sprawdza, bo munduru nie zdejmuje przez osiem lat). Od roku 1947 mieszka w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Orleanie, w Nowym Jorku i ostatnie lata pod Waszyngtonem, w Wirginii.

Wypada zauważyć, że nota przybiera charakter gawędy. Haupta cechuje naturalny dar opowiadania i skłonność do oglądania się wstecz. Topografię ziemi rodzinnej podaje ze szczegółami, późniejszym swym losom poświęca dwa zdania. I od razu zdradza trzy swoje równoległe pasje: konie, malowanie, pisanie. Terminował w literaturze długo, jeśli pamiętać, że debiutował książką w pięćdziesiątym szóstym roku życia. Trzon *Pierścienia z papieru* stanowią opowiadania z Podola. Paryż, i to w ujęciu raczej przedmiejskim niż wielkoświatowym, pojawia się migawkowo w opowiadaniu, które, jak to często u Haupta, jest ciągiem dygresji. Opowieści wojennych jest niewiele, opowiadań o życiu amerykańskim — tudzież. Całość tomu zamyka się opowiadaniem tytułowym o zmitologizowanym powrocie do ziem rodzinnych. Na koniec autor załącza krótką nowelę pt. „Fragmenty”, jako rodzaj intymnych przypisów do całej książki albo posłowia. I tam dopiero bodaj pierwszy wspomina z wielką czułością swoją matkę.

Zygmunt Haupt zmarł 10 maja 1975 roku, w wieku 68 lat. „Miał zawał serca we śnie” — napisała do Instytutu Literackiego wdowa po nim. Latem ukazał się w *Kulturze* jego nekrolog następującej treści:

*Śmierć Haupta jest dla Kultury bolesną stratą. Był związany z Kulturą niemal od początku jej istnienia, na naszych łamach narodził się późno i dojrzał jego nieprzeciętny talent pisarski. Pisanie było dla niego formą wyprawy w przeszłość, ćwiczeń wiernej pamięci. Pamięci wiernej krajobrazowi, ludziom, językowi (czy raczej językom) Galicji Wschodniej. Znał „upór martwych rzeczy”, jak mało kto umiał z czułą miłością „zastuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi, miasteczek i miast”, przywoływać „całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci”. Stworzył własny gatunek, w którym opowiadanie w stylu gawędy i dywagacja historyczna czy językowa połączyły się w piękny i jednorodny stop. Był człowiekiem cichym i skromnym, zakochanym w koniach i w „starych rupiecach”, uważał się bardziej za outsidera literackiego i malarza niż za pisarza, ale jego jedynej książki, *Pierścień z papieru*, nie pominie żaden poważny historyk współczesnej literatury polskiej.*

Dodam tytułem uzupełnienia, że jedyny syn Hauptów, choć rudymenarnie zna język polski, żywo interesuje się losem spuścizny ojca. Nie jest to jednak takie proste. Ponieważ twórczość Zygmunta Haupta tak słabo funkcjonuje w świadomości polskiej i rozprawy krytyczne o niej można policzyć na palcach (do wyjątków należą szkic Krzysztofa Rutkowskiego ogłoszony w

Kontakcie w 1986 roku oraz referat Marka Tomaszewskiego o obrazie Kresów u pisarzy emigracyjnych — Miłosza, Mackiewicza, Haupta i Odojewskiego — ogłoszony w zbiorze materiałów z sesji naukowej o literaturze Kresów, nakładem Presses Universitaires de Lille, 1988), tym trudniej przekonać wydawców amerykańskich aby docenili pisarza i ogłosili wybór jego opowiadań w przekładzie na angielski. Nawet Czesław Miłosz, który wysoko ceni prozę Haupta, nie zostawił o niej świadectwa w swojej *The History of Polish Literature*. Istnieje natomiast projekt wydania opowiadań Haupta po francusku, nakładem nowej oficyny wydawniczej Noir sur Blanc w Lozannie. Być może ta książka utoruje drogę innym przekładom. Na razie jednak należy zadbać o wydanie po polsku w miarę pełnej spuścizny literackiej pisarza, który jest niesłusznie zapomnianym i niedocenionym mistrzem polszczyzny w całym jej bogactwie.

Pierścień z papieru liczy niespełna 250 stron i składa się z 25 opowiadań, a zatem średnio z utworów dziesięciostronicowych. Niektóre z nich są jednak bardzo krótkie, jak trzystronicowy „Deszcz”, inne, jak „W Paryżu i w Arkadii”, mają długi oddech i liczne dywagacje. To zmienne metrum wydaje się dość ważne. „Zbiór opowiadań” nie jest precyzyjnym określeniem zawartości tej książki. Jest to raczej bardzo zaszyfrowana autobiografia, w której fakty, zdarzenia, obrazy, poddane są różnym stopniom destylacji i przetworzenia. Układ i kolejność opowiadań w tym tomie są konsekwentnie przemyślane i stanowią kompozycyjną całość. To znaczy, czytelnik jest świadkiem epizodów z czyjegoś życia pozostawionego w cieniu i tylko na chwilę rozświetlonego intensywnością doznania. Są to jakby błyski wyobraźni wspomaganej pamięcią. W takich momentach poznaje się prawdziwą naturę własną i naturę rzeczy.

Uważna lektura *Pierścienia z papieru* każe się zastanowić, czy jego autor nie chce aby jedynie uchodzić w oczach czytelników za prozaika. To maskowanie byłoby wyborem rozsądnym. Któż w naszych czasach zechciałby sięgnąć po 250-stronicowy poemat w 25 pieśniach? To nie epoka *Beniowskiego*. W moim mniemaniu *Pierścień z papieru* jest poematem w utajeniu. Jest to proza tak rytmiczna, tak obrazowa, tak destylowana, że wystarczy mały zabieg drukarski, żeby wykryć zamysł autora. Może nawet Hauptowi chodziło o to, aby jego czytelnicy odkryli na własną rękę, że mają do czynienia nie z prozaikiem, lecz z poetą. Bo wiedział, co to znaczy być poetą w czasach, gdy ludzie mówią prozą.

Można by zaryzykować mały eksperyment i — wsłuchując

się w pauzy i ślady oddechu w zdaniach Haupta — przedstawić je w formie zapisu graficznego charakterystycznego dla poezji. Oto taka próbka:

A niemiecka piechota to znów szła na wschód w lecie, upale, ludzkie postaci obciążone ekwipunkiem, karabin Mauser uwieszony z przodu na szyi i przytrzymywany jedną ręką i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku, mundury brudnoszarego koloru, workowate, bawarskie pułki z koroną na oksydowanych na oliwkowy kolor guzikach, pasy ciężko obciążone amunicją w ładownicach, wiszące na hakach wszytych pod pachami w mundur i łopatki z jednej strony namiętowane w pile i spięte rzemieniem razem z bagnietem i pasy zapięte na klamrę, na której był w kole wytłoczony napis w metalu Gott mit uns, patetyczny i ubliżający Bogu napis. I hełmy o ciężkim okapie, hełmy jak u lancknechtów na miedziorytach Dürera.

I ten sam fragment w hipotetycznym rozpisaniu na wersy:

*A niemiecka piechota to znów szła na wschód
w lecie, upale, ludzkie postaci obciążone ekwipunkiem,
karabin mauzer uwieszony z przodu na szyi
i przytrzymywany jedną ręką
i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku,
mundury brudnoszarego koloru, workowate,
bawarskie pułki z koroną na oksydowanych
na oliwkowy kolor guzikach,
.....
napis w metalu Gott mit uns,
patetyczny i ubliżający Bogu napis.
I hełmy o ciężkim okapie,
hełmy jak u lancknechtów,
na miedziorytach
Dürera.*

Powyższy fragment nie tylko odsłania rytm tej prozy — jej fizycznym odpowiednikiem byłby marsz, metrum cztery czwarte — ale i inne cechy pisarstwa Zygmunta Haupta. Jak większość pisarzy i poetów języka polskiego, Haupt pochodzi z obszaru, o którym mówimy „Kresy”, ale właściwie należałoby mówić „Bez-kresy”. Kresy to „suchego przestwór oceanu” ciągnącego się w głąb Azji. Haupt ujrzał świat i zebrał pierwsze doświadczenia — o kluczowym znaczeniu dla całej swej twórczości — w szczególnym miejscu i w szczególnym czasie. Jego punkt odniesienia

znajdował się na terenie zaboru austriackiego, tuż przy granicy z zaborem rosyjskim. Miał lat siedem, gdy rozpoczęła się Wielka Wojna. Ujrzał ją jako niekończący się pochód, marsz nomadów poprzebieranych na tę okoliczność w mundury. I tak to opisał. Opis rzeczy u Haupta jest niesłychanie drobiazgowy. Ale coś się dzieje: mundury różnych armii przedstawione w najmniejszym detalu stają się tylko przebraniem. Wojna z całym okrucieństwem, bestialstwem, niewinnymi ofiarami, jest przede wszystkim parciem naprzód i ludzie idą, posuwają się przed siebie, zdeptując innych, strzelając do żywych przeszkód na drodze. Można sobie wyobrazić, że pewnie tak samo szli w czasie wielkiej wędrówki ludów, idąc z subkontynentu indyjskiego. Rytm tej prozy jest hipnotyzujący. Im intensywniej pisarz przedstawia obraz ukazujący jakąś prostą i wielką prawdę, tym kadencja jego światadectwa bardziej się rytmizuje.

Pierwszym objawieniem natury świata dla Zygmunta Haupta nie była jednak wojna, lecz śmierć jednostkowa, jak sądzę. I dlatego opowiadaniem o niej — pod tytułem „Stypa” — rozpoczyna się *Pierścień z papieru*. Jest to krótka opowieść o jeździe u boku ojca, najpierw koleją, potem saniami, z błędzeniem, w zadymce, na pogrzeb dziadka „w kraju pustym jak tarcza pod łukiem nieba”. Opowiadanie to ma inną, wcześniejszą wersję, pt. „Czuwanie i stypa”, która znajduje się w niniejszym tomie. W istocie chłopiec jedzie na pogrzeb babki. Jeśli autor zmienił ten szczegół biograficzny, pragnął zapewne zwiększyć efekt artystyczny, nawiązać do eposu rycerskiego, dziedziczenia po mieczu.

Prócz wczesnego spotkania ze śmiercią traktowaną przez uczestników stypy jako wydarzenie zwyczajne, z natychmiastowym triumfem życia codziennego w jego banalności i cielesności, bohater opowiadań Zygmunta Haupta młodo też poznaje, czym jest miłość. Tajemnicza krewna kryjąca się za pseudonimem literackim Elektry jest dlań pierwszym miłosnym wtajemniczeniem, ale wszystko odbywa się w sferze wzroku, nie dotyku. Potem pojawiają się inne dziewczęta i młode kobiety: Stefcia, Anusia, a narrator przypomina niekiedy młodego Kordiana. Ma trudną do nazwania skazę, która decyduje o wzorze miłości tragicznej. Kobieta — albo z konkretnym imieniem, albo zwana po prostu Panną, jak w „Gołębiach z Placu Teodora” — zawsze odchodzi i na koniec umiera. Ma też przezwisko „Nietota” i jej poświęcony jest cykl opowiadań w niniejszym tomie. Dowiadujemy się z nich, że umarła na gruźlicę. Pojawia się jeszcze raz, w opowiadaniu „Baskijski diabeł” w okupowanej Francji, gdzieś w Pirenejach, ale już tylko w wyobraźni autora. Eros i Thanatos u

wielu poetów w jednym stoją domu, ale związek tej pary u Haupta jest doprawdy zastanawiający.

Drugi wyraźny rys jego prozy to współ-czucie. Celowo rozdzielam te dwa zrośnięte ze sobą wyrazy, by przypomnieć ich pierwotne znaczenie. A więc litość dla pary małżonków, którzy w czasie tamtej wojny zostali upokorzeni w swej godności ludzkiej i wypadek kolejowy w jakim oboje zginęli był nie tyle przypadkiem, ile konsekwencją śmierci cywilnej, utraty twarzy. Litość dla młodziutkiego żołnierza niemieckiego, który w czasie Wielkiej Wojny poległ na Podolu i teraz prześladowe pamięć opowiadającego. Litość dla pary ludzi, których łączy już tylko obopólna nienawiść. Litość dla rozkładających się zwłok, pozbawionych nawet cechy indywidualnej, głowy, i litość dla ścierwa końskiego, które dzięki sile wyobraźni autora ponownie wzbija się do pegazowego lotu. Haupt — na pozór turpista i materialista, studiujący powszechne zniszczenie i rozkład — mimo wszystko wierzy chyba, że ciało, zgwałcone i podeptane, ponizone w swej jedyności, zawiera w sobie jakiś pierwiastek niezniszczalny, boską iskrę energii. W jego alchemii organicznej nic, co raz istniało, nie ginie ostatecznie. To w planie metafizycznym, który trywializując próbuję uchwycić. Bo Haupt jest jednocześnie realistą, nawet jeśli niektóre jego opowieści są zapisem z pogranicza snu i jawy. Należy do artystów słowa, którzy wychowali się blisko ziemi. Posiada imponującą wiedzę na temat czynności z nią związanych. Nie jest jednak sielankowym piewcą wsi i dostrzega to samo na Podolu co w Bretanii: zasadnicze okrucieństwo chłopca, nawet nieświadome, niezależne od stopnia cywilizacji, dyktowane przez skrajny utylitaryzm. Inne klasy nie są w istocie lepsze, ale osłaniają się cienką skorupką obyczaju, pękającą pod naporem kataklizmów historycznych.

„Ale wszystko to przesłaniał kurz wzbijany przez przeciągającą piechotę”. To zdanie-refren jednego z opowiadań Haupta odnosi się nie tylko do formacji wojskowej, do konkretnej wojny. Można je uważać za obraz ludzkości ponad planem historycznym: idziemy przed siebie. Panie, miej litość nad tymi, co stoją na naszej drodze. Czy dlatego Zygmunt Haupt wybiera opłotki, pobocze drogi, przedmieścia wielkich miast, skąd obserwuje działanie się, mrowienie? Nawet drugą wojnę światową, którą opisał w noweli „Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali”, widzi jako moment nie natarcia, lecz przygotowywania się do niego; pozornie nudny proces, dłubanie mechaników w czołgach, próbę nawiązania porozumienia radiowego, „Tu Magda Trzy”. Magda, wiejskie imię, w miejscu, które zaraz stanie się armageddonem. Paryż, Lwów, Żółkwia, Krzemieniec są federacją wiosek widzia-

nych oczami chłopca zza frędzli chwastów przydrożnych. W zielniku Haupta najczęściej pojawiają się łąpuchy, czyli wielkolistne i mięsiste liście łąpianu. Kolorem mu najbliższym jest ciemna, prawie czarna zieleń.

I nie tylko w celu osiągnięcia dużego nasycenia tak zwanym kolorytem lokalnym wprowadza Haupt do opisu mnóstwo regionalizmów i archaizmów, których znaczenia dzisiejszy czytelnik może się jedynie domyślać albo szukać w *Słowniku Gwar Polskich* Karłowicza. Ponowa, śreżoga, odziamki, wiszar — jak bogaty język, jak ornamentacyjna proza. Powrót do polszczyzny związanej z ziemią. Autor jest na nią otwarty wszystkimi zmysłami. Zwraca uwagę nie tylko jego przenikliwość spojrzenia, ale i wyostrzony węch. Dla Haupta zapach gnijących kartofli jest wonią „najbardziej nie do zniesienia”, odrażającą. Ta woń zdradza jakby ambiwalencję jego uczuć do Podola — ziemi, gdzie wszystkiego było w nadmiarze: urodzaju, owoców, gnicia, rozkładu, ciemnej zieleni i czarnej krwi, namiętności, nienawiści.

Haupta odraza do rozkładającej się materii, co jest w końcu jej cechą nieodłączną, zastanawia. Jeśli utożsamić go z narratorem jednego z opowiadań, być może okaże się, że i jego cechowało „kierkegaardowskie tchórzostwo”. Jeśli uwierzył, że *Angst* jest kategorią naczelną, że rządzi nami trwoga i drżenie, skonstatawał to z żalem do siebie i z pogardą do nauczyciela. Czy można sobie wyobrazić, że ów kawalerzysta, oficer wielu frontów, czołgista, tak się bał śmierci zapamiętanej oczami dziecka, na katafalku w dworze dziadków, że uczynił ją główną bohaterką swojego dzieła? Narrator opowiadania „Szpica” stara się wszystkimi siłami wyobrazić sobie moment śmierci: „To się stanie tylko raz, tylko raz i bezpowrotnie, że nawet gdybym nie wiem jak myślał, to sama chwila będzie inna i niespodziewana”. W jedy-nym *sensu stricte* wierszu niniejszego zbioru, „Grze w 'zielone'”, podmiot liryczny podpatrując łąkę zdradza się z awersją do natury, gdzie wszystko trwa bez początku i bez końca. Śmierć przerywa tę powtarzalność — i może na tym polega fascynacja nią. „Upatrzylem sobie nekrofilską przyjemność / w kontemplacji tego końca”, pisze w kodzie wiersza. Ba, gdyby wiedział, że będzie mu dane umrzeć we śnie. Ale gdyby nie bał się śmierci i swojego strachu stale nie przewyciężał, nie byłby Zygmuntem Hauptem jakiego znamy.

Jeśli rzeczywiście pisarz lękał się rozkładu, gnicia, nicości, to wyzwolił się spod niszczącej siły śmierci w tytułowym opowiadaniu zbioru *Pierścień z papieru*. W noweli wcześniejszej, „Z Lacczyny”, którą czytelnik znajdzie w niniejszym zbiorze,

Haupt przedstawił wariant, nie tak magiczny, tej opowieści, jakby w pierwszym stadium przetworzenia:

A pomysł już miałem, a także poszukałem za jakimś materiałem, porobiłem notatki. O tym jak ten niegdyśjszy porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej Karola Różyckiego, tudzież emigrant, a także i autor romantycznych opowieści (Kirdżali, Ukrainki i tak dalej), a potem Mahmud Sadyk, wreszcie Sadyk Pasza, twórca Pierwszego Pułku Kozaków Otomańskich (w którego drugiej sotni na liście wolontariuszy figuruje imię Adama Mickiewicza) powróci w 1872 roku do Kijowa, by z imperatorskim przebaczeniem dostać folwarczek Borki w guberni czernichowskiej, by za łaską cesarską zabezpieczyć wychowanie, posag i miejsce frejliny na dworze dla córki z drugiej żony Greczynki, by wreszcie starcem z górą osiemdziesięcioletnim, zgrzybiatym i głuchym odebrać sobie życie w tychże Borkach.

Pisze Haupt, że chciał tę opowieść raz jeszcze opowiedzieć, ale ponieważ nie znalazł w sobie „materiału na Szecherezadę”, więc rzecz zarzucił. A raczej odłożył, by stopniowo dojrzewała. Tu ujawnia się kolejna cecha jego twórczości: nawyk opowiadania o tym samym, ale na różne sposoby, dodawanie kolejnych wariantów, rozwijanie *ad libitum* tematu głównego, którego zaczynem może być postać historyczna, postać literacka, napotkany przypadkiem człowiek, błysk pejzażu, zapamiętane zdanie, przyspiewka ludowa. Więc i Sadyk Pasza zmienił się w późniejszej wersji opowiadania dość gruntownie. Opowieść stała się mitem o powrocie. I można sobie wyobrazić, że nastąpiła dość znaczna identyfikacja narratora z autorem. Wraca on do swojej ziemi rodzinnej ni to ciałem, ni duchem — raczej wieścią gminną, podaniem ustnym, w zaprzęgu koni wszelkiej maści. Te konie są zarazem końmi Apokalipsy i końmi z rydwanu Apollina, ciągną lawetę i sanie. Opowiadający, jeździec, jest już tylko głosem wsłuchującym się w głosy innych ludzi. Powtarza to, co o nim wieść niesie. Oznaką jego władzy jest pierścień. Z papieru. Z pozoru tyleż nadający godności co i papierowa korona, błazeńska czapeczka. Ale papierowy pierścień jest też potężnym amuletem na palcu poety. Ma moc nie mniejszą niż pierścień Salomona. Wedle legend rabinicznych i muzułmańskich, Salomon miał władzę nad wszystkimi duchami, ponieważ znał ich imiona. Posiadał też cudowny pierścień z sygnetem i pieczętował nim ląk na otworach butelek, w których zamykał dżiny i zbuntowane geniusze, by rzucić je na dno morza. Głos w opowiadaniu Haupta — rodzaj świadomości oczyszczonej z materii, z ciała, jest też

pewien swojej siły: „W świetle lampy widzę swą dłoń położoną na stole i na serdecznym palcu lśni błyskiem żelaznym pierścień z papieru”. „Szpica” rozpoczyna się od oznajmienia: „Droga jest jak dom”. W „Pierścieniu z papieru” droga wiedzie do domu. Ale po to, żeby do niego dotrzeć, trzeba być już bezcielesnym głosem.

Każda książka ma swój ukryty prawzór, choć niekoniecznie jeden. Przypuszczam, że Zygmunt Haupt chciał między innymi stworzyć dwudziestowieczny odpowiednik *Beniowskiego*. Przypomnę w tym miejscu, że poemat dygresyjny Słowackiego został pierwotnie wydany w dwu tomach. W 1841 roku poeta wydał pięć pieśni. Dalszych dziesięć — nie dokończonych, w wielu wariantach, fragmentach, okrucach, ukazało się we Lwowie w 1866 roku. Ten drugi tom *Beniowskiego* nosił zrazu tytuł *Pisma pośmiertne*. Najprościej byłoby tak zatytułować i drugi tom opowiadań Zygmunta Haupta. Co więcej, ich autor mógł się nawet poczuwać do pewnej wspólnoty z autentycznym Beniowskim, Maurycym Augustem, szlachcicem pochodzenia węgierskiego lub słowackiego, żołnierzem, podróżnikiem, konfederatem barskim, władcą Madagaskaru i duchem rewolucyjnym, który kilkakrotnie pojawił się w Ameryce i pragnął walczyć o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Jednakże mimo te hipotetyczne parantele literackie, tytuł *Pisma pośmiertne* byłby może nazbyt żałobny dla zbioru opowiadań tak zaciekle żywych, kontynuujących tradycję siedemnastowiecznej prozy sarmackiej, z barokowym rozmachem i równie barokowym z ducha zafascynowaniem śmiercią, tworzącymi tragikomiczną kompozycję. Kapryśny letopis Haupt stale zmienia perspektywę — już to zagłębia się w topografię podolskich miasteczek, już to nagłym skokiem przenosi się w inne czasy, w inne regiony świata, spina przeszłość i teraźniejszość, jak w opowiadaniu „Złota hramota”, które postanowiłam włączyć do niniejszego tomu, mimo ubytków słów i niektórych zdań, nie dających się zrekonstruować z nadpalonego maszynopisu.

W opowiadaniu „Warianty” pisze Haupt: „Ochodzę i przychodzę, przybliżam się i oddalam. Jest chwila, kiedy jestem doskonale świadomy siebie, a potem gubię się i rozdrabniam z otaczającym przestworem. Tu jestem, a nie ma mnie, bo wyszedłem na spotkanie wymyślnego”. Dostrzegam w tym zdaniu *credo* artysty, który stale chce uchwycić istotę rzeczy i sam przestrzega siebie, że myślenie musi być cienkie, kruche „kruchością wyciągniętego na gorąco szkła”, że trzeba oddzielić się od przestrzemi i być sobie „obiektywnym panem”.

Przybliża się i oddala od istoty rzeczy. Można to prześledzić,

porównując opowiadania, szkice i warianty zebrane w niniejszym tomie. Najdawniejsze chronologicznie powstały jeszcze w czasie drugiej wojny światowej, ostatnie — na początku lat siedemdziesiątych. Są nierówne — bo nie wszystkie zapewne otrzymały kształt ostateczny. Odślaniają jednak różne stadia przetworzenia rzeczywistości. Niektóre są wspiane w pierwszej wersji, nie wymagającej żadnych dodatkowych cyzelacji.

Przedstawiając plan drugiego tomu opowiadań, Zygmunt Haupt nie nadał mu tytułu, a przynajmniej informacja na ten temat nie zachowała się. Ich układ, wybór i kolejność były nieco inne od kompozycji niniejszej książki, którą pozwoliłam sobie zatytułować *Szpica*. Nie są to zmiany znaczne i wynikają nie z pogwałcenia woli autora, co z konieczności dołączenia opowiadań i szkiców późniejszych.

Renata GORCZYŃSKA

I

LUTNIA, ALBO PRZEWODNIK PO ŻÓŁKWI I JEJ PAMIĄTKACH

O „Białokamiennej”, cóż to ja mogę napisać o „Białokamiennej”? Że tam nigdy nie byłem, że to daleko, gdzieś za światami, że nasi nie nazywali jej po imieniu, bo imię odnosiło się do całych obszarów, ale nazywali ją po prostu „Stolicą”. Stolicą, ale czego? Pogranicza tundry brzoźowej i bagien, stepu i władztwa Tatarów. Toteż jeżeli już chcę ją sobie wyobrazić, to mojej wyobraźni pomoże wyobraźnia innych.

Weźmy, na przykład, taki obraz, który mógłby być produktem jakiegoś pompiera z XIX wieku z Tretiakowskiej Galerii, albo jeszcze lepiej wzięty z filmu Eisensteina. Zima rozesłana śniegiem aż po siny las na horyzoncie i przysadziste wieże i banie cerkiewne i częstokół grodu i biały dym z kominów miejskich na tle czarnego nieba. Przed broną bramy — czekają. W ciężkich tołubach i szubach, pikowanych grubych kaftanach, zbrojach ze skóry z ponaszywanymi na niej blachami, włosy przycięte, brody (nosili brody i w lata później Pan Pasek wspomina, że w bitwie pod Lachowiczami aż dziwnie było najechać na takiego zasłaniającego się ikoną brodatego wojownika, „jakby się na Panów Ojców porywać” powiada Pan Pasek). Od horyzontu odrywa się ruchliwy przecinek, rośnie, już można odróżnić jeźdźca na koniu, koń kopie się przez zaspy, „zastrugi” i rozpyla piersią tuman śniegu przed sobą. Jeździec rośnie, już odróżnić można grzywę bachmata, pieniążki w nią wplecione, wysoko skurczonego na kulbace jeźdźcę, w łubiu łuk, nahaj u przegubu ręki i skośnooką twarz. To posłaniec z Kazania, „baskak”.

A teraz zaczyna się ceremonia, protokół uroczysty, niczym nie ustępujący sztywnym przepisom, jakie obowiązują na dworze

habsburskim w Escorialu albo Valois w Tuilleriach. Jeździec jest tuż i spłoszone gawrony zrywają się ze śniegu i kołują pod niebem. Bachmat łypie oczami, chrapie i ostrożnie wstępuje na rozestane na śniegu skóry wilcze, niedźwiedzie, łosiowe, tygrysie, na mieniące się cudnymi kolorami kobierce, saruki, hamadany, karamani, bucharskie cuda. Grzęzną w nich i toną bosc kopyta konia. Jeździec siedzi na nim niewzruszony i z góry patrzy na golone karki zebranych, kiedy czołem biją o ziemię. Teraz najstarszy z obecnych dostojników podchodzi do puśliska i podaje jeźdźcowi w obu dłoniach trzymaną czarę wypełnioną pieniącym się kumyssem. Kumys ścieka z obwisłych wąsów pijącego posłańca i krople mleka spadają na kobierzec. Do tegoż ceremoniału należy, by najstarszy z witających najpokorniej przypaść do ziemi i zlizać uronione krople napitku.

Jeździec z konia nie zsiada. Z łubia na łuk szybkim ruchem dobywa zwój kory brzozonej, „gramotę”, „parłyk” z proklamacją, ukazem chana. Znów biją czołami i dotykają nimi ziemi.

Cóż mi tu opowiadać o „Białokamiennej”, o Kitajgorodzie, o Krymgorodzie, o Bramie Troickiej, o Matce Boskiej Uspeńskiej, o cerkwi Wasilija Błogosławionego i wielkiej armacie, którą zwą Car-Puszką? Nigdy tych cudów nie oglądałem.

Kiedyś, gdy byłem mały, pamiętam jak ojciec wrócił z jakiejś długiej podróży końmi, wynajętym zaprzęgiem. Coś tam było, zdaje się że furman musiał zostawić w domu źrebię lejcowej klaczy i że musiał odciągnąć jej mleko, miała wymię nabrzmiące, więc musiano zrobić taki zabieg. To mój ojciec kazał mu to mleko odciągnąć do podstawionego kubka, a potem kazał mi się tego kobyłego mleka napić. Trochę to było dziwnie, trochę wstrętne, ale napiłem się i ojciec zadowolony ze swego pomysłu patrzył na mnie i uśmiechał się, jakby drwiąco, i powiedział mi: „A wiesz, teraz na górnej wardze z jednej strony wyrosną ci trzy takie włosy, i z drugiej strony trzy włosy, i oczy zrobią ci się skośne i będziesz całkiem jak Tatar”. A Tatarzy? Mówią nam dzisiaj, że nie było się znowu co tak nad nich wywyższać, że to była kultura, której my tylko nie rozumieliśmy ani dorównywali, że „każdy w kieszonce od kamizelki, każdy z tych Tatarów nosił zegarek na łańcuszku”. Tak, ci ze Złotej Ordy, i ci z Astrachania, i z Perekopu i Dobrudży, i Nogajcy i Biała Orda i Czarna Orda i ci co ściągali haracz od kniaziów. Aż kiedyś poselstwo Rurykowiczów z haraczem przybyło do Kazania nie miało go komu zdeponować. Przyszło Kulikowe Pole, minęło sto lat, dwieście lat, lat trzysta i straszni niegdyś Tatarzy, mówią, stali się najlepszymi kelnerami w najprzedniejszych restauracjach impe-

rium, zawsze podobno taki *maitre-d'hôtel* czy *ober* w eleganckiej restauracji na Kreszczatiku czy na Mojce to był Tatar, kłaniał się i brał napiwki.

Ale „Białokamiennej” nigdy nie oglądałem ani nie dawałem napiwków Tatarom-kelnerom.

Natomiast o Żółkwi mogę powiedzieć bardzo wiele.

.....

Leży u stóp Roztocza, wzgórz, garbów zielonych od dębów, buków, grabiny, modrzewi. Kiedyś klimat tu był jeszcze słodszy, poznać to z nazwy przedmieścia Winniki, a jak wszędzie, gdzie są jakieś Winniki dowodzi to zaraz, że sadzono tu kiedyś winną latorośl. Zresztą Winniki były tu przedtem zanim założono Żółkiew.

Przepływa nią rzeczulka, która nazywa się po prostu Świnia. Pytałem ojca, dlaczego Świnia? „Widzisz”, powiedział mi ojciec, „ludzie tak zawsze nazwą wodę, jak im będzie robić szkody”. Bo ta niepozorna woda płynąca głębokim rowem, zarosłym zielenią łopuchów, wikliną, mętna od mułu, przeciekająca leniwie pod mostami, chłodna i spokojna, ciurkająca sobie, zamieniała się przed wiosną, na krótko zresztą, w pełną furii rozjuszoną lochę, wściekłą samurę.

U izbic mostu piętrzyły się olbrzymie kry, zielone i zbrukane i przelewała się przez nie z szumem woda i podchodziła pod podłogę mostu. Od rana słysząc było głucho detonacje. Na moście stał porucznik Sobolewski, w zębach miał kółko zawleczone ręcznego granatu. U przyczółka mostu, przy otwartej skrzyni, w której przegródkach były oliwkowego koloru jajka zaczepnych granatów, klęczał wachmistrz i „ostrzył” je, wkładając im zapalniki. Za chwilę porucznik Sobolewski, szukający oczami szczelin między lodem rzucał z zamachem granat i zginał się w pół przed bryzgami wody i deszczem lodowym, jaki po wybuchu leciał na podłogę mostu. Niewiele to pomagało. Niewiele pomogło, gdy inżynier Sawicki z powiatowego urzędu dróg i robót wodnych wytyczył za miastem, daleko za Winnikami nowe koryto rzecze, wytrasował jej nowy kanał, prosty jak strzełił, z solidnymi skarpami, ich odarniowaniem, opleceniem materacy i fartuchów, chruścianych ostróg. O wiosnie Świnia szalała i ryła od nowa.

Mówiło się o Żółkwi, że jest jak Carcassonne, bo miasto otaczają jeszcze mury i wały i wjeżdża się do niego bramami. Glińską, z klasycznymi hełmami, szyszakami wieńczącymi tympa non i z pordzewiałym łańcuchem brony czy zwodzonego mostu. Zwierzyniecką, z kratami tiurmy nad jej sklepieniem, a na wały miejskie rzucają swój cień drzewa i biegnie ich koroną deptak

do spacerów. Rynek z podcieniami, kamienicą, u której w niszy rudy lew położył łapę na Ewangelii, tu rezydował kiedyś poseł Wenecji. Zamek, cerkwie, klasztory Dominikanów i Bazylianów, ażeby było tak, jak nam to opisał Książę Biskup Warmiński ... „bram cztery ułomki, dziewięć klasztorów i gdzieś tam domki”. Owe „domki” ciągnęły się już poza murami, wzdłuż ulicy Lwowskiej, którą w uznaniu zasług burmistrza Doktora Muszkieta przemianowano na Ulicę Doktora Muszkieta. Doktor Muszkiet, nie wzruszony tym gestem wdzięczności obywateli, rzeczowo powiedział o tym: „Przedtem Żydzi wylewali nocniki na Lwowską, a teraz wylewają je na Doktora Muszkieta”.

Fara, olbrzymia, renesansowa, założona na krzyżu, z kopułą wysoko w górze i wieżą-dzwonnicą stanowiącą basztę w murach miejskich, obmywająca swe stopy w Świni. We Farze nagrobki, płyty sławiące pochowanych w sklepiściach pod posadzką Daniłowiczów, Herburtów, Strusiów, Sobieskich, z czerwonego jak zaschła krew marmuru wysokie pomniki w murze Żółkiewskich, ojca i syna, Żółkiewskiej z Herburtów Reginy, i synowej, i u mężów Żółkiewskich należne im, wyslizgane w czytankach szkolnych: DULCE ET DECORUM EST PRO PATRIA MORI z horacjańskiej ody i z Eneidy EXORIARE ALIXIS NOSTRIS EX OSSIBUS ULTOR, Mścicielu, powstań z kości naszych!

W nawie bocznej, po stronie Lekcji wisi olbrzymie płótno Altamontego, ale to rozmiarów tak ogromnych, że zwisa u dołu fałdą jak żagiel galeony w czasie ciszy morskiej. A na nim Ultor pod Wiedniem. A z drugiej, po stronie Ewangelii, bliźniaczy tegoż Altamontego obraz ukazujący Bitwę pod Parkanami.

No to kiedy tak już po baedekerowskiemu jesteśmy pedantyczni, to przypomnijmy, że w tejże Farze żółkiewskiej wisi obraz, wyobrażenie jeszcze jednej bitwy. A że lubowali się wtedy w łacińskich inskrypcjach i zaopatrywali nimi obrazy tekstem, jak w amerykańskich komiksach, to i na nim u góry jest taka sentencja, którą sobie odcyfrujemy: DEXTERA DOMINI FECIT VIRTUTEM. Na obrazie bitwa. Konie, nie rozbrykane, ale jak kazał to malować Ucello, zastygłe w hieratycznym skoku, kwadraty i prostokąty i czworoboki zbrojnych, pancernych ludzi, nad nimi las kopii, gąszcz „drzew”, te u pierwszego szeregu już wachlarzem są zniżane, wpośród tych kopii i lanc proporce i znaki. Namioty wojenne. Chmury dymów. A bitwa? Przepiszmy o niej:

Gdy już wojsko stanęło w sprawie, objeżdżając Pan Hetman z hufu do hufu, animował swoich, ukazując jako necessitas in loco, spes in virtute, salus in victoria, i kazał uderzyć w bębny, w trąby do spotkania.

Nieprzyjaciół też już był stanął w sprawie...

Trwała bitwa długo, bo i nasi i oni, zwłaszcza cudzoziemcy poprawowali. Naszym, którzy na moskiewskie buty przyszli, łacniejsza była sprawa, bo Moskwa nie strzymała zrazu, jeśli uciekać, nasi gonić... Francuzowie i Anglikowie jezdni przecie z naszymi rotami w polu, co raz jedni drugich posilając, czepili; aż kiedy już nie stało onych Niemców pieszych, którzy przy płocie nam byli na przeszkodzie, skupiwszy się kilka rot naszych, uderzyli na oną jazdę cudzoziemską kopiami, kto jeszcze miał, koncerzami, oni też destituti praesidio ludzi moskiewskich i onej piechoty, niemogli się oprzeć; jeśli w swój obóz uciekać, ale i tam nasi na nich wjechali, bijąc, siekąc, pędzili ich przez obóz ich własny...

.....

Przypatrmy się dobrze pocztowi sztandarowemu. Podporucznik, wachmistrz, starszy strzelec konny. Szwadrony które przemaszerowały na nabożeństwo niedzielne w Farze zachodzą z trójek w dwuszeręg (tylko ostrogi dżyń, dżyń, dżyń! i komenda „Róóównaj — Szaaable — w dłoń!”) i chorąży ściągają z drzewca sztandaru pokrowiec i poczet sztandarowy schodzi tam, gdzie odwalona płyta w posadzce ukazuje czeluść schodów prowadzących do krypty Fary. W czarnym lochu, przy blasku świec zapalonych u sarkofagu, widać długie szeregi trumien, otwartych, a w nich wyschnięte szkielety w zetlałych żupanach, kontuszach, deliach, pasach, w tercjarskich habitach z kapturem nasuniętym na łysę czaszki, posesjonatów i urodzonych, dziesiątki ich, setki (pokapane woskiem w ogarków świec, przy których dziad kościelny za grosze oprowadza nielicznych zwiedzających i przyświeca, by lepiej widać było wyszczerzone zęby i piszczele). Na sztandarze wyhaftowane: „Pułk Szósty Strzelców Konnych Imienia Hetmana Żółkiewskiego”. Przypatrmy się dobrze pocztowi sztandarowemu, wszyscy w nim naznaczeni śmiercią.

.....

Pan Hetman długo i wiernie służył swym królom. Przeciwko Gdańskowi pod Batorym, z Zamoyskim pod Byczyną, z Jeremiašem Mohyłą przeciw Turkom w roku 1595, w dwa lata później rusza przeciw Gospodarowi Michałowi Odważnemu, by znowuż w dwa lata później zbić Szwedów po Rewlem, a w roku 1606 Tatarów nad Udyczą, a niedługo potem rokoszan pod Guzowem. Teraz miał Stolicę.

Tandem do tego się rzeczy przywiodły, że wojsko weszło, któremu Pan Hetman opportuna in omnes casus obrat, kupami

w osobnych dworach stanęło wojsko, iżby na wszelki przypadek jedni drugim mogli być pomocni. Pułk Pana Alexandra Zborowskiego stanął w Kitajgorodzie, w kupie wszyscy jeden drugiego blisko, pułk Pana Kazanowskiego i Pana Wajherów w Bełgorodzie także siebie blisko. Sam Pan Hetman z Panem Starostą Wieliskim stanął w głównym zamku w Krymgorodzie, dworze który niegdy był Cara Borysa...

*Przestrzegać Pan Hetman z pilnością rozkazał, żeby nasi za-
czepek z Moskwą nie czynili; sędzie tak z naszych jako i z Mos-
kwy postanowił, którzy wszelkie diferencje rozsądzali, quietissime
żyli tak, iż bojarowie i pospólstwo, którzy wiadomi będąc narodu
naszego swawoleństwa, dziwowali się i chwalili, że tak spokojnie
bez wszelakiej krzywdy, nic nikomu nie czyniąc, żyliśmy...*

„Białokamienna”, co tu mówić, budowali Włosi, szczególnie Krymgorod. Granowitową Pałatę Marco Ruffo i Pietro Antonio Solari, Sobór Uspieński Aristotele Fioravanti, Sobór Archangielski, Mauzoleum Carów Alevino Novi, wieżę-dzwonnicę Iwana Wielikiego Marco Bono. Każdy, kto jak ja tam nie był, może zajrzeć do encyklopedii i sprawdzić. Cieniowali ci mistrzowie, uczyli się u Bramante, kopiowali stare pomniki, trzymali się kanonów i modułów Vignoli, wystrzygali swe cuda w kamieniu, marmurze, granicie, drażyli kartusze, różnili w jaspisie i malachicie liście akantu, kanelurowali pilastry, rozpinali łuki, wydmuchiwali kopuły, sklepienia i nisze, lali w formy stiuki, gips, pozzuolo, terrazzo, przyozdabiali je w sgraffitta, zawieszali na ścianach kobierce, gobeliny i płótna obrazów.

Opisywali nam tę „Białokamienną”. Eliasza Pielgrzymowski w swym sprawozdaniu z poselstwa Lwa Sapiehy na dwór Godunowa. Jan Żabczyk, nadworny poeta orszaku Łaszki-Maryny i Łże-Dymitra, impostora Hryčki Otriepowa, w swym „Marsie moskiewskim krwawym”, Książd Dembołęcki Wojciech w swej opowieści i przewagach „Elearów co ich niegdy Lisowczykami zwano”. Albo ludzie Pana Alexandra Gąsiewskiego z załogi pozostawionej przez Żółkiewskiego na Krymgorodzie. Podobni do ludzi z gatunku arkebuzjerów i pikinierów Corteza, Diaza, Balboa, Pizarrów, Orellany, w ich rozpalonych słońcem Meksyku hełmach-morionach i pancerzach, hipocentaurów cwałujących po peruwiańskich kamieniach Cuzco albo ginących od zatrutych strzał Amazonek na wodach Amazonki. Pan Starosta Wieliski trzymał swych ludzi na Krymgorodzie w ryzach. Kiedy jeden z żołnierzy upiwszy się strzelił z rusznicy do ikony Matki Boskiej na Nikolskiej Bramie, to kazał mu „odrąbać ręce i nogi, kadłub zaś

spalić żywcem na stosie wzniesionym u miejsca zbrodni, a dłonie skazańca przybić bretnalami pod znieważonym wizerunkiem Bogurodzicy”.

.....

Ach, przepraszam, przecież miał to być przewodnik po Żółkwi!

Budowali ją Włosi. Cudowną tu renesansową synagogę Battista di Quadro di Lugano, ten co i w Ostrogu stawiał. Starą bóżnicę z jej zwieńczeniami fasad, przyporami, muszlami z kamienia, gzymsowaniami, akroteriami attyki, murem który był złoty od starości, ze sklepieniami, kasetonami, lunetami wnętrza. A Zamek, jak ten Guccio w Baranowie, założony na prostokącie, z czterema kolosalnymi wieżami po rogach. Jak za jednej wojny wypali się skrzydło, to w drugim coś się gnieździ. Jest tak przestronne, że pomieści i Sąd Grodzki i Urząd Powiatowy Dróg i Robót Wodnych i Kataster i Gimnazjum. Potem przychodzi nowa wojna, wypali to skrzydło, to powoli, z namysłem zabierają się do odbudowania drugiego. Kiśnie wapno w skrzyżniach, sypie się pył zwożonej cegły, klecą rusztowania i stawiają formy pod sklepienia i znowu mury nabierają życia i oddychają na nowo.

Nie było już panów i wielmożów, nie sprowadzało się z Włoch architektów. Robił to Antek Łobos. O Łobosie dawno poszła wieść po salach rysunkowych, na wykładach ze statyki, repetytorium form architektury klasycznej, architektury użytecznej i projektowania wnętrz. Łobos i Łobos. Widzieliście co narysował Łobos? Spoza góry śmiecia, fasad, gabarytów, wymierzonych projektów, profesorskiej sieczki wyzierał inny, zachwycający, porywający kształt brył i harmonii. Łobos, mówili, Łobos, szeptali z zazdrością i nabożeństwem, podziwem i zażenowaniem, że niby jak, czy podobna ażeby spośród nas mógł narodzić się geniusz? A sam Łobos? Zawstydzony sobą i pewny siebie, wieczny student, z wystającymi łopatkami od wiecznego zgarbienia nad rysownicą, skromny i genialny. Po latach zrobił dyplom, ale nie czekał go świat z aplauzem, nie miał budować stolic, Hilversum, Brasillii, wielkich metropolii, monumentalnych pomników. Z jakiegoś zakurzonego biura konserwatorskiego jeździł do miasteczek i tam dźwigał z gruzów i sklejał czerepy starych budowli, mury i wieże, dawne kształty spletał z tym co zrodziło się w jego głowie. We Lwowie, w Przemyślu, Rawie Ruskiej, Samborze, w Podhorcach, w Żółkwi. Wieże, fasady, podcienia, przypory, portale, balustrady, tarasy, baszty, bramy, galerie, krużganki. Walające się po ziemi kamienie i płyty podnosił i stawiał

od nowa. Odbudowywał, jak lutnik który naprawi stary instrument, skleja, pochyla się nad nim i nasłuchuje, czy głos z niego wydobyty drży tak samo, prawdziwie.

Głosy:

*„Powiedźcie ojcie, co się stało,
Mówią że Francuz, Francuz Moskwę spalił całą...”*

W jesieni, kiedy przychodził nowy rocznik rekruta i dostawał się w ręce podoficerskie, rezonowało od tych głosów, pieśni, piosenek, zaśpiewów, bo to i znakomicie wyskandowywało marsz, i jakimś sposobem, dydaktyką słowa, melodii, rytmu miało pomóc w wychowaniu, wykrzesaniu nowego gatunku. Albo: „A wtem Napoleon na Polaków skinął, skoczył Kozietułski, szwadron w czwórki zwinął...”. Albo: „Hej zza gó-ó-ó-ory jadą Mazury. Jadą, jadą Mazureczki, wiozą, wiozą trzy wianeczki, roz-ma-ry-y-y-nowe, rozmarynowe!”. Albo, dla odprężenia po tych wzniosłościach: „A u mojej Mańki cycki jak dwie bańki...”.

Kiedy w lata potem zdarzyło mi się nawiać z obozu internowanych na Węgrzech i przycupnąć na chwilę w Budapeszcie, to za współlokatora w hotelu miałem przez dobę jednego pana, osobistość znaną przed wojną z awanturnictwa politycznego, za które i przesiadywał w więzieniu, czekając na rozprawy. Otóż ów pan przyniósł wieczorem butelkę wina węgierskiego i przy tej butelce wspomniawszy dawniejsze czasy, o tym jak czekał w więzieniu śledczym we Lwowie i jak w tej samej celi siedział z nim jakiś Ukrainiec, ten z tych „z czarnym podniebieniem”, z tych co to palili stogi zboża i robili zamachy, ażeby tym wywalczyć wolność swej ziemi spod jarzma Lachów, a znów ci za to robili im pacyfikację. Otóż wedle tego co mi mówił gość w hotelu, ów ukraiński terrorysta, zwierając się, jak to zawsze w więzieniu, współtowarzyszowi celi ze swego życia wspominał lata, czas kiedy służył, odbywał powinność wojskową w pułku strzelców konnych w Żółkwi. Tę służbę wojskową w pułku polskiej kawalerii ten zaciekle wróg polskości i spiskowiec wspominał jako najszcześniejszy okres swego czarnego, niewdzięcznego życia. Nie mógł się zwłaszcza nachwalić jakiegoś rotmistrza, dowódcy szwadronu, że ten był i ojcem i matką w jednej osobie dla swych konnych strzelców.

Z tej rozśpiewanej jesieni zapamiętałem podporucznika Sterbę, młodziutkiego, wciętego w pasie, który owej jesieni z nieszczęśliwej miłości do Nory Juffówny strzelił sobie w serce. Znałem go bardzo mało, bo chociaż był naszym lokatorem, wynajmował pokój w naszym domu, to był starszy o parę lat i ze szczeniakami

się nie zadawał. Otóż jednego jesiennego wieczoru, kiedy wracałem do domu, spotkałem go po drodze w otoczeniu zgrai psów, rozmaitych pułkowych pinczerów i dobermanów, między nimi była i legawa suka porucznika Konopki (porucznik Konopka zabił się na przeszkodzie i odziedziczyliśmy po nim bezpieczną już wtedy sukę). Podporucznik Sterba nie poznał mnie, był wesół i bawił się z psami, wesół, bo pewnie dla dodania sobie odwagi napił się przedtem. A w nocy zastukali do nas żandarmi i opieczętowali drzwi pokoju podporucznika Sterby, który zastrzelił się w koszarach. I potem, na drzwiach jego pokoju w naszym domu pozostały różowe ślady, tam gdzie były pieczęcie z czerwonego laku i były jak ślad krwi, której zmyć się nie da. I potem już w tym pokoju nikt więcej nie mieszkał.

W koszarach także, wachmistrz, który nosił się w sobie z jakąś krzywdą i zadziorem, zastrzelił przed stajniami dowódcę pułku, i ten wachmistrz z tego samego pocztu sztandarowego został skazany przez doraźny sąd wojskowy i rozstrzelany.

Ten poczet sztandarowy, podporucznik, wachmistrz i starszy strzelec konny, Ukrainiec, leżą sobie koło siebie na tym samym cmentarzu, gdzie wszyscy tamtejsi się spotkali. I dowódca pułku, i burmistrz Doktor Muszkiet i proboszcz u Fary Infułat Książdz Izydor Kunaszowski, i mój ojciec, i moja młodziutka siostra.

To ją przypomina mi resonans głosów, młodych, szczeniackich tamtejszego Gimnazjum klasycznego: „Szac kobita!”. „Odknaj się bo ci dam majzla do ściany!”. „Co si kucasz?”. „Gała ci!”. „Ale ta ma nogi, łychą jeść!” i z boiska: „Spalony!”. „Faul!”. „Korner!” i wielka kłótnia, kto ma grać na „beku”. I nazwiska: Mietek Schabowski, Kłosowski co skakał o tyczce jak olimpijczyk, i bracia Ziębowie, Adaś Obmiński, Jurko Kłymko, Łanocha, i dziewczęta z koedukacyjnych klas, Nora Juffówna, Walerka Herltówna, Olga Nowakówna („Ona Olga Nowakówna, a on Mundeck, Żydek z Równa!”) i szkolne wodewile — „Waszą Maryś kocham szczerze i dlatego złość mię bierze — Tidrajda — Tidrajda — Tidrajda!” i długie godziny nudy nad „katylinarkami” albo gdy pocziwy, zatabaczony belfer piłować każe i skandować — „Quadripedante putrem sonitu quatit ungula campum” i już w drodze ze szkoły, dla odprężenia: „Galopem, galopem, galopem — w daaaal!”.

W pobok cmentarza prowadziła droga, jak mówił drogowskaz — „Na Opłytną”. Dziedzicem, a właściwie właścicielem Opłytniej nie dziedzicem, był Pan Żarczewski. Ojciec mi mówił: „Żaden Żarczewski, takiego nazwiska nie ma. Nazywał się Witz, po prostu jak żart, a więc stąd Żarczewski, a jego ojciec dorobił

się gdzieś w Pomorzanach z apteki”. Pan Żarczewski trzymał fason, hodował konie wyścigowe i dosiadał ich w biegach na improwizowanym polu wyścigowym pułku, w którym był oficerem rezerwy, na polu przylegającym do cmentarza.

.....

Pan Hetman dobrze zasłużył się Rzeczypospolitej i Królom. Buławę Wielką i Pieczęć dostał, kiedy był już starcem. Spisując swój pamiętnik, z którego ośmieliliśmy się przepisać niektóre ustępy, nie wynosi się, pisze o sobie w trzeciej osobie po cesariańsku, zdania w nim płyną jak w Commentariach, nie zniżają się do subiektywnej ekspozycji:

Gdy już miał Pan Hetman z Moskwy odjechać... Książę Mściwowski i inni przedniejsi bojarowie prowadzili dobrze za miłą Pana Hetmana dobrą, a póki przez miasto jechał, mir, czerń wszystko po ulicach zabiegają mu drogę, żegnając i błogosławiąc...

O tym co zaszło, kiedy go tam nie stało, wiemy z relacji innych. Czytamy w listach wydanych przez Hannę Malewską, listach z epoki Wazów, relację Pana Chorążego Mozyrskiego, Rotmistrza Józefa Budziły, już z niewoli w Niżnym Nowogrodzie, o straszliwym głodzie wpośród oblężonej na Krymgorodzie załogi polskiej. O tym jak przyszło do tego, że jeść musieli padłe konie, popregi i rzemienie siodła, żyłowania z łuków, pergaminy i świece cerkiewne, trawę siekaną, wreszcie trupy z szubienic, jeńców i siebie wzajem, bo „już tak łakomą paszczkę głodna samojedź rozwarła, że pan sługi, sługa pana, towarzysz towarzysza nie był bezpieczny...”. A o tym co potracili, o nagrabionych bogactwach Pan Porucznik Husarski Samuel Maskiewicz napisał filozoficznie w swym pamiętniku: „... wszystko dyabeł pobrał — jedno poszarпали, a drugie pogorzało...”.

Ale Pan Hetman już dawno stamtąd odjechał, by zapisać potem tylko:

Tym sposobem moskiewska Stolica spłonęła z wielkim krwim rozlaniem i nieoszacowaną szkodą, gdyż dostatnie to i bogate miasto było i ambitus jego wielki. Jakoż ci co bywali w cudzych ziemiach, powiadają, że ani Rzym, ani Paryż, ani Lizbona, nie porówna wielkością, jako to miasto było in sua circumferentia. Krymgród, ten we wszystkim cały został...

Ale Pan Hetman stamtąd odjechał, bo:

...zawarte były uszy Króla Jegomości Pana Hetmanowym perswazjom...

Do Żółkwi miał Pan Hetman wrócić, gdy wdowa wykupiła jego szczątki, zwłoki bez głowy i ramienia utraconych w bitwie, z rąk wroga. Może była to i prawda, o czym wspomina on sam w swym pamiętniku jeszcze przed Kłuszynem:

...były po wojsku rozmaite mowy przeciwko Panu Hetmanowi, że świat mu zmierzał, i wojsko chce z sobą zgubić...

Zaprzeczy temu to, co pisał w trzy tygodnie po klęsce Pan Porucznik Abraham Złotopolski o ostatnich chwilach nad Dniestrem:

Pan Kanclerz zsiadłszy z konia przebił go szablą, przykład drugim dając, że nie myśli uciekać, i szedł piechotą przez ćwierć mili...

.....

Miasto od wieków pobierało drogowe myto, stąd więc u jego wylotów roгатki. Szlaban roгатki dzierżawiła rodzina żydowska i jego drogą był opuszczany na noc w poprzek jezdni i zamykany na kłódkę. Ale w pośrodku miał zawieszoną latarnię, kopcił w niej naftowy knot i przestrzegał rwące się w samochodzie dziesiątki koni mechanicznych w nocy, na głównej magistrali Warszawa - Lwów. Trzeba było długo po nocy dobijać się do żydowskiej chałupy i wreszcie, trzęsąc się w chłodzie nocnym i opatulając chustką wychodziła Żydówka, by otworzyć kłódkę i podnieść ów szlaban.

Na drodze, która z miasta wiodła w stronę Czeremuszej, Glińska, Woli Wysockiej był jeszcze jeden szlaban. Był tam przejazd kolejowy, nasyp kolejowy podchodził tu krzywizną do drogi i przecinał gościniec. Tam w tym miejscu miała mi objawić się wreszcie nowoczesność. Koleje wojny zawiodły mnie niespodziewanie aż po roгатki Żółkwi. Tu na przejeździe kolejowym, na zewnętrznej stronie łuku krzywizny toru ujrzałem leżącą do góry kołami nowoczesność. Torpedę, słynny, opływowy, napędzany silnikami diesla wagon, szczyt nowoczesności, luksusu, wizję przyszłości wcieloną w stal, lakier, szkło, chrom, na tej krzywiznie toru, w panice wojny, w bezwstydnym ucieczce, tu za tę właśnie ucieczkę dotknięty katastrofą bolid, symbol klęski, zarty w ziemię, w grób-krater jaki sam sobie wyorał. A jakże, Pociąg-Widmo, Pociąg w Nieznane, raj na kółkach Brydż-Narty-

Cocktail, wpośród szutru podzółkiewskiego gościńca, niewypał Pierwszej i Turystycznej Klasy.

Dziwnie było znaleźć się tu w tak niezwykłych okolicznościach, ale na dziwowanie się niewiele było czasu. Trzeba było wyszukać dla baterii stanowiska i okopać działa.

Spać można było tylko przy baterii, bo nawet do domu, w którym dawno nie byłem, zejść nie było można. Ale że było to tuż pod Zamkiem, to w wolniejszej chwili wybrałem się tam, powąłęsać się trochę, śladami Łobosa.

Kiedyś, ażeby tu pochodzić musiało się przepraszać rozmaitych radców za ich biurkami. Dzisiaj nie było tu nikogo. Na drzwiach, jak należy, powypisywane wielkimi literami TABULA, KATAS-TER I, KATASTER II, pod sklepieniami, na półkach góry papierzyków, akta, całe pokłady geologiczne papieru, arkuszy powiązanych sznurkami, stosy ksiąg, fascykułów, dzienników podawczych. Tamże bibularze, kałamarze, pieczętki i pieczęcie, mapy, na nich w skali katastralnej 1 : 444 pajęczne nici zaznaczające granice posiadłości, „realności”, mieszczańskich ogrodów, chłopskich móg, łąnów, włók, siateczka, kartografia drapieżnego ludzkiego uczepiania się ziemi.

Łążę tu korytarzami, odmykam urzędowe sanktuaria, wchodzę i zstępuję schodami, i wreszcie gdzieś, na jakimś półpiętrze czy narożniku (wiem gdzie to, ale nie powiem) drzwi, które z oporem i trudem obracają się na swych zawiasach, nigdy nie otwierane. I tam naszedłem na świat uśpiony.

Na półkach, wzdłuż ścian, na podłodze, pod sklepieniem piętrzą się zwały tomów, książek. Nikt tu nie zachodzi od lat, od dziesiątków lat, wszystko przysypane warstwą kurzu dziewiczą, po której nie wodzi żaden palec. Leżą te książki uśpione jakimś snem na jawie, łuszczy się skóra na grzbietach tomów, zrudziałe oprawy, złocone, szerniałe i wklęsłe litery, antykwa, italiki, pergamin jaśnieje swą błoną aż przezroczyście, papier pożółkł, ale to wciąż świetny papier owych czasów, skruszały na brzegach, ale się trzyma. Tomiska, foliały, szpargały, pracowicie pozszywane kopiariusze, teki, z których wysypuje się zawartość.

Sięgam po pierwszą z brzegu książkę. Na karcie tytułowej: *Skład albo Skarbiec Znakomitych Sekretów Oekonomii Ziemińskieij...* dedykowany: „... Królowi Polskiemu, Wielkiemu Xięciu Litewskiemu, Ruskiemu, Pruskiemu, Mazowieckiemu, Żmudzkiemu, Kijowskiemu, Wołyńskiemu, Podolskiemu, Podlaskiemu, Inflanckiemu, Smoleńskiemu, Siewerskiemu, Czernichowskiemu Panu...”.

A w nim przeczytać można i „o świec łożowych robieniu”,

o tym jak zapobiec „psi aby się nie wściekali”, jak „złoto zrobić a bez złota”, dalej „na inkaust do pisania krótki sposób”, „człowiek gdyby sechł po jakich to poznać znakach”, „na czary sposoby...”.

Tamże:

„O Jeleniu zwierzu okazałym
O Łosiu ogromnym
O Niedźwiedziu niezgrabnym
O Dziku abo Hodyńcu okrutnym
O Łani abo o Damulach
O Liszce sztucznej
O Iżu ościstym
O Castorze abo Bobrze y jego cnotach
O Wilku szkodnym, zradnym
O Lwie, iego mężności
O Tygrysach y Lampartach, z ich przyrodzeniem
O Nosorożcu srogim y żartkim
O Wężach sprośnych
O Krokodylach jadowitych
O Pagugach uciésznych
O Żórawiach misternych
O Krukach y Gawronach zmyślnych”.

Tamże:

„O Salamandrze ognistym
O Bazyliŝku strasznym
O Bocianach bujnych, Pelikanach y Łabędziu...”.

I nagle, na stosie książek — lutnia!

Zaraz, zaraz! Nic nie znam się na tym. Może to nie lutnia, może to viola da gamba albo lira da braccio, a może teorban czyli lutnia wyolbrzymiona, albo bandura. Ale chciałbym bardzo ażeby była to lutnia.

Bo wiadomo, lutnia to instrument niezwykajny. Grał na niej Gusman, wesołek królewski, Króla Zygmunta Augusta, a czyż nie także Walenty Bakfark, po którym jako po Bekwarku wziąć lutnię nie byle kto może. A z lutnictwem, proszę państwa, wiąże się wiele rzeczy. Po pierwsze najlepsi lutniści sami sobie ten instrument budowali. I zajrzeć w cień, do wnętrza takiego pudła, a tam wklejony karteluszek, a na nim koślawymi literami wypisane, wygryzmołone: Anno Domini Jan Dankwart MDC

Varsaviae, albo Baltazar Dankwart we Wilnie Anno 1602 Fecit, albo grubo późniejsze, *Fait à Krzemieniec par Ignace Klimowski Septembre 1841*. A mamy także gdzieś zapisane, że znowu jakieś skrzypce wykonał i zostawił swój podpis Stanisław Zwierzyński, „Chinczyk Jego Królewskiej Mości”, Chinczyk czyli błazen nadworny Stanisława Augusta, nie wstydzący się swej błazeńskości. A więc po drugie, wiąże się z tym fachem błazeństwo, to samo o którym wyklarował nam profesor Leszek Kołakowski, mądry rodzaj błazeństwa przeciwstawionego kapłaństwu!

A po trzecie, wiadome jest także, że lutnia była instrumentem bardzo kapryśnym, czułym, trudno było grać na niej, bo ustawicznie się rozstrajała. Mówili i zaśmiewali się ówcześni z tego, że lutnista więcej czasu spędzał na przykręcaniu kołków i strojeniu, aniżeli na samej grze. I wyobrażamy sobie, jak trzymał ją, dotykał palcami strun, przekrzywiał głowę i nasłuchiwał i trącał te struny i przykręcał kołki na gryfie, a tu przecież czekają, zapatrzeni, niecierpliwi, nad słuchujący z otwartymi ustami.

Lutnia! Skąd tu lutnia? Co za głupie pytanie. Przecież gdzie właśnie jak nie tu, wśród książek, jej miejsce. Czyż nie rytują zawsze podobizn poetów, i wśród liści bobkowych ten instrument ozdabia konterfekt pisarza w owalu?

Podchodzę do jej zjawiska na palcach. Leży, wdzięczna jej szyja, gryf i cudowne ciało, sklejone kiedyś z cieniutkich wiórów, drzazg, deszczulek, podbiega do spodu i zbiega się w uchwycie, czerni się jej wewnątrz nabrzmiałe rezonansem. Pokrywa ją, jak wszystko tu wokół, książki, warstwa wiekowego kurzu, który zmatowił połysk jej dawnej politory i złocień, inkrustacji z perłowej macicy i srebrnych drucików jej rozety. Kiedy podchodzę to płoszę pająka-kosiarza, który boki odbiega swymi długimi odnóżami, potracając jej struny, które za tym pajęczym dotknięciem wydają cieniutki niedosłyszalny brzęk, i kryje się w czeluści jej pudła.

Może gładził ją kiedyś i palce kładł na jej strunach Sęp-Szarzyński, stąd niedaleko urodzony. Może układał sonet O swej nieszczęśliwej miłości do ślicznej Tarłówny, którą wydali za starego Pana Hieronima Sieniawskiego z Brzeżan, może to o niej zaczął od słów ruskich:

Terpyż бо́лото́нко до szczęсто́нй бо́дынь...

U Sępa-Szarzyńskiego przychodziło to po prostu. Nie było w tej ruszczyźnie ani przekory Pana Starosty Kaniowskiego, co to stylizował się po kozacku, ani chłopomanii Szaszkiewiczów-bałaługów, ani ukraińskiego snobizmu romantyków, lirników

Ukrainy, słowików. Pisał tak jak słyszał mowę wokół siebie, w sposób naturalny brał z niej i wymieniał w sonecie i balladzie. Może ta dwupostaciowość mowy podyktowała mu:

*Co będę czynił w tak strasliwym boju
Wąty, niebaczny, rozdwójony w sobie?*

Lutnia... Wdzięczy się ona, ale brakło młodej ręki, by z niej ten głos wydobyć. Śliczne drzewo, dźwięczne struny, ale jest w nim martwota, jakby nie była to lutnia, ale trumna, trumienka, pusta kołyska. Brał ją kiedyś ktoś w ręce i wykołysywał słowa, i słowa przebrzmiały i wargi zniechęcone zwiędły.

Tak jak to miasto, kiedyś rozbrzmiewające głosami, echem młodych kroków, szumem liści i zgrzytem kry lodowej po wodzie, a dzisiaj po nim pozostał tylko pusty grób, Kenotaph.

Na starych mapach posiatkowanych różami wiatrów i rumbów żeglarskich, ukazujących kontynenty, przylądki, archipelagi, żyłkowania rzek i sopki łańcuchów górskich, pełno zawsze wszelkich ozdobników, zwłaszcza wśród wełniących się fal mórz i oceanów. Trytony, Nereidy, Lewiatany i Syreny. Mniej ich tam, gdzie nostalgiczne obszary białych plam, miejsc jeszcze nieodkrytych. Kartografowie dawniejsi, by je jakoś kompozycyjnie zapełnić, dawali tam zwykle objaśnienie, że są to miejsca UBI LEONES.

Na nowych mapach tamte puste miejsca zniknęły, a w innych znowuż dykasteriach pojawiły się nowe białe plamy. Jedną z rzadkich tam nazw chciałem rozszyfrować.

Zajrzałem nawet do Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej. Pod hasłem Niestierow jest tam, że w roku 1951 Żółkiew tak przezwano, by uczcić pamięć carskiego awiatora, który jeszcze w sierpniu 1914 roku pod tym miastem zginął, jak chce Wielka Encyklopedia Sowiecka, „w wozdusznym boju”.

Kultura nr 229, 1966.

LILI MARLENE

Sara, Sarusia to była Żydóweczka, która przychodziła pod bramę naszych koszar i czekała na Wojciechowskiego. Bardzośmy się tym bawili, więc i oczywiście podpowiadaliśmy sobie słowa piosenki, głupie i trywialne:

*Małgosia biedna jest bez miary
Troska dręczy ją
Bo chciała wiedzieć czy koszary
Z bliska ładne są...*

Śmieliśmy się i pokpiwali, ale przecież to było aż straszne. To było niebywałe, na tamtejsze stosunki, coś jakby nienaturalnego a zarazem naturalnego, bo dziewczyna naprawdę wystawała pod bramą koszar godzinami, a tam przecież był ruch, ludzie szli tędy i owędy i każdy to widział od razu. A ona nic tylko tam wystawała. Mówiono że przecież była córką nie byle kogo, bogatego kupca, handlarza, który i bogacz i był rabinem i godności w kahale piastował, a więc skandal ogromny i na wielką skalę. Żydóweczka zadurzona w goju, do tego koszary i wszystko na widoku. Toteż chociaż pokpiwaliśmy sobie, bo heca była do rozpuku, to jednak naprawdę czuliśmy się nieswojo, niezgrabnie.

A do tego Sara, Sarusia była, co by tu powiedzieć, jakich superlatywów użyć na opisanie kobiecego piękna? Przede wszystkim nie była kobietą, ale dziewczyną, dziewczynką, ile mogła mieć lat? szesnaście, siedemnaście? A więc wszelkie opisy dojrzalej kobiecości jakoś by nie przystawały. Była, spróbujmy, ani słowo „powabna”, ani „zachwycająca”, ani „cudo”, jakoś nie pasowało żadne z nich, ale była naprawdę cudowna. Bo oczy, proszę, jakie to miała oczy! Szare, w czarnej oprawie rzęs

i delikatnych brwi i takie zaokrąglenie policzków, i włosy jej się sypały na kark i czoło i uśmiech naiwny, dojrzały i dziecinny zarazem i pierś podnosząca się westchnieniem, i nie wstydziła się niczego, była bezwstydną.

O tamtejszych Żydach mówiono, że to są najgłupszy Żydzi, o głupocie przysłowiowej, anegdotycznej, biblijnej, pełno było o nich opowieści i przysłów. Na przykład, nie bardzo to dowcipne, ale mówiło się: „Głupi jak indyk kantora z Chłądu”, niby że to miała być jakaś kwintesencja głupoty, apogeum imbecyliów, szczyt ograniczenia i prymitywu umysłowego. Albo była inna powiastka z folkloru żydowskiego o tym, „jak Żydzi chładowscy złapali księżyc w studni”, niby że ujrzawszy odbicie chybotał księżyc w studni, w sposób najchytrzejszy w świecie czym prędzej przykryli cembrowiny i w ten sposób udało się im złapać pozał się Boże satelitę. O nich to nawet w Londynie mówiono, a że to w Banku Angielskim, u Old Lady of The Threadneedle Street, w safesie trzymają i pokazują z dumą pięciofuntowy banknot, który kiedyś zabłąkał się aż do Chłądu i tam Żydzi z kahału poświadczili podpisami na tym bankocetlu, że to prawdziwe pieniądze.

Ale dosyć tych anegdot. Żydzi tamtejsi byli inni od naszych galicyjskich, bo nasi chasydzi byli aż straszni, a ci tacy litwacy, nie widziało się tu chałatów, tylko nosili takie ich zgrabne czapeczki z daszkiem. Ale żyli, jak to Żydzi, razem, po żydowsku, sami zamykali się w swoim getcie, żadne to zresztą getto, tylko ulice ze sklepami i ten ich tłum czarny, koniecznie „czarny”, rozszwargotany, zabiegany w interesach, co to tam za interesy kręcące się koło złotówki!

Kiedyś byłem tu świadkiem najpatetyczniejszej sceny żydowskiej, jaką mi kiedykolwiek zdarzyło się widzieć w życiu. Idąc w górę główną ulicą, w dzień biały i załatany, interesanci, faktory, kupcy, geszefciarze, trudno się przepchać, i widzę taką scenę. Ulicą szedł mały oddziałek „szomrów”, żydowskich skautów czy harcerzy. Szli w krok, mieli tam jakieś mundury i chustki na szyjach, i jak to wszyscy harcerze czy skauci najrozmaitsze odznaki, insygnia, ponaszywane obficie. O ile sobie przypominam, nie mieli żadnych czapek, imitując, o żalości, w żenującej wprost ludzkiej skłonności do naśladownictwa aż błazeńskiego, podrabiając w stylu jakieś *Hitlerjugend*. Z podniesionymi sztywnie głowami i rozwianymi lokami włosów gołych głów, maszerowali w krok. Tłum na ulicy był podniecony i entuzjastyczny, że to przecież ich młodzi, którzy wyszli z getta, że mają postawę i samodzielność i organizację, i że idą tak w biały dzień, środkiem miasta, w krok, marszem, z podniesionymi głowami.

I wtedy to ujrzałem starego Żyda, który drobnym kroczkiem zapatrzony w nich biegł, nie chodnikiem, ale rynsztokiem, wzdłuż krawężnika, potykając się i dotrzymując kroku tej garsteczce młokosów, zapatrzony w nich jak w tęczę, biegł potracając ludzi, nic poza tamtymi nie widząc, i z bladych jego oczu ciekły łzy ciurkiem i spływały mu w brudną, rozwichrzoną brodę. Cóż widział w nich on pod tym pochmurnym niebem kraju odległego o tysiące mil od mlekiem i miodem płynącej Ziemi Lwa i Judy i Machabeuszy, drzew oliwnych i figi, szarańczy i gazel, Arki Przymierza i Ściany Płacz, tu w miejscu które i on i jego bliscy nazwali przecież sami Polin, co znaczy po hebrajsku podobno: „Tu osiadź i spocznij”. Biedny stary Żyd chwytający powietrze chodzącą mu grdyką, nie widzący nic poza tą garsteczką młokosów, potykający się w rynsztoku, z brudnymi łzami spływającymi mu po twarzy.

A miasto wyglądało tak: na szczycie góry, która także nazywała się Chład, stał barokowy kościół pobazyliński, który także był kiedyś katedrą biskupstwa greckokatolickiego, a za kościołem cmentarz. O tym cmentarzu będzie mowa później, później, bo wiedzie tu do asocjacji, o których teraz mi nijako, bo ten cmentarz... ale o nim później. Główną ulicą, pod górę biegnęły sklepy, sklepiki, a także było przy niej gimnazjum klasyczne, a w nim, jak wiadomo powszechnie, zaci ni poloniści i faceci z twarzami opromienionymi natchnieniem wydawali nieregularnie ukazujący się periodyk, *Dikte*, organ pisarzy i poetów prowincji, a dlaczego tak go nazwano? Pewnie ażeby było trudniej zgadnąć. Ale szczęść im Boże, tej plejadzie awangardowej na prowincji, i jedźmy dalej.

Po przeciwnej stronie koszar (a nasze koszary pamiętały, że tu stał jeszcze carski dywizjon artylerii konnej, baraki z okrągłaków już ze starości trochę pokrzywione, rzędy stajni i wielki maneż pośrodku). Otóż po drugiej stronie drogi biegnącej wzdłuż koszar ulicy, na której wyczekiwała Sara, było płasko i nieużytek i na nim ćwiczyliśmy aż miło, działoczniny i baterię zaprzężoną. A dalej był szpital wariatów, szaro-żółte mury, bezludne i twarde, a za nimi nasi bracia szaleni, nasi bracia nieszczęśliwi, których zamyka się w separacie, polewa tuszem, którym zakłada się kaftany i ma się leczyć, bo niby inni niż my, nienormalni.

A z drugiej strony Góry było tamto miasto, nowe. I dziwnie było przejść tamtędy. Domy ze zdrowej, pełnej rumieńca, cegły, dobra architektura, racjonalne rozwiązania, estetyka, utylitarność, urbanistyka od siedmiu boleści, wszystko przemyślane, rozplanowane, przestudiowane i — puste. Więc co, więc dlaczego?

Miano tu przenieść jedną z wielkich dyrekcji państwowych z centralnej części kraju i zostało to ułożone z góry, i to w tych czasach, gdy o kredyty budowlane było tak trudno, gdy magistraty czekały miesiącami na pożyczki, a bezrobotni robotnicy budowlani przez lato, z zasiłków nędznych kupowali chleb na połówki i ćwierci i opalali się na słońcu, czekając i czekając. Przechodziło lato, długie bezczynne lato, i nic się nie działo i kredytów jak nie było tak nie było. I przychodziła jesień, syta, ale sama z siebie i ciągle nic. Aż wreszcie pod koniec jesieni te powoli obracające się tryby kryzysowej ekonomii, te leniwie mielące młyny boże dawały otręby jakiegoś półskutku. Już w pluchach jesiennych zaczynały ciągnąć wozy z budulcem, na placach doły pod fundamenty kisły od stojącej wody i dobrze pod zimę zaczynał się sezon budowlany. A tu wyrosło z nagle miasto, zaplanowane ulice, aleje, chodniki, krawężniki, latarnie, wszystko solidne, twardo tu powstałe, nawet słupki z tabliczkami ulic nazw i alej, Mikołaja Reja, Romualda Traugutta, Aleja Róż, Aleja Szwoleżerów, aż miło. Tylko. Tylko coś tu nie było w porządku. Jakieś specjalne komisje kolaudacyjne dokonały przeglądu i lustracji i znalaziono jakieś poważne mankamenty, niedociągnięcia, jakieś normy i przepisy bezpieczeństwa publicznego nie dopisywały standardom, coś tu było nie w porządku. A zatem wszystko zostało wstrzymane w pół kroku. I nowe miasto wyrosło tak po amerykańsku stało puste, niezamieszkałe, skazane na czekanie, na jakieś długo wlokące się procesami wyroki, i stał ten nowy gród bezludzki, aż w nim straszło, puste ulice, Traugutta i Aleja Szwoleżerów, i tylko w słoty wiatr dudnił w nowiutkich rynnach i okna domów patrzyły czarnymi oczodołami.

To ucieknijmy na chwilę od tej nieudatej strefy ludzkich interesów i zamiarów, chwycmy się na chwilę czegoś pogodniejszego.

Na przykład wracaliśmy z ćwiczeń zwiadu, a może to był bieg myśliwski, improwizowany, kiedy jechało się wertepem, lasem, galopem, rozbieganym rojem, w pogoni za iluzją, w tętnienie kopyt, kiedy to kopyta koni wybijają najwyraźniej rytm anapestu. (Skąd ta analogia z prozodii? Czyż nie mówiłem już o tym, że zwykła komenda kaprała, zwykłego zupaka, miała rytm i wyszukanie, że się tak wyrażę, aż poetyckie. Bo proszę, kiedy dla doraźnego ukarania, przyprowadzenia do porządku kanoniera o nazwisku Kasperek wydawał zwięzłą, kaprałską komendę: „Kas-pe-rek! Kryj się!” to wyskandowywał ją z całym poczuciem właśnie rytmu, z akcentem, przyciskiem na „-rek!” a tłusty Kasperek, aż poderwany tym kaprałskim nieuczonym a wyczutym akcentem rytmu, „krył się”, to znaczy przypadał do matki-ziemi

i brał w tym udział, bo udzieliło mu się pełne zrozumienie kaprałskiej poetyckiej stylistyki, poganiania rekrutów). Otóż o czym to ja mówiłem, aha, więc o tym końskim galopie, który rozlega się anapestem, ta-ta-tam! którego nasłuchiwaaliśmy zawsze, od czasów najbardziej zamierzchłych, kiedy przykładaliśmy ucho do ziemi, nasłuchując najazdu, pogoni, tętentu koni niosących trwożę, burzę, niespodziewane.

A teraz jechaliśmy połogim stokiem, jakimś rzymskim, z polami ścielącymi się dalej i dalej. A bliżej można było widzieć wśród ładu grupkę ludzi, najemników, żniwiarzy, tych „pracowitych”, zginających się nad wyrosłym tu plonem. Chustki kobiet, koszule mężczyzn, twarze czerwone od opalenizny i znoju, ruchy okrągłe i jakieś godne, pochyleni nad tą swoją robotą w polu.

I zapamiętałem wśród nich dziewczynę, myślę, że była to dziewczyna, a nie mężatka czy „newistka” (zwróćmy uwagę na to, że Chładowska Ziemia to teren pogranicza etnicznego, że tu gdzie jakimś meandrem przebiega granica między Polakami i Rusinami, i że tu, jak zawsze na etnicznym styku jakoś ostrzej, wyraźniej, dosadniej zaznacza się polszczyzna pogranicza i że właśnie pogranicze sprawia, że mówią tu bardzo czystą, poprawną polszczyzną, jak w szczebrzeszyńskim, bez zaśpiewów, akcentów, mazurzeń gniazd i okręgów dialektycznych, mówią po prostu, prawie że literacką polszczyzną). Pochylona nad tą robotą wśród pola podniosła się, wyprostowała, ręką odgarniając promienie włosów, płowych, jasnych, czepiających się jej rzęs i brwi zarumienionej od opalenizny i od pochylenia się twarzy. Pomyślałem sobie, że zawsze takie u nas, dziewczyny i konie, wszystko to z nami, tak przystające do krajobrazu, do kompozycji, surowizny jej w połączeniu statycznego zapatrzenia się i kinetycznego ruchu, i że tak odbija się to we wszystkim, w bajce, w zaśpiewie. („Mój Jasieniek, na wojence daaaalekiej...”, „Starsza siostra brata miała, na wojenkę go wysłała...”, „Jasio konie poił, Kasia wodę brała...”, zawsze z tym przeniesieniem akcentu na ostatnią sylabę, dla męskiego rymu, bo inaczej to zaśpiewać się nie da).

A pod koszarami, pod bramą czekała Sara. Mieliśmy z tego uciechę i kiedy nas Wojciechowski nie słyszał, to śpiewaliśmy sobie:

*Małgosia biedna jest bez miary
Troska dręczy ją,
Bo chciała wiedzieć, czy koszary
Z bliska ładne są...*

Ale nie było w tym okrucieństwa i złośliwości, a pewnie nawet nam ta sytuacja się podobała, chociaż była skandaliczna. A piosenka była głupia, jak to zwykle tego rodzaju piosenki, trywialna, wodewilowa jakaś czy operetkowa, lichy ją tam wie. Potem, w lata później miała stać się sławną inna piosenka, równie trywialna, o tym samym temacie, dziewczyny pod koszarami, chętnie witającej wszystkie szarże. Miała zrobić ta druga piosenka karierę, wśród jakichś pustynnych bitew i zagonów i okopów miała rozlegać się zachrypłym głosem jej przypadkowej odtwórczyni, szwedzkiej pieśniarki o zachrypłym głosie, i zachrypłej jeszcze bardziej od zdartej, wziętej jako łup wojenny płyty gramofonowej i miało to przydać tej wojnie jakiegoś romantyzmu i taniej nostalgii i cikliwej zadumy.

Dziwne tylko, że historia tej piosenki miała powtórzyć się, że miała nawrócić się jakimś dziwacznym cyklem, spirala, echem dobiec znowu po latach, w innych warunkach, pod innym niebem, za sprawą innych ludzi. Czy to sobie wymarzył ten historiozof w peruce i wstążkach, pończochach, pośród akroterii i stiuków, cyprysów i pinii, farbkowatych niebiesko wód neapolitańskich, zasiedziały nad pergaminami i pocierający sobie nos w zamyśleniu magik i sensat, Gianbattista Vico? Może maczał pióro gęsie w kałamarnu i nucił sobie przy tym pod nosem:

Małgosia biedna jest bez miary, troska dręczy ją...

A więc ci Żydzi z Chłądu. Nie tacy jak nasi, inni. Bo nasi, galicyjscy, byli swojscy, chociaż dla innych tacy straszni. Sam Izaak Babel, który był śmiałym człowiekiem, przeraził się naszych chasydów. Temu odeskiemu Żydowi, krwistemu, tęgiemu racjonalistcie, wychowanemu pośród portowego harmideru, na skraju między stepem, limanem i morzem, wśród rubaszek i furażek, dyni i winorośli, kontraktów szlagońskich i bandytów Mołdawanki, gorodowych i kupców, uczepionemu ogona „Konarmii”, wśród plakatów i sloganów rewolucji wodzącemu nosem krótkowidza po szpaltach składanych naprędce, objawił się nagle straszny świat podolskiego miasteczka, z bóżnicami o oknach zbiegłych aż do gnojówki ziemi, a za oknami rozkołysane w taśesach, „śmiertelnych koszulach” i tefilim na czole głowy Żydów, ich chedery, mełamedzi, pejsaci małutcy uczniowie rozśpiewani nad książkami, na futrynach drzwi domów *mezuza*, na rogatkach rozpięte druty *ajruw*, po wschodniej stronie *bimy*, w bóżnicy *mizra* ze zwojami pisma świętego. Osobny świat, od którego dobiegają nas tylko poszczególne słowa, określenia, mówiące nam że „pod chajrem” to znaczy pod kłatwą, „chucpa” to nic innego jak czelność,

„bałagula” to mistrz wozu czyli po prostu furman żydowski, „chazuka” prawo posiadania, przywilej udzielany przez rebego, monopol, a „szajbec” to była płyta nagrobkowa na żydowskim cmentarzu. Żydzi z Chłądu mówili tym samym językiem, ale byli inni.

Kiedyś, po latach, w Nowym Orleanie bawiło mnie kiedy Laly, ciotka mojej żony, staruszka, wertując dziennik przy śniadaniu przede wszystkim zaglądała do działu nekrologów, czy nie figuruje tam *anybody nice*. Teraz sam nabyłem tego przyzwyczajenia i ilekroć wpadnie mi w ręce numer *Tygodnika Powszechnego*, to zaglądam do rubryki ostatnio zmarłych. Zawsze tam bardzo godne nazwiska, tytuły, krótkie życiorysy i wspomnienia. Ostatnio natknąłem się na nazwisko pułkownika Chmury. Tak i tak, w dziewiętnastym roku dowodził baterią, w dwudziestym — dywizjonem, potem takim i takim pułkiem, potem kierował artylerią dywizyjną, kawaler takich i takich odznaczeń i orderów, członek takich organizacji, wreszcie zamykało to: „były pracownik przemysłu zabawkarskiego”. Hmm... Kiedy byłem szczeniakiem, podchorążym i po Włodzimierzu przydzielono mnie do dywizjonu w Chłądzie, to dywizjonem tym on wtedy dowodził. Dowodził, był panem życia i śmierci kilkuset ludzi, miał pod sobą kilkaset koni i kilkanaście dział, ciężkich, stalowych, pociągniętych oliwkowego koloru farbą, ich tarcze stalowe, grube, tłuste od smarów lufy, ciężkie obręcze kół. I koszary, dylaste ściany baraków, stajnie z pełgającymi w nich dzień i noc rudymi żarówkami, konie na uwiązach i jezdni szcztokujący ich lśniące zady, kasyno oficerskie i wielki maneż, na którym wapnem pobielone stojaki do drągów przeszkód, „koperty” i „triplebary” i w południe trąbka do obrokowania.

(Więc ten ciężki o ponurej twarzy oficer, olimpijski, daleki i niedostępny, skończył wyrabiając zabawki dla milusińskich. O losie innego oficera, rotmistrza kawalerii, opowiada plotka emigrancka, że skończył w Kanadzie, zamiatając jako pomocnik „szamesa” podłogę w ładnej, postępowej tamtejszej bóżnicy).

Rozkaz dywizjonowy brzmiał: „Służba rontowa. Baterie wystawią swe konne zwiady w pełnym oporządzeniu bojowym, wydane im zostaną ostre naboje i staną one z poczem dowództwa dywizjonu na placu alarmowym o godzinie 21”. Było to w dniu 1 maja.

Aha, miało być o tym cmentarzu. Bo Wojciechowski i Sara, Sarusia, gdzież to mogli pójść sobie, poszukać samotności dla swych uciech, a może zgryzot? No, no, już tam Wojciechow-

skiego o zgryzoty nie podejrzewałem, a cmentarz był jedynym miejscem, cienistym, odosobnionym, rozwieszone dookoła firany zieleni, chaszczke kalinowe, bzy, dereń, wilcza jagoda, laur. Cmentarz było koło katedry pobazylińskiej, już na nim nie chowano, tylko zarósł i zdziczał, jak to cmentarze, i był rodzajem parku miejskiego, mało uczęszczanego. Dla przyzwóicie zachowujących się parek, które i ciasno lubią obcować, był, owszem, rodzaj „małpiego gaju”, takiego jak w każdym szanującym się prowincjonalnym mieście. A tu któż miał być świadkiem miłości tych dwojga? Chyba czarny szkielet władzyki Izaśława Łuckiego, złożony tu pod sklepiskiem żżartych przez liszaje kamieni, to był jedyny *voyeur*, to chyba jego dłoń obleczona w haftowaną perłami rękawiczkę z nasadzoną na jej palec pierścieniem biskupim błogosławiła tej zdrożnej parze.

A my, któż to, my? Mały Księżycki, mały i napuszony, Góralczyk embriion w cywilu dziennikarstwa, wygadany i szczerzący w uśmiechu swe popsute zęby i Emil Milowicz, ten znów miał wcale końskie zęby, Emil Milowicz z Modryńca, koło Hrubieszowa, którego kiedyś, po latach mieli zarżnąć po prostu banderowcy, więc my byliśmy i dyskretni, tyle żeśmy sobie podpowiadali:

*Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dręczy ją...*

przejmowaliśmy się końmi, „rąbką”, cięciem łóz szablami i dawaliśmy się starszym od siebie ogrywać w pokera.

Wcale nie zadawaliśmy sobie pytania, dlaczego za teren swych harców nie wybrali cmentarza żydowskiego, kirkutu. Może dlatego, że był w jakichś innych odległościach, peryferiach, uporządkowany, z krzywo chylącymi się w różne strony płytami nagrobowymi, „szajbecami”, a na nich ryte w kamieniu hebrajskie epitafia, które coś tam mówią przechodzącym, może wywodzą rodowody i powtarzają „a Amon zrodził Jozjasza, a Jozjasz zrodził Jechoniasza, a Jechoniasz zrodził Salatiela, a Salatiel...” a może wersety z Księgi Ester, a może Pieśni Salomona, a wyżej dziewięcioramienny świecznik i lew Judy albo dłonie wzniesione do błogosławieństwa, albo róg szofar. Ale cmentarza żydowskiego pilnuje stróż, goj, i ma przykazane za mur nikogo nie puszcząć. Aż przyszedł czas złowieszczy i cmentarz tamten rozorali, płyty nagrobowe wyrwali z ziemi i wybrukowali nimi chodniki małych miasteczek, po których ludzie mieli przejść beczeszcząca pamięć ludzką stopą i do dziś mówią, że po miasteczkach gdzie-

niegdzie idzie się i stąpa po flisach kamiennych, a na nich za-
deptany ludzką stopą dziewięcioramienny świecznik i onże lew
Judy. Tylko dzieci, jak to dzieci, kiedy na jednej nodze podska-
kują wracając ulicą ze szkoły, to omijają w podskoku szpary
i spojenia pomiędzy płytami, i czy wtedy zadziwia je daleki,
nieznany, odmienny wzór, dziwny rebus, zagadka ludzkości tak
przepadłej jak zagrzebane w ziemi stele królestwa Inków czy
znad dumnego nadproża Rzymu „SENATUS POPULUSQUE
ROMANUS”, czy zatarte sury arabskich arabesków.

Kiedyś, wśród niziny Salisbury zdarzyło mi się odwiedzić
sterczące z ziemi kamienne pomniki Stonehenge, koło ich, a może
koniecznie zaraz należałoby powiedzieć „kolisko” przydygowanych
tu z niezmiernych odległości potężnych głazów, postawionych na
sztorc, a mających coś tam wykreślać, wyznaczać, jakąś tam być
astrolabią, jak domyślają się tego i dochodzą poszukiwacze i roz-
wiązywacze zagadek, jakich nam przeszłość nie poskąpiła. Otóż
tam zdarzyło mi się wśród tej starożytności niemej i zagadko-
wej najść, nastąpić prawie o zapadającym już zmroku wśród
tamtejszej zielonej angielskiej trawy na oczywisty, trywialny
nowoczesny produkt gumowy, tak zwany środek antykoncepcyjny.
A że byłem młody wtedy i skłonny do filozoficznych zamyślań
się, to się i zadumałem nad tym paradoksem i kontrastem, tu
kurhan, czy jak tam, tysiące lat zapomnienia i czeluść czasu,
a czas uświeca wszystko, czarne na tle nieba wysoko wyniesione
rękami przepadłych gromad ludzkich głazy, i oczywisty, bezczelny,
a chyba nie z premedytacji, fanfaronady czy błazenady gest, bez-
wiedna kpina i żart, który sobie jakaś parka zafundowała kosztem
czasu.

Mógłby ktoś zapytać, czemu jakąś prostą opowieść naszpiko-
wuję dygresjami, które prawie jakby nie miały ze sobą związku?
Bo niby tu mówię o Żydach z Chładu, dorabiam do tego taki
sztafaż prowincjonalny, wpakowałem w to nic nie znaczącą bajkę
o ślicznej Żydóweczce i tęgim podchorążym, który wywodzi ją
na cmentarz pobazyliński, dorabiam do tego dekoracje już prawie
że gotyckie w swej ponurości nowoczesnych ruin, a na dodatek
ni stąd ni zowąd znowuż napominam o prowincjonalnym perio-
dyku poetyckim z greckiej nimfy Dikte nagłówkiem (a jakże,
Dikte, to taka nimfa grecka, ktoś uczony to w naszym kółku nam
wyłożył) i dla kontrastu, albo nawiązania do tej żydowskości
zaczeplam o swojskość, polskie folkloru i dziewczynę w polu.
Tę dziewczynę, która podniosła pochyloną nad robotą głowę,
odgięła się i przysłoniła czoło ręką, patrząc w naszą stronę.
To wtedy ja jej chciałem powiedzieć coś z siodła, niby że to

ładnie zaokrąglić, dokonponować sytuację, żeby to było i śmiało i zadzierzyste w tonie i zuchowate i tak z fantazją, no to żeby coś powiedzieć i pokazać się przed innymi, zawołałem do niej z siodła: „A nie wstydź się, nie wstydź!”. A ona na to: „Miałabym też kogo!”. Odcięła się i już. A czemuż to ja nie mogłem powiedzieć Sarusi, przestrzec ją słowami piosenki:

*Dunaju, Dunaju, bystra woda w tobie,
Dziewczyno, dziewczyno, gadają o tobie...*

Ale teraz już za późno, teraz już się nie odstanie. Już nie nawrócę, nie przestrzegę mej młodszej puszczej siostry. Nawet w pamięci zaciera mi się ona, widzę ją jak przez mgłę, śliczną ale daleką, ze świata który przepadł, po którym zostały tylko „szajbecy”, kamienne płyty, na których wyobrażenia lwa, dłoni błogosławiących i krzywego rogu, który zwał szofar, a w który dmą w żydowski Nowy Rok, a i te kamienne płyty wykładające chodniki miasteczek tracą pod podszewkami ludzkimi swój wyraz i dla dzieci wracających ze szkoły są zagadkowe i niezrozumiałe jak coś, co było przed tysiącem lat.



W czarny wieczór, pod czarnymi chmurami, w pierwszy dzień maja wyprowadzaliśmy konie spod dachu stajni, opierające się, twarde, ciężkie. Po omacku, w ciemności nakładaliśmy im złożone w ósemkę czapraki z der końskich, przyciągaliśmy popręgi, zębami przytrzymując końce przystułów, dłoni wsunięta pod popręg próbowała czy w sam raz, konie tuliły uszy, kiedy nakładaliśmy uzdy, wędzidła rozwierały ich zaciśnięte, szczerzące, złe zęby, kiedy cofały się na siebie zadami i z kwikiem uderzały kopytami. Dusił pod szyją pas karabinka, ugniatały w zębra ładownice nabite wydany nam śliskimi od smarów magazynkami nabojów, tłukły się przypasane rzemieniami do siodła szable. Na komendę „Na koń!”, ponad czarne na czarnym niebie kadłuby koni, wyrosły sylwetki jeźdźców.

Ściśnionymi czwórkami, kiedy konie przypierają się ciasno do siebie brzuchami, kiedy trą się nasze cholewy butów i skrzypią skóry siodła i dźwięczą żelaza strzemion, w tupocie kopyt, czwórkami, ściśnieni, z pasami karabinków przewieszonych przez plecy, uwierającymi nam grdyki, niewzruszającymi, przestraszeni nocą, wierzaniną siodłanych koni, skrępowani rzemieniami, trzymający w zsiniałych dłoniach, palcach, poskręcane wodze, z goryczą

w gardle, z nocą w oczach, z podpinkami czapek wbitych na uszy, ze śmierdzącym, zbitym zapachem naftaliny, mundurów i stajni końskiej, z grubym suknem kołnierzy płaszców szorujących nam szyję, wypatrujący pod okapem daszków nocy, ściśnionymi czwórkami wtłoczyliśmy się w bramę i potem w kłokocie, klaszaniu podków końskich po kamiennych, kocich łbach bruku ciągnęliśmy ku miastu na spotkanie głupich Żydów z Chładu.

Kultura nr 227, 1966.

TO JA SAM JESTEM EMMA BOVARY...

Na parapecie okna w baniastym słoju kisły sobie wiśnie pod grubą warstwą miążkiego cukru. Szyja tej bani była przewiązana gazą, ażeby muchy tam się znanadto nie pchały. A w furtce domu spotkałem, natknąłem się twarzą w twarz z mecenasem Czesnym, który unosił za ucho olbrzymi blaszany baniak, w jakim normalnie gotuje się bieliznę, kiedy jest pranie. To jego krzatanie się koło spraw domowych, włącznie z przynoszeniem czy odnoszeniem tak wielkiego a nie przystojącego mu naczynia świadczyło raz jeszcze, że jest ogromnie przywiązany do spraw materialnych i nawet baniak-kocioł z cynkowej blachy jest ważny i wart, ażeby się o niego zatroszczyć i nie pozostawiać w narażonych miejscach.

Przyjechałem tu koleją jeszcze rano i przedtem jeszcze ojciec dał mi adres ludzi, u których miałem się zatrzymać. Ale, nie anon-sując się u nich, naprzód zabrałem swoje lary i penaty, tyczki, taśmy i przymaty i odszukałem ten Kataster, długi, ponury, prowincjonalny budynek biurowy, gdzie nad bramą wejściową była tablica z urzędowym orłem i napisem „Kataster I”. Woźny poprowadził mnie wybielonym korytarzem, gdzie było kilku interesantów, jak senne, letnie muchy poprzyklepianych do kątów i kurz leżał na listwach okien.

Budynek był dawną siedzibą magnatów, ale pozostałością tego były tylko mury, a i te ścięto do wysokości pierwszego piętra i przykryto płaskospadzistym dachem, krytym blachą. Z dawnej świetności została tylko brama, kamienie z piaskowca sterczące gzymsami i barokowymi kartuszami, unoszonymi przez barokowe bambina i zefiry, z rysującymi się w nich herbowymi Trąbami i rodowym motto: Bóg Nam Radzi.

Po zapoznaniu się z zadaniami, dla których mnie tu przysłano, dopiero nad wieczorem skierowałem się do domu mecenasa Czesnego, gdzie miałem się zatrzymać. Mecenas Czesny przywitał

mnie z dobrze wymierzoną grzecznością, ani tego za mało ani za dużo, w sam raz do mej pozycji niezgrabnego, dorastającego młodzieńca, z którego nie wiadomo jeszcze, co będzie. Może dlatego, że mecenas był małego wzrostu, to jakby przez kontrast niesione przez niego naczynie wydawało się jeszcze większe. Także jego żona górująca nad nim o głowę wydawała się znacznie od niego wyższa. Była to już starsza osoba, trzymająca się bardzo godnie, w długiej, powłóczystej sukni i o siwiejących włosach. Bardzo przyjaźnie podała mi białą rękę, którą ucałowałem i poproszono mnie na drugą stronę domu, trzeba było dom obejść naokoło.

Przedzielony od ulicy sztachetami dom wyglądał bardzo pospolicie od frontu, ale z drugiej strony, od ogrodu, było bardzo inaczej, niespodziewanie inaczej, z czymś w rodzaju kamiennego tarasu i łagodnym spadkiem ogrodu, z którego głębi rosły olbrzymie drzewa, srebrne topole. Te drzewa były niebosiężne.

Były tak olbrzymie, że górowały nad małym miasteczkiem i z bliska i z daleka i kopuły ich było widać jeszcze na mile i mile, i jak w samym mieście było gdzie pójść, to gdzie popatrzeć, gdzie się rozglądnąć, te zielone, srebrne kłęby ich listowia piętrzyły się pod niebem.

No to na tym tarasie było jakieś towarzystwo i tam także spotkałem Emmę Bovary.

Albo sobie utleniła włosy, albo były one naturalne tego koloru, te włosy, trochę koloru mosiądzu, trochę miedzi, zaczesane gładko od czoła, i z tyłu, na potylicy poukładane w jakieś węzły, i cerę miała białoróżową, ze śladami piegów, ale bardzo leciutkich i do tego je przypudrowywała. Była przystojna, ale trochę pospolita, miała ładną szyję i bardzo ładne ramiona i ręce. Domyślałem się, że jest wysoka, teraz kiedy tak siedziała w ogrodowym fotelu, trochę leniwa, ale czujna i nerwowa. Na serdecznych palcach obu rąk miała kilka pierścionków, jeden z brylancikiem i jeden z dużym ametystem i nieuważnie bawiła się nimi, na przemian usiłując ściągnąć je, ale przeszkadzał w tym staw palca. Suknię na sobie miała straszliwą, letnią, z jakieś gazy lila, coś ohydneho w samym sobie, ale na mojej Emmie Bovary nabierało to właściwie wdzięku. Kiedy przedstawiony całowałem ją w rękę, to zaleciało mnie mocno jakąś perfumą czy pizmem, aż mnie zemdliło.

Niektóre rzeczy z przygody tej w owe lato pamiętam świetnie, mogę aż do teraz widzieć wiśnie w szklanej bani na parapecie okna, a inne sprawy albo i ludzi pozapominałem. Któż to był tam wtedy na przyjęciu na tarasie, nie pamiętam. Jacyś państwo z córeczką i tych sobie nie mogę ani rusz przypomnieć. Był jesz-

cze jakiś elegant miejscowy, tego także, choć zabij, nie pamiętam. Pamiętam za to taki szczegół jak ten, że dziewczynka miała czarne pończoszki i żółte, płyciutkie pantofelki, i kiedy sobie biegła wokół krzeseł dorosłych, to ten elegant, lokalny anegdociarz i dowcipniś wołał za nią, za tą małą:

— A uważaj, Zosiu, bo ci pięta uciekną — bo dziewczynka miała w pończoszcze na pięcie bardzo widoczną dziurę wielkości pieniążka.

I mała Zosia i ja wzięliśmy to nawet za dobry kawał, ale rodzice nie. Bo to był przecież przyczynek uszczypliwy, lokalny, miasteczkowy, do mamy, że nedorajda, co tu mówić, niechluj, kiedy idzie z dzieckiem na wizytę, a pończoszki niepocierowane. Trzeba było widzieć bezsilne, złe spojrzenia rodziców i parafian-ską uciechę innych.

Byli tam jeszcze jacyś ludzie, zamężna para, zięciostwo mecenasostwa Czesnych i komendant tamtejszej Ekspozytury Policji Państwowej, facet zdaje się nerwowy, bo wyciągał sobie palce ze stawów u rąk, aż trzaskało.

No, to my z powrotem do Emmy Bovary. Złożyło się tak, że po przedstawieniu znalazłem się koło niej i poczułem na sobie jej spojrzenie. Jakie? Znużone, spłoszone, wzgardliwe, pytające, sarnie (miała co prawda zielone oczy), błagalne, wyzywające, aroganckie, powłóczyście. Cóż za suka?, pomyślałem sobie i przesiadłem się do rozmowy towarzyskiej.

.....

Kiedy tam na tych swoich pomiarach posiedziałem dobrych parę tygodni, to nauczyłem się tego miejsca na pamięć.

Nazywali się: Ajzyk, Aszkenazy, Mordka, Szmul Judka, Symche, Kimmel, Brajtszwancowa, Sobel, Grünbaum, Tennenbaum, Eck, Wasserman, Glück, Bickels, Szłome, Icyk, Mejer Mendel, Mendelson, Zwiebel, Brillant, Jojne, Cukier, dzieci ich nazywały się pieszczotliwie Sara, Sarusia, Jankiel, Mojsze, Izio (Izio miał stożkowatą głowę jak peruwiańskie formowane czaszki i delikatnie się uśmiechał), z całego żydowskiego folkloru małomiasteczkowego dochodziło nas „pod chajrem”, „chazuka”, „cheder”, „makagiga”, „puryc”, „majufes”, „myszigene”, „szabesgoj”, „Hamanowe Ucho”, na drzwiach niskich domów były skośnie przybite w blaszanej oprawie „Przykazania”, jak zaszło się do krawca o rannej porze, to stał w rogu pracowni, śmierzdiało płótno przypalone żelazkiem, a krawiec miał na czole filakterium (nie jak mylnie w *Panu Tadeuszu* „cyces”) i rzemienie modlitewne okręcone wokół lewego łokcia i „śmiertelną koszulę” i modląc się nie zapominał pokręcić za ucho małego terminatora, który

siedział zgarbiony i źle mu wyszło obrabianie dziurek do guzików, ulice wiodące pośród żydowskich domów były pagórkowate od wyrzucanego śmiecia i węgielków i popiołu i wychlustywanych miednic brudnej wody i nocników żydowskich, koza uwiązana do sznura pasła się wśród krzywych parkanów i wysoko, wysoko rozpiął się drut jak antena rozpięty na żerdziach, znaczący całkiem wyimaginowane mury Jeruzalem.

W innej wąskiej uliczce przechodząc można było ujrzeć w dole, w piwnicy jak piekarz o nagim, chudym torsie, z umączonymi po łokcie rękami formował bułki „czworaki” na łopacie i biło stamtąd gorąco w upalny już i tak poranek, a dalej była „szkoła” i dochodził stamtąd chór głosów dziecięcych, a mefamed i mali chłopcy z pejsami sięgającymi policzków przynosili tam swe książki w ojcowskich aksamitnych pokrowcach na modlitewniki, a u wjazdu do miasta rogatkę miejską dzierżawiła żydowska rodzina i szlaban wisiał nad drogą jak żóraw, obciążony na jednym końcu kawałkiem szyny, a ściągany na drugim za łańcuch i tam pobierało się myto od dyszla, od kopyta i ogona. Jak w nocy, to na szlabanie świeciła się latarka i długo trzeba było stukać po nocy w żydowskie okienko, zanim wyszła zaspana Żydówka, by podnieść zaporę. A na starym cmentarzu żydowskim była chałupa strażnika cmentarnego, stary cmentarz był już nieużywany, stare nagrobki pokrywał mech wypełniający miejsca pomiędzy hebrajskimi napisami, wschodnimi i dziwaczными, i czasem była wyrobiona w kamieniu gwiazda Dawida, siedmioramienny świecznik albo lwę Judy, a cmentarz miał być w poszanowaniu i dlatego ten strażnik cmentarny, młody człowiek, goj, mieszkał tam z żoną i mieli dzieci, najmłodsze niemowlę uspięne w chustkach pomiędzy nagrobkami żydowskimi, a Józefowa karmiła je dobywając spoza bluzki piersi nabite jak wymiona mlekiem i pachniało od niej mlekiem, a chata ich była jak chatka na kurzej stopce, o pokrzywionych ścianach i pogarbionym starym dachu i całość z rozporządzenia kahału przykryto nowym dachem na słupach, co wyglądało jak parasol nad domem.

Wieś podchodziła pod miasteczko i tu nazywali się: Hrycaj, Kołcan, Onufrej, Kłym, Hilko, Wołodyszyn, Wasyl, Petro, Matwij, Czmoła, Pajuk, Kłymkowycz, Zazula, Krywyj, Ostafij czyli Eustachy, Panas czyli Atanazy, Kołymyszyn, Stup, Werbowyj, Bajan, Mykoła, Naum, Palij, Maksym (fornal z radziwiłłowskiego folwarku, włóczył w brony, w ósemkę koni od świtu, ósemka wyciągnięta skośnie jak romboid, za bronami płowy kurz), Sweryda (kosił sitowie i trawę na stawiszczach Lubelli, rozkarczony, krótkim krokiem posuwał się za każdym zamachem, brzęczało ostrze kosi i kładł się pokotem, odkładał pokos i za nawro-

tem wbijał kosisko kosy w ziemię i z drewnianej króbbki uczepionej na pasie z tyłu na nerkach dobywał wytartą osełkę i pociągał nią błękitny łuk kosy), Sysak, Humiecki (przecierali pień na deski, mając do tego najprymitywniejsze urządzenie, kiedy pień leży na rozkraczonych kobylicach, jeden z traczy wysoko na pniu a drugi u dołu, gdzie w oczy sypie mu się pył trocin i chodzi szeroka piła o poprzecznych rękojeściach i pień przecierają w deski obrzeżone nierównym skrajem z jego pokrywką kory), Kowalczuk, Borowyj, Jewka (kiedy pasie krowę o deszczowym świcie, bydlę trzymane na powrozie oplątany o rogi załapuje szorstkim językiem kępy trawy po rowach i miedzach i wsuwa je do swej krowiej gęby, a pastuszka ma zarzucony na głowę kaptur zrobiony z worka, mający uchronić ją przed deszczem, zad krowy pokrywa pancerz z zaschłych grudek nawozu stajennego i powoli pęcznieje wymię), Wasyłycha (to już dobrych parę lat jak wróciła z Ameryki i już znakomicie dostosowała się z powrotem do dawnego życia, tylko błyska w uśmiechu złotymi zębami, jakie sobie za morzem wstawiła), Dońka, Prakseda (jej mały, dwumiesięczny synek leży w wercie na miedzy i ssie gałganek zatykający szyjkę butelki z mlekiem, a obok koszyk i w nim gliniane dwojaczki z barszczem i sierpy, których ząbkowane ostrza owinięto w chustkę), Makryna (jutro będzie odprowadzać na stację kolejową syna, Wasyla, który, poborowy, dostał kartę powołania do 26-go pułku piechoty i matka będzie zawodzić i czepląc się klamki wagonu), Małanka, Maruśka. Mówią: „*Onufreju, tela zażeny... Poobidały taj piszły w połe zaty... Widczyny dwery...*”, chwalą Boga: „*Stawa Isusu Chrystu... Na wiki wikiw... Maty Preczystaja...*”, wspominają: „*Ne tak buło za cisara... Buwało horiwka za try grajary i miszok jaczminu za piwtora ryńskoho... Pojichały na praznyk na Swiatoju Pokrowu...*”, opowiadają bajki o „*Pokoty Horoszk*”, zadają zagadki: „*Byz obrucza, byz dna — powna boczka wyna... Szo ce?*”, śpiewają: „*Oj pojichaw mij myteńkij na koniu, na koooniu...*”, „*I szumyt, i brymyt, dribnyj doszczyk ide...*”. A jak się pali po nocy, pożar, to słysząc krzyk: „*Horyt! Hoooryt!*”. A jak się spotykają, to mają skomplikowany protokół zagajania rozmowy: „*Stawa Bohu... Na wiki... Pasete... Pasu... Na doszcz ide...*”, ustalony, nakazany, uświęcony. Klną od matieri. Co drugie słowo cyniczne nieprzyzwoitości i aluzje. Stękają. Skrobia się za przepoconą pazuchą. Siągają nos w palce.

A przedmieście to Pan Lenartowicz (Zakład ślusarski), Pan Domerecki, Pan Sadłowski (Betoniarnia i studnie artezyjskie), Pan Dubik, Kwaszczyszyn, Pan Turczaniewicz (Sklep kolonialny i pokój do śniadań, gdzie dostał i drożdże, i mąkę, cynamon, ryż, suszone śliwki, proszek do pieczenia, pędzle malarskie, farbę

w puszkach, łapki na myszy, groch, fasolę, nasiona warzywne i kwiatowe, cukierki, rodzyнки, świece, kadzidło, ser szwajcarski, ocet, naftę, a sprzedająca Panna Walerka albo kręciła korbą kasy National dla wydania reszty, albo znudzona wydłubywała sobie daktyla z bloku stojącego na ladzie), Pan Nowaczek, Pan Wysocki, Kozorys, Pan Smalarski (plenipotent folwarku radziwiłłowskiego, siedział w gorące popołudnie niedzielne i sortował kwity leśne i szlag go mało nie trafiał od letniego upału, a fornale poili konie w żłobie u studni folwarcznej), Pan Gwóźdź, Hawrysz, Machan, Motowidło, Salewicz, Zuber, Sadowski, Wantuła, Pan Roszlakowski i Pan Pierdziel (legionista, inwalida, miał kiosk koło Izby Skarbowej, papierosy i gazety, drzwi malowane w skośne pasy białe i czerwone, i stamtąd miał widok na rynek, kiedy stawał we drzwiach sklepiku, a mali chłopcy bawili się w kałużach koło studni miejskiej i przedrzeźniali się z miasteczkowym idiotą, rudym Samowalejem, który z idiotycznym gniewem wołał za nimi „A ga! A ga!”), Pan Niedźwiecki (majster budowlany, stawiał domy i zapowiadał „mnie oddać wszystko, ja wystawię i pokryję, wykończę do ostatniego 'paskwila' i oddam klucze”), a w sobotnie popołudnia jeździł na stawy Lubelli na kaczki, z kurkową dubeltówką i sparszywiałym, nierasowym Neronem) i leniwy majster murarski Pan Szyk, Pan Zięba, Pan Kossonoga, Pan Jarzemski (stolarz, mówili że „pił politurę i z szelaku porobiły mu się w żołądku żywiczne kule-gałki”), Pan Śniadecki, starszy brat kościelny, w długim surducie obnoszący w niedzielę w kościele tacę, kiedy organy dudniły, w kościele nabitym po brzegi pachniało mirtem, potem ludzkim, marmurem, a w ciszy Podniesienia słychać było pogłosami „Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę Świętą, zacznijcie wypowiadać cześć jej niepojętą...”, a kiedy wychodziło się z kościoła na świat boży, to było sztywnie i niedzielnie i nie wiadomo, co ze sobą zrobić do obiadu, tak było niedzielnie, a po obiedzie ludzie wynosili do sadów wiśniowych poduszki i spali w gorące popołudnie.

Tytułowali się: Sędzia Baryński, Radca Kudlicki, Radca Steinberger, Aplikant Słomka, Dependent adwokacki Szmurło, Pan Mecenaz Czesny, Dyrektor Ferdynand Ślepowron-Wierzbicki, Komendant Wołoszyn, Naczelnik Braun i Doktor Owocowicz i Sekretarz Aleksander Bułka, Kontroler Bazyli Skowroda, Dr Pfau, Dr Gegenwarten, Profesor Konstanty Leliwa-Podhajski, Inspektor Weltschmerz, Magister Podsoński (apteka była pod wezwaniem Świętego Jana Szpitalnika i Magister Podsoński stał w białym kitlu w drzwiach i zabawiał chłopą, który przyszedł z receptą stereotypowymi pytaniami: „*A wy zwiidky?... Ahum... A wy firoju czy pichotoju?...*”), Ksiądz Dziekan Paweł Suchecki i Ksiądz kate-

cheta Browniak, Kapitan Trznadel, Podkomisarz Wijun, Dr Umański i Dr Eisennagel, Panna Teresa Patykowska, Pani Mecenasowa Wnękowska, Pani Hałdzina *primo voto* Kwilecka, naczelnik straży pożarnej Kratochwil, Doktor Derszko. Starzy kawalerowie spotykali się na tyłach sklepu Turczaniewicza, gdzie był pokój śniadankowy, zjadali kiełbasę z chrzanem, popijali piwem okocimskim, potem był czas kolacji, więc dostawało się nogę świńską z puré grochowym, przedtem piło się wódkę, wiśniówkę i już po nocy wychodzili zaczadzeni i odlewali się pod specjalnym drzewkiem jesionowym, które uschło od tego podlewania i pijacy byli bardzo z tego dumni. I mówią. Mówią oni wszyscy. Mówią „grzech”, „przylepka”, „ościerz”, „brytwanna”, „kataster”, mówią „onyks”, „kolastra”, „krzywa Queteleta”, „płonica”, „okrężne”, mówią „a szlag by go trafił”, „sen kataleptyczny”, mówią „ni w pięć ni w dziewięć”, mówią „cud”, „zalecać” i „przedrzeźniać”, mówią „na ukos”, „wzdęcie”, „szablon”, „anachronizm”, „baj-baju”, „orli nos”. Mówią, mówią, słowa, słowa. Mówią „O Boże!” i używają takich słów jak „faktycznie” i „aktualnie”. Mówią, mówią, słowa, słowa. Mówią w gniewie, przy milnie, proszą, opowiadają, tłumaczą, przedrzeźniają się, wdychają. Mówią przez sen albo świadczą przed sądem, zakochani szepczą sobie na ucho o zmroku, dewotki powtarzają słowa litanii, dzieci uczą się w szkole na pamięć, dorośli szachrują, donoszą, targują się, perorują i nie dają sobie przyjść do słowa.

.....

No to my z powrotem do Emmy Bovary.

— Więc pan jest ze Lwowa? O mój Boże, jak tam u was inaczej, aniżeli tutaj... w tych tutaj (tu proszę wstawić sobie co się żywnie podoba, Kopyczyńce, Rawę Ruską czy coś podobnego). Wy tam jesteście bliżej świata (skąd u niej to wy, wyście i czemu ta dramatyczna nostalgia za trochę większym partykularzem?). Tu ani książki, ani teatru, ani towarzystwa. Czy wie pan, że tu niczego nie można dostać? Co prawda u Silbersteinowej koło ratusza to dostanie, ona ma wszystko i można się z nią potargować, ale wie pan, to sklepik gdzie łańcuchy krowie, nasiona buraczane, fosfatyna, wiadra, taki to szynkowny magazyn... Ale Silbersteinowa ma wszystko, i Soir de Paris i szampuny. Ale czy idzie o but, czy pomarańczę, czy rękawiczkę, szampun, pastę do zębów, to do Silbersteinowej (zdziwiło mnie, że takie szczegóły od pary jak buciki wymienia w liczbie pojedynczej, ale niech jej tam będzie). We Lwowie (to „we Lwowie” brzmiało i dźwięczało jak rapsod, jak kantata, jak duma i jak perska opowieść o odległym, wymarzonym i mitycznym Bagdadzie, oczy

Emmy Bovary zachodziły mgłą), kiedy byłam tam w zeszłym... Mój Boże, Frania, kiedy to byliśmy tam? To tamtej jesieni byliśmy we Lwowie na zakupy, byliśmy na rewii w Semaforze i na kolacji w Krakowskim Hotelu i na Sykstuskiej kupiłam... Wy jesteście w innym położeniu.

Kiedy ofiarowałam Emmie Bovary papierosa, nastąpił u niej z przyczyny bardzo błahej stan kulminacyjny i jakiejś ekstazy. A działo się to dla następującego powodu:

W ostatnich czasach Państwowy Monopol Tytoniowy wypuścił nowy gatunek papierosów, które nazywały się „Hele” i były fabrykowane i perfumowane na wzór amerykański, nawet kolorowe i celofanowe opakowanie było inne od tego, w jakich pojawiały się dotychczas popularnie palone papierosy z tytoniu tureckiego zakończone tekturowym munsztukiem.

Więc kiedy zaprodukowałam swoje „Hele” w ich celofanowym opakowaniu, oczy Emmy Bovary zaślnęły jak na objawienie. To tutaj, na ten padół prowincjonalny, w pośrodku jego nudy i codzienności i zwyczajności, wśród tych samych codziennych twarży, ścian, dachów i ogrodów, krzywych uliczek, leniwego życia bliskiego życiu chłopów, w światku marzeń snutych wśród realii kur grzebiących w zaśmieconym piasku podwórza, myczenia krów powracających kolebiącym się krokiem z pastwiska, kurzu i turkotu furmanek ściągających na czwartkowy jarmark, obok urzędniczego i rzemieślniczego światka o stęchłym zapachu niemytych ciał, starych zleżających na strychach gratów, butwiejącego drewna pod przeciekającymi okopami i fermentującej zieleniny buchającej w pełni lata po ogrodach i rowach, światka usmarkanych dzieci bawiących się pośrodku opustoszałych ulic, ciskających grudkami za innymi, żydowskimi dziećmi, z unoszącym się w powietrzu zapachem kadzielnicy nieszpornej i wosku świec dewotek, tutaj zostały zaprodukowane i ofiarowane i wyczarowane i przyniesione z odległego i ściskającego za serce marzeniem świata, papierosy „Hele” w ich celofanowym opakowaniu.

.....

Jest po deszczu. Kiedy idę wąskimi uliczkami miasteczka, bzy wysterczają swe mokre liście pomiędzy szczeble sztachet, woda zebrała się w kałuże w dołkach jezdni ulicy. Chmury wiszą ciężkim pułapem, brudne, granatowe, czasem rzędną i w tym miejscu przebija żółte światło i odbija się we wodzie. Gałęzie są mokre i śliskie, drzewo poczerniało i rdza na rynnach blaszanych domów cieszy się i jest rada tej wilgoci. Kaczki są także rade i radosne tej słocie i mokości. Jest przyjemnie chłodno

i zwawo, powietrze pachnie surowizną, zbutwiałą i wilgotną. Idzie się nierównym chodnikiem, jakąś zygzakowatą linią, jak po pijanemu, bo ciągle trzeba omijać kałuże i kałuże. Czasem przejeżdża trzęsący się wóz, błoto pryska spod obręczy kół, konie mają chwosty podwiązane w węzeł, ażeby się zanadto nie utaplały.

Czasem zadziwi jakaś już znajoma twarz wyglądająca spod zbakierowanego parasola, jakiś niebywały płaszcz nieprzemakalny, z kołnierzem pod już widzianym gdzieś nosem. Służąca przebieganie do sklepiku i wierzchnią spódnice ma zarzuconą na głowę i czerwone, bose od deszczowej wody nogi. Ale jest pustawo. Ktoś rąbie drzewo w drewnutni i słychać uderzenia siekiery w suche drzewo jak w ksylofonie.

Jatka czy sklepik masarski, kawałek marmurowego blatu tłusty od sadła, za szkłem kiełbasa, na hakach zaczepione przednie szynki. Pień posiekany w miliony malutkich blizn. Mózdzek cielőcy rzucony na pustą poza tym półkę. Drzwi otwarte i widać zamiecioną i posypaną trocinami podłogę. Przez drzwi zagląda jakiś pies i masarka o policzkach świecących się od tłuszczu woła: „A pójdziesz sobaka!”.

Bywały prozzone obiady, długie posiedzenia, na które i mnie zapraszano, choć nie pchałem się tam wcale „jak pies do jatki”. Czerwona od kuchni Maruśka roznosiła półmiski, przed nakryciem Pana Bazylego Skowrody lśniła srebrna papierośnica z autografami, Komisarz Wijun opowiadał tłuste kawały, Ksiądz Suchecki podchmielił sobie i droczył się z Panną Mieczysławą Kwilecką („Panna Miecia w białej jubce, umaczała palec w d....”), Naczelnik Braun wywodził („Panie Dziu!... jak była inflacja, Panie Dziu!... ja bym był wtedy temu Grabskiemu order z cebuli... Panie Dziu!...”), Doktor Eisennagel wpychał sobie serwetkę za kołnierz, Kapitan Trznadel bronił się przed nową porcją pieczeni huzarskiej („Droga Pani, tylko nie przy moim konsyliarzu... świetne, ale moja dieta), Mecenas Wnękowski charakteryzował Starorusów (i nie pozwalał stanowczo mieszać ich z Talerhofcami), piwo, piana z piwa zasychała pierścieniem na ścianach „rżniętych” szklanek, galaretka owocowa nie wyszła w tym gorącym popołudniu, dzieci Doktora Owocowicza poplamiały kremem foteliki w salonie i ich mama rozdzielała szybkie klapsy i wycierała batystową chusteczką ślady, klub radców otworzył pulę w drugim saloniku i dochodził stamtąd szelest rozdzielanych kart i bas Profesora Leliwy-Podhajskiego.

Emmy Bovary nie było. Wyszedłem do ogrodu, była tam prowadząca w dół ścieżka, po jej prawej stronie były krzaki malinowe i porzeczkowe, porzeczki wisały kolorowymi gronami, zakurzonymi u dołu od pyłu ziemnego. Był nierówny trawnik

i chyliły się nad nim krzywe pnie drzew wiśniowych. Pod drzewami bawiły się dzieci państwa Owocowiczów, synek Profesora Podhajskiego i jeszcze jakaś dziewczynka, nie pomnę czyjej progenitury.

Zabawiały się czymś swoim i zeszytniały na moje zbliżenie się. Powiedziałem usprawiedliwiająco, że przyszedłem się odmłodzić. Przyjęto moje tłumaczenie się ze śladem zaambarasowania, dziewczynki z kokieterią i pąsem na twarzy. Mały Jurek Owocowicz wydłubywał spośród pęknięć w korze zastygłe tam stalaktyty wiśniowej żywicy, jak bursztyn.

— Jurek! Ułam mi kawałek! — powiedziała Andzia Owocowicz, a nieznajoma dziewczynka parsknęła śmiechem, patrząc spod oka w stronę mnie.

— Oooo — gąsienica! — najmłodsze dziecko Owocowiczów przykucnąwszy nad grzędą kapusty trącało żdźbłem zieloną gąsienicę, która kręciła ślepą głową w prawo i w lewo.

Było mi nieswojo i niezgrabnie wśród dzieci i nie wiedziałem, co powiedzieć. Popychały jedno drugie, więc nadarzyła mi się okazja i powiedziałem:

— Któż widział coś takiego, ażeby mężczyzna popychał dziewczynkę! — Było to pod adresem Jurka i ten burknął coś na to, czego nie dosłyszałem i nieznajoma dziewczynka krzyknęła ku mnie przeraźliwie:

— Proszę pana, proszę pana, on powiedział... — Jurek zdzielił ją na odlew pięścią między łopatki, aż się zakaszła.

— Powiedział „gówno” — najspokojniej w świecie zadenuncjowała Andzia. Jurek wisił teraz głową w dół, zaczepony nogami o gałąź wiśni i w tej pozycji skandował:

*Skarżypyta, od kopyta
Z pieca spadła, nic nie jadła...*

Innego dnia zamiast robić te swoje pomiary wybrałem się po prostu za miasto. Było to około dziewiątej rano i słońce już potężnie przypiekało. Skończyły się zabudowania, został się ostatni dom na skraju po lewej stronie, dom w którym „straszyło”, patrzyły jego okna bez ram okiennych i na ścianach jego były miejsca, gdzie poodrywała się pobielana ich gliniana epiderma, ukazując skośną drabinkę listew, które miały ją trzymać. Nawet w biały dzień było coś strasznego w tym domu, w którym „straszyło”. Patrzyły za mną puste jego i czarne oczodoły. Po-tem nie było już budowli, przepraszam, był niski dom szmaciarni, odrapany i odrażający i walały się koło niego brudne gałgany. Sam szmaciarz gdzieś kołował swym skrzypiącym wozem po po-

wiecie i zbierał te szmaty i kości, wymieniając je u bab wiejskich na perkalowe chustki i u dzieci za kogutki ulane z cyny.

Droga była kiedyś wysadzona drzewkami, które plantowano w Święto Sadzenia Drzewek, ale na kilkadziesiąt tych drzewek owocowych ocalało żywe i mizerne tylko jedno. Było ich jeszcze parę uschłych i wyglądały goło i pojedynczo jak baty, biczyska, a po reszcie nie było śladu. Potem, zanim jeszcze zaczynały się pola, to nie było nic, tylko jakieś szczyrki, szutrowiska i doły po wykopanej glinie.

Okazuje się, że dzień był za gorący na wycieczkę poza miasto, ale trudno, już przepadło. Szedłem sobie w stronę płaskich wzgórz, ku południowi, widać było na nich nierówną lizierę lasu. Szło się teraz wśród pól, ze stojącym na nich tęgim żytem. Droga kręciła się, szara od spieczonej ziemi, przetartej obręczami kół wozów. Wśród przydrożnej trawy zrywały się koniki polne jak za zwolnieniem zielonej sprężyny.

Było bardzo melancholijnie i pusto w tym upalnym dniu. Jednakowość i swojskość pejzażu, kształtów i form roślin. Doganiała mnie tu tęsknota i nieartykułowane marzenie za czymś innym i dalekim, a wiedziałem, miałem pełną świadomość tego, że to tylko rzeczywistość, wpośród której w tej chwili powłóczę krokiem próżniaka, każe mi marzyć o tym obcym i odległym.

Kiedy wśród spiekoty przedpołudniowej szedłem łagodnym trawiastym stokiem granicy lasu na wzgórzach, to wybiegły naprzeciw mnie pochyłe i solidne od zieleni gałęzie leszczyny. Pola się skończyły i rzadki u skraja las i wyskubana przez bydło pasące się tu prawem jakiegoś kaduka trawa była dosyć wygolona. Drzewa, te u skraju, były dobrze obsmyczone z gałęzi w zasięgu wzrostu kobiet zbierających tu niedobrze strzeżoną własność. Te chrusty i gałęzie i sęki były niezatwierdzonym serwitutem biedoty miasteczkowej, zbierającej je na opał.

A dalej już gęstsze poszycie lasu, paproć w zacienionych miejscach, mietlica, powój, kolczaste krzaki jeżyn i dzikich malin, zeszłoroczne zgniłe liście, mech i pleśń. Wszystko to tak swojskie i bliskie jak zmarszczki i zrogowacenia własnej skóry, włosy na wierzchu dłoni, pryszcze na własnej twarzy widziane w lustrze i wyczesany łupież między zębami grzebienia.

Ten narcyzm każe mi się wzdygać i dlatego odwracam oczy za czymś niebywałym, innym, wymarzonym.

Trzeba było wracać do miasteczka, znowu drogą ze srebrnymi piołunami po bokach. Na niebie kłczyły się nieduże białe obłoki i było bardzo, bardzo gorąco i nie wiadomo skąd zaniósł paru kropłami deszczu, kilka ich i cienkich i do beznadziejnej melan-

cholii gorąca dodały one, parując nim dotknęły kurzu drogi, wniosły rozpaczliwą otuchę, że nawet nad upałem jest zmiłowanie.

Pod miasteczkiem spotkałem starą kobietę. Niosła coś w płachcie i przystanęła i opuściła ten niesiony ciężar z westchnieniem zmęczenia. Powiedziała do mnie: — Pochwalony...

— Na wieki — i wydało mi się, że należy do niej zagadać, więc — to to jest... (tu proszę wstawić sobie Kopyczyńce albo Rawę Ruską albo coś podobnego).

— Oj... To to... — zaciągnęła.

Nie umiem rozmawiać z tak zwanymi prostymi ludźmi. Przez jakąś dziwną ekwilibrystykę wychowania znalazłem się na następnym schodku socjalnym, ściślej powiedziawszy inteligencko-drobnomieszczańskim, odskoczywszy w ten sposób od straty, gdzie rozplywa się moja progenitura poprzednich pokoleń. Kiedy zastanowię się nad tym, to jest nawet coś nienaturalnego w odcieciu się od tej pożywki, agaru, z którego się wywodzę i to się mści, mówią o tym symptomy martwicy. Bo proszę, mam także wstręt do jakiegoś świata w górze, a instynktowne uwarunkowania starego świata zostały jakoś ze mną, w rezultacie jest się samym. Dlatego byliśmy zawsze sami. Moja matka i ciotki nigdy nie mogły darować memu wujowi, ich jednemu i kochanemu bratu, że zakopany gdzieś na wsi jako plenipotent czy rządca, sam i instynktowiec, ożenił się z własną kucharką, chłopką, i z racji tego mezaliansu nie danym mi było poznać go i pokochać tak jak one go kochały, najdroższego człowieka o dobrym głosie i pobłażliwym humorze. Aż kiedy mieliśmy w 18-tym roku wojnę ukraińską, to przyszli do niego po nocy, wyprowadzili na folwarczne podwórze i pozwolili pomodlić się chrześcijańskiej duszy, i przy latarkach elektrycznych rozstrzelali i zakopali w folwarcznym gnoju. Do teraz dochodzi mnie krzyk mojej matki z przebitego żelazem bóleści serca, kiedy wiadomość o tym przyszła po tygodniach i do teraz pamiętam, jak pojechaliliśmy wtedy cudowną, letnią wyprawą wozem wiele mil do tego miejsca, gdzie go z gnojówki wykopano i sprawiono pogrzeb i jak za trumną szła jego chłopska żona i płakała. Paradoksem wydaje mi się, że przez śmierć swoją stał się bliższy życia, jednocząc się w śmierci z gnojówką-agarem.

Stara kobieta była zmęczona, ale skora do pogawędki. Było w niej coś bliskiego, czego z początku nie mogłem połapać, ale zaraz stało się to oczywiste i znane. Bo mówiła:

— Mościewy... tyle lat już tu jestem, za drugim mężem tu nieboszczykiem byłam, ale ja to jestem z (tu proszę wstawić Kopyczyńce albo Rawę Ruską). Mój pierwszy nieboszczyk był tam piekarzem, mistrzem piekarskim. I dom mieliśmy i był

starszym bratem w parafii i miał dostawy dla infanteryjского pułku. Awstryjska granica była wtedy i narodowi powodziło się...

Jej zamglony wzrok patrzył na wskroś przeze mnie, niewidzący i daleki. W jej zapatrzeniu wstecz, tęsknocie do przeszłości było to samo rozmarzenie kogoś zapatrzonego w przyszłość. Co u licha! Przecież to te same symptomy, ta sama Emma Bovary tylko na wywrót, zapatrzona wstecz. Tylko tamta zapatrzona w celofanową, wyimaginowaną przyszłość, świat, który żeby tylko był inny, żeby tylko odległy, żeby tylko ująć, odbiec od tego samego kręgu twarzy, od westchnienia, kiedy po dniu kładzie się do skrzypiącego łóżka, kiedy następnego dnia rano wstaje się z metalicznym posmakiem w ustach.

Oczy starej kobiety, wypełzłe od starości, patrzyły we mnie, przeze mnie, bo niezogniskowane, w sieci zmarszczek twarzy, kiedy stękając przysiadła na niesionym worze z czemścisłtam, przywołująca marzenia, wspomnienia przeszłości. Ta sama Emma Bovary w sukni z gazy lila.

— To co, to miała pani swoje życie — mówię, w tej niezdecydowanej chińszczyźnie polskiej, bo nie wiem, może to się należało jej tylko Wy, Wyście? Ale broń Boże, nie chciałem jej urazić, bo przecież była z waszecia, nie kapeluszuwa wprawdzie, ale zawsze pierwszy mąż mistrz piekarski...

Nie słuchała mnie, ale mówiła wciąż coś do siebie i kiedy już zacząłem przebierać się w stronę miasteczka, to słyszałem jeszcze za sobą:

— Mistrzem piekarskim był... Moiściewy...

.....

Natomiast jeżeli przychodzi pisać o miejscach odległych, to nie jest to takie łatwe. Bo widzę je sobie tak i tak, nowicjusz, przybysz, ale niech przyjdzie autochton, tubylec i popatrzy na to dzieło, to nie pozna siebie, wyda mu się, że to o jakimś całkiem innym powiecie. Niedawno przeczytałem sobie na nowo *Listy z podróży*. I jak ta Ameryka sienkiewiczowska jest inna i jak nieprawdziwa. Można to temu geniuszowi przypisać, złożyć na karb młodości, albo że nie umiał pisać z autopsji, że tylko genialnie umiał przykrawać sobie cudze pamiętniki, kroniki i listy. Ta Ameryka jego jest taka chateaubriandowska, powycinana z papieru, z ponasadanymi dekoracyjkami, bardzo to ładnie napisane, i z humorem, ale to i tak nieprawda. A taki Henry James, odkrywający swoją Amerykę na nowo po przyjeździe, po długoletniej niebytności, opisał lato amerykańskie w dwu słowach, jak szalenie wyraziście. Jak to w gorący dzień letni, w hotelu, słyszy się na korytarzu hotelowym dzwonienie lodu w szkle z wodą,

które niesie posługacz-Murzyn. Jest w tym całe lato amerykańskie, straszliwie upalne, duszne, ciężkie, nie ma od niego ucieczki, jedynie w tej bardzo amerykańskiej ucieczce w postaci lodu w wodzie, i jest w tym upał lata, słoneczna śręzoga, w tym tłuczeniu się lodu w szkle z wodą roznoszoną przez Murzyna.

Chciałoby się napisać coś na sposób tak uniwersalny, by oddzwoniło to w uchu każdego, by miało tę obiektywną wartość. Nazbiera się sobie szczegółów, autentyków, śmiecia egzotyki i w pocie czoła zabiera do pisania i zaraz skrada się ku temu sztam-pa, coś samo wodzi ręką, by napisać tak a nie inaczej, i co z tego wszystkiego wychodzi? Nieprawda, na której każdy się pozna, wyczuje instynktownie, że to nieprawda. A wystarczyłyby dwa słowa.

To rano, około dziesiątej. Już jest tęgie gorąco poranne i światło jak roztopiona platyna przenika wszędzie, bije z góry jak dłutami i przebija wszystko wokół. Jarzy się w nim olbrzymia reklama, czerwone farby reklamy jak odarte ze skóry ciało. Każdą rzecz widać ogromnie wyraziście, aż od tej wyrazistości jest się ślepy. Drzewa figowe w ogrodzie mają liście ciemno-zielone, blaszane, powycinane tępo i pod nimi jest ten figowy ich cień. Drzewo domów, ogrodzeń jest jakby spopielałe i szare. Wśród tego zieleń bucha i czapierzy się i liście lśnią w słońcu niebiesko.

A po południu, w upale przychodzi ulewa, w upale który drgał w powietrzu jak przeciągnięta struna. Deszcz przychodzi nagle, niespodziewany, i lunął od razu, bez uprzedzeń, nie dramatycznie, ale jakby to była urzędowa sprawa do załatwienia. Liście drzew dygocą od uderzeń kropli. Na jezdni i chodnikach widać jakby zachodzenie się szlochem tego deszczu, kiedy zamiata jego smugami po ziemi i liściach. Potem nagle rozłupuje się to wszystko w piorunie i wydaje się, że jesteśmy w oszalałej oranżerii w czasie trzęsienia ziemi, wpośród szklanych rozprysków szkła jej ścian i dachu.

A nad wieczorem u bulwarów rozlewiska wód, które otwierają się daleko z jednej strony. Jest tu przeźroczystość i nad wodą unoszą się opalizujące obłoki aż po horyzont, i w przeciwieństwie do płasko, dwuwymiarowo leżącej wody są trójwymiarowe i jakoś to godzi te żywioły. W powietrzu jest ciężko i upalnie tej wieczornej godziny. U brzegu widać jak ktoś łowi we wodzie, posługując się siecią z rodzaju, który zwie się *butterfly*. Rzucona z zamachem sieć nim opadnie na wodę wygląda jak zawieszona w powietrzu meduza, pływająca w górze i drapieźnie rzucająca się na zdobycz. Od tej sieci aż lekko, sieć jest lekka, jak z galarety

albo pajęczyny. Przez to swoje podobieństwo nawraca sprawy człowiecze do prymitywu życia.

Stopnie zbiegające do wody wilgotnieją od chlapiącej o nie wody. Woda przychodzi zielono-oliwkowymi chluśnięciami i oblizuje permanentnie zazielenione najniższe stopnie.

Jest w dalszym ciągu gorąco i duszno, ale na otwartym nie jest to tak dokuczliwe. Już jest wieczór, albo pora kiedy dzień jest z nocą przemieszany jak zmacony roztwór w szklanym naczyniu. Czas jakby zatrzymał się, dotrzymując kiedyś zrobionej obietnicy, i zahuśtał się w miejscu przez chwilę, pośrodku przebiegających spraw i zjawisk. Uczepiony tego zatrzymanego czasu wpatruje się w przestwór wodny. Leniwie, bardzo leniwie stoi daleko trójkątny żagiel, jeden, drugi, trzeci, szósty, dziesiąty. Trójkąty białe, których przechalsuje i robi się pod światło brązowy i śniady. Żagle wydają się nieruchome, wydają się stać w miejscu, ale jak wzrok odwrócić i potem znów o nie zaczepić, to już albo rozeszły się, albo nawróciły.

Potem gwiazdy, jedna, dwie, tysiąc, pozawieszane w tych obłokach, które teraz świecą jakby w ciągu dnia nasiąkły światłem słonecznym i teraz to zapożyczone światło emanują.

Ale z drugiej strony miasta niesie się inna woda. Olbrzymia rzeka kręcąca się wielkimi zakosami, ale nic z niej nie widać, bo zasłania ją wał *levée*. Tama w przekroju jest nieregularnym trapezem, którego odlądową pochyłość zarasta gęsto trawa, w tym klimacie szybko i bujnie odrastająca po każdym wykoszeniu. Odrzeczna strona tamy, stromsza i patrząca ku wodzie, nazywa się w technicznym języku *batture*.

Pomiędzy *batture* i rzeką jest ziemia niczyja. Przez pół roku obmywają ją rwące wody rzeki, a na drugie pół roku odsłania się zamulona, porośła sitowiem, żłobią ją ściekające wody, znaczy śmietnisko osiadłe na hipsometrycznej linii poszczególnych stanów wody. Monotonie tę przerywa tu i ówdzie jakiś dok pływający, jakieś pale, pozostałość po budzie tu wzniesionej przez biedaka na ziemi niczyjej.

Kiedyś szedłem spacerem koroną tej tamy i z daleka w jednym miejscu po stronie *batture* doszedł mnie głos ludzki. Wśród sitowia zarastającego płyciznę widać było małą postać ludzką, a tym łatwiej, że figurka ta była przybrana w rodzaj białej koszuli i bielila się z daleka. Kiedy znalazłem się bliżej, to już mogłem rozróżnić, a po zastanowieniu się i zidentyfikować w przybliżeniu to zjawisko. Był to stary, niewielkiego wzrostu Murzyn. Miał starczą twarz, z dołami w skroniach pokrytych rzadką wewną siwych włosów. Stał w wodzie, wśród sitowia po kostki. Obok, wbity w muł rzeczny, był krzyż trochę ponad wysokość

człowieka, niezdarnie sklecony z mizernych patyków. A człowiek ten mówił coś głośno i w natchnieniu i nietrudno było domyślić się, że to *preacher*, kaznodzieja z własnego namaszczenia, człeczyna stuknięty wyraźnie, bo przecież kazał tu na prawdziwej puszczy wodnej, wokół ni żywego stworzenia, chyba ważki wodne przysiadające na chwiejnych trzcinach i daleko nad rwącą potężnym nurtem rzeką polatujące mewy. A ja byłem najzupełniej przypadkowym słuchaczem wieści przyniesionej tu i głoszonej przez obłąkanego.

„... God is the man... All nations come to see me... When you baptised... I am in the sight of God... Trickle of water... We need God... God hears about you... Judgment at hand... Time is ready, come down to water... If you is at... If you want to be saved... not be damned... Water is your witness... Come one into the water to see power of God... This river should be crowded by hundreds and thousands... Man command no mess when going back in darkness..”

Tematy, nr 31/32, 1969.

WESELE NA WSI

Pani Ł. była przewodniczącą kół gospodyń wiejskich, zdaje mi się, na powiat R. Nie bardzo orientuję się w całości poczynąń społecznych tych inicjowanych przez ówczesny rząd stowarzyszeń, myślę, że i w tym miał cele przenikania wgłąb, jak każdy rząd totalizujący. Przy pomocy rozmów prowadzonych przy stole miałem sposobność chcąc nie chcąc rozszerzyć swoje horyzonty na temat dosyć mgliście zarysowującej się pracy kobiet w społeczności, jak gdyby to co robią przez instynktowny biologicznie nakaz nie było aż nadto. Jedna z tych pań, ze zgrupowania Wólka Tarnowiecka, miała wyjść za mąż, co na terenie świeżo zainicjowanych kół było zdarzeniem, w zasadzie zaś było starą jak okoliczne bory historią.

Któregoś dnia przed kuchenne schody zajechał wóz wymoszczony słomą i przyszła oblubienica, czerwona od jazdy i zakłopotania, wśród szeptania pokojówek, schylając się nisko, nie jak uświadomiony członek koła gospodyń, ale bardzo po pierwotnemu, zapraszała na wesele.

Potem minęło parę dni, kilka razy przypominano sobie zaproszenie, nie decydowano się, zwyczajem wsiowym, nigdy na wsi nie spotkałem się z ostrą decyzją, w końcu jednak ustalono wyjazd. Ponieważ w tamtą stronę było daleko, więc zadecydowano jazdę samochodem.

Przed ganek w zgrzycie żwiru pod cykającymi oponami zajechał sześćdziesięciokonny Buick, a od strony folwarku w stępie kopyt z farnalem na grzbiecie lejcowego konia, z nogami przewieszonymi niedbale, „po damsku”, czwórka koni. Był to nieodczowny naddatek, ta kwadryga końska, wlokąca po grudzie wagi z orczykami. Miała odrobić pierwsze pięć kilometrów za sześćdziesiąt koni mechanicznych rwących się do skoku, pięć kilo-

metrów, które po niedawnej słoce były pasem przemieszanego obręczami kół, gęstego błota, a w miejscach gdzie się urywało wydmami piasku i jeziorami kałuż.

Pani Ł. uparcie przywdziewała haubę samochodową, pamiętającą stylowe czasy pierwszych Panhard-Levasseur, jamniki czekały, wijąc się między kołami pojazdu i pęciami cierpliwych koni, pan Ł. sceptycznie lecz aprobując obserwował przygotowania z odrzwi domu, fornał na „Gotowe!” strzyknął śliną pomiędzy zębów na żwir zajazdu i dziwaczna kombinacja nowoczesności z tradycją ruszyła wzdłuż łuku gazonu w drogę. Dziewczyny, pracujące przy kopcach naprzeciw obory, podnosiły twarze koloru ochry i patrzyły nieciekawie za nami. Kłęby dymu odczepiały się od rdzawego komina gorzelni, ośmielone swą samodzielnością, puszczały się w niewiadomą, północno-zachodnią drogę i ginęły rozwiewane w nicość, dając wolne pole następnym pokoleniom zatrąty. Niebiesko-biało malowany krzyż kamienny na rozstaju ginął w rozczapierzonych krzakach głogu. Zostawialiśmy z prawej wyciągnięte rzędy chałup, dzwoniły żelazne ogniwa orczyki ciągnącej maszynę General Motors, las zbliżał się szybko, błoto jakoś nie dawało się we znaki. Chlusnęła pod oponami szeroko woda pierwszych leśnych kałuż i zmącił się i załamał w nich czysty obraz nieba. Pomiędzy niskimi pniami drzew polatywały ptaki i czerwieniła się kora drzew na porębie leśnej. Potem zastukała twarda nawierzchnia szosy pod kopytami koni i zatrzymaliśmy się, ażeby wyprząc.

Potem z szosy skręcaliśmy na drogę do Wólki Tarnowieckiej. Wóz ciężko huśtał się na wybojach i ujadaty psy podwórzowe z zagrod. Widziało się grupki ludzi, mężczyzn w nowych, wymiętych cągowych marynarkach i kobiety oparte łokciami o płoty domów. Zziębnięte dzieci towarzyszyły powolnie posuwającemu się wozowi. W jakimś miejscu było więcej grupek ludzi przed jednym domem, a na drodze odróżnić można już było postać panny młodej, która podniecona weselem i niebywałymi gośćmi, wyszła daleko przed dom, aby witać i robiła to trochę z pewną siebie uhonorowaną dumą, nieco zmieszana, wysoka, brzydka, o czerwonej twarzy, w sukni z białego, taniego muslinu, mającej symbolizować jej dziewictwo. Było w tej biednej sukni coś smutnie cmentarno-pogrzebowego, zawsze na mnie suknie panien młodych robią takie wrażenie, mają w sobie, w swej taniźnie, w swej jedyności, bo ubiera się je przecież raz jedyny tylko, coś trumienne. Były tam jeszcze jakieś bardziej pryncypialne towarzyski, wszystkie twarze wyrażały usatysfakcjonowany podziw z pewną dozą podkreślanej swobody, że oto mniej może przewodnicząca kół, ale raczej dziedziczka, wspaniałym samochodem, co już miało

być wyrazem zahaczenia o niebosiężne sfery dobrobytu, bogactwa, feerii powodzenia i wyniesienia ludzkiego, jest tutaj, ma być razem na równi i w jednej zabawie-uroczystości.

Dzieci płowiaste, usmarkane i z rozwartymi do niemożliwości oczami wspinały się na przyzby, czepiały się nóg starszych i plątały niemożliwie pod kołami manewrującego w ścisiku samochodu. Słońce wyrzało zza chmur i złotymi plamami położyło się na ściany domów. W końcu było nam dane odróżnić między zebranymi i pana młodego, o przystojnej twarzy. Był o pół cala niższy od swej młodej żony, miał na sobie czarną marynarkę i trochę przybrukany biały krawat.

Zapraszano nas do wnętrza domu. Trzeba było potknąć się o wychodzony próg, trudno było obrócić się w ciasnej sieni, w końcu skierowano nas, na szczęście, do prawej strony domu, gdzie w przeciwieństwie do lewej, piekielnie gorącej od sąsiedztwa kuchni, było chłodno i puściej. Kolorowe obrazy świętych pańskich uszeregowano pod sufitem, niżej wisały stereotypowe fotografie rodzinne, poza tym były ślady z uprzątnięcia jakichś mebli, pewnie w celu zrobienia miejsca dla ewentualnych tańców. Stał tylko nieduży, podłużny stół i ławki oraz krzesła, ustawione pod kątem w rogu izby.

Do sieni i na drugą stronę domu wchodziła orkiestra, bęben obciągnięty opalizującą, pergaminową skórą z mosiężnymi, niezdarne wyciętymi z blachy brzękadłami, skrzypek trzymał pod pachą wyszlizgane skrzypce. Przewodnikiem tej trupy był młody wysoki chłopak o wesołej, rezolutnej twarzy. Kręciły się dziewczęta i kobiety, zaglądały, zainteresowane i zażenowane, do naszej izby. Nasi gospodarze zajmowali się nami przesadnie gorliwie; miało to ten fatalny skutek, że chwilami w ich natarczymym zajmowaniu się nami następowała kłopotliwa luka, w której ani my, ani oni nie wiedzieliśmy co robić. W końcu wybrnięto z tego w ten sposób, że wniesiono na tacy wódkę w karafce z mętnego szkła i ciągle donoszono kieliszki, których ilość ustawicznie była niewystarczająca. Nalewano tę wódkę trzęsącymi się z emocji rękami i podsuwano natarczywie. Mylono kolejność i porządek dostojęństw w traktowaniu, alkohol, rozlany na tacy i stole, leciutko parował w atmosferze izby i wnosił odurzający zapach. Kieliszek, wychylony pod zainicjowane przez panią Ł. zdrowie państwa młodych, był ostry i zakręcał myślami pod czaszką. Potem kazano wypić drugi i w szczyku talerzy i zbieranych rozmaitego autoramentu sztuców nakrywano do stołu, bo tymczasem czyjeś zapobiegliwe ręce zaczęły znosić właśnie z tej otchłannie gorącej kuchni, gdzie uwijały się czerwone kucharzące kobiety, pierwsze dania pod wódkę, jakieś przetwory z zabitej

na wesele świni. Potem powtarzał się ceremoniał zasiadania do stołu i zapraszania do jedzenia.

Z drugiej strony domu niespodziewanie uderzyła muzyka. Skrzypce wiolinowo i cienko zaniosły się swą dominantą, której nie potrafił zagłuszyć ani niski klarnet, ani rytmiczne dudnienie bębna. Muzyka ożywiła zgromadzenie, które i tak było dostatecznie podniecone, ośmieliła kobiety i podziałała elektryzująco na cisnące się u wrót i pod oknami dzieci. Wchodziły nowe osoby, z którymi nas zapoznawano dość chaotycznie, trzeba było koniecznie wypić jeszcze jeden kieliszek, uciekając od krytycznego spojrzenia pani Ł.

Dzieje się to wśród krajobrazu, który zdaje się cały wstrząsać; jego pola, lasy, piaszczyste wzgórza chodzą i wibrują od niezwykłości tego co się dzieje tu, pośrodku, między horyzontem i horyzontem.

Droga powrotna wiedzie doliną Raty, wśród lasów sosnowych i piaszczystych wydm. Przeciekają ją strugi niezdecydowanie wijące się chłopskim meandrem, błędzikiem, i osuwa się ziemia ciężka zieloną murawą z ich urywistych brzegów, szumi trzcina na rozlewiskach i wiatr pochyla wysokie badyle traw na łąkach. Drzewa zielonym różańcem ciągną się wzdłuż drogi i pola w kolorowy, indiański deseń, dostosowują swoje prostokąty do zakrzywionych miedz i zbiegają się u kalwarii na rozstajach. Dzieci chłopskie, pasące bydło na wygonach, bawią się w swoje dzikie, dziecięce, nieskoordynowane zabawy, albo zamyślają się najniespodziewaniej w świecie. Rządca folwarczny, z karkiem opalonym na granatowo, idzie na przełaj przez niwy, rozbijając końcem okutej laski grudy ziemi i szybciej na jego widok przebiegają sapami rozsypane jak paciorki dziewczyny w swym pozbawionym wdzięku pochyleniu nad pielonymi burakami. Fornal tylko, który przejeżdża w kurtyzowane, dworskie chabety, jest cyniczny, niedbały i niezależny. Mówi dziewczętom opryskliwie, ordynarne słowa i głos mu się miękko zmienia, kiedy pieszczotliwie napomina podręczną klacz.

Przepływa obok nas Zielona. Błogosławiony spokój jej zielonych traw, czerwonych pni, srebrnych czubów sosen, szanownych granic lasów, polan międzyleśnych, gdzie niezapomniane wzruszenia ogarniają na widok chodzących w czerwonym zachodzie słońca saren.

Waży się jastrząb w niebiosach i na garbie horyzontu przechytrze i leniwie obwachuje powietrze lis, który znudził się monotonią lasu.

Wiadomości Polskie z 23 stycznia 1944.

ENTROPIA WZRASTA DO ZERA

Kto zajmował się termodynamiką, natknął się zapewne na pesymistyczną formułę, powiadającą, że „entropia wzrasta do zera”. Różne temperatury dążą do wyrównania. Takie same zjawisko inwolucji zachodzi wszędzie. Napięcia elektryczne chcą się wyładować, kolory zmieszane dają jeden kolor szary, jesteśmy świadkami powolnej niwelacji ziemi, prowadzącej do tego, że kiedyś góry wypełnią doliny i z morzami stworzą jedną wielką płycznę. W sferze spraw ludzkich takie zszarzenie i płycizny dają powolny proces ujednastajnienia i zestandaryzowania nie tylko przez zmechanizowaną cywilizację, która staje się, nawet z drobiazgami powszedniego życia i strojem, jednakowa i tandetna, ale radio, prasa i kino robią z nas powoli milionami i miliardami jednakowo zaopatrzonych w sztancowane idee ludzi. Entropia wzrasta do zera.

Kiedy się tak wędruje po świecie, wydaje się, że nawet pory roku tracą swe oczywiste granice i zlewają się w jedną szarą, gdyby nawet była wieczną kalifornijską wiosną, porę roku.



Mój kraj — od doliny jednej rzeki do drugiej, od jaru do jaru, od Miodoborów i Pantalichy do zębiastej sierry Karpat — mój kraj w soczyste lato, kiedy zieleni kopuły drzew idzie w zawody z zielenią łąk, a srebro falujących łąków żyta odbija niebo, w czerwoną jesień, kiedy w Wieczór Zaduszny palą się naokoło widnokręgu cmentarze jak ognie alarmowe, w matowo-białe noce zimowe, kiedy zadyмка porywa z zasp śnieżnych sztandar kurza-wy, wyjącego tryumfu nad bezziałą człowieka, a nagie gałęzie drzew smagają bluźnierczo niebo, w dniu przedwiosenne, kiedy

znad kałuż błota nadlatuje najbardziej mistyczny, upajający zapach, mój kraj roślin sprzyjających człowiekowi i ścielących się u jego stóp i rozwieszających nad głowami w bezcenne tło, kraj zwierząt najłagodniejszych i najprzedziwniejszych w formie i czarze ruchów, kraj ludzi naiwnych i prostych, od urzędnika XI kategorii Izby Skarbowej, kowala i powróznika miasteczkowego, astmatycznego rządcy folwarku, policjanta zgarbionego na powodzie, dziewczyny o złotych kosmykach włosów na karku i czerwonych, rozchylonych ustach, kiedy pochylona nad okopywaniem ziemniaków, kłusownika spotkanego na przesiece leśnej, nieogolonego kierowcy żydowskiego obdrapanego autobusu — mój kraj jest krajem czterech pór roku.



Jest gorące lato. Z granatowej kopuły nieba leje się żar. Pola z nieporuszonymi kłosami zbóż są w południowej porze puste upiornie. Jedynie strzyga Południcy tańczy i wiruje na rozstajach miedz. Ultramarynowy cień nad przyzbą chaty. Mała i ciemna sień i puste ubóstwo izby z wonią starych wianków i zaduchem chłopskiej biedy. Muchy gęsto popstrzyły obłupaną emalię tarczy tandetnego zegara, wiszącego na oddrzwiowej ścianie, tarczę z naiwnym, jarmarcznym malowidełkiem kwiatów. Od garnków na dymiącym ognisku na zgrzytających dwanaście uderzeń odrywa się młoda, zdrowa kobieta z kapryszącym niemowłęciem na rękę. Patrząc w górę na zegar, podnosi ciężarki, pordzewiałe i czarne.

Na wiórach i plewie podwórza stoi rozkraczony wóz, podniesionym dyszlem celujący w zenit. Piasta i dzwony kół nieomylnie wykreślone cyrklem, wyrobione bardą i toczydłem kołodzieja, który umiejętność swoją odziedziczył w niezapisanych prawidłach od całych pokoleń nauczycieli, wykonujący je w ociekającym potem trudzie w zimowe, krótkie dni. Nie wiem, czy czoło jego marszczyła myśl, raczej sędzę, że w hieratycznych sposobach i nakazanych ruchach było więcej jakby instynktu i odruchu. Ściosywał włókna drzewa ośnikiem, parzył grabowe kręgi dzwonów, jakby odprawiał nabożeństwo o swoistej liturgii. Oto wytaczał dzieło swych rąk na światło dzienne, osądzał okiem nieomylnie proporcje i stosunek rozwory, luśni, kłonic, wag.

Brony pod ścianami szczyrzyły swe kły do słońca, ściągnięte łykowymi obręczami putnie z drzewa poczerniałego od starości i wody wiszą u żurawi nad czarnym lustrem krynicy. Pod okapem strzech, na tle białych i farbkowato-sinych ścian, lepionych z warkoczy słomy umazanych w glinie, wiszą złote kaczany kuku rydzy. Ażur liści jesionowych przepuszcza promienie słoneczne

w japońskie obicie liści bambusu. Około chat rosną pokrzywy, łopiany, burzany, tłum roślin homotropijnych, towarzysze człowieka, pariasy śmietniskowe. Przywędrowały tu za nim ze stepów środkowoazjatyckich, sprzyjacielone z nim na dolę i niedolę. Malwy pną się pretensjonalnym ornamentem na tle ścian i wdziewczy się drzewko wiśni, cudowne zawsze i zachwycające „w opłotkach brudnych wsi”.

W gorące lato kiedy się szło do dalekiej kąpieli, całym naskórką spragniony zanurzenia się w stojące wody stawów, wspominam ścieżki do nich wiodące, elastyczne i miękkie, odbijające wiernie ślady stóp ludzkich, malutkie podkówki butów chłopek, wśród zwisających gałęzi wierzb, czered białopiórych gęsi na rozległych wygonach. Stojąca w szuwarach woda wydziela ostry zapach butwiejących trzcin, ostro i rybi. Z rozkoszą pomieszaną ze wstrętem zanurzałem się w ciemną toń porośłą trzciną i żabim skrzekiem. Żuki na szczudłowatych nogach pobiegały po jej powierzchni. Grube, skórzane liście lilij wodnych leżały płasko na wodzie. Łodygi wodorostów oplatają i łaskocą nogi i pęcherzyki gazu błotnego z bulgotem przyskają naokoło mnie. Grobla zamykająca stawy szczyrzyła się próchniejącymi patykami faszyny i leniwie przeciekała woda w brodatym od mchów wodnych jazie. Mokną obręcze kół wozów po osie w wodzie stojących i kręgi rozchodzą się z miejsc, gdzie kąpią krople z pysków pijących koni.

Potem leżałem nago na stratomanej trawie brzegu, mając gęsią skórę od zetknięcia się z taką surowizną, bez izolacji ubrania. Patrzyłem w przepaść nieba, rozwartą nade mną czy pode mną?

Patrzyłem na obłoki. Podobno była to ulubiona zabawa królów perskich — patrzeć na chmury, na obłoki. Te najczarowniejsze wykwitają na południo-wschodzie. Układają się w głąb, zdecydowanie wyraźnie. Ta stereoskopowość zależy w znacznej mierze od oświetlenia słońcem w porze popołudniowej. Rzucają na siebie wzajem cienie i te w cieniu nabierają fioletowej barwy, w odróżnieniu od różowej bieli ich partii oświetlonych. Nagrzany słońcem słup gorącego powietrza zaczyna znaczyć swój komin wznoszącym się kłębem cumulusu, przeradza się niewidocznie w kształty, które kaprys i wyobraźnia przyodziewa w porównania od banalnych asocjacji wzrokowych do surrealistycznych kompozycji. Rozpływa się potem w charakterystycznym kowadłe chmur. Sztuka obserwacji chmur jest nieodłączna od stanu rozleniwienia, który absolutnie nie pozwala na rzeczowe skojarzenia i logikę trzeźwości.

Albo inne, kiedy z wujem mym Mamertem Górskim wyjeź-

działem małym wózkiem o jednym dużym siedzeniu, tzw. amerykańką, w pole do robót. Przy niebosiężnych stertach zboża dymił komin lokomobili i w straszliwym pyłe i kurzu młocarni zwijały się dziewczyny w czerwonych zapaskach a bęben młocarni wył ponuro w chwilach wolnych między jednym a drugim kęsem chrzęszczących snopów. Tymczasem fornałskie czwórki na gorąco zaorywały ścierniska między stertami i czarnoziem na lśniących skibach dymił w zachodzie słońca. Jakież drzewa rozczapierzały się wzdłuż drogi i ja, czekając na koniec rozmowy, jaką miał mój wuj z ekonomem patrzyłem na obłoki południowozachodu, obłoki układające się kompozycyjnie jak dalekoplanowe pejzaże u malarzy quattrocenta, wydłużające się w dalekie perspektywy, w dale, kłębiące się kopułami i minaretami Bagdadu chmur, stwarzające dantejskie kręgi, przestylizujące się w feerie o klasycznej harmonii.

Nie miałem świadomości, patrząc tak, nie miałem wycucia przepływającego czasu, czy też wydawało mi się, może najśluszniej, że ta chwila sama jedyna w sobie powinna mi wystarczyć na zawsze, że urągając przemijalności pozostanie moją nieodpartą własnością, raz utrwaloną i jedyną.



Chodziłem popołudniami na długie wędrówki po wzgórzach. Towarzyszył mi w tych peregrynacjach młody pies, bastard legawej suki i jakiegoś kundysa, po którym odziedziczył ordynarny czarny włos, a po niej piękne kształty. Imienia jego nie przypominam już sobie. Jak wszystkie młode psy miał ciężkie, grube łapy i zdyszany opierał je na mnie, brudząc mi błotem ubranie.

Chodziliśmy ścieżką wspinającą się na południowe garby wzgórz. Z tyłu za nami pozostawał tor kolejowy z wzniesionymi na przejeździe barierami. Potem mijało się zabudowania cegielni z całym otaczającym ją terenem dołów po wybranej glinie. A potem zaczynały się równoległe biegnące pasma wzgórz. Pokrywał je jakiś nieświeży rodzaj gleby wapiennej i szczyrzył się na niej nijaki plon. Dalej smużyły się lasy.

Wiódł mnie mało uczęszczany szlak-ścieżka. Schodziło się z garbu w niezbyt rozległe alluwialne doliny i zaczynało się podchodzić na nowy wał. Doliny były przepiękne w maju. Zarastały wspaniałą trawą, przetkaną kwiatami, których świeżość i delikatność nieziemska chwytaty wzruszeniem za gardło. Nad biegnącą środkiem strugą wyrastały pochylone pnie wierzb, które, okaleczone w młodości, stroszyły się kulami gałęzi. Ich wicie o młodej połyskującej korze krzyżowały się i splątywały z sąsiednimi.

Trawa rosła prosto i strzeliście i nadawała całemu terenowi urok jakiejś dziewiczości i wrażenie, że to kraina nietknięta przez człowieka od stworzenia świata. Potok sączył się między urwistymi brzegami i chlupotał na wyrwiskach lub napotkanej, spadłej, zagradzającej przepływ gałęzi. Dmuchawce znaczyły pole nietrwałymi punktami i polatywały płatki motyli-kapustników. Cały przedziwny, rozrzutnie rozmaity świat kwiatów zalegał dolinę. Było tam dobrze aż do niepokoju, do niemożności pozostania w miejscu, można było w tym przesycie harmonii i spokoju wytrwać czas ograniczony.

Ochodziłem stamtąd z niezmierzonym żalem i ulgą.

Ten czar trwał określone terminy wiosenne. Ale w jesieni łąka stawała się pusta i łysa, jej cały wyraz ulatywał wraz z kulami dmuchawców, jej starcza martwota nie miała w sobie ani szczypty atrakcyjności. Przebywałem doliny z mym wiernym psem, szybko i wstydzając się niezrozumiałych i miękkich uczuć czasu wiosny.

Mieliśmy ważniejsze sprawy. Ciekawił nas niezauważalnie zmieniający się w oczach koloryt pejzażu w jesieni. Po zbiorach, kiedy grunty zostały zaorane, a oziminy jeszcze nie wzeszły, ziemia jak odarta ze skóry czerwieniła się kolorem gliny. Lasy czerniły się nieregularnymi plamami i przechodziły w kobaltowe smugi na horyzoncie.

Panował już ostry chłód i bieleły się urwiska gliniastych wzgórz plamami pierwszego szronu, kiedy ja i pies zawędrowaliśmy tam jednego dnia. Przedzieraliśmy się džunglą nieprzebytą pni leśnych, zagajników i polan, z wysoką na wzrost człowieka, żółtą, jeszcze letnią trawą. Graby i dęby, świerki i dzikie grusze. Wjazdy do tajemniczych swymi perspektywami linii leśnych, zamknięte z gruba ociosanym pniem, na którym płoszymy złotopiórego bażanta. Sokół jak Hawker-Hurricane unosił się wysoko w zenicie. Zapuszczamy się w gąszcz z drgnieniem i uciskiem serca. Wieje od lasu pustką i pełnią spraw, które są nie do poznania dla człowieka. Jest niezrozumiała i upokarza mnie jego zamknięcie się w sobie. Tylko końące są wdzięczne i smukłe jak panny drzewka brzoź. Błyskają jedwabiem kory i obsypują się pyłem drobnych, żółtych listków. Żółtość ta jest specjalnego rodzaju, bardzo ciepła, jakby dla brzoź tylko zarezerwowana.

Pochyłam się na krętej drodze leśnej nad ścierwem lisa. Jego futerko płomieni się, w wyszczerzeniu się śmiertelnym zębów naśmiewa się i odgradza od świata, zanim milczący koniec sprawią mu krogulce i wrony.

Wracaliśmy pod wieczór w pobok wsi. Ze wzgórz, z kęp drzew, z osiedli i samotni wyrastały cerkwie. Trzy piętrzące się piramidy dachów, czworo- i ośmiościanów. Stare gonty zastępuje

często sina biel blachy cynkowanej. Wyglądają z daleka jak galeony z rozpiętymi wszystkimi żaglami. Płyną ze wschodu na zachód po tajemniczych farwaterach, według niezgłębionych róż wiatrów. Czerwienią się w zachodach słońc, czernią na tle wygwieżdzonego nieba, kołyszają w tumulte świątecznego, pośpiesznego bełkotu dzwonów, palą się w nich ikonostasy i carskie wrota, wierna załoga diaków, popów i dziadów okadza ich święte przyciesie i zręby. Ich zewnętrzne okapy osłaniają wyparte przez jarmaczne oleodruki naiwne prymitywy sztuki malarskiej Bizancjum. Wyobrażona na nich Trójca Święta surowo odgraniczy dobro od zła, niebo od czeluści piekielnych, na których czerwonym tle straszni i komiczni szatani wykonują smutny obowiązek dręczenia potępionych. Budowane są bez użycia funta żelaza. Ich ściany z dyli kładzionych wieńcem łączone są na zawity zamek, którego skomplikowany, uświęcony wiekami zacios został przyniesiony tu z pamięcią cedrowych słoików drzew Pamiru czy od czasów, kiedy Wikingowie, porzuciwszy swe kościoły, z przewróconych dnem do góry łodzi zaczęli stawiać swe pierwsze gontyny. Cmentarz około cerkwi, święty teren zabaw i gier tak starych prawie jak alluwalne doliny, w których stoi merkwiszcze, otacza sędziwy parkan o deskach wypuszczonych i stłających od starości.

Kiedy wracaliśmy do domu, to już ostre ćwieki gwiazd nabiły dekoracje strato-cumulusów na południu.



Siadywaliśmy wieczorami w pokoju na dole, pokoju, który w miesiące zimowe służył za salon, jadalnię, pokój lekcyjny itp. Był urządzony ze spartańską prostotą, pozwalającą na połączenie kompletu wiktoriańskich mebli, ciężkiego gdańskiego kredensu i wyplatanych trzciniowych foteli. Na kaflowym gzymsie kominka kilka greckich, miniaturowych dzbanuszków z bladymi śladami malowanych liści akantu i srebrny komplet do czarnej kawy z zimnymi błyskami na polerowanych płaszczyznach.

Salon był pomalowany na różowy, „pompejański” kolor i na tych ścianach odcinały się jedynie złoczone, owalne kopie Fragonarda, wycięte ze świątecznych numerów *l'Illustration*. Ciężka zasłona z zielonego wojłoku dzieliła salon od sieni-hallu. Tu czerni się podłużna szafa stojącego zegaru. Pociemniały mahoń lśni w blaskach ognia. Za szkłem bezszelestnie chodzi tam i z powrotem dysk wahadła. U góry błada, matowa tarcza z wydłużonymi rzymskimi XII, I, II, III, IV, VIII jak szprychy koła zbiegającymi się do środka. Pośrodku wycyzelowany napis: *John Wait London*.

Wśród blaszано-suchych dożynkowych wieńców roztaczają swe skrzydła wypchane orły i rybołowy. Pełno gratów ze wsi i szlacheckiego gospodarstwa. Jakieś panwie miedziane i pokryte grynspanem, do smażenia ryb, rogi kozłów, wieńce jelenie, utwierdzone na drewnianych tarczach z wypaloną na nich datą i miejscem zdobycia trofeum, „Hurcza 1878”, „Zielony Kąt w marcu 1838”, „1867 Halileja”, kły i czaszki dzików, wyleniałe skóry borsucze, muszle morskie białe i kolorowe, gładkie i nakrapiane z niezapomnianym szumem dalekich mórz kiedy ich różowe konchy zbliżyć do ucha, szatkownice do kapusty, beczki, kufry, skrzynie, meble i fotele z wyłazającym włosiem, przesiąknięte zapachem cygar, rozmaitego rodzaju bibeloty, świeczniki, fajki, popielniczki, dywany stare i wytarte, na których utkane były i wyobrażone sceny z tawern, gdzie kawalerowie w kapeluszach ze strusimi piórami i w butach z wywiniętymi cholewami umizgali się do piersistych i koronkami przybranych Flamandek albo psy monstrualne i rasowe obracały swoje łagodne oczy na pawie i perlice. Szytchy, litografie kolorowe i staloryty.

Na zewnątrz tło stanowią potężne drzewa. Wyrosłe przy domu, osiadły słupami pni, przechodzących w górze w czarną i fiołkową siatkę gałęzi i gałązek. Na trawniku przed domem, trawniku pocukrowanym teraz śniegiem, na kamiennym, empirowym postumencie zegar słoneczny. Szara, poczerniała od deszczów płyta ma wyrysowany, wryty *sun dial*, osadzony szpizowy wskaźnik jest pokryty zielonym nalotem.

Kiedy na świecie jest ponury, zaciągnięty chmurami dzień, kiedy smugi śniegu wleczone wiatrem siekają szare mury i okna domu, wydaje się, że zegar słoneczny emanuje z siebie akumulowane w gorące dni lata światło słoneczne.

Odwoziłem Pannę na stację kolejową, kiedy wyjeżdżała do Lwowa. Było niedzielne popołudnie, a właściwie wieczór, kiedy tak szybko zapada zmrok na zsiniałe w mrozie pola śniegu. Nie chciałem psuć fernalowi niedzieli i sam poszedłem do stajni „zakładać”. Wrota stajni zawsze otwarte, zima czy lato, kryły czeluść mroku. Ostry zapach końskiego nawozu. Po ciemku zachodzę konie od tyłu. Na pamięć odnajduję uprząż. Parciane szleje z guzowatymi postronkami, szorstkie lejce, naszelniki z dzwoniącymi łańcuchami zostają zawsze u dyszla sań. Konie posłusznie na głos „następ!” przypierają się do przedzielników, na chwilę odrywają pyski od chrupiącego obroku. Nakładając uprząż obejmuję ich drgające życiem szyje oburącz. Opierają się, kiedy je kietznam i wyprowadzam ze stajni. Trudno jest zaczepić stwardniałe jak żelazo pętle postronków o orczyki.

Wodze rozdzielone. Przysiadam bokiem niskie sanie, przy-

sypane podściółką słomy, tak że nie widać niskich płóz w śniegu. Popuszczam wodzy niecierpliwącym się koniom i zrywają z miejsca. Łukiem zajeżdżam przed ganek. Panna jest w dużym futrze, w lisim kołnierzu znika jej twarz, oczy tylko błyszczą pod kresą kapelusza. Uduje mi się przykryć słomę kraciastą derą, a nam nogi ciężką baranicą. Konie ponoszą z miejsca. Sanie płyną między niewyraźnymi brzegami drogi. Śnieg jest kopny i sypki. Kiedy wyjeżdżamy poza ostatnie płoty zabudowań, dostajemy uderzenie wiatru i niesionego śniegu. Widzę przed sobą tylko buchające parą kłęby końskie w rytmie wyciągniętego kłusa. Biel śniegu zlewa się z mleczną kopułą nieba w jedną białą kulę. Powietrze łopocze jak sztandar na wietrze i huczy jak żagle brygantyny. Wychynie od czasu do czasu cień samotny przydrożnej wierzby, ledwie widoczny za muślinem zadymki. Mróz pali twarz i czuję jego kleszcze w końcach palców, mimo rękawiczek. Koło oczu przelatują grudy wyrwanego kopytami śniegu.



Kiedy pierwsze wiosenne promienie słońca tają śnieg na wydeptanych drogach ludzkich, górą w zenicie przeganiają się obłoki w pośpiechu gnane przez ciemnolazurowe zatoki nieba. Wicher zimny potrząsa nagimi gałęziami drzew. Czarne wody rozlewisk wiernie odbijają niebieskie gonitwy. Jest to może okres, kiedy niebo jest najbliższe ziemi. W innych porach roku dotkliwie odczuwam *splendid isolation* przepaści niebieskich, olimpijskie odosobnienie ich spraw od tak zwanego ziemskiego padołu.

O wiosnie jest bardzo trudno pisać, bardzo łatwo jest wpaść w banał, emfazę i patos. Wobec jej wspaniałego zjawiska powtarzalnego cudownie co roku stajemy popodpierani zewsząd pleonazmami i truizmami, wydawałoby się, że jest to wszystko znane i otraskane do znudzenia.

Wychodziłem rano na gazon, gdzie stał okaleczony pień, kadłub kasztana. Był skośnie ścięty piłą na wysokości półtora metra, ale oszczędzono mu jakiejś gałęzi, która groteskowo i kapryśnie powykręcana, jak namalowana tuszem na chińskim obrazku odstrzelała w bok od martwej masy pniaczyska. Jej zgrubienia i zakończenie wypuściły pęki skupione, brązowe i lepkie. Czuło się w nich niebywale skupione, zamagazynowane życie. Co ranka widzieć można było postęp uparty i samolubny w ich rozwoju. Oto paki nie są już zbite i caliste, ale zaczynają się delikatnie rozluźniać i rozczapierzać. Brązowa łuska odchyła się i ukazuje delikatną zieleń wnętrza. Jeżeli pochodzi się tak przez tydzień do tego wybranego pnia i myśli się potem w skrócie, to ma się

efekt filmu *au ralenti*, jakby jakiegoś naukowo-popularnego filmu z życia roślin. Przymknąć tylko oczy i gałąź rusza się i wiję przerażająco i rośnie w oczach i wydłuża, bezwstydną poród na oczach odbywa się z całą siłą i energią natury. Pszczoły, wczesne i odważne, pszczoły pierwszych dni wiosny dają się nabierać na ostre zapach pąków i przyklejają się do ich ociekających roślinną posoką łusek. A potem rozprostowują się pierwsze listeczki. Są jasnozielone, mają jeszcze swe delikatne fałdy i złożenia i dopóki nie podrosną, są trochę wstrętne i miniaturowo zniekształcone jak embriony wczesnych miesięcy poczęcia, widziane w słojach kliniki położniczej.

Potem już wybuchają w zawrotnym tempie pierzaste skupiska liści rezolutnych i tak naturalnie się czujących, jakby tu trwały od czasu lasów paprociowych okresu dewońskiego. Kiedy będzie to rok róży chrabąszczów, to niedługo będzie ich pyszny żywot. Zostaną po nich objedzone łądygi i drzewo długo przecierpi, zanim wyda ich następną edycję, anemiczną i schorzałą, już w pełni upalnego lata.

Nie można zapatrywać się na wyłączne zjawisko wiosenne kasztana, choćby to dla nas było łatwe takie ześrodkowanie, ale należy patrzeć uważnie, co się dzieje dokoła. Trawa naturalnie już dawno i niepostrzeżenie wybujała po rowach, sadach, łąkach, skarpach, pastwiskach, między grządkami, na starych dachach i murach. Wszędzie gdzie jej nie posiali. Jest pierwsza, ale ustępliwa. Toruje drogę, daje przykład tysiącu fantastycznych bylin i roślin, które zaczynają prześcigać się w konkursie kształtów, oryginalności i ekskluzywności wyglądu, odcieni zieleni, pór kwitnienia i umierania. Rośnie to wszystko na grobach swych przodków sprzed roku, tu odbywa się ceremoniał ich aktów miłosnych, tu popieleją potem w blaskach gorącego słońca i gniją w wilgoci wielodniowych słoń. Depcze po nich stopa niecierpliwego człowieka i kopyto cierpliwego zwierza. Chylą się w wietrze dmącym od północo-zachodu i plami je cętkowany cień słońca. Patrzą kwiatami jednych w niebo i zamyślają się pochyłymi kielichami innych nad próchnicą. Upadają, gdzie je stratoowano i podnoszą się tam, gdzie słońce i woda najbardziej sprzyjają. Pachną nazwami, jakie im nadali uczeni maniacy, znachorzy leśni lub zakochani.

Do miasteczka jechało się przez tak zwane „Czarne”. Droga powoli wspiniała się na płaski garb, na którego szczycie rozpinał ramiona krzyż zapomnianego cmentarza wojennego. Potem biegła wśród akrów zielonej oziminy, przechodziła rozlewiska strugi, zające podrywały się spod miedz i daleko podlatywały z najsmutniejszym krzykiem czajki. Koło karczmy na rozstaju wózek

miętko kołyszący się w cieście błota chwycił wartki rytm na bitym gościńcu. Siedzący na koźle Pańko sztywny i poprawny, umiejętnie wybierał lepsze miejsca źle utrzymanej arterii komunikacyjnej. Ściśnięty pasem, z podwiniętym, kraciastym kocem podróżnym, nigdy się nie oglądał i oszczędnie zażywał bata rwącym i tak koniom.

Droga znaczonea pryzmami tłucznia, szła zdecydowanie prostą linią od zakrętu do zakrętu. Po obu stronach zieleniała, przetykana plamami piasku, trawa. Dął wiosenny wiatr i lśniły wiosenne kałuże. Sosny małe i rozkrzaczane chyliły swe srebrnosiwie korony. Z turkotem mijało się most młynówki, w cieniu wielkiego gmaszyska młynu. Na bramie wjazdowej widniał runiczny Lis, herb jakiegoś magnackiego właściciela. Znów zakręt i wjeżdżało się w zwarty las sosnowy. Nadbiegały dalekie i świetliste perspektywy linii i przesieków leśnych. Wśród drzew rządziły się sroki o długich ogonach i błyskały białymi piórami.

Potem las kończył się i niespodziewanie ukazywały się zabudowania miasteczka. Chaos dachów, beznadziejne słupy telegraficzne z lśniącą bielą porcelanowych izolatorów. Trzeba było długo czekać przed zamkniętym przejazdem kolejowym, za którym sapała spocona lokomotywa.

W końcu z budki nastawniczego wychodził zgarbiony kolejarz i kręcił korbą mechanizmu rampy.

Miasteczko ze swymi domami, które słoty i ubóstwo poplamiały trądem było szare i płaskie pod sklepieniem niebios. W uliczkach biegnących do rynku cisnęły się do siebie żydowskie sklepiki. Otwierały swe drzwi z łuszczącą się na deskach farbą, obwieszone żelaziwem, łańcuchami, tandetą manufaktury, wiankami cebuli i krzykliwymi reklamami cykorii z emaliowanej blachy. Ubóstwo i codzienność tego miasteczka przenosiły je prawie w sfery mistyczne. Chodziliśmy z Panną wśród tych uliczek za jakimiś interesami, ale właściwie byliśmy jak zazadzeni. Niebieskie niebo przezierало ponad dachami, które przeżarła rdza tam gdzie znikło posrebrzenie cynkowe. Ściany domów bladoniebieskie lub bladoróżowe popstrzone były odpryskami błota i gliny.

Obszerny rynek jest źle zniwelowany i podle zabrukowany, ale dzieje się to w cieniu wspaniałej kolegiaty, o liniach renesansu tak czystych, że doznaje się po prostu fizycznego ukojenia. Harmonia gmachu, jego spokój, duma, skończoność dają wrażenie zamkniętej myśli ludzkiej. To nic, że dzieje się ta architektura na najbardziej ubogim tle, że ubóstwo i pustka jej towarzyszące, zapomnienie i nieuchronna groźba czasu nad nią zawieszane chciałyby pomniejszyć tę wspaniałość. Chodzimy naokoło tego kościoła, dotykamy ukradkiem chropawych murów, zanurzamy

się w cień jego wnętrza. Różowy marmur jest świeży i rumiany, jakby nim okładano ściany nie trzysta lat temu, ale wczoraj. Ciężkie płótna obrazów Altamontego czernią się kolosalnymi kwadratami na murach naw i u dołu wiszą fałdą jak żagle. Alabaster pomników nagrobkowych ma ciepło skóry kobiecej. Kopuła na transepcie pęka i wpuszcza wodosпад światła.

Stoimy w otoczeniu żydowskich dzieci i niedojdy nosiwody miasteczkowego i podziwiamy jeszcze portal kościoła, który jest już barokowy, z wrzeźbioną infułą i herbem biskupa, którego czarny szkielet leży pod wydeptaną płytą w głównej nawie, potem znów chodzimy po zaułkach miasteczka, zaglądamy w bezdenną studnię u wejścia nad stawy, mijamy domki i drewniane i oszkłone ganeczki mieszczan, chodzimy zabłoconymi drewnianymi chodnikami niedostępnymi dla dostojnych i szanownych jak w Indiach krów.

To było żydowskie święto Hamana i te dzieci ciągnące się za nami były niezdarnie i litościwie śmieszne poumazywane na twarzach prymitywnymi kolorami i węglem i w papierowych przybraniach głów. Dzieci były krzykliwe i wyraźnie nami urzeczone. Trzymaliśmy się z Panną pod ręce, z trudem zachowywaliśmy równowagę nad kałużami, które otwierały pod nami przepaście z błękitniejącym niebem. Chodziliśmy po składach drzewa, gdzie żywiczno-terpentynowe wonie rozlewały się między stosami desek. Trociny zasypywały błoto żółtawą mąką. Wychodziliśmy ze składów i znów natykaliśmy się na dziecięco apokaliptyczne pochody.

Słońce przetaczało się ponad miasteczkiem i rzucało urzekające blaski na dachy i płoty. Pańko odmotywał wodze od słupa i kiełznał niecierpliwiące się konie. Długie skośne promienie leżały w poprzek drogi. Szczyty drzew złociły się jak unurzane w złocie. Furman nie oglądał się wstecz.

Nowa Polska, tom III, zeszyt 3 z 23 marca 1944.

OGRÓD JEZUICKI

Można przesiadywać godzinami pod wysokimi drzewami Ogrodu Jezuickiego. Leży on na łagodnym stoku nachylonym ku północy, dlatego nigdy nie będzie wypalony przez prostopadłe promienie słońca, a wysokie drzewa użyczą mu zawsze ochrony.

Wysokie drzewa! Rosną grupami, ich pnie pionowo wznoszące się zaczynają się rozwidlać dopiero na zawrotnej wysokości kilkudziesięciu metrów. Srebrny liść topoli nadwiślańskiej przepłata się z czerwonym liściem buku. Chyba nic na ziemi nie uwydatnia tak dobitnie naszej zależności i pędu do słońca jak gałęzie drzew. Bo żeby się tak oderwać od ziemi, rozstrzelić na tysiące gałęzi i gałązek, które zazdrośnie i przemyślnie szukają własnej drogi do słońca, zakołysać się w osiągnięciu i zachwycie pod jedyną i nieziemską czaszą błękitu, to potrafią tylko drzewa. Myślę, że najbardziej chyba godnym przetrwania i najwspanialszą reinkarnacją dla człowieka byłoby przeistoczenie w drzewa, być parą Filemona i Baucis i zostać wiecznie razem drzewami.

Od czasu do czasu miałem być świadkiem śmierci drzew. Bywało, że jakiś energiczny kierownik parków miejskich przerzedzał albo usuwał chore czy niepotrzebne osobniki. Wtedy przez długie dni można było widzieć flegmatycznych drwali pochyłych i manipulujących u dołu pnia wybranego drzewa. W otoczeniu niezawodnej grupki gapiów przy pomocy wyslizganych przez pracę i ręce narzędzi podcinali u dołu nieobjętego kolosa. Dziwnym było patrzeć, jak korona drzewa żyła i szumiąca wysoko w górze, na wyżynie sześćdziesięciu metrów, kiedy u dołu szeroka piła w zęby w jaskółczy ogon cięła włókna i słoje, a stalowe obuchy toporów wbijały kliny o rozczapierzonych głowach.

Potem w jakiejś niewiadomej chwili, następowało kołysanie się wahające drzewa, które nagle wyrwane zostało z życia i posta-

wione na krawędzi nieuniknionego i nagle rwąc liny i łamiąc z trzaskiem drzewa i bariery wokół, w rozpacz walił się ten świat zielony na ziemię. Potem jeszcze parę trzasków, jakieś stare liście, nie wiadomo skąd się wzięły zakręcają się w powietrzu i lądują między gmatwaną gałęzi — i spokój...

Przez wiele dni potem najemnicy przecierają trzon na olbrzymie człony, siekiera unosi się z zamachem nad kolanami gałęzi, gapie mniej widowiskowo, raczej filozoficznie, asystują tym pogrzebowym obrządkom. Po tygodniach miejsce zostało wykarczowane i przekopane, zieloniutka ruń świeżo zasianej trawki ukazuje się spomiędzy czerwonych grudek i jedynie naprawione ogrodzenie świeżością drzewa i naciągami drutów wskazuje, gdzie padło drzewo.

Nie należy do najweselszych zajęć obserwowanie śmierci, a śmierć drzewa potrafi być równie wstrząsająca jak śmierć człowieka.

W tym to Ogrodzie Jezuickim przesiadywały niańki z żydowskimi dziećmi z rodzin postępowych, bezrobotni, weterani powstania '63 roku, studenci prawa nad Pandektami i w niedzielę, po południu służące, które mają „wychodne” i żołnierze na przepustce (*servantes et les militaires* — jak mówiła babcia Panny).

Dom babci stał naprzeciw ogrodu.



Czarne gałęzie drzew parkowych na tle czerwonych ścian tego domu wycinały się jak siatka na czerwonej, popękanej lace. Okna były zakratowane i okno pokoju Panny, znajdujące się ponad bramą wjazdową, wydawało się oknem, przez które zaraz wyjrzy kasztelanka, tyle dziwacznej sztuczności, jakiegoś chorobliwego romantyzmu, w ogóle atmosfera kompleksów zaczęła narastać wokół tego wszystkiego.

Kiedy zdarzyło się, że w okresie rekonwalescencji przyszedłem raz do szpitala (był to dzień odwiedzin chorych z tymi straszliwymi „od 14-tej do 15-tej”) i kiedy w czeredzie kochających bliskich tych wszystkich, którzy tu cierpią, obłądowanych rozmaitymi rzeczami do jedzenia i innymi niepotrzebnymi wszedłem w podwoje szklanego sanatorium i po lśniącem linoleum do sali, gdzie było jej łóżko, przekonałem się że jest ono puste. Chore towarzyszki z zaciekawieniem i satysfakcją i współczuciem powiedziały mi, że Panna wyjechała już, dzisiaj w towarzystwie ciotki, dorożką. Jakbym dostał obuchem w głowę!

Wróciłem do miasta kłusując wargi i chwile minęły z czerwo-

nymi płatami żalu i wściekłości przed oczyma, zanim zacząłem pisać list. Potem zaklejałem go i śliłem znaczek, przylepiając go w rogu.

List odniosłem na pocztę, a sam poszedłem, gdzie Ogród Jezuicki i dom jej babki. Wiedziałem, że tu jest, że nigdzie dalej jej nie powieziono, i chodziłem krętymi ulicami parku, drzewa mijały się ze mną i pomiędzy sobą i czerwony dom zasłaniał się i odsłaniał wzgórzami i fałdami ogrodu. Żwir zgrzytał pod podeszwami spóźnionych przechodniów i szemrał daleki ruch uliczny.

Potem zaraz dostałem list od niej, list ogromnie przestraszony i tłumaczący coś, ale przede wszystkim wzywała mnie do siebie i zaraz, natychmiast, poszedłem do tego czerwonego domu. Ona stała w tym oknie nad bramą, zabawna, urocza i kochana, jak kasztelanka z romansu dla kucharek. I wyszła do mnie na schody, i zaprowadziła do ciężkiego, wiktoriańskiego salonu, niczego nie widziałem tylko ją samą.

Ignorowaliśmy domowników, którzy obrażeni, nadąsani i ary-stokratyczni, od pokojówek do ciotek dyskretnie, uprzejmie demonstrowali wstręt do tej nieuniknionej sytuacji.

Pojawił się na horyzoncie karzełkowaty gryfon, As, Asik i on jeden raczej przychylnie ustosunkował się do nas dwojga.

Puls wybijał mi czas.

Panna przyniosła jakiś tam aparat fotograficzny z nieskomplikowanym obiektywem i w słońcu balkonu od podwórza narobiliśmy ogromnie wiele „snapshotów”, nawzajem siebie i w towarzystwie Asa.

A potem nie trzeba było tłumaczeń i wyszedłem i mieliśmy się znowu widzieć.

Było już późne popołudnie, wieczór i zapamiętam to Popołudnie, ten Wieczór na całe życie.



— Panie mistrzu, nie da pan szluga?

Dziunek Fisz mówił najohydniejszym slangiem i miał delikatne ręce o długich, wrażliwych palcach.

Dziunek Fisz miał najdłuższy okres zarobkowy w swym życiu, kiedy raz przez trzy dni zrzucił śnieg z dachu Hotelu Krakowskiego, po nawalnicy śniegowej, która zatopiła miasto w białej pierzynie.

Kiedy księżę d'Aosta podbijał Abisynię, wybierał się ten Dziunek do Addis Abeby i nosił przez szereg tygodni przydomek „Abisyńczyka”.

Potem wybierał się na wojnę domową do Hiszpanii, nie precyzując i niepewny, czy jest po stronie Falangistów, czy Republiki.

Normalnie jednak sprzedawał w Pasażu Mikolascha drut ołowiany, pocięty w kawałki jako „kamyczkidozapalniczk” albo prezerwatywy „Olla Gum?!", patent odznaczony złotym medalem na wystawie higienicznej w Cluj, a wieczorem można było słyszeć jak recitativo skandował na ulicach: „Falanga — pismo przeciwko Żydom dziesięć groszy — Falanga!” — kończył tryumfalnie jednym tchem wyparty slogan.

— Daj pan się sztachnąć!

Ale Dziunka Fisza spotkałem już zupełnie późno wieczorem.



Kiedy przed wieczorem wyszedłem z domu „babci” mojej Panny — zgrzytnęło szkło pod moimi obcasami.

Wieczór zasnuwał się ciężkimi chmurami, ciemnogramatowymi chmurami. W jednym tylko miejscu psuł się ten ich kolor na brudno-rudo-czerwony i ta osobna chmura na tle tamtych martwo zawieszonych w powietrzu, żyła i kłębiła się i rzędziła i nadpływały jej z dołu w sukurs kłęby nowe i tłuste. I wtedy uprzytomniłem sobie, że nie jest to chmura — pali się gdzieś — pomyślałem.

Paliło się w stronie jak Kazimierzowska ulica.

Koło poczty szkło znów zgrzytnęło na chodniku. Rolety sklepów były opuszczone, ale niektóre wisały krzywo, inne w ogóle nie były zaciągnięte i wtedy można było widzieć tafle szyb wystawowych pęknięte i wywalone kawałkami na chodnik.

Ten nieporządek i nienormalność zaczęły mnie zajętego myśłami drażnić i powoli wdzierać się do mojej świadomości.

Ulice były puste i bez życia, wieczorne światło nieciężko błyski w tych szklanych inkrustacjach bruku.

Nie było żadnego ruchu.

Kiedy wszedłem na ulicę Kazimierzowską, przekonałem się, że pali się nie tam, ale wyżej, jak początek Gródeckiej, gdzie były jakieś składy i widać tam było czerwone iskry, buzujące w powietrzu i łuna czerwona odbijała się w szynach tramwajowych.

W poprzek ulicy leżał wywrócony tramwaj, wydawał się bardzo ażurowy bez szyb, które rozsypały się szklanym pyłem. Był czerwony jak pomadka do ust i jego spód, jak podbrzusze chrabąszcza, wstrętne i inne od gładkiego i malowanego nadwozia ukazywał ukrytą za normalnego dnia maszynię silnika elektrycznego Siemens-Schuckert i skomplikowany system pneumatycznych hamulców Brown-Bovery. I mimo tego wydawał

się tandetny jak zabawka nakręcana kluczem, popsuta i pozostawiona w nieładzie na środku dzieciennego pokoju.

Teraz już szkło nieprzerwanie zgrzytało i zgrzytało pod nogami i w tym zgrzycie nadchodził ktoś naprzeciw mnie i był to ktoś znajomy — Dr Chełdziarz.

Dr Chełdziarz chciał specjalizować się w kardiografii, ale dyżurował na Stacji Ratunkowej.

Wpadł na mnie i zapytał:

— Nie ma pan papierosa?

Zdziwiony, bo nienawidził tytoniu, poczęstowałem go i zaciągnął się i zaklął:

— Do bani — rozumie pan — do bani z całym humanitaryzmem i resztą. Czy pan wie, ilu ja dzisiaj obrobiłem? — chował poplamione mankiety od koszuli...

— Co się stało?

— Co się stało?...



Poprzedniego wieczoru szedłem z Tadzkiem Warą na nasze zebranie.

— Poczekaj — zaraz — mówił mi przed drzwiami Tadzio Wara — już mam!

*... gdy po raz pierwszy w dom ten wchodził
ktoś z bywalej tutaj młodzi
tak mi rzekł o domu tym:
mama kurwa, tato złodziej
syn, rzekłbym, mię nie obchodzi...
ale córkę poznałbym...*

Schodziliśmy się bardzo przypadkowo. To były półoficjalne mityngi, te rzadkie posiedzenia Trubadurów i Trouverów, z przewodniczącym, zbieraniem składek (nie wiadomo na co) do kape-lusza. Nieodczownych parę dziewcząt, które co rządniejsi ekscytującej atmosfery sprowadzali. Spóźniliśmy się na to i już zastaliśmy Bochenka, który zagłębiany w fotelu bez śladu swego ulicznego zakłopotania i tępoty, w wypchanych spodniach i wykrzywionych butach, mówił pryncypialnie na tematy filozoficzno-literackie z erudycją seminaryjną, pomieszaną z paradoksami i oryginalnością jednokierunkowej manii.

Tadzik Wara ze swą trupałą głową i świecącymi w oczodołach błękitnymi oczami ukazywał w szyderczym uśmiechu zęby jak zęby *caput mors* i przerywał mu dowcipami, które swą brutalnością i *obscenty* szarpały nawet nas, tak zblazowanych.

Połmiński siadał do fortepianu, miał nieprzyjemny tick przed grą — przeżył się, przecierał sobie, a raczej naciskał gałki oczne palcami, zanim te palce położył na klawisze, widać je było odbite w lśniącym lustrze pokrywy, tam gdzie nie było złotego napisu „W. Szkielski i Syn, Fabryka fortepianów” i Rachmaninow wypełniał wnętrze pokoju. Nie lubiłem jego interpretacji, które wchodziły jak utwory paranoiczne z szumiącym u szczytu snobizmem i minoderią.

Nowi goście rzucali płaszcze w przedpokoju na stos i nonszalancko ignorowali panią domu, na którą tym razem padł los goszczenia zebrania. To zdaje się wtedy była Pani Bentzowa, przezywana „Mercedes”, a jej córka kolejno adorowana przez Trubadurów miała więcej realnego poglądu na te sprawy aniżeli mama.

Wszyscy mówili hałaśliwie i prawie naraz.

— My ludzie sztuki — zagłuszał innych Wara — jesteśmy, prawie można to generalizować, jesteśmy bez charakteru. Jeżeli jest to smutne z jednej strony, to z drugiej, właśnie ten brak charakteru, rachityczność kręgosłupów, ciastowatość psychiki daje nam możliwości, materiał, jakiego nie będzie miał pierwszy lepszy, posagowy i jednotonowy przedstawiciel solidności i nudy.

— O bohaterstwie — wpadła Halina Chwacka — może napisać coś porządnego jedynie człowiek, który zaznał szalonej, zapędzonej w beznadziejność trwogi.

W a r a : — Ależ myszo polna, nie może być tu atonia cech charakteru, gdyż rezultatem byłaby matowość, jak u tych posagowych.

Halina Chwacka nie lubiła Wary, ograniczyła się do pokazania mu języka.

P o ł m i ń s k i (od fortepianu): — Raczej to będą stałe niepokoje, nawrócenia i feniksowość zjawisk.

B o c h e n e k : — W każdym razie ten brak charakteru nie jest czymś przyjemnym. Czy nie zdarza się wam spotkać kogoś spoza naszego koła i czy nie jesteście, mówię o przykładzie egzo bo na siebie nie jesteśmy już czuli, i czy nie jesteście potem ogromnie rozczarowani? Temu nie można zaradzić. Wpływa oczywista dysproporcja i fałsz pomiędzy tym, co piszą a jak żyją, jak wyglądają, jak są prostacy, bez manier, naturalnie w tym metafizycznym znaczeniu, pretensjonalni, często gromadzący w sobie dużą część grzechów głównych.

W a r a : — Naturalnie ponad tym wszystkim góruje kabo-tyństwo...

B o c h e n e k : — Wydaje się, że ludzie sztuki — może nie wydaje się, ale tak jest w rzeczywistości — z powodu odżegny-

wania się od przeżywanej rzeczywistości boją się potem o te utraczone okazje, zaklinane przez nich w tłuszczy farby drukarskiej i starają się zrekompensować to w jakichś gierkach, które właściwie są niegodne nie tylko ich, ale człowieczeństwa w ogóle.

W a r a : — Ależ gra, aktorstwo są bardzo, przyrodzenie ludzkimi. Myślę, że tylko bardzo roślinne natury instynktowców są tego pozbawione. To jest świadomość, żądza świadomości istnienia i to właśnie odgrywa w tym taką rolę. Nie przerywaj — myszo polna — to twoje bohaterstwo, najbardziej bezimienne bohaterstwo, kiedy jest niezauważalne dla samego subiektu tego bohaterstwa, właściwie nie jest już nim, jest niczym. Jeżeli na przykład zechcemy wyobrazić sobie jakiś skoncentrowany, oszałamiający czyn, to jeżeli będzie on pozbawiony tła porównawczego, widza, warunków dramatyczności — to właściwie będzie on niczym, jeszcze raz. Jeżeli w pierwszych dniach stworzenia działały się na ziemi rzeczy wspaniałe, straszne, jakieś erupcje fantastyczne, orgie drgających kolorów widm płomieni, które od milionów lat już nie wybuchają — wypalone, albo gigantyczne symfonie dźwięków, to wszystko wspaniałe, godne chwili stawania się rzeczy — i nie był przy tym obecny i przytomny egzemplarz mózgu i jakaś świadomość gotowa do odebrania, aperceptowania tego, to właściwie tamto wszystko nie istniało równie dobrze dla nas, po prostu marnowało się, do tego stopnia, że nie warto temu poświęcać myśli.

P o ł m i ń s k i : — A ja wam powiem że dochodzenie tych rzeczy, to tak jak na przykład doszukiwanie się już archeologiczne mowy sprzed tysiąca czy dwu tysięcy lat, żeby z zachowanych ułamków posklejać jakiś cień tego co było i żyło, to jest mania bez wartości jak zbieranie starych korków. Jedyne godne człowieka jest przeżywanie tego, co jest teraz. Jest to najbardziej szlachetne i godne — żyć! Stąd wypływa instynktowne przywiązanie do życia u wszystkich, u ludzi, bez wyjątków, u zwierząt, u roślin. Cała pełnia życia wynika z potwierdzenia jego istnienia. W pewnej mierze możemy to potwierdzenie mieć w sobie, w pewnej mierze dobudowujemy je sobie, jest możliwe dla nas dzięki naszej zdolności kontemplacji zjawisk. Dlatego mając to doświadczenie widzów, wiemy jaką wartość powtórnego przeżywania daje aktorstwo i dlatego dogrywamy jeszcze swoją rolę i stąd to bochenkowskie aktorstwo.

Umilkł, przegrał jakiś pasaż, żeby mu ktoś nie wpadł w słowa, ale dokończył zniechęcony:

I ta satysfakcja jest okupiona w nas samych goryczą tej świadomości...

Potem piliśmy wódkę, głosy się zmieszały, ktoś informował: „...ależ Kamena to jest nimfa leśna...”
ktoś żałował że nie ma Bronka Wojtskiego, mistrza w grze na ustnej harmonii.

— Zdrowie dam pije się dlatego — falset Wary — bo kiedy damy są zdrowe, to i my jesteśmy zdrowi.

To już było późne rano, kiedy pijani wracaliśmy Rynkiem. Stosy zieleniny, zwożonej na targ i ruch porannego handlu.

Z trudem udało nam się ściągnąć ze straganu Połmińskiego. Wydrapał się tam, żeby mieć mowę do przekupek.

W dwie godziny potem bezrobotni stali tam tłumem i z Magistratu wyszli ich delegaci.

W pół godziny potem jeden z nich w nielegalnym pochodzie przez Plac Akademicki został zabity kulą z policyjnego rewolweru. Jego zwłoki rzucono na pustą łorę meblową, wyprężnięto konie i ta lora wleczona w pośpiesznym, demonstracyjnym orszaku została pozostawiona na Placu Bernardyńskim, kiedy rozszalały ze strachu tłum rozbiegał się pod poszerzanym, niezdarnym, zdeenerwowanym ogniem z policyjnych karabinów maszynowych...

To już było południe i wtedy byłem w domu babci Panny, tam gdzie Ogród Jezuicki.



— Co się stało?

— Panie — jak się siedzi w tym od pierwszego pokazu prosektora, to można już być zblazowanym wreszcie. I nawet jestem dumny ze swego cynizmu — ale jak się stanie twarzą wobec takiego zjawiska epilepsji, jakie da tłum, to może wstrząsnąć. Czy pan wie? Och wyobraź pan sobie dwa tłumy, wielki tłum, chaos, ekscytacja, trwoga, i drugi mały, kilkunastu tchórzów i ten strach, ani tu ani ówdzie myśli. Czy pan wie? Taśma karabinu maszynowego, cyrk, loteria, druga taśma, czy pan to rozumie? Dostają do rąk ludzi-*haemorrhage* i są podnieceni i śmierdzi od nich potem i uryną z tego zwierzęcego strachu i z tego, że nie wiedzą skąd, kto, dlaczego...

Gdzie źródło tego? Co jest w tym? To jest nie do zduszenia. Panie — jak byłem studentem — jeździłem z taką kolumną przeciwdurową. Mamy stałe niewygasające ogniska tyfusu plamistego na Pokuciu — ale co — tu! — czterdzieści kilometrów stąd, w Jaworowskim, taki niewygasający ogień — tak samo jak mamy okręgi, gniazda, permanentnego — nie przednówkowego, panie! ale permanentnego głodu — z puchliną głodową — czy pan to rozumie? Raz w takim tyfusowym okręgu złapaliśmy

żebraczkę — została ostrzyżona, wykąpana, przebrana i wie pan? trzeba ją było wpakować do łóżka i puszczać krew — bo dostała nadciśnienia krwi — pan to rozumie? — tyle z niej dziennie wszy tyfusowe wytaczały... Więc powiedzmy, że to miasto, tę nędzę jakaś gigantyczna ręka nakarmiła i wyniańczyła w dobrobycie, czy wtedy mielibyśmy nadciśnienie krwi, czy już teraz je mamy, kiedy się ją wytacza...

Machnął ręką i poszedł. Mrok zagęszczał się i tylko ostro na niebie odcinały się jak linie nutowe druty telegraficzne i odróżniający się od nich solidny, napowietrzny kabel telefoniczny i pocięły to niebo w przypadkowe i niepokojące wielokąty.

Znów zgrzytnęło szkło i włóczącym krokiem nadchodził i poznał mnie Fortunat Zajączkowski:

— To niepodobne do tego miasta — prawda? do tej dużej wsi — było tak raz, była masakra na Placu Strzeleckim, kiedy Leon Piniński był Namiestnikiem Galicji — i w czasie tego ten kabotyn siedział u siebie i grał Szopena na fortepianie — ten błazen! — obruszał się nieprzejednany w swych sądach „Zajac”.

— Kto są ci ludzie, czym jest to miasto? Miasto profesorów? urzędników? nie, ani nie tej burżuazji co stanowi leciutką warstwę nadającą połysk tej kuli. Ani tych „biednych” Żydów, co zawiedli na Pożyczkę Inwestycyjną, tych „biednych”, bo nie mówię o kilku multimilionerach. Ani nie komsomołek z getta Krakowskiego Przedmieścia, obsiadających paradyz na szillerowskich dramatach ani kolejarzy ze związku zawodowego. Panie — to miasto, to jest wieś, co tu przywędrowuje — nadmiar z przysiółków, wydm, jarów, wzgórz tego kraju co powoli przesiąka i nabiera mimikry miejskiej — przynoszą tu swój język, słowa, miesza się to w tym tyglu, topi, nabiera swoistego akcentu, nie nazbyt wdzięcznego — zgódźmy się, lwowszczyzna nie jest najwdzięczniejsza, robi się sos, zwyczaj polski, przesąd ruski, szmonces żydowski i z tego powoli wyrabia się coś, co jest nowe, swoiste i jedyne... Co mi ktoś porównywał, że z Cmentarza Stryjskiego to wygląda jak Florencja z kopułą Brunelleschiego i Signorią... Zostawmy to...

„Zajac” wyprostowany i szczudłowaty powiedział potem nie wiem czemu „Przepraszam!” i poszedł w kierunku Wałów i ulicy Bonifratrów gdzie był jego dom.



Kiedy już wracałem do siebie, na rogu zaszeleściły koła samotnej taksówki i pisnęły hamulce. Była to „gondola miłości”. Znad

kierowcy wychyliła się głowa w kaszkiecie i szaliku i zdziwiło mnie to, że nie prowadził jej właściciel.

— Co się stało z Machorskim?

Machorski był właścicielem wozu. Wielki i przystojny, w zimowe dni w grupie innych szoferów stał na rogu mojej ulicy, gdzie był postój taksówek i nakładałem drogi, żeby nie przechodzić obok tego postoju — bo zawsze mi się kłaniał i było mi niewyraźnie i jemu było niezgrabnie, bo byłem tylko klientem bardzo od okazji i nie przysługiwała mi ta rewerencja, a z drugiej strony kiedy raz zaczął mi się kłaniać wobec tych szoferów, nie wypadało mu wypaść z tej rutyny i mieliśmy stworzoną taką wspólną udramę.

Machorski był poprzednio parę miesięcy w kryminale.

— Pan redaktor (ten pomocnik Machorskiego nazywał mnie tak, bo tam gdzie mieszkalem była redakcja), pan redaktor do domu? Pan wi jak z Brygady Śledczej przyszli i pytali, co się stało z jego żoną — mówi im — wyszła — no jak? wyszła i nie wróciła? — i nie wróciła — to już go trzymali miesiące i w końcu puścili — i poszedł i pił wódkę i kazał sobie zagrać orkiestrę, rzucił dwadzieścia złotych i kazał zagrać „Ta ostatnia niedziela” i strzelił do siebie i zabrała go Stacja Ratunkowa i zanim dowieźli, to skonał w tej budzie. Ja mu pomagałem wtedy w warsztacie i teraz rodzina zabiera to do masy (mówił to „massy” z wieloma „s”), do masy spadkowej i jeszcze dla nich trochę jeżdżę na takse...

— Zarekwirował mi dzisiaj takse ten podinspektor z wydziału bezpieczeństwa — sciszył głos taksówkarz — i kazał się wieść od województwa do koszar i słyszałem, jak go na podwórzu koszarowym rugał dowódca pułku piechoty: — Won! — krzyczał i tupał nogami i mało go krew tam nie zalała — chce się wasze-mu wojewodzie asystencji? Won! powiadam — taki były ułan — „jakby dziewczyna” — zaczarowany w biurokracie — won! mówię — niedaleko mu od ułańskich do biurokratycznych hemo-roidów — won!... i mało go szlag nie trafił na tym podwórzu...



Byłem pod domem. Właśnie tam spotkałem jeszcze jedną osobę monologów dzisiejszego wieczoru, Dziunka Fisza.

— Nie ma pan szluga, panie mistrzu?

Papierosów już nie miałem.

KAPITAN BLOOD

Kiedy po długiej niebytności wraca się do miasta, narzuca się nieodparcie smutek. Zabija on radość powrotu do rzeczy, spraw i ludzi bliskich, których przez tyle miesięcy było brak i które to rzeczy za chwile zapomnienia mszczą się tym, że cynicznie, bez narkozy którą jest codzienny kołowrót bytowania, ukazują nam czas przebieżony. Pociąg mija znajome mi i zarazem obce lasy podmiejskie, potem migają przez okna śmietniska przedmieść, mury i kominy fabryk, pociąg chwieje się i zgrzyta na rozjazdach zwrotnic.

Przed dworcem tłok porannych przyjazdów. Jest smutny świt na niebie różowym jak z *papier maché*. Idę chodnikiem w chłodzie poranka, uderza mnie spokój i sielankowość miasta, które kiedyś było dla mnie, kiedy mnie pierwszy raz tu przywiozła matka, Labiryntem i Metropolis. Jedynie czcigodne kasztany, tych samych wymiarów co wszędzie, różowiły się w skośnych promieniach słońca. Nędza patrzy z oczu stróżów kamienicznych u bram domów, kiedy z zamiatanych płyt chodników unoszą się opalizujące w cieniu obłoki miejskiego kurzu i jeży się szczypiorek trawki rosnącej między kostkami bruku.

Wzruszony i smutny docieram do swego schroniska. Nic się nie zmieniło w ścianach, które widziałem tak dawno. Kiedy myłem się w wodzie, która wesoło i burzliwie tryskała z kranów umywalni, byłem w dalszym ciągu przygnębiony. Wyciągnięty jak długi na łóżku, śledziłem czarne kreski śmigających za oknami jaskółek. Pustka mej pracowni odbijała wiernie hałasy podwórzowe. Byłem zmęczony drogą i zasnąłem sam nie wiedząc kiedy.

Zbudził mnie głód i hałas drukarni pod moją pracownią, hałas uparty, od którego odwykłem. Ranny przyjazdowy pesymizm gdzieś się zapodział. Byłem ciekawy miasta i konfrontacji z nim.

Miasto powitało mnie „uchylającym zza rogu kapelusza Koh-nem”. W jego towarzystwie miałem je odszukać.

Indaguje mnie i informuje. Jest poranek recytacyjny młodej poezji. Już późno, ale jeszcze coś złapiemy. Po drodze pilne i akuratne studiowanie anonsującego recytację afisza. Jest krytyka rzeczowa jego strony graficznej, którą komponował amator, dosyć pretensjonalnie, włącznie z czarnym kołem, punktem, akcentem mającym idealnie i kompozycyjnie podkreślić nowoczesność, odzegnać to wszystko co obwieszcza od jakiegokolwiek passeizmu i kwiatków.

— Z tą młodą poezją — krytykuje mój Cicerone — to tak jakbyś opowiadał, że byłeś kiedyś wicemistrzem gimnazjum przemyskiego w tenisie. Wygląda to bardzo przekonywująco kiedy mówisz „wicemistrz”, podczas kiedy mistrza byłoby już fanfaronadą i nagim kłamstwem. Nie mogliby tego nazwać poezją, nawet przez jakieś monstrualnie wielkie P. No a największe laury — typuję — będzie zbierać „wujaszek”...

„Wujaszkiem” nie wiem dla jakich przyczyn nazywaliśmy poetę i najbardziej niebezpiecznego pojedyńkowicza, jak wyciętego żywcem z komedii Bałuckiego.

— Ale Wara nie bierze dzisiaj udziału, za to będziemy go mieli z całą komsomolską bojówką — no a jeżeli i Połmiński tam będzie, to nie ma już po prostu miejsca dla reakcji... — Aha, Tadzia widziałem wczoraj z jego nową flama, całkiem mi się nie podoba, robi wrażenie chudej Blumenfeldowej.

Prelekcja odbywa się w „Rozmaitościach”, inaczej Domu Ludowym, inaczej Narodnym Domie i właściwie trudno dociec, jakimi drogami chadza przeznaczenie i użyteczność tego lokalu wylepionego złoconymi stiukami. Idziemy tam najkrótszą drogą.

Żyję w mieście zawsze bardzo oderwanym życiem, ale nigdy nie czułem się bardziej poza jego nawiasem niż tego dnia. Ulice znane i opatrzone, jak do drażliwości znane rysy twarzy bliskich osób. Wśród znajomych murów i ścian traci się poczucie przestrzeni, nie ma nic, co by odświeżało zmysły w trzech wymiarach orientujące, doznaje się ich atrofii. A sprawy własne albo wyprzedzają nas, albo opóźniają. Czy nie jestem bardziej w tym właśnie miejscu do którego zdążam, jeżeli moje myśli przewidują już nowe okoliczności, nastrajają się do nich, mam wizję ich klimatu, moje doświadczenie potrafi mi ocenić z dużą precyzją wszelkie ewentualności, dedukcja pracuje całą parą, a faktycznie dopiero idę ku temu, jeszcze temu wszystkiemu nie nadążyłem.

Miasto. Czymś niebywale przypadkowym i bezplanowym jest to zbiorowisko domów, podwórz, placów, skwerów, ogrodów i ogródków. Właściwie z miasta zna się tylko niewielki procent

odkrytych dla oka przechodnia powierzchni „komunalnych”, perspektyw ulic, obramionych schodkową linią fasad domów i jest się zaskoczonym, kiedy jakieś sprawy zaprowadzą w środku znanego kręgu budowli na jakieś podwórze lub piętro, gdzie pojawia się przed zdumionymi egzotyka niewidzianego nigdy z ulicy miejsca. To znów tak jak ze znanymi twarzami, które kryją poza sobą czeluście dziwaczne i frapujące, kiedy przez kaprys przypadku znajdziemy się poza ich zwykłym dniem. Miasto ma tych nieznanych twarzy tysiąc, a drugi tysiąc był w czasie przeszłym, i zabawnym zajęciem jest dopatrywanie się tych byłych obliczy, które z antykwarskich stalorytów i naiwnych biedermajerowskich akwarelek usiłują sobie dofantazjować.

Więc miasto to druty tramwajowe, szyldy, krawężniki, ogrodzenia skwerków, budki z papierosami, wywieszki z gazetami, rury kanalizacyjne (kiedy wybebesza się te ulice), lśniąca tafle szyb wystawowych (kapelusze Mossant, Stetsona, Habiga, Borsalino, kawa palona i łososiowego koloru damskie kombinacje i gorsety), barokowe fasady kościołów i kamienice.

A kamienica w moim mieście była dla mnie czymś najbardziej smutnym pod słońcem. Stercząc fasadą w stronę ulicy, stereotypowo rozbudowana ku podwórzu, z jednym schematem-planem, z klatką schodową jako trzon, mezzaninem-antresolą i piętrami, gdzie rozchodzą się po obu stronach pokoje i przestrzenie mieszkalne z systemem „korytarzowym” lub bez, mieszkania nieszczelne, z łazienką z czerwonym od rdzy, opalany węglem piecem, łazienką która chronicznie nie była używana i miała najbardziej odstręcający charakter ze wszystkich ubikacji domu. Niektóre narożne domy były rozbudowane w gloriety, *turret windows*, okna weneckie, inne sterczały głuchym narożnikiem. I wszędzie klatki balkonów, we floresach żelaznych poręczy wiążące mieszczański smutek i nudę. Czasem, bliżej centrum, dom o nieposzlakowanej linii architektury empirowej. Ale długie ulice, które były kiedyś drogami dojazdowymi do miasta, zabudowanymi w latach osiemdziesiątych, kiedy po światowym kryzysie ekonomicznym rzucono się do lokowania kapitałów w budowlach, te ulice cechowała architektura reminiscencyjna, wszystkich stylów klasycznych, z dominującym typem renesansowych pałaców włoskich, jakichś Palazzo Chigi, Aldebrandini, Ricardi na mieszczańską skalę, z „rustyką” i „boniowaniem”, z gipsowymi szczegółami ulepionymi na pocziwym „szarowaniu” piaskiem z Góry Piaskowej (stamtąd ciągną jednokonne wozy piaskowe, z tej Góry Piaskowej ten piasek, sieje się on jak z klepsydry spomiędzy szczelin desek na bruk i „Wiśta-wio!” kroczącego obok furmana). Naturalnie secesja wiedeńska wykwitła bogato girlandami nenufarów

i „szelkami”. Potem przyszedł styl nowy. (Młodzi studenci architektury o rozwichrzonych czuprynach tudzież świetnych pulowerach wertowali z zapałem w salach rysunkowych *Wasmuths Monatshefte für Baukunst*, *l'Architecture d'Aujourd'hui*, Lloyd Wrighta, zachwycali się Dudokiem, domami z Hilversum, architekturą kafli, szkła i metalu z Haarlem, Rotterdamu, krytykowali Corbusiera, rysowali dyplomy i szli na architektów w oddziale budowlanym miasta i pod przemożnym naciskiem starego porządku odbijali stare domy i dolepiali do nich holenderskie twarze, hojnie szafując kolorowymi terrazytami, ku zadowoleniu świeżych kamieniczników).

Nic z tego nie mogło zabić piękności miasta. Może to sprawiło jego położenie, w dolinie wśród wzgórz, kiedy fala dachów zbiegła z nich ku wąwózom, w których dymiło i drżało miasto. Najpodlejsza, najsmutniejsza pod słońcem ulica miała swoją daleko smuzącą się perspektywę albo niespodziewany, czarodziejski spadek lub zakręt. Nieporządek i bezplanowość zabudowań stwarzały romantyczne, niespodziewane pustacie, pozostawał w ruchliwym miejscu jakiś dom, pokryty zapomnianym, czcigodnie zmur-szałym gontem, z ogrodem-anachronizmem za wysokim częstoko-łem z porzdewiałych prętów żelaznych ogrodzenia. Ulice zwężyły się lub zakręcały w sposób urągający jakimś zasadom przelotności, logiki, racjonalności i wychodziły na majestatyczne place i fora, naokoło których nie było nic. Albo na przykład, szło się ulicą wybrukowaną normalnie, po miejsku mozaiką, sterczą po obu stronach słupy latarni elektrycznych, zielenią się oliwkowym ko-lorek metalowe budki transformatorów, łuszczy się emalia na tabliczkach wskaźników hydrantowych, leżą w spadłych liściach kasztanowych metalowe, znormalizowane kubły na śmiecie — a obok — a obok, za zwartym szeregiem domów rośnie Gaj Hesperyd! Obie wzgórze, ciągnące się aż tam, gdzie dalekie i świe-jące oknami zabudowania kliniki, jest zielone od trawy, a nad nią pochylone stare jabłonie, omszałe i drżące od wiekowości. Ich gałęzie i gałązki w ostatecznym wysiłku rodzenia nielicznych liści i płodzenia kwaśnych i małych jabłek, delikatną siateczką zarzucają koronkę czarną na błękit nieba. Są starczo zidiociałe, nie myślą i nie przeczuwają już życia, a w ich korzeniach i kona-rach tli się jeszcze wspinały kiedyś i silny impuls, elan życiowy. Są zapomnianym cmentarzem drzew w środku miasta...



To było koło dwunastej i właściwie byliśmy spóźnieni. Na Wałach trzeba było długo czekać. Było to nieprzyjemne. Falo-

wał nieskoordynowany tłum. Byłem tak zajęty swoimi sprawami, że nie uważałem, nie widziałem. Nie potrafię teraz powiedzieć, jaki to był tłum. Nie mogę sobie przypomnieć, czy był zbity, czy luźny, gorączkowy czy spokojny, czy był jak fala, czy wrzątek w kotle, czy jak oliwa w kadzi, czy ktoś temu przewodził, człowiek czy idea, czy cechowała go akcja czy inercja, dziwię się sam teraz, że można tak zapomnieć, tak przejść na głucho koło tego. Gdyby mnie ktoś teraz zapytał, zaindagował — powiedziałbym: Nie mogę sobie przypomnieć; gdyby ktoś się uparł i przypierał mnie do ściany: No jak, człowieku, nic nie możesz sobie przypomnieć? słuchaj! ani wrażenia? ani kształtu, barwy? nic? ani zapachu?... Aha zapach... coś jak stare zleżałe ubranie, pleśń... Daleko, ponad głowami, widać było wyniesione sylwetki konnych policjantów.

A naprawdę to było tak. Corocznie w zimie magistrat uchwalał na posiedzeniach budżetowych roboty budowlane, dla zatrudnienia bezrobotnych. Powiedzmy, czterysta tysięcy złotych. Potem przychodziła wiosna, pieniędzy nie było. Miały być, gdzieś to się robiło, gdzieś rósł kwiat paproci w dżungli tropikalnej ekonomicznych praw, w cieplarnianym klimacie oparów lękliwej mimozy i delikatne storczyki złota. A na zewnątrz — kartel cukrowniany hipnotyzował sugestywną, wspaniałą reklamą („cukier krzepi” — zagraniczne świnię), kartel cementowy swoje... ażeby dewizy... Przychodziło lato, pieniędzy jak nie było tak nie było, bezrobotni opalali się na wzgórzach wóleckich, tam gdzie Góra Stracenia, tam gdzie Pasieki Miejskie. Chleb się kupowało na połówki, ćwiartki, ósemki... Między kostkami bruku rosła w szparach zielona trawka.

A na Pożyczkę Inwestycyjną, na jej użytek Tadzio Wara napisał sugestywny slogan:

*Obywatelu — stój i patrz!
Interes jasny, czysty jak szkło.
Państwo pożycza — Państwo oddaje,
Tysiąc za jeden — Milion za sto!*

i sam śmiał się ze swojej blagi.

Pod koniec jesieni zaczynały wreszcie wozy ciągnąć z ceglami i czerwony, ceglany miał farbować stwardniałe od przymrozków błoto placów budowlanych. Wapno źle tężało. Na obradach budżetowych magistrat przewidywał sumy na roboty budowlane na następny rok.



Jesteśmy w „Rozmaitościach” pod koniec. Jestem po wsi, trochę oszołomiony rozgardiaszem świata ludzi zmieniających bardzo szybko swe *attachement* do rzeczy, jak to w mieście, i jest mi trochę smutno. Za kulisy teatru, gdzie zaszliśmy, dochodzi dziwny i przeobrażony głos recytatorów i świeci tu stalowy hełm strażaka, zasłuchanego nieruchomo w aliteracje i asonansy młodej poezji.

Po tym poranku idziemy nieporządnie, ludzie znajomi i nieznajomi, do knajpy w Rynku na obiad. Czcigodne studnie Rynku, w środku rozety muszli zbierającej wodę z brązowych paszcz delfinów, na cokółkach wznoszą się prosto i we wdzięcznym kontrapoście mitologiczne postaci Neptuna, Diany z liżącymi jej kolana chartami i konającym jeleniem — Akteon oparł stopę o groźny kłami łeb dzika, niewinne i przeczyste gołębie polatują nieregularnym trzepotem wśród tego i cyniczne kawki popstrzyły odchodami dumne głowy bogów i półbogów. Plac rynkowy właśnie uprzątają po targu, który trwał do godziny dwunastej i dzieje się to w zgartywaniu kup naci rozmaitych warzyw i kwiatów i ściąganiu stołków i straganów znaczonych literami MUT (Miejski Urząd Targowy).

Narożna knajpa rynkowa mieściła się w starej, siedemnastowiecznej kamienicy, podpartej przyporami, pomiędzy którymi były wejścia do sklepów albo do piwnic. Zanim się jeszcze weszło wiało stamtąd jakimś kwaśno-fermentującym zapachem, który był odurzający i miły i przykry. Było to jedno z miejsc, gdzie się chodzi z odrazą, a jednak stale się chodzi. Przepisowo wszyscy byli gwarliwi i bezceremonialni i nonszalanccy. W przejściu między bufetem napiętrzoną śledziowymi kanapkami a kontuarem z roślinnie apatyczną kasjerką kłóciło się dwu podpitych i zaindyczonych jego mościów („— ja sobie wypraszam — pan wie z kim pan mówi?!”), dalej były małe salki pod ciężkimi sklepieniami.

Perował przy stole profesor Deresz, wielki i otyły. Unosił swą masywną głowę nad złożonymi na stole rękami, świecił szklami okularów, uśmiechał się plombami spomiędzy mięsistych warg. Mówił o swoim ostatnim pobycie w Paryżu:

... ten kongres estetologów o który mnie państwo pytacie — mówił jak na uniwersyteckiej prelekcji, z pauzami i retorycznymi przystankami, głębokim, emfaticznym głosem — to było coś niezmiernie ciekawego. Spotkałem tam Lalo — znałem go jeszcze z dawnych czasów, ma niezmiernie ciekawe koncepcje — ale muszę wam powiedzieć, że zapoznał mnie z niezmiernie ciekawym młodym malarzem holenderskim. Byłem w jego pracowni, to co mi pokazywał to było coś rewelacyjnego. Nie chodzi mi o formalną stronę, co do której można by się spierać, ale ma swój

własny sposób na rozwiązanie problemu perspektywy. Interesowało mnie to ze względu na moje własne poszukiwania na ten temat, moją perspektywę odwróconą, u niego ma się do czynienia z czymś bardzo wyrozumowanym, a zarazem robiącym wrażenie, że wypływa to z jakiegoś pozaziemskiego natchnienia. Z czym by to porównać — proszę państwa — to coś przypominającego — proszę państwa — jakby świadomy siebie u drzeworytników wczesnego...

Piliśmy kolorowe wódki, specjalności lokalu, wchodzili nowi goście, z trudem rozdziewając się z płaszczy i kapeluszy w ciasnych przejściach. Alkoholem uderzał z lekka do głowy. Ktoś usiłował sobie przypomnieć nazwę francuskiego aperitif z Arles, gość, literat z Warszawy siedział znużony i natarczywie bawiony przez innych; na stole, na półmiskach czerwieniła się krwawo szynka litewska podana z sosem tatarskim i kaparkami, ktoś inny mówił o filogenezie. Ciężkie, wiśniowego koloru boazerie drewniane ścian lśniły w blasku lamp palących się mimo pełnego dnia z powodu niedostatecznego oświetlenia przez małe okna i furczał rozpędzony wentylator elektryczny. Gwar głosów mówiących razem przygłuszał sens zdań, wybijał się tylko ostry falset Wary:

— Takich jak wy pierwszych postawi się pod ścianę, najniebezpieczniejszy społecznie jest lumpenproletariat...

Ktoś usiłował uruchomić wielki gramofon stojący pod ścianą i wymuszone w końcu z niego dźwięki zachrypniętego walca popłynęły ku kolorowym, włoskim afiszom win, rozwieszonym na ścianach. Pamiętam jeszcze FIESOLE, AQUILEE, CAPRI, FORLI, CATANIE, PALERMO, LAGO MAGGIORE spływające ku nam z zadymionych ścian knajpy. Błaty stołów były wymyte w ciągu wielu lat do białego mięsa i chropowate od słoików.

Słuchać było głos majora Bliskiego, jak opowiadał:

... piąty ułanów spieszony i rozsypany w terenie koncentrował na sobie ogień bolszewickich cekaemów. Generał niecierpliwił się w oczekiwaniu na drugi szwoleżerów i od samego rana wysyłał kogoś na ich spotkanie. W końcu przyszła kolej na porucznika... zaraz... zapomniałem w tej chwili, jak się nazywał... który właśnie skądś wrócił, miał zhasanego konia, słabo zaprotestował — Panie Generale, moja kobyła, ale generał na niego z góry, tak że siadł i pojechał, kobyła rzeczywiście chuda jak... z miejsca ruszył galopem, za piętnaście minut, czuję, moja kolej. Od rana wczesnego trzy razy już jeździłem, ale nie próbowałem nic powiedzieć, pojechałem. Ujechałem sto metrów, drugi szwoleżerów — nooh! tym razem mi się udało...

... co to jest czas? — krzyczał niepotrzebnie Wara, ze swoją głową *caput mors*, w której oczodołach świeciły jego niebieskie oczy — czy nie ma czasu? czy czas jest tylko złudzeniem? My tylko zmieniamy się w przestrzeń i to nam daje złudzenie przepływającego czasu. Tak jak materia przepływa przez nas jak przez maszynę, przez fizjologiczną maszynkę i potem wracamy i włączamy się w ten sam zasób materii. Więc jeżeli wrażenie zmiany — powtarzam zmiaaany! — nazwiemy czasem, to czas będzie niczym innym tylko ruchem, a ruch znowu jest zależny od przestrzeni, więc jedność czasu, ruchu i przestrzeni. Bertrand Russell powiada, że właściwie we współczesnym świecie mamy całkowity przekrój czasu, z czasem przyszłym w Stanach Zjednoczonych, Rokokiem w Chinach i tak dalej... Można by to rozszerzyć na okresy geologiczne, gdzieś pod biegunami jest okres lodowy, z krateru Etny wylewa się magma czasów krzepnięcia ziemi, na Nowej Zelandii żyją ptaki dyluwialne...

— ... to wtedy wycofano tę dywizję piechoty za Bug — prze-
rywa Bliskiemu pułkownik.

— ... jechaliśmy w nocy. Co za przesłiczna to była noc, księżycowa, wśród lasów, takie drzewa, liściaste, szpilkowe, byłem śmiertelnie głodny. Patrzę — domy, sztab stoi, przedtem jeszcze szef sztabu powiedział do mnie, Pan, poruczniku, zaczeka tu na drugi szwoleżerów, bez niego niech Pan nie przychodzi, znacie tę głupią sytuację — jak podporucznik. Ale rotmistrz Rupp powiada do mnie, to są moi ludzie, sześćdziesiąt szabel, jakie jest pańskie życzenie, jedziemy zaraz, czy czekamy na drugi szwadron? No to czekamy na drugi szwadron... No a przed tą chatą siedzi dwóch ułanów i zajada taką misę sera ze śmietaną i cebulą, a ja od świtu nic w ustach nie miałem. Więc zaraz do baby, najadłem się, tu sztab — gdzie mnie — podporucznik do stodoły na słomę. Rano wychodzę, tu tymczasem bateria zajęchała za jakiś parkan i jak nie huknie mi nad uchem! Jedziemy dalej, ściąga się wszystko, artyleria wali po dwunastym ułanów...

— No taak — mówi z przekonaniem pułkownik.

— ... przejeżdżamy groblę...

— Aha, aha — poruszają się słuchacze.

— ... przed nami poszła brygada kozacka, jakieś sześćset szabel, dowiedzieliśmy się o tym na drugim przyczółku grobli, ubezpieczenia nie było dywizja jechała na ogonach straży przedniej, dojeżdżamy, a tu piąty ułanów rozwinięty harcownikami na polupolanie, dookoła lasy jak na dłoni, strzały rozpoznania, bolszewicy ustawili dwie baterie i jak nie gruchną, strzelali bardzo celnie, tu ułan wylatuje z koniem, granat, ułan wylatuje z koniem —

major Bliski rysował paznokciem półkola na stole — nasza bateria zajęła tu stanowisko, tędy kozacy poszli dwa razy do szarży, ale ich kartaczami odparto, piąty ułanów spieszył się, odesłał tu konie, kozacy obesli tędy i tak z koni wystrzelali konie artyleryjskie. Mnie wysłał szef sztabu do drugiego szwoleżerów, ażeby szarżował. Jadę, nie ma szwoleżerów, Rupp sam wykombinował na szczęście lepiej, poszedł na kierunek dziewięćdziesiąt stopni inny i dobrze... tam byłby trafił na pustkę, wyrąbał szablami dwie baterie... tędy o... — nowa rysa paznokciem na stole.

— ... naturalnie wszystko zależy od wyboru formy — dowodził profesor Deresz — fikcja sama w utworze literackim nie istnieje. Wszystko co jest napisane to już było, jeżeli nie dosłownie jako fakt zaszły, to w takim razie jako jedna z bardzo bogatych możliwości, jakie daje życie. Jeżeli przez psychobiologów jest dostatecznie dowiedzione, że mózg ludzki zdolny jest do opanowania myślowo straszliwie dużej lecz w konsekwencji ograniczonej — proszę państwa — ilości pojęć... powiedzmy dziesięć milionów... to ta liczba jest wypowiedzialna dla tego mózgu i czy to zostanie przetworzone wcześniej, czy później, jest to tylko kwestią czasu — jak by powiedział Czechow...

— ... demontowali właśnie ostatnie działo... Poszła kozacka szarża, patrzę... bagno usiane naszymi ludźmi i końmi. Wycofujemy się groblą, nasze konie potonęły zaraz, jesteśmy jak na dłoni, a tu na tej wyspie pluton kozaków bije w nas. Ułani idą przy grobli, ciągną konie, usiłujemy ustawić ich na grobli, porucznik ten i ja... ale co ośmiu poradzi i niech tylko odwrócić oczy, porucznik strzela sam, patrzę ciągnie jeden jucznego konia z cekaemem, szef sztabu powiada do mnie... ale gdzie tu... bagno, ale rozkaz, więc jeden koc, drugi, dery i wszystko w wodę. Nagle ci kozacy wieją. Patrzę — jedzie drugi szwoleżerów, jedzie dwójkami, tam-tędy znaleźli jakąś drożynę i wyobraźcie sobie! po jednemu przejechali... a kozacy ci z przyczółka bali się podsuwać... Wracamy na groblę, a byliśmy w wodzie często po pas, byłem spragniony... jak się położyłem, zacząłem pić wodę pełną komarów, glist, taką ciepłą i zieloną. Na grobli biało, ludzie pozrzucali mundury, w gaciach, strasznie to miękki naród, kazałem ubierać się, brać broń, udziemy, patrzę, a tu jakaś kawaleria wyciągnięta, ale to byli nasi — — X-ty ułanów...

Obiad się kończył i ktoś poddał, żebyśmy się wybrali na film „Kapitan Blood”. Literat z Warszawy poprawił prowincjusza, że wyjątkowo wymawia się nie Blud, ale Bład. Kiedy wyszliśmy na ulicę okazało się, że w międzyczasie spadł deszcz i znów było pogodnie i słońce jaskrawo świeciło nam w twarze i drugie odbite

od mokrych płyt chodnika świeciło i raziło nas z dołu i nie było od niego ucieczki, ale byliśmy podnieceni i weseli, idąc tak dużą paczką do kina.

Na ekranie działał się film z Errolem Flynnem i czarno-białe pejzaże dalekich wysp wysypywały się na jego prostokąt.

Nowa Polska, tom IV, zeszyt 2, 22 lutego 1945.

II

NIETOTA

Mógłbym to zacząć staromodnie, na przykład tak:

„Wołoczyszcze i okolice należały kiedyś do książąt Zbaraskich, wywodzących się od kniaziów Nieświckich, którzy wywodzili się z kniaziów Pińsko-Turowskich. Wasyl Nieświcki w XV wieku miał trzech synów, Wasyla, Semena i Sołtana. Młodszy Wasyl odziedziczył Zbaraż i trzydzieści innych wsi, Sołtan Wiśniowiec, Dwór, Maniów i inne wsie w powiecie krzemienieckim. Tenże Wasyl miał synów, Michała i Semena, a tego ostatniego córka, Marusza Zbaraska, zmarła w 1620 roku, była zamężna za Wasylem Zahorskim, kasztelanem braclawskim. Jej znowu córka Hanna wyszła za Konstantyna Wiśniowieckiego, którego za jej sprawą, bo była wielką katoliczką, nawrócił na katolicyzm jezuita O. Nahaj. Ich syn Janusz Wiśniowiecki był starostą krzemienieckim. Miał synów, Konstantego, Krzysztofa i Dymitra Jerzego. Córki tego ostatniego to Eugenia Katarzyna Koniecpolska, Zofia Leszczyńska i Salomea. Salomea, obrana ihumeną, ksienią Panien Benedyktynek przemyskich zrzekła się Wołoczyszcza (czyli Wołoczysk z przedmieściem Staromiejszczyzna) z wsiami Wołoczkowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Dederkały, Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Porochnia, Niemierzyńce, Kociary i Hłochwasty, na Potockich, którzy sprzedali je Moszyńskim”.

Cały ten wstęp miałby być o tyle potrzebny, że kiedy Nietota była na pensji w klasztorze Panien Benedyktynek przemyskich, to straszyl tam wciąż duch Salomei, chociaż ksieni zmarła jeszcze w roku 1716.

Albo mógłbym to zacząć w stylu ekspresji:

„Taka panna Winslow napisała kiedyś sztukę, z której zro-

biono także film. Nazywało się to *Mädchen in Uniform*. W tle pruska pensja dla panienek, z jakimiś tam komplikacjami psychologicznymi, lesbijskimi, atmosferą dosyć jak na ów czas szokującą. Pamiętam z filmu scenę taką, że tej jakiejś virago-wychowawczynie przywołana przez nią pensjonarka, pensjonara, ma się zameldować. Przychodzi, a jakże, z lekcji fechtunku w sali gimnastycznej, ma jeszcze na sobie obcisły kostium szermierczy, pończochy do kolan, pantofle, w obcisłym plastronie fechtunkowym, w lewej ręce trzyma drucianą maskę szermierską, w prawej floret z jego lśniącem koszem, floret, giętki jak bicz, z gałką nasadzoną na kolec ostrza”.

Otóż widzę Nietotę, jak to Nietota, w obcisłym plastronie szermierskim, zapiętym wysoko pod szyję, bluza pozapinana na guziczki na ramieniu i piersi ma obcisłe i wysokie pod tą bluzą, strome, a na plastronie, wiadomo, tam gdzie bije serce, ma wyszyte, naszyte, wycerowane serce z czerwonego safianu, czerwone, szkarłatne Cœur. Na „planszy”, zanim pierwsze „En garde!” przeciwnika, wita się salutując floretem, kosz gardy do twarzy i świetnym, jedynym ruchem, skosem, jakby zataczając szarfę ze stali, jednym śmignięciem, paradą, garda od ust, w prawo w dół, i Nietota salutuje tak samo przed ksienią, przywołana do ksieni. A uczył fechtunku sierżant, szermierz, instruktor wychowania fizycznego dziewcząt w szkole klasztornej, sierżant Pierwszego Pułku Czołgów z Żurawicy. Quinta! Tertia! Patinando! Na Patinando! Raz! Dwa! Trzy! szybki posuw do przodu, wypad prawej stopy i ostry okrzyk i sztych! i cofnięcie się do tyłu.

Albo mógłbym przepisać to, co mam zastenografowane w pamięci, słowo w słowo własne słowa Nietoty. Mówiła mi kiedyś, że wybrała się do podmiejskiego parku nad rzeką i tak sobie tam po panięńsku kołowała po trawie na tym welocypedzie, lśnią jego sprychy i koła podskakują na nierównościach i szeleszczą po trawie gumowe opony maszyny. I tu niech już sama opowie własnymi słowami:

„Na skarpie nad brzegiem siedziała para staruszków, takie to zasuszone i powiędłe, twarze w zmarszczkach i przygarbieni i zmęczeni tacy życiem, łagodni i po starczemu zastraszeni tym światem, który wokół nich się toczy, przegonił ich czas i już, i zostali w tyle staruszkami, jeszcze zasłuchani w życie, ale dola tuje ich ono jakby z daleka, jak turkot oddalającego się wozu. I wyobraź sobie, niewprawna, niezdara, jadę, koło przednie mi się giba i chwieje i widzę, Boże!, widzę, że jadę wprost na nich, na ich pochylone, zgarbione plecy i coś mnie pcha i nie mogę się zatrzymać, przekłety rower... No i wjechałam na tę parę, na tego Filemona i tę Baucis, śmiesznie i niezdarnie, a oni prze-

straszeni, aż oczy im się porobiły o takie okragłe, a ja stałam rozkraczona na tym rowerze i wargi mi się trzęsły od płaczu i przeproszania, głupia niezdara, przestraszyłam tych dwoje, na starość przysporzyłam im upokorzenia i strachu, aż mi było żal, jak żal... Ale takie rzeczy się zdarzają i już, prawda?”

Bo kiedy życie nasze składa się z tryumfów i klęsk, to Nietota zawsze o klęskach. Przecież miała swoje tryumfy i radości, ale przez przekorę czy zamiar jej nieznany, niezrozumiany czemuś, miały one zawsze domieszkę klęski. Była ogromnie, niebotycznie, cudownie uzdolniona, najtrudniejsze rzeczy przychodziły jej jakże łatwiutko, jakby od niechcenia, jakby bez wysiłku najmniejszego, na marginesie ważniejszych poczynąń. Na pensji, gdy inne kujony pracownice dorabiały się swych stopni, Nietota chwytając to wszystko na gorąco, od razu, łąpczywie, utrwałała to bez wysiłku w pamięci, mogła recytować po tygodniach zasłyszane zdania, wiersze, ustępy, formuły, a do tego oddawała to wszystko w dwójnasób, upiększone, przeformowane, zharmonizowane, cudownie skomponowane. A wieńczył to dowcip, humor, bystre podpatrzenie paradoksu sytuacji, udziwienie, niezwykłość. Najnudniejsze stawało się przez nią najbardziej zajmującym.

Nietota o swoich klęskach. Opowiadała mi, jak kiedyś wracała z klasztoru na wakacje do domu, z jakąś znajomą, pociągami, podmiejską linią ze Lwowa, pociąg chwieje się i stukocze na krzywiznach i rozjazdach, mija i zatrzymuje się na podmiejskich stacyjkach, kręci się za oknami wagonu tamtejszy krajobraz, wzgórza porośnięte bukowym lasem, potem pola, chłopskie morgi i łąny, ich pasy i miedze, wierzby nad przeciekającą wodą, dalekie chałupy chłopskie. Wagon jest twardy i kiwają się na ławkach nijacy pasażerowie. To sobie moje panienki pogadywały, co tu mówić, plotkowały sobie niewinnie o małomiasteczkowych wydarzeniach i skandalikach, jak to panny. Nietota śmiała się i była do teraz jeszcze zakłopotana tym, co się wtedy wydarzyło. Bo za temat swoich niewinnych, panieńskich obgadowań wybrały jakiegoś pana, który niczym się nie odznaczał, pewnie jakiś urzędnik powiatowy, zaharowany tam i dbający o jakieś tam swoje sprawy. Nie mówiła mi, o czym mogły to sobie wtedy opowiadać, pewnie w tym było nic szczególnie ciekawego, ale w każdym razie był temat, sądziło się innych, coś może i przy tej okazji się zmyślało, byle tylko językiem obracać. No i nagle siedzący w tym samym przedziale pan przerwał panom te historie sobie wzajemnie opowiadane, i może nawet zakłopotany, ale i dotknięty do, jak się to mówi, żywego, powiedział tak po inteligencjku: „Bardzo panie przepraszam, ale panie mówią o mnie i o moich sprawach”. A więc gafa, mój Boże, niezręcznie i nieprzyjemnie

i jak to wtedy krew napływa do policzków, a odrobić się już nie da i nie da. Nawet sobie wyobrażam i zakłopotanie samego tego pana, było mu nieprzyjemnie, zdaje się, że w tym wspomnieniu Nietoty było o tej wyczutej u niego nieprzyjemności, ale ten pan ani nie okazał się ordynarny, ani się nie rzucał, po prostu zareagował przyzwoicie i godnie.

Ten pan z pociągu, którego nigdy nie widziałem i nie znałem, jest mi tak dobrze znany, jak wnętrze wagonu podmiejskiego pociągu. Należał do klasy ludzi, z których sam się wywodzę. Co na nią składało się? Przede wszystkim była to kasta urzędnicza, wszędzie, zawsze autorytety stwarzały sobie systemy, urządzenia z ludzi na żołdzie, płaconych, skąpo bo skąpo, trzymanych w ryzach, w ramach, formach, kierowanych nakazem z góry. W imperium carskim wszystkich przecież robili urzędnikami: arystokrację, szlachtę, kupców, nadawali im rangi, kategorie, kazali im nawet nosić uniformy, mundury, fraki czy jak tam, dawali w nagrodę do noszenia wstęgi, order, coś to, czy Puszkina nie nosił kapelusza stosowanego, czy takiej czapki z bączkiem na dworskie przyjęcia albo czy gdy trojką wybierał się w odwiedziny? Lubili sobie ci co rządili i wodzili innych za nos powierzać im i ponadawać im tytuły takich i owakich radców tajnych i radców dworu i hofratów i councillorów, geheimratów, bo to i łatwiej utrzymać w szeregu i zidentyfikować. W niektórych historycznych organizacjach, weźmy Bizancjum, to nawet odbierali im męskość, a jakże, kastę urzędniczą najchętniej stwarzano z eunuchów, rzezańców, bezpłciowców, nawet sięgało to i w sfery militarne, czyż Narzes, admirał Justyniana, nie był eunuchem? A przedtem pierwszy Rzym miał tych swoich konsulów i prokonsulów, kwestorów, pretorów, cenzorów, prefektów i stamtąd te tytuły do nas przywędrowały. Stąd te setki innych tytułów konsyliarzy, dependentów, referendarzy, profesorów, aplikantów, adiunktów, przewodniczących, asystentów, prałatów, dziekanów, naczelników, dyrektorów, koadiutorów, kierowników, kolaudantów, asesorów, prokuratorów, podsekretarzy, kuratorów, kustoszów, plenipotentów, pryncypałów, alumnów, abiturientów, inspektorów, docentów, komisarzy, praktykantów, kierowników resortów, suplentów, i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy oni mieli z nadania, z namaszczenia władzę i z jej tytułu trzymali innych w ryzach, w garści, „za mordę”, w posłuszeństwie. Ci ludzie organizacji mieli z góry patrzeć na innych i pogardzać „pracowitymi”, co to w ziemi i błocku grzebią, ciosą, dłubią, paprają się i parają, bez których ani byśmy wyżyli, żyjemy ten chleb co nam wygnietli, żłapiemy co nam przydygowali w beczkach, garnkach i co podają nam na klęczkach w kielichach. Wciągamy na

siebie koszule, wzuwamy buty, okrywamy się kożuchami czy futrami, co to nam je wyścibali, wyszyli dratwą, wygarbowali, chronimy się pod dach, co go nam wyrzuchowali nad głowę, huśtamy się na resorach, włączymy jakby nigdy nic na siedzenia powozów, dla których koła musiał kiedyś zdziałać jakiś kołodziej, koła toczące się po gościńcu, który wyścieliły nam kamienie, w znoju rozbijane młotkiem pod bezlitosnym słońcem przez tych, co to „kamienie tłuką przy drodze”, i dudnią pod tymi kołami dyle, podłoga mostu, jaki nam wymościł (i do tego ukradliśmy im na dobytek ich miano, bo przecież ten, co ten most dla nas kładł, kiedy nazywał się nie inaczej jak *pontifex*, a dzisiaj ten *pontifex maximus* to najwyższy kapłan tych, co to sobie rąk nie uwalają). Inteligenci, ci to usadowili się. Żle! Nie usadowili zaraz, bo to po mieszczańsku czy posiedzielsku, a to ani mieszczanie, ani posiedziciele. Uplasowali się w takiej warstwie, gdzie dziurawo i nędznie, ale fason się trzyma, tych rąk właśnie się nie uwalą, gdzie się jest zawsze przez „pan”, „pani”, gdzie obowiązuje ten specjalny, literacki, inteligencki język, to prawda przeładowany banałami, komunałami, *dictionnaire des lieux communs*, elegancja, wystowienia się, osobny dialekt, bez surowizn, ta osobna literacka polszczyzna, wyszłizgana jak wytarte łokcie marynarki, jak leciutko przybrudzony kołnierzyk koszuli i krawata, ale kołnierzyk i krawat muszą być! A do tego śmietnisko drobiazgów, spinek, breloków, owszem i papierośnica, którą z trzaskiem zamyka się na preferansowym stole, cygarniczka, takie i owakie getry, kamizelki, pulowery, butonierki, no i oczywiście, jakżeż by bez nich, rękawiczki! Szare, zamszowe, ze świńskiej skóry, parasol, pilśniowy kapelusz, płaszcz raglan czy sakpalto, czy palto „miastowe” z wyleniałym ale futrzanym kołnierzem, a u pań rozmaite fioki, bluzki, kasaki, koroneczki, fastrygi, kroje, rzuciki, kapelusiki, toczki, budki, rajery i inne pierze zdechłych ptaków, bo jakżeż by. Osobna społeczna warstwa czy kasta, inna, hieratyczna, zbalansowana na jednym poziomie, z maturą gimnazjalną czy tytułem doktorskim, a zawsze adresującym się przez trzecią osobę i „pan”, aż wyszło tak, jak wyszło koledze Przybosiowi w jego antologii poezji chłopskiej (ach te antologie!) że z tego uroczego, lirycznego zbioru poezji chłopskiej pierwszy nieszczęśliwie i złowieszczo zaczyna się od słów: „Diabli wzięli pana...”. No to już nie znęcajmy się nad nimi. Pod tymi tytułami, tak jak pod bindami, pomadą, za szklami okularów i *pince-nez*, pod kresą kapelusza panama, pod przyciskiem na biurku, bibularzem, pod stosami aktów podawczych, jak za parawanikiem w saloniku i za szpalerem krzaków porzeczkowych, za firankami i dzikim winem oplatającym pokrzywiony ganeczek w miasteczku,

czy za portierą strasznego przedpokoju kamienicznego mieszkania, za tym wszystkim...

Alem się rozpędził, jak ów Szewc Rozpędek z bajki, który smołował dratwę, klepał skórę i tak walił młotkiem, że żadne buty mu nie wychodziły, bo się zanadto rozpędzał, a ten rodzaj twórczości pisarskiej nazywa się *fleuve, stream of consciousness*.

.....

Nietota pojechała na wakacje na takie letnisko nad Dniestrem, gdzie południe, upalne lato, a zielen tam rozbijała, gąszcze zarośli, wielkie kopuły czereśni, gaje drzew, leszczyna, graby, dęby i pola, ogrody, a w nich aż kotłuje się od tej rozbuchanej zieleni, gesta dzungla konopi, słoneczniki obracają swe głowy, za słońcem, fasola na niebotycznych tykach, słodki groszek jak pachnie, dynie, harbuzy, melony rozwalające się, opasłe po grzędach, strąki, boby takie jakieś woskowate, maliniaki i porzeczkowe krzaki i agrest włochaty, i ciężkie od zielonych jeszcze jabłek gałęzie jabłoni i cała ta zielenina rozmaitych marchwi i pietruszek i łopianowe cienie u parkanów i winna latorośl, tu przecież wino się udaje, i słodko, sennie, gorąco i jaskrawo od tarniny i jarzębin i dereni i ludzie tamtejsi zachodzeni koło tych swych robót w obejściach, ogrodach i na polach i oczywiście muchy, roje ich, siadają wszędzie i pełno rozmaitych mrówek, pełzających żuków, chrząszczy, liszek, gąsienic, mszyc i paprzą się w kurzu wróble i przelatują ptaki, trzepoczą skrzydłami, fruwały, kłaskają i pogwizdują, i „ścianki” nad Dniestrem, ich płytki, blaszki kamienne sypiące się z urwisk i na zboczach dniestrowych ciężkie, kolebiące się krowy powychodziły stopnie schodząc do wodopoju, a nad tym wszystkim kopuła niebieska, niebieściutka nieba, jak szklany dzwon z niebieskiego szkła.

Otóż w tych cieniach i tym słońcu się przesiaduje, do wody, kąpieliska niedaleko, trawa, ręczniki kąpielowe, jakieś tam chusty, szale, koszyki plecione, dzieci-bobasy, robótki, buteleczki, korki, pieluszki, zabaweczki, łopatki, koneweczki, w ogóle śmieciarnia dziecinno-letniskowa i towarzystwo rozleniwione. Między taką kompanią letników, inteligentów na letnisku, zawiązuje się oczywiście komitetywa, gra się w brydża, czasem wieczorem szło się na dancng w restauracyjce, gdzie i fasony wielkomiejskie, i menu niebyłajakie, z daniami, specjalnościami miejscowymi, pstrągi, góry owoców, przystawek, lodów, gospodarz uwija się i kłania, panie rozszczębiotane, wieczór, kolacja, ale jeszcze z dnia duszno od gorąca, przy pianinie chudy pianista i drugi, skrzypek, co to i do tańca zagrają i „do słuchu”, jakieś tanga albo coś rzewnego ludowego.

Dziela się uwagami na temat nawzajem sobie wypożyczanych książek, powieści, rodzaju sztuki, który sobie inteligencja ekskluzywnie przyswoiła, inny gatunek ludzi powieści nie czyta. Będą to nowości jeszcze nierozcięte albo dobrze już zaczytane powieścida, teraz nie nazywa się już tego „romanse”. Rzeczy najróżnorodniejszego autoramentu, najnowszych autorów, a także klasyków. Dostojewski z jego strasznościami, niesamowitościami i rozhisteryzowanymi i rozgadanyimi, straszliwie rozgadanyimi psychologicznościami, nic tam się u niego nie dzieje, ani też niczego nie widać, ani krajobrazu za oknami wagonów, ani widoków Szwajcarii czy Nadrenii, ani Rosji, ani nie bardzo wiemy, jak tam wyglądają twarze i grymasy tych jego bohaterów. Lepiej już u tego zaczytywanego Dickensa, bo ilustrują je sztychy Cruickshanka, panowie we frakach i halsztukach, obciste spodnie ze strzemiączkami i te ich tam bakenbardy przy wygolonych podbródkach i na czoło zwisa im ówczesny lok, a panie w budkach, pasterkach ze wstążką pod brodą albo *follow me*, i spod fałdów spódnic, krynolin wygląda im czubek bucika, pantofelka, przewiązane w kostce, pęcienie i forys na siodłowym koniu zaprzęgu dyliżansu i wiechy oberż i zajazdów. A znowuż u Schnitzlera to domyślamy się sztafazu wiedeńskiego Prateru, fircyków w waffenrockach, z wąsami usztywnionymi pomadą i dobrze ufryzowanymi przez bindę. To znowu Maupassant i w ogóle francuscy noweliści, takie to u nich wyfajnowane, ciut-ciut, psychologie i perwersje, wysmakowane, „cienkie”, tylko że ówczesne wydania miały psujące wrażenie ilustracje, a na nich piórkiem, koniecznie wyszrafowane, znowuż panowie z wąsami, w wysokich kołnierzykach, a panie z biustami i w długich spódnicach, z włosami podpinanymi niemożliwie, w kapeluszu takim-owakim. Już nie mówię o naszych młodopolskich nowelistach, w okładkach z secesyjnymi wywijasami, rozdziały mają szkaradne winiety, a ich akapity zaczynają się od dużej litery z wielkimi zakrętami. Ale już sypnęły się najnowsze wydawnictwa, lepsza czcionka, dobre tytuły. I spoza tego wszystkiego wyziera ku nam ten świat wymyślony, nieprawdziwy, imitujący, małpujący życie, fabuły, zawiązki sytuacji, charakterystyki postaci, bujda na resorach, ale jakże przywykliśmy do tego oszustwa i zmyślania, do poduszki, na wakacje, przydygowane tu z wypożyczalni.

Ależ ta bzdura, popis, udawanie są umową dopuszczalne! Nawet gdy osobiście jesteśmy odstręczający, niegodni, to, jak jest w *Nieboskiej* tego „hrabiego z długim nosem” o poecie: „Ty jesteś ten przez którego płynie strumień piękności — ale sam nie jesteś pięknością”, to pisze się dla czytelnika, ufa się czytelnikowi że nam pomoże, że nam ułatwi zrozumienie, bo

jak powiada Coleridge, poeta ma prawo spodziewać się po czytelniku, że ufając daruje nam zmyślenie, że „dobrowolnie stłumi w sobie niewiarę”.

Wedle reguł poetyki sztuka poważna ma być w założeniu imitacją akcji poważnej, a także winna ona mieć wymiar, ma być całością w sobie i zawierać takie incydenty, które winny wzbudzać współczucie i trwogę i wtedy u odbiorcy osiągnie się wyraźne poczucie „tragicznej przyjemności wynikłej ze współczucia i trwogi”. Te warunki tragicznej *katharsis*, „oczyszczenia”, uzyskamy i wtedy, gdy bohaterowie tragedii nie są z gruntu ani zli, ani dobrzy, nie lepsi ani nie gorsi od innych. Ich nie pycha czyli *hubris*, ale zadufanie w osiągnięte szczęście, „błąd osądu”, sprawi, że nie usłyszą przestrogi bogów. A w nas wzbudzi to wtedy tym większe nawet współczucie, bo ich nieszczeście jest niewspółmiernie większe od winy, i wzbudzi w nas tym większą trwogę, bo ukaze nam możliwości naszej własnej klęski.

Historia o Nietocie błąkała mi się po głowie od dawna i nawet myśli, które mi jej temat nasuwał notowałem rodzajem półsłów i haseł, i nabierało mi się tego nawet sporo, ale teraz nieraz sam własnego szyfru nie mogę rozszyfrować. Zaczęło się od imienia, które miało pójść na tytuł: Nietota. Wyszukałem w etymologicznym słowniku Brücknera, że „Nietota znaczy 'nie to ta', bo to lycopodium, roślina czarownicza, a roślin czarowniczych nie nazywa się po imieniu”. I tamże uzupełniłem Brücknera, że nie wymienia się po imieniu i istot potężnych, budzących w nas trwogę, strasznych, a także i osób nam drogich, by uszły uwagi tamtych zazdrosnych potęg (*phthonos theon* — zawiść bogów). Potem była zaraz uwaga: Nietota pisze lewą ręką. Miała taką przywarę, która w owych czasach u dobrze wychowanych, *bien rangée* panienek była skazą i wadę taką bezlitośnie tępiono u takiej „mańki”, a nie wiedzieli, że mogło to się przerzucić, że dziecko które przymuszają, by władało prawą ręką może na przykład zacząć się jąkać. Dalej: *Gwiazda Syberii*, a obok cała trupa z *commedia dell'arte*, Arlecchino, Dottore, Capitano Spavente, Pantalone, Rosalinda, Scaramouche... Skąd to znowu? A no w teatrzyku pensjonarskim dawały przedstawienia i Nietota (lewą ręką) szyła sobie pstrokate domino Pulcinelli. A potem: „Nietoto — co ci oczko podbito!”. Czemu? Nie wiem. A potem: Przez Zawrat i Klamry do Morskiego Oka. Czemu? Nigdy w Tatrach nie byłam. A potem znów o oczach i ciągle o oczach. „Czy woli pan blondynki czy brunetki?”. To wiem, nagle widzę ją jak żywą. Przymyka raz jedno błękitne oko, raz drugie i pyta, czy wolę blondynki czy brunetki, bo gdzieś usłyszała o osobie o jednym piwnym, a drugim modrym oku. Dalej zapisane

„Uroczne oczy” i całe wyjaśnienie do tego: kiedyś na lotnisku wracali spacerem z przechadzki, takiej inteligenckiej przechadzki, kiedy idzie się wolno, w kurzu drogi, omijając „placki” krowie, a wszyscy tacy różni od otoczenia, panny w perkalikach, chłopcy w koszulach z kołnierzem *à la* Słowacki, z marynarką przerzucaną przez ramię, a wokół bosonoga wieś, cuchnąca potem, stajnią, chlewem, z jej zapachem ogrodów i sadów, obrazek jak z Moneta czy Podkowińskiego. I na ich nadejście wypada *zinka*, chłopka, i porywa bawiące się w kurzu drogi dziecko i przyciskając je do piersi ucieka do chałupy (próg jej wysoki, przyzba z gliny, pod okapem strzechy zesztoroczne kaczany kukurydzy i *hładuszczyki* i rozbiegają się spłoszone kury gubiąc pióra i wita cała zgraja kundlów wsiowych obudzonych z pełnego kłapania za muchami snu). A bo puścił ktoś po wsi, że błękitne oczy Nietoty rzucają urok, że są uroczone i że niedobrze, kiedy padną na dziecko, przesąd, babska złośliwa plotka, kto by pomyślał.

Zapisałem tam miałem skrzętnie także i motto. Teraz to już niemodne, nie stawia się go na początku historii. Przepisane z elżbietańskiego dramatu:

Cover her face... my eyes dazzle... she died young...

I jeszcze wpośród tego śmietnika słów na końcu zapisane: Pieniążki. Długo się nad tym słowem zastanawiałem, aż przypomniałem sobie. Już wiem! Na urocznych oczach położone pieniądze, miedziaki, przyciskające na zawsze zamknięte powieki...

Ileż to można przeżyć w tak krótkim czasie? Co można zamknąć w tak krótkim życiu? Mało tych wiosen, mało tych lat i zim, a przecież świat tak ogromny, czas tak się rozciąga, rozwłóczy, że jest w tym miejsce na wszystko, na radości, na cierpienia, nudę, ciosy i upokorzenia. Raz dni wydają się mgnięciem oka, innym razem wloką się nieskończenie, kleją, właśnie wtedy, kiedy w nas dygoce od zniecierpliwienia, od gorączki, bo mówią, że u gruźlików to całkiem inna fizjologia, że te stany gorączkowe to całkiem tak jakby rausz, jakby pod alkoholem. Jak jej życie mogło się wydać, co potrafiło jej te chwile wypełnić, jakimi obwieszała je sobie welonami marzeń, wspomnień, zamysłów, w tym dalekim, samotnym domu?

Kultura nr 256/257, 1969.

PEREKOTYPOŁE

„Oznajmujemy tym listem naszym wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tym wiedzieć należy, iż pozwoliliśmy i pozwalamy Wielmożnej Salomei Wiśniowieckiej, aby prawa swego dożywotniego które piastuje na swych dobrach na Wołoczyszczu i wsiach Wołoszczowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Matwijowce, Medwedówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Porochnia, Niemierzyńce, Kociary i Hłochwasty w powiecie krzemienieckim leżących ze wszystkimi folwarkami, budynkami, rolami, polami, zaroślami, borami, gajami, łąkami, pastwiskami, rzekami, strugami, stawami, sadzawkami, młynami, karczmami, poddanymi i ich robociznami, czynszami, daninami i innemi przynależnościami dawno według prawa i zwyczaju tamże leżącymi w spokojnej posesji trzymanymi i zażywanyymi zrzec się mogła, a to dla chwalebnej chęci złożenia ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa w słynącym w Kościele bożym i ludzkim zasługami domu cnotliwych panien reguły i *ex ordo* Świętego Benedykta, by stać się oblubienicą Chrystusa. Co dla lepszej wiary i wagi ręką naszą podpisawszy pieczęć koronną przycisnąć kazaliśmy...”.

Za sprawą tego wydanego przez Kancelarię Królewską dokumentu duch ksieni, „panny garbatego ciała”, zmarłej jeszcze w roku 1716, straszyl w klasztorze, gdzie Nietota była na pensji.

No bo oczywiście strachy. Jest coś niesamowitego w trwodze, zmorze, drzeniu i dygocie przed sprawami strasznymi, a zarazem czemuś one pociągają i wabią, choć dojmują i wstrząsają, i za tym wstrząsem, dreszczem coś ciągnie, porywa, tak jak pociąga nas ostrze opartej o ścianę siekiery, błękitnej, zastygłej w grozie stali, albo kiedy nieuniknienie ciągnie urwa, przepaść, obryw

skalny, czy przerębel w lodzie, czy toń bezdenna wody, czeluść klatki schodowej w wielopiętrowym domu, gzymsowanie na wieży zapraszające do przejścia się pomiędzy niebem i ziemią. Trwoży ciemność, noc, cienie, w których kryją się rzeczy niesamowite, pustka wszelaka, puste mieszkania, domy opuszczone w których „straszy”, a wszystkiemu temu pomoże gadka, opowieść, bzdura wyssana z palca albo przekonywująca, i znów dajemy się oszukać, sami tego chcemy, sami dopomagamy, sami sciszamy w sobie niewiarę, byle osiągnąć tę chwilę doprowadzającego do zawrotu głowy strachu i strachu. A znowu dla odmiany strasznym może być najjaśniejszy dzień, samo południe, z okrutnym słońcem zawieszonym wysoko na niebie, z jego palącym, jaskrawym nie do zniesienia okiem obejmującym świat u dołu, gdzie nic się przed nim nie ukryje, nie zatai, gdzie sino od horyzontu i różowo w drgającym w upale kryształ powietrza i tylko zawiruje wariacki w upalnej ciszy wirek pyłu, skręt, korkociąg diabelski ni z tego ni z owego podnoszący się z ziemi, tuman kurzu zataczający się wśród kłosów, podniesie się i przepadnie, jak Południca co to zakreśliła się pod niebem w obłędnym tanecznym solo i z nagłą swym babskim zadem Południcy przysiadła wśród miedz i rozstajów i szczy po babsku, w przysiadzie, bo aż tu do nas zaniósł ni stąd ni zowąd, pod błękitną kopułą bezchmurnego nieba, wśród upału i suszy, paru kroplami deszczu.

Strach w samo południe. Nachodzi mnie o nim wspomnienie z czasów pierwszej wojny. Było tak, żeśmy rodziną, z dziećmi, manatkami, koszami, naprędce zebrany dającym się unieść dobytkiem, uciekali. Uciekali, bo ucieczka jest dla nas wszystkich kinetycznym przedłużeniem życia, ostatnią obroną nas wszystkich, w ucieczce chcemy jeszcze bardziej tym życiem zachłysnąć się, pozostawić pomiędzy nami i strasznym ocalającą przestrzeń, odgrodzić się nią, odżegnać od niesamowitego. Była stacja węzłowa i siedzimy w restauracji dworcowej, zapchanej, zatłoczonej, ale stoliki wciąż jeszcze przykryte obrusem, lśnią nakrycia i wazonik z kwiatami i solniczka i pieprzniczka, chociaż podłoga zaśmieccona, zapluta, u stolików oparci czołem o blat śpią ludzie. Jakiś pan siedzący przy stoliku obok nas stuka obrączką na palcu w blat stołu, bo chce, by mu przyniesiono zupe. I w tym stukaniu, jak w *Dziadach*, chociaż to nie noc, ale samo południe, na stacji węzłowej zapchanej uciekinierami, zaśmieconej, z tłumem, walizami, tobołami, rozgardiaszem, w rojącej się od ludzi i much restauracji stacyjnej, w biały dzień, w samo południe słyszeć nam się daje przestroga. Kiedy taki inteligent, pan, zatroskany i zniecierpliwiony, ale wciąż poprawny, tak po inteli-

gencku stuka obrączką na palcu za kelnerem restauracji stacyjnej, który to kelner może dwa dni temu jeszcze sam uciekł pierwszym pociągiem, albo może to jego naprędce postawili *k stience* magazynu kolejowego, bo go ktoś wziął za szpiega. A tu stukanie jak w *Dziadach*: „Dzieci, chodźcie pod kantorek... Czego potrzebujesz Duchu?... Proszę o troje paciorek...”. A my, dzieci, zapatrzone w tego pana, co taki fason odwała wpośród chaosu, zawieruchy wojennej, ucieczki. My dzieci zapatrzone w niego, wsłuchane w ten stuk, pukanie odzywające się w samo południe.

To ostrzeżenie nie kazało czekać długo. Nadszedł pociąg uciekinierski i zakotłowało się u wszystkich wyjść i na peronach, beładnie, z bagażami i tobołami, spocone twarze, tupot nóg, szturm przypuszczany do wagonów. Pociąg był zestawiony z najrozmaitszych wagonów, pasażerskich i towarowych, już zapchanych ściśnioną masą ludzką, ich pudła ciężkie, zastygłe w tej chwili w bezruchu na szynach, zapluty, zaśmieconym, czarnym od pyłu węglowego, zacieków, smarów i szczyń ludzkich torze.

Przed nami czeluść towarowego wagonu. Odsunięte na rolkach ciężkie drzwi, brudnocegłana, wypęczła od słońca i pluch farba desek oszalowujących ściany, szczeliny wąskich okienek, znaczone białą farbą hieroglify metryki wagonowej, cyfry, zrudziałe żelazo okuć, sztab, śrub. Przed tłoczącą się ciżbą ludzką rozdziawiona straszliwa paszczeka drzwi wagonu towarowego. W lata potem miał wyglądać tak samo, tyle że szczeliny okienek oplatał drut kolczasty, a za siatką ramki despeczerskiej widnieją kartki ceduł frachtowych i destynacja dla tych, co na torach rozrządowych zestawiają eszelony, pedantycznie informujące o miejscach przeznaczenia: Birkenau, Bełżec, Sobibór, Theresienstadt, Dalstroj, Wostok, Gułag...

Ta zapowiedź przyszła w dzieciństwie, które przecież samo przez się jest takie puchowe, różowe, z którym my dorośli wiążemy nasze pojęcia o niewinności, beztroscie, anielskości, sielskości. Zapomnieliśmy...

Ach, te wszystkie rymy dla dzieci, bajki, gadki, wierszyki, klituş-bajduś, pracowicie układane przez pożał się Boże rozmaite panusie i Konopnickie, żeby tylko tym malusińskim dobrze poprzewracać w głowie, owe „ciszkciem, chyłkiem, milczkiem, bokiem biegła Mańcia w pole mrokiem...”, ot w sekrecie wam powiadam, że uciekła od swej Madam, od swej Madam, od swej bony, co parasol ma zielony...”, czy „chlupu-chlupu, chlustu-chlustu, nie mam rączek jedenastu, ale mam dwie rączki małe, lecz do prania doskonałe...”, czy „kling-kling-kling- kling-kling-śliczna, Miejska Kolej Elektryczna...”, czy „a jakże mi się masz, Panie Żurowski, a kupię ja tobie czerwone pończoszki...”, albo

„o mój ty buraczku ćwikłowy, rada bym ja wianuszek zdjąć z głowy, rada bym mieć takiego mężulka, co czerwony i spaśny jak kulka...”.

A tu tymczasem ci mali, te bobasy, czy jak tam im dorośli wymyślają tak przemile, to osobny gatunek ludzki, niedołączny bo niedołączny, ale mający swe własne zrozumienie, swoje własne tradycje, swój folklor, własną teorię poznania, swój żargon-gwarę, mowę sekretną, podawaną z pokolenia na pokolenie tylko między parolatkami (a to „ency-pency, w której rency?”, czy liczenie w zabawie, „inki-pinki lodominki, inki-kwas — ty zajączku biegaj w las!”, czy inne tym podobne, co to pono wywodzi się jeszcze z sanskrytu, jak to jakiś lingwista podsłuchał, wytłumaczył), swoją własną opowieść, rytuał, moralność, etykę, swoje dociekania, przesady, tabu, niczym nie gorsze od wymysłów, przesądów i tabu dorosłych. Niektóre z tego aż straszne, kiedy na przykład tak się ostro uderza po ręce szczotką, zwykłą szczotką, aż na skórze wystąpi prawdziwa, krwawa „rosa”, albo gdy wierzch dłoni pocierać do białości, a potem powąchać, to „pachnie trupem”. Kładzie się palec na czubku nosa i robi zeza, albo wywraca oczy, by widać było tylko białka. Zadziwia to, kiedy ściernie noga i aż dziwnie i nie można na niej ustać. A jak długo można wstrzymać oddech? Straszne, kiedy powstrzymać życiodajny haust do płuc i czeka się, czeka, aż policzki zsinieją. Albo zamknąć oczy i iść po omacku, macając przed sobą świat, albo znowu kiedy naciskać gałki oczne przez zaciśnięte powieki, to pojawia się jak w transie narkotycznym kręgi żółte i sine pod powiekami, aż strasznie. Popatrzeć na świat przez zielone szkieleto z rozbitej butelki po piwie i cieszyć się nim widzianym na zielono. I nagle „dzwoni w uchu”, jak cieniutki telefon czy dzwonek elektryczny. A umiesz „po włosku?”. Co znaczy, czy umiem po włosku? No to wyrwa się rozmówcy boleśnie włos, ażeby wiedział, co znaczy umieć „po włosku”. I smaki, najprzedziwniejsze, od zawsze łakomej słodczy, słodkości najrozmaitszych rodzajów, lodów, soków, cudownej, aromatycznej słodczy miodu wprost z plastra pszczelego, niesamowitej słodczy poziomek, na której samo wspomnienie niejednego dostaje alergicznej wysypki, cudownych wiśni-moreli, aż nudnej słodczy wysysanego kwiatu akacji, aż do przestąpienia progu słodkości, kiedy zje się za dużo kostek cukru, po rozmaite kwasy, kwaskowatości, ostrości, pieprzności, papryki, aż po gorzyc gorzycy „dwa ziarnka”, o którą dopraszają się dusze umarłych dzieci, aż po gorzyc i kwasotę gąbki przepojonej żółcią i octem, jaką na ostrzu włóczni Umęczonemu podawał zdjęty litością żołnierz rzymski.

.....

No to jakże wobec tych wszystkich straszności nie miałyby Nietota nie zatracić się w przesądach, w zabobonach, czarach, kabałach, znakach złowróżbnych, wróżbach, przepowiedniach, zaklinaniach, odczynianiach uroków, w tym osobnym folklorze panieńsko-dziewczęco-dziecinny.

Obiera Nietota jabłko, weźmy, uważnie, by okorowane ze skórki, łupiny, tej łupiny broń Boże nie przerwać, aż wyjdzie jej ta łupinowa loxodroma, ostrzem noża obrana z czerwonego jabłuszka („Maruszką moją, Maruszką, pójdziesz ze mną rwać jabłuszka!”) i wtedy jednym ruchem rzuca się przez ramię poza siebie skręcającą się łupinę i kiedy ta upadnie, ułoży się w przypadkowy monogram, kształt pokreślony, który od biedy można zawsze odczytać, jak w esach i floresach ukazuje nam jakąś literę, a ta litera będzie początkowym wskaźnikiem imienia tego kogoś, co w przyszłości będzie kochankiem, narzeczonym, mężem.

Uważa Nietota, by nie przejść pod opartą o mur drabiną, nie przeskakuje tarzających się po trawie dzieci, bo nie urosną, nie wstaje lewą nogą z łóżka rano, bo nieszczęście a już te wszystkie piątki feralne, złowróżbne trzynastki, czy dobrowróżebne dotknięcie się garbusa, po czym ujrzenie białego konia, by znowu nie powracać po potrzebne, ale zapomniane w domu drobiazgi, owe poniedziałki „szewskie”, tyle różnych spraw, o których należy pamiętać, albo też i same zaraz się przypominą. Siedzi się w rozgadany towarzystwie takich samych młodych i z nagłą powstaje pauza, cisza, przerwa w rozmowie, kiedy nie pada ani słowo. No to wiadomo, że ktoś w tym gronie ma skrzyżowane nogi, albo na pewno gdzieś „oficer kawalerii płaci długi”. Tak samo uszy nam ni stąd ni zowąd czerwienieją, aha, gdzieś daleko mówią o nas. A już gdy w sierpniowy wieczór mignie świetlana smuga „spadającej gwiazdy”, tej co spełni nasze życzenie.

No to jakżeż by Nietocie miały ujść karty. To przecież była dla niej ostatnia ucieczka z samotności, karty powierniczkich jej marzeń i zachceń, domysłów, wyroczni i wróżb. Może nie kabała cygańska łudzająca i oszukująca, z jej „blondynami”, „brunetem” zawistnym po lewej stronie i czarnym krzyżem trefla, mającym położyć kres wszystkiemu, czy asem karo zwiastującym list, to dobre dla analfabetów. Kładło się pasjansa, „solitera”, zabawka w przypadkowość, kiedy to kładzie się na przemian kolory, albo wedle starszeństwa, i pasjans wychodzi, „napoleoński” albo „zegar”, w dachówkę, w koło, czernią się piki i trefle, czerwieni karo i ceur, zniecierpliwienie kiedy pasjans „nie wychodzi” i nuda i pustka, kiedy wszystko składa się i szereguje. Tylko broń

Boże! nie szachrować, nie podglądać kart, do czego korci i świerzbi.

Ileż uciechy z tej talii kart, z ich konterfektami waletów, dam, królów, z ich magicznym starszeństwem, karty, wzorowane jeszcze na średniowiecznych koślawych drzeworytach, z waletami, ich halabardami i marsowym zakręconym wąsem, z królami o ładnie ufryzowanych brodach i przekrzywioną na bakier koroną w lilie, z berłem poważnie wspartym o ramię, z ich damami w kwefach, koronkach i diademach, z okrągłą piersią wydzierającą się z ciasno zasnuwanego stanika, a w palcach róża albo zwierciadło, a na policzkach róż i bielidło. Kolory nazywa się wykwinicie, wymawia z francuska, a to przecież pocziwe „dzwonka, wino, czerwień i żółdź” stangretów i zmiany warty w kordegardzie i murarzy i młokosów zagrywających w ostatnich ławkach skrycie przed okiem profesora w „zechcyka”, „durnia”, „eindunzwanzig”, bo już inteligenści to tylko w „belotę”, „preferansa”, wreszcie brydża.

Był czas, w którym strony, okolice, w których majątków swych i dóbr wyrzekła się panna ksieni Benedyktynek przemyskich, wydzielali sobie, w których w ciągu paru lat rozmaici okupanci i rozmaite władze zmieniały się bodaj że czterdnastokrotnie. Rozrywali je sobie Niemcy, petlurowcy, Denikin, strzelcy z Galicji, Polacy, bolszewicy, „zielone” bandy Bački Tutnyka i banda Marusi, a nawet jakiś „Niczij Dewiatyj Połk”. Właściwie królowała tam wtedy taczanka.

Taczanka to lekki pojazd, który wynalazczo przerobiono na podwozie dla karabinu maszynowego. Wóz, który z daleka wydać się mógł chłopską podwodą ciągnącą na jarmark czy na wesele, załadowany snopami czy zarzucony weretą, robił nagle na drodze zwrot, czy galopem wyjeżdżał z zagajnika i sponad półkoszków wyszczerzał nagle pysk Maxima i szczekał serią, kiedy powożący trzymał rozbiegane konie, a polem kładł się pokos poszerzanej serii.

Do tego celu zabierali po dworach, folwarkach, cukrowniach lekkie, niemalowane, „perekładne” bryczki, „amerykanki”, najtyczanki, linijki, powoziki, dryndy na resorach, na sprężynujących drewnianych listwach, i na tym montowało się karabin maszynowy Maxim, albo Colt, Browning czy Schwartzlose. Dąbrową wołyńską niesie się echo serii, skacze i chodzi korba zamka i karabinowy strzelec trzymając uchwyty u tyłka broni wodzi lufą objętą rurą płaszczu chłodnicy i maszyna łyka gurt z nabojami. Oczy strzelca, bładniebieskie, zimne oczy śmierci, patrzą przez szczyrbinę, kciuk naciska na zwalniacz spustu. Sypie się deszcz wyrzucanych łusek.

A tu w czasach beztróskiego pokoju i pogody w łańskich szwadronach karabinów maszynowych, w plutonach taczanek, błotniki czterech malowanych w ochronny kolor, wozy znakowano dla fantazji, z mody karcianej, w cztery asy: „Trefl, Caro, Pik i Cœur”.

.....

Nietota pozwala mi oglądać swój zielnik. Wielki foliał, którego karty poprzekładane są arkuszami bibuły, a na kartach systematycznie ponaklejane, porozpinane i sprasowane źdźbła, liście, łodygi, szypułki, kwiatostany, strąki, włochate torebki nasienne, baldaszki, bedłki, pręciki, łuski, kwiaty zasuszone i kolory ich bladziutki i wypętlę, tkaneczka liści kruchutka. Wszystkie pendantycznie zaopatrzone w imiona, nazwy łacińskie. Ruta, rozmaryn, macierzanka, kozłek lekarski czyli waleriana, męczennica-passiflora, mięta, nagietki, rdest albo drjasen, dzika róża, rabarbar, borówki-łochynie albo pijanice, rumianek, pokrzywik-cza jagoda (*atropa belladonna*), prawoślaz, jaskółcze ziele, lipowy kwiat, dziewanna, dzięgiel, dorohożołot, co zwie się także tysiącznikiem, centurią, ciemiężycą to cząbr, czemer-jad, podbiał, lulek czarny, ostróżka, żywokost, bieluń, dziedzierzawa, szalej, naparstnica (*digitalis*)... A to co? nie, nie śmiej się, to przecież widłak-Nietota... A to? To perekotypołe. Perekotypołe? No tak, ze ślázowatych. *Salsola pestifer*. Tu nie jego miejsce, bo to zielnik roślin leczniczych, ale zabłąkał się. Bo wiesz, błąka się, nie czepia miejsca, toczy się kulą po ziemi, czepia płotów i krzaków, wiatr niesie nim, sam widziałeś, nie? Perekotypołe...

Ta mania zbieracka, zrozumiała u bab, wiedźm zamawiających choroby, zrozumiała była u młodej dziewczyny, nie jakiejś *snowydy*, ale po prostu studentki medycyny. Nie dawała się nawet wtedy, gdy była w sanatorium Bratniaka. „Gryzę granit nauki”, pisała. Nawet nie mam pojęcia, co to było, no, wiadomo, studia medyczne, chemia taka i owaka, organiczna i nieorganiczna, fizjologia, histologia, farmakopea, a w początkach przede wszystkim anatomia, już nie nauka a dyscyplina, bo nic tam nowego wymyślić nie można, tylko setki, tysiące łacińskich do nauczania się na pamięć słów, w tę stronę i na wywrót. Prosektorium zaczęli wtedy już na pierwszym tryestrze, w chłodnych, wysterylizowanych, lśniących od białej farby olejnej ścian salach, śmierdzących formaliną. Prosektor, wielki, siwy, z wiechciami wąsów, w fartuchu z czarnej ceraty i dłoniach urękawiczniionych w gumę, surowy i rubasznym, nie krępujący się dziewcząt-studentek, mówiący ostatnie gruboskórne świństwa.

No to Nietota, ażeby mi zaimponować, zabrała mnie kiedyś

do prosektorium, kiedy nikogo tam nie było, ażeby mi pokazać zwłoki. Były to zwłoki kobiece; jakieś staruchy, żebraczki pewnie, zabrane z przytułka czy po prostu z ulicy, chudy trupek z ogoloną czaszką, wymoczone w formalinie ciało koloru mahoni, z wydatnym nawet u staruszki wzgórkiem Wenery.

I znowu po latach przyszło to nawrotem, kiedy na świadectwo czasom pogardy ukazano nam setki, tysiące fotografii stosów ludzkich trupów w obozach śmierci czy u rozkopanych dołów masowych egzekucji. Wyszły i kanciaste od kości obciążniętych skórą, straszliwy teatr lalek, manekinów, żebra, piszczele, miednice, wyszczerzone zęby i golone czaszki, spiczaste kolana i stawy łokciowe, skóra napięta na kościach policzkowych, wpadłe w oczodoły zagasłe oczy, i w tym ciała kobiece, bezwstydne w ich nagości, ukazujące właśnie ów sterczący wzgórek Wenery. Widoki jakby z obrazu jakiegoś mistrza z quattrocenta, góry zwłok jakby w ruchu, jakby podnoszących się z ziemi, powstających z martwych, by pójść tłumem, zdążyć długim wijącym się węzłem ku dolinie Sądu Ostatecznego. Albo jakby jakiś ludzki zielnik, martwych i zasuszonych ludzkich łodyg, jak w zielniku Nietoty.

„Ja wiem”, powiedziała, „ja wiem wszystko! Naprawdę wiem!”.

Mówiła podniesionym głosem, wyraźnie i metalicznie, ostro i dźwięcznie. Nogi trzymała razem i obiema rękami opierała się o brzeg sanatoryjnego łóżka, tak jakby chciała pozostać dokładnie symetryczna, jakby przez doskonałą symetrię miała dodać ostrości i klarowności temu, co miała powiedzieć.

„Wiesz, jak parę lat temu byłam na wakacjach u wujostwa, to odnajmowali letnisko przy tej wielkiej linii kolejowej idącej na zachód. Tam, z tego domu co parę godzin można było widzieć, jak idzie pociąg. Wiedziało się o tym naprzód, bo szyny kolejowe zaczynały ciężko stękać, rozlegał się wśród podkładów głuchy stuk i westchnienie. I potem cisza... A potem znowu... A teraz to już słyszeć było z daleka szum i łoskot nadjeżdżającego pociągu. I głos ten jakby się podnosił. I to było straszne, takie wyczekiwanie... Wuj, no wiadomo, inżynier, mówił, że w fizyce nazywa się to efektem, czy zjawiskiem, czy zasadą Dopplera. Szum, gwizd lokomotywy nadchodzącego pociągu w miarę zbliżania się podnosi się do górnej granicy, by potem opaść, zaniknąć z powrotem, Aha, nie jakaś taka akustyczna ciekawostka, bo ma zastosowanie i w innych dykasteriach nauki, weźmy w astronomii, gdy dokonują pomiarów odległości gwiazd na podstawie przesunięć się linii Fraunhofera w widmie spektroskopu.

Widzisz, jak to uczenie wykładam. Ale wyczekiwanie było straszne... Możesz się śmiać ze mnie, z takiej egzaltacji, ale to było strasznie wyczekiwać, strasznie... Jestem głupia, co tu mówić, nie mam tego, co nazywa się wyobraźnią. No, zawsze czytam poezję, Słowackiego i Staffa, ale zawsze... No, nie mam wyobraźni i nie mam... Ale jak wtedy wyczekiwałam, to chciałam sobie wyobrazić to, co nadchodzi... a że nie stać mnie było na wymyślanie czegoś, to oczywiście czepiały się mnie oczywiste asocjacje, bo wiadomo „pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy”, to więc nadleci coś z taką ognistą grzywą. Ale znów jak nie widziało się grabowego żywopłotu dwutorowej „sztreki”, ani perspektywy szyn, ani nieba, ani ziemi, to stawało się to tylko wyczekiwaniem. Myślałam sobie... czy może być coś takiego jak samo tylko wyczekiwanie... bez obrazu, bez światła, bez bólu... możesz się śmiać... To tak jakby ktoś myślał, że można żyć powiedzmy samym smakiem truskawek, że wszystko, świat, dobre i złe, głupota i nuda, ambicja i poczucie humoru, dewocja i zmartwienie, że wszystko to można skupić w jakiejś jednej sensacji. No, powiedziałam na chybił trafił — smak truskawek. Ale możesz mieć, co ci się żywnie podoba... To u mnie wtedy wszystko zmieniło się w wyczekiwanie... Czemu się na mnie patrzysz?... Czy myślisz, że przyszło coś, że nadleciało? Czy wydaje ci się, że byłabym tutaj, czy myślisz, że po takim wyczekiwaniu naprawdę mogło nadejść coś większego, innego, coś co by miało mnie zabrać i porwać w tym szalonym pędzie, że zostałoby coś po mnie?”.

„No, chyba nie muszę ci mówić, że przeszedł „pośpieszny czwarta dwadzieścia trzy”.

„Jeżeli dotąd pali mi się w głowie rozpalonym świekiem czerwonego światła semaforu po przejeździe pociągu, to nawet żeby nie wiem jak było to bolesne i dziurawiące mi mózg na zawsze, to nigdy, nawet w najbardziej wyrozumowanym tłumaczeniu nie...”.

Nietota siedziała teraz już niesymetrycznie na sanatoryjnym łóżku i była zawstydzona i zmieszana swoim wybuchem.

Kultura nr 262/263, 1969.

EL PELELE

Wyrzekając się swych dóbr doczesnych i majątków, „z folwarkami, gruntami, budynkami, z tartakami i foluszami, z młynami i ich wymiałem, ze stawami, z bobrowymi gony, ze stawkami i sadzawkami, z prawem łowienia w nich ryb, z sadami, gajami, zapustami, z lasami, borami i dąbrowami, z polami, sianożęciami i ogrodami, z zasiewami, z bydłem wszelakim i innymi pożytkami, z bojarami putnymi i pancernymi („putni” do służby posyłkowej i „pancerni” do zbrojnej), z ludźmi ciąglymi (*tiabłyje ludy*, to jest tacy, co byli posiadaczami inwentarza pociągowego) i nieciąglymi (*netiabłyje*, odbywający swe powinności pieszo), z ich robotami na pańskim, szarwarkami, podwodami, furami, czynszami groszowymi i owsianymi, z daniną miodową, z przysądem, kunicami i inną daniną wszelaką, z opłatami pieniężnymi i niepieniężnymi, z arendami, pachtem, z karczmami wszelkiego napoju, z czopowym od piwa, miodów, gorzałek i też garnców wina muskateli, małmazji i wszelkiego picia, z opłatami od przewozów i promów, i z czwartego grosza od wszelkich towarów i wołów i rogatkowego i składnego, z mytem i promytem”, otóż wyrzekając się tego wszystkiego panna ksieni nie wyzbyła się trosk związanych z materialnymi, doczesnymi sprawami ziemskimi. Cnotliwe Panny Benedyktynki Przemyskie były beneficjentkami, spadkobierczyniami wielu zapisów, testamentowych kodycylów, nadań, dóbr wyposażających ich dom. Wiano zapewniali im liczni fundatorzy, dobrodziej, kolatorzy, jałmużnicy ziemi przemyskiej, samborskiej, jasielskiej, krośnieńskiej, a zawiadywanie tym powierzano opiekunom, plenipotentom, powiernikom, kuratorom, dzierżawcom, komisarzom, rządcom, podstarościm, pisarzom prowentowym i ekonomom. By jednak ludzka nieudolność i pazerność i łapczywość nie zubożyła tych tenut i dochodów, trzeba było ich doglądać i czuwać nad nimi. Toteż raz do roku wypadało

pannie ksieni wybrać się na objazd kluczków, włości folwarków klasztornych, na generalną ich inspekcję. Chociaż od lat już wybudowano ze Lwowa na Kraków „sztрекę”, „żelaznicę”, kolej imienia arcyksięcia Karola Ludwika, panna ksieni nie korzystała z tego piekielnego wynalazku nowoczesności. W podróż-objazd wybierała się starą, kiedyś poszóstną, dziś zaprzężoną w parę fornalskich hamanów kareta. W jej obdrapanym pudle hojdającym się na resorach i pasach po wybojach i szutrze gościńca, w chrzęście kół i stukaniu piast, przez szczelinę w zasuniętych w jej oknach firankach abatisa patrzy i pamięta jeszcze z dawnych czasów ziemianki-posiedzicielki, że tu orzą „w skład” albo „na rozorywkę”, że tam włóczą, albo piętrzą stogi, coś sprzątają, grabią czy dołują. Panna ksieni w czarnym kłobuku-cidaris, z pastorałem ksieni wspartym o siedzenie karety, w palcach przesuwa kuleczki, paciorki różańca.

Tak samo na co dzień, kiedy powłóczy korytarzem cellarium i przystanie u okna, to może okiem objąć, co się dzieje na podwórzu klasztornym. A dzieje się coś, czemu panna ksieni przytaknie, chociaż nie da tego po sobie poznać. Na podwórzu czy w wirydarzu dziewczęta w czasie rekreacji urządziły sobie zabawę, nazywa się to „Der Hampelmann”. To pocieszna kukła, pajac, manekin, naprędce zrobiony ze szmat, prześcieradeł, majtek, niezdarne, ale przydaje to tylko zabawie, głowa z jaśką, z usmarowanymi na nim gałami i nosem i pokracznie wykrzywioną gębą, peruczka z kłaków, ręce z gałganów i gidiowate, powykręcane w stawach nogi i stopy przybrane w pończochy i pantofelki, fraczek-kubraczek z czegoś tam zmajstrowany z rozlatanymi połami. Niezdarny, bezwładny, bezsilny pajac podrzucany w górę na kilimku, a panieneczki rozswawolone, rozhisteryzowane, rozchichotane na widok pokracznych pów, jakie w powietrzu przybiera. Że oto ten właśnie „on”, mężczyzna, co to nastaje na ich niewinność, ale o którym się marzy i plotkuje i spodziewa, którego się boi, od którego ucieka się, którego podnieca się i drażni tą ucieczką, wabi, podchodzi, obiecuje, robi do niego „perskie oko”, dla niego stroi i mizdrzy w lustrze, że ten właśnie w tej postaci niezdarnej i bezbronnej oddany jest im na pastwę. Panna ksieni kusząc korytarzem i zatrzymując się u okna pochwała i przytakuje okrutnej zabawie dziewcząt, toleruje ją, na pewno w dobrej wierze i trosce o spokój i cnotę, wierność, dziewictwo, poprawność i ułożenie powierzonych sobie *in loco parentis* na wychowanie istot.

To ona w czasie ostatnich modlitw zamykających dzień, po ostatniej litanii i antyfonie zaintonuje stary hymn śpiewany w klasztorach na Kompletę, *Procul recedant somnia*, w którym wzywa się i ucieka pod obronę przeciw złym snom i majaczeniom

nocy, jej trwogom i fantazjom, nawołując moce niebieskie, by starły pod swą stopą łeb duchom grozy, byśmy *super aspidem et basiliscus ambulabunt*, byśmy, a fe!, nie doznali zgorszenia. Odbiera nam sny, odgradza od nich, od ich przypadkowości, złowróżbnych znaczeń, nieoczekiwanych splotów i asocjacji, dziwaczności, alogiczności, niepokoju, ich szyderstwa z życia, ich udawania życia, cierpienia w nich za winy niepopołnione, snów-rekompensat i snów-samobiczowań, nieartykułowanych i jakże bezdźwięcznych, naiwnych a tak wypranych z humoru, prześladowczych, a nie spełniających najniewinniejszych naszych marzeń i zachceń. Panna ksieni wie dobrze, co robi. Nie pozwala nam wymknąć się spod jej władzy, kostura-pastorału ksieni, chce, byśmy pozostali niewinni i bezgrzeszni, za nas chce wziąć na siebie ciężar naszych grzechów i z grzechów wynikłych zmas sennych.

Skąd te szczegóły spoza furty klasztornej, klauzury? A no, rekonstruuje sobie to, co mi Nietota opowiadała i staram się niezdarnie opowiedzieć własnymi słowami. Oto widzę Nietotę, jak to Nietota, już nie w szermierczym plastronie i z floretem, ale jako Pulcinella melduje się u ksieni, w swym pstrokatym domino, w rękę ma tamburino i uderza w nie i pobrzękuje jego brzękadła przed całą panną ksieni i podniesionym głosem Nietota zapowiada:

— *Signori comici sono arrivati!*

Jakże jej w to graj, Nietocie, która jak się rozszalała, to się rozszalała, niebaczna na kary, pensa, strofowania i połajania. A dwoiła się w tej postaci, raz Pulcinella chytry, podstępny, lisi, zdradziecki, oczajdusza, a innym razem zawadiacki, zabijaka, skłonny do bójki, złodziej i chuligan, zakochany w trzpiotowatej Colombinie. Wiernie mu sekunduje Arlekin, w masce czarnej, bo kiedyś w początkach był Murzynem, w kostiumie w szachownicę, bo to przecież łaty łachmanów na łotrzyku, wierny swemu panu aż do chwili, kiedy o nim zapomni dla wylizywanego garnka. A Capitano Spavente albo Bombardone albo Fracassa, „syn grzmotu i trzęsienia ziemi, brat śmierci i serdeczny kompanion Belzebuba”, o wąsach jak u rysia, przy ostrogach i szpadzie, zamykający oczy, by nie widzieć rąk, nóg, głów, uszu, latających pod jego ciosami, pies na płęć nadobną ulegającą mu tuzinami, o węchu niesłychanie czułym na zapachy kuchenne, ale gdy mu pięść pod ten nos podsunąć, albo gdy zaszeleści spadający liść, to zamienia się w zająca. No i Pantalone, chytry kupiec wenecki albo profesor boloński albo prawnik-kauzyperda, o przyprowadzonym wielkim nosie, długonogi, zazdrośny, o żonę czy powierzoną sobie siostrzenicę-sierotę.

Ów właśnie teatrzyk pensjonarek, zabawa w *commedia dell'arte* unaoczniała mi skarykaturowane, wyolbrzymione swymi właściwościami słabości ludzkie. Capitano Spavente to przecież uosobienie żołnierza-samochwała, fałszu, bufonady, maskarady wszelkiej militareski od najdawniejszych czasów, kiedy to pióropusze, grzebienie na hełmach, wszystkie te szamerunki, plecenia, szarfy, portépée, rabaty, chorągwie, sztandary, insygnia miały być postrachem kryjącym pod pancerzem, *cuirasse* tchórzów usiłujących takich samych innych tchórzów naprzeciw przestraszyć, oszołomić, zaimponować im psychicznie, zdruzgotać, do tego wszystkie zawołania, komendy, paradne kroki, buńczuki, kotły i trąby wojenne, rozwiane jak „namioty wojsk koczujących na niebie” chorągwie, zgiełk i krzyk podnoszony przez najrozmaitsze hufce, kohorty, legiony, bataliony, te kity, tarcze, ostróg dźwięk, rżenie rumaków bojowych, cóż to za dziecinnada!

Właśnie dziecinnada.

A czyż nie jest z mej strony dziecinnadą zapuszczać się w teren egzotyczny, nie z autopsji? Niejeden już zrobił tego rodzaju pomyłkę, płacąc za to drogo, narażając się na nieporozumienia, krytykę, nierzadko i śmieszność. Trzeba tu stąpać bardzo ostrożnie, wymierzać, przewidywać, domyslać się, odgadywać, obchodzić. Wiemy, wiemy. Kiedyś, dawno wpadł mi w ręce tomik nowel Marii Konopnickiej, co tu mówić, autorki i poetki i chwalonej i poniewieranej, naprawdę umiejacej wyczarowywać słowa, naprawdę bardzo obdarzonej, chociaż swoimi ludowościami, krzywdami chłopskimi mogła zdrowo dojechać. (Ale bajkę to już Pani Konopnicka umiała opowiedzieć: „... Niech se Krasnoludek siędą”, zapraszają do ogniska dzieci Koszałka Opałka, a Zośka Kowalcanka, zakrywszy wierzchem ręki oczy, zawołała prędko: „A to nam bajkę powiedzą...”). Przecież to ja sam, jak Lis Sadełko (a już podawałem się przedtem jako Szewc Rozpędek, przypomni mi Nietota), zezując w tamtą stronę wzdycham: „Jakże chętnie w pracy wyręczyłbym tę interesującą sierotkę! Czuję w tej chwili jakby objawienie moich przeznaczeń: nawracać zbłąkane gąski — to powołanie moje” (a Nietota dodałaby z humorem: „Aha, cztery białe i trzy siodłate!”), kiedy chcę pisać o pensjonacie klasztorным. Otóż w tym zbioru Pani Konopnickiej była nowelka, zdaje się pod tytułem: „Stacho Szafarczyk”. Już nie pamiętam, co było jej tenorem, ale pozostało mi przypomnienie o tym, jak to jej bohater, chłopski niedorostek, kosi żyto. I tu Pani Konopnicka, dama bądź co bądź z epoki, z *pince-nez*, w tiurniurze, a nie jakaś traktorzystka, dała się ponieść fantazji, porwała się na opis czegoś takiego jak koszenie żyta przez dzień cały boży, czym jest dla chłopca kilkunastolet-

niego ciężka robota dorosłego chłopca, utrzymanie ciężkiego kosiska, odkładanie pokosu w stękanu i zamachu, kiedy aż w krzyżach łamie i skręca, kiedy gęsta ściana zboża stoi murem i opiera się i stawia tej kośbie. (A do tego przecież zboże kosi się kosą z jakimiś półgrabkami, by odkładać nieskłócony pokos na słomę „kulową”, czyż nie tak? Ale mniejsza z tym, że tam nie było o tym). No tak, wyobraźnia, domysł artystyczny to jedna sprawa, a realia to druga. Samemu nigdy nie zdarzyło mi się kosić i nie porwałbym się na opisanie tego.

Za to ja wiem, naprawdę wiem, czym jest wyładowywanie wagonu towarowego, jego ładunku niegaszonego wapna. Sam kiedyś to zrobiłem w ciągu jednego, długiego, straszliwego dnia. Wagon stał na bocznicy i do odsuniętych na rolkach jego ciężkich drzwi, do jego pudła pociągniętego farbą wyblakłego ceglatego koloru, do tych odsuniętych drzwi wagonu, pudła na jego ciężkich osiach, z czarnymi i szarymi od pyłów tarczami kół, z jego sztangami, śrubami, tępyimi talerzami zderzaków, szczękami hamulców obejmującymi wypolerowane obręcze kół, do tych odsuniętych drzwi podstawiano furmankę-garę, drewniane koryto na kołach. Ja sam potykający się i chwytający równowagę na rumowisku brudnobiałych gruzeł wapna, z łopatą w ręce, podbieram z zalegającego do połowy ścian wagonu rumowiska wypalanych gdzieś tam, gdzie palą u kamieniołomów w wapiennikach grudy wapna, nabieram szuflą ciężar, od którego zginam się w pół w krzyżach i półobrotem skręcam się ku otwartej na świat boży prostokątnej framudze drzwi wagonowych, rzucającej, wpuszczającej przeraźliwe światło do ciemnego, białowapiennego wnętrza. W tym wnętrzu unosi się uparty, zły, żrący tuman wapiennego kurzu. I nie ma od niego ucieczki. Pcha się w oczy, do nosa i gardła i mimo że zrobiłem sobie z chustki do nosa rodzaj prowizorycznej maski, przenika przez jej tkaninę, pcha się do krtani i płuc i nos mam już spuchnięty od gaszącego się w nim pyłu wapiennego. Moje półbuciki, mankiety nogawek inteligenckich spodni pobielają, zgrzyta żelazo szufli, ciąży straszliwie każdy haust unoszonych nią grud. Ciężka gara u dołu przed drzwiami powolutku zaczyna się wypełniać, ale z usypiska na którym stoję w wagonie jakby nic nie ubywało. Koszula lepi się do ramion, barków, pleców, ściany wagonowe rezonują swym pudłem metalicznemu szuraniu i zgrzytowi żelaza szufli, oczy zalewa pot spływający mi po czole. W świszczącym oddechu, z krwią dudniącą mi w skroniach, przycinając zębami dolną wargę, niezgrabnie, nieumiejętnie, po amatorsku nabieram łopatą grudy wapienne. Jestem sam, sam ze sobą i swoimi myślami, w tej chwili chaotycznymi i gubiącymi się, miażdżonymi przez wysiłek

fizyczny, trzepoczącymi się niezdarnie, czepiającymi się wariacko jakiegoś tematu, przeskakującymi na inny, by uciec gdzieś znowu, aż staję na chwilę w bezruchu, z szuflą na pół zarytą w rumowisku, zapytujący się: Kim jestem? czemu tu jestem? dokąd stąd pójdę? czy to jestem ja sam, naprawdę? ja? to moje ręce? z nabrzmiałymi na przedramionach żyłami, piersią unoszącą się przerywanym oddechem, potem lepiącym mi koszulę do pleców.

I oto nagle wydaje mi się że wagon jest w ruchu. Najwyraźniej słyszę stuk jego obręczy na spojeniach szyn, przez szczeliny w deskach widzę migające drzewa, na krzywiźnie toru podłoga wagonu chyli się i chwieje, i daleko daleko, gdzieś na końcu wielkiego zestawu wagonów pociągu wyje lokomotywa i głos jej miesza się z wyciem, rykiem tłumu, pochlipywaniem dzieci, bezsilnym, tępym łomotem pięści ludzkich tłukących w deski oszalowania wagonów i straszny chóralny krzyk „Gewałt!”, zwierzęcy, bezsilny strachu ludzkiego i nagłej paniki, istot ściśnionych w wagonach towarowych, ludzi stojących po kostki w gruzowisku wapna, jakim podłogi wagonów wysypano prewencyjnie dla dezynfekcji. A potem już, po wyładowaniu cizby ludzkiej wagony już puste i lekkie, w stukocie, w metalicznym stuku zderzaków, przebiegającym jak dreszcz zestawami eszelonów rozrządzanych i przestawianych na torach, dobrze wydezynfekowane wagony odchodzą po nowy i nowy ładunek ludzki. Uff! Ocieram łokciem pot z czoła i mówię sobie, co ci się przyśniło, człowieku, toż to biały dzień, masz wyładować ten wagon z wapna, druga furmanka-gara już czeka, no śpiesz się, do roboty! Tak więc wydawałoby się, że to taka prosta sprawa, wyładować wagon wapna na stacji Persenkówka.

.....

Co przejmowało owego lata Nietotę? Oczywiście, przede wszystkim sprawy najbliższe, zwykłe, to co nas wszystkich przejmuje, codzienna rutyna wstawania rano z łóżka, śniadanie, kawa, rogaliki, a tu już na dworze upalnie od lata, złoto od słońca przesiewającego się przez liście, modro od błękitu nieba, dźwięcznie od głosów ptaków, fijut-fijut wilg, bzykania much, rozdzwonionej sygnaturki u Dominikanów. Po toalecie, jakże prymitywnej, nad miednicą pełną wody, Nietota zasiada na górze do pianina. Na nim stosy nut, SZKOŁA z monotonnymi gamami i palcówkami, rozmaite łatwe kawałki, jakieś *pot-pourri* z operetek, Beethovena Sonata, Serenada Schuberta, Grieg, Weber, „Eine Kleine Nachtmusik”, a także „Modlitwa dziewicy”, arie z Halki, walce, mazurki, kujawiaki, dosyć to wszystko obtargane, z takimi tam winietami tytułów, z ich nutowymi hieroglifami,

kluczami wiolinowymi i basowymi, „krzyżykami”, bemolami, a pod linijkami nut wiersze słów poprzedzielanych pauzami, ażeby sylaby wypadały tam gdzie nuta, słowa, słowa. „U prząsniczki przędą jak anioł dziewczeczki... do Królewca płynie młodzieniec z wiciną...”, „Ura-ho — dalej, z naszym hetmanem — Ura-ho — dalej!”, „Donna e mobile... Kobieta zmienną jest, głupi kto ufa jej...”, „Ty pytasz mnie dlaczego już? pijany szaleńcem chwytam nóż!... Do portu już dobija łódź...”, „Śpiesz barko moja — pogoda sprzyja — niech cię prowadzi — Santa Lucia...”, nuty, nuty, krzyżyki, krzyżyki, Allegro, Andantino, Adagio, Maestoso, „Lecą liście z drzewa...”, „Za Niemen tam precz...”, „Szynkareczko, kochaneczko — stój, na Boga, stój!”.

A po chwili ciszy dyszkant Nietoty:

*Czowen sered wody — chytaje sia...
... Czowen sered wody — chytaje sia...*

I cisza. I znowu:

Czowen chytaje sia sered wody — zdaleka wydno seto...

Potem ucichła. Słychać było tylko skrzyp drutu pedału i szelest przewracanych kartek zeszytu nutowego. Potem zaperliło się w wysokich oktavach od uderzanych szybko klawiszy i znowu cisza, by odezwać się jakimiś niecierpliwymi jazzowymi synkopami. Potem znowu cisza, i w niskich oktavach akordy poloneza. Wreszcie słychać trzask wieka pianina i Nietota sfrunęła schodami do ogrodu, tylko drzwi ganku zawahały się tędy i tędy...

„Jak Crescat to decrescat a jak Decrescat to crescat”, mówiła Nietota, kiedy wieczorem, nad wierzchołkami drzew niespodzianie pokazywał się bladziutki opłatek półksiężyca. Niby że kształt wielkiej litery C do Crescat należało tłumaczyć odwrotnie, a teraz, wieczorem, ukazujący się na nowiu księżyc miał kształt litery wielkie D. Taka mnemotechniczna zabawa pensjonarek, bo to znakomicie pozwala zapamiętać i orientować się w zawiłościach wszelkich, gdy za dużo tego dla naszej pamięci, żeby wiedzieć kiedy „wietek” księżyca jest na nowiu, a kiedy mu ubywa. Tak samo jak rymowane i rytmem wbijające się w pamięć o Zodiaku: „... Lew przed Panną uchodzi, to są letnie znaki... Waga chłodzi z Niedźwiadkiem, Strzelec zimnem grozi, Koziorożec lód wiąże, Wodnik Ryby mrozi...”. Cóż tym pannom po Zodiaku, czy kosmogonii, czy astrolabiach, czemuż im zapatrywać się w konstelacje niebieskie, przystoi im raczej wcielać się w nie, zawieszać wpośród welonów Drogi Mlecznej, lśnić przez nie gwiaz-

dozbiorami Andromedy, Kasjopei, mitologicznie, na wabia, albo zagubić się wśród nich jak owa El Suha, „Zapomniana”, zagubiona w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy.

Zgódźmy się, przecież może jedyną na ziemi, wspólną wszystkim ludziom sprawą, jednako rozumianą, wspólnym dla nich mianownikiem jest przecież jedynie niebo, gwiazdy, chmury. Wszystko inne, równiny, stepy, wzgórza, góry, urwiska, morza, rzeki, cała ta ziemską a tak rozmaita skorupa, kożuch, te wszystkie, rozmaite jamy, garby, czeluści, szczyry, gleby, mokradła, siąpy, tundry, zalesy, zaborza, puszcze, zadrzewia, wydmy, delty, limany, cała ta „rzeźba” i „szata”, a niech to cholera weźmie!, wszystko to takie rozmaite i zaraz obce i odległe i zamorskie przyzwyczajonemu do własnego. A tu podnieść głowę, spojrzeć w czelusć nieba i zaraz wszystkim ono i znajome i wspólne. Niebo jest dla nas wszystkich rodzinne, znajome, jednakie. Chmury pędzone nim, rozwłócone, pułap ich albo niski, albo pozawieszane na dziesiątkach tysięcy metrów welony, albo wędniące się baranki, „tuczki”, albo oślepiające białością w słońcu cumulusy z frędzlą deszczu, albo niebo skamieniałe w granitowe sklepienie chmur bezsłonecznego dnia, albo bezchmurne, przerażające swą przepaścią, bez chmur których obserwowanie było przecież ulubioną zabawą królów perskich. Przydawanie im kształtom znaczeń i stowarzyszeń myśli było także zabawą Nietoty, która kazała im być raz smokiem, innym razem akweduktem, a potem znowu czterolistnym liściem koniczyzny, wrzecionem, grobowcem, wodotryskiem, wachlarzem, łabędziem, okrętem, by miały ją rozczarować przechodząc w smugi i szale szarugi i słoty.

Ale co tu oszukiwać, wymyślać, napiętrzać, jest się samemu. Samemu chce się wypowiedzieć coś za innych, żeby to byli najbliżsi, żeby to była najukochańsza istota, z którą jakże to wydałoby się można się porozumieć, a do tego służy i wspólnota mowy, porzekadeł już nie w jednym języku, ale w jednej rodzinie, w jednej grupie ludzi, co pozwala i na idiomatyczne skróty i półsłowa, półznaczenia, półdomyślniki, kiedy porozumiewa się już prawie tylko gestem, grymasem, mrugnięciem oka, dąsem na twarzy, uniesieniem kącika ust, skinieniem głowy, prawie że spazmatycznym odruchem mięśni rąk, zgarbieniem pleców, odwróceniem głowy, zakręcanym na końcu palca koniuszkiem warkoczka, stukotem zniecierpliwionego obcasa, założeniem rąk w małdrzyk, złożeniem krzyża świętego czy ziewnięciem, splunięciem i zatarciem śladu tego splunięcia podeszwą pantofla. Tym wszystkim porozumiewamy się, to nas łączy i rozłącza, tym się wstydzimy albo dokuczamy innym, albo udajemy i chcemy zaimponować i odstawiamy ważnych i łasimy się i żebrzemy o pamięć.

Nietota umiała opowiedzieć o sobie najbardziej własne, upokarzające w swym komizmie historie. Jak to kiedyś, na tymże letnisku nad Dniestrem, wybrała się na przejażdżkę czółnem tamtejszym, którego płaskodenne koryto długo szoruje i chroboce u brzegu, kiedy woda pachnie letnio rybą, szuwarem, skrzekiem żabim. Przypadkowy galant letniskowy, gracki ale niezgrabny, jakoś sobie daje radę manewrując sposobem tamtejszych chłopów, rybaków dniestrzańskich „na pych” i czółno „czołen”, zachybotało się wreszcie na głębszej wodzie i pooooszło! już gładko, tylko *chyta je sia*, kiedy niewprawny *gondoliere* stara się utrzymać równowagę na stojąco, a wiosło „na pych” chowa się w wodę prawie aż po koniec rękojeści. No to Nietota opowiada, jak to w pewnym miejscu, gdzie wiklina zwisa ciężkimi od wąskiego listowia gałęziami, opowiada jak to ona sama, bardzo malowniczo upozowana, na leżąco, na jakichś poduszkach i pledach, palce jej dłoni ledwie przez niską burtę gładzą, grabią leniwą falę, i jak to kiedy te gałęzie wiklinowe nadpłynęły i kiedy czesała je uniesionymi teraz palcami, jak na obrazie Moneta, nagle dla jakiejś przekornej chętki te głąskające liście palce zacisnęła i jakiś przekorny, wewnętrzny mus kazał jej te palce zacisnąć w kurczu nie pozwalającym się wypłatać, a prąd wody był w tym miejscu chybszy, a *gondoliere* znalazł lepszy i solidniejszy grunt pod wiosłem i dobrze się zaparł, no i co? No to Nietota, nagle, z tej omdlewającej, rozkosznie powłóczystej, sennej, leniwej pozycji została uniesiona i oto czółno umyka spod jej stóp i mknie pod nią i moja Nietota została sama nad wodą, uwieszona u gałęzi, które pod jej ciężarem ugięły się, nachyliły jeszcze bardziej, zawahały raz i moja Nietota znalazła się, uczepiona ich, w nurtach wody, tylko jej sukienka na chwilę wzbiła się w banię uwięzionego powietrza („jak u pławionej czarownicy” mówiła o tym Nietota) i nabrawszy, nasiąkłszy szybko wodą oblepiła się wokół jej nóg, gdy twarz Nietoty, przerażoną i rozśmieszoną, przelekłą i w grymasie śmiechu i krzyku, oblaną rumieńcem zawstydydzenia dobrodusznie i łaskawie przykryła siatka liści wikliny. No śmiechu było co niemiara i w pensjonacie i potem, po miesiącach, kiedy przychodziło wspomnienie, jak to na wycieczce czółnem, Dniestrem, Nietota chwyciła się gałęzi wiklinowych, jak to jej czółno uciekło spod nóg i jak to znalazła niezamierzoną kąpiel w rzece.

Czowen sered wody — chytaje sia ..

I tak jak to czółno na wodzie dniestrowej zachybotała się moja własna myśl i czółno uciekło i ja sam zostałem z tą myślą...

Myśmy tam żyli, współżyli z ludźmi, którzy podobnie ale inaczej mówili, inaczej żyli, pazurami z tej ziemi wydzielali sobie byt, kochali, umierali... Mówili podobnie ale inaczej, z przydechem, *aspiré*, od nich przychodziło wiele do nas, do lwowszczyzny, do tej szlacheckiej, mieszczańskiej, inteligenckiej polszczyzny, przydając jej jakże prowincjonalny, rozpoznawczy akcent. I owszem, dumki, zaśpiewy ruskie, bo mówiło się u nas Ruski, Rusini, mówiło się greckokatolicki, a nie jak kongresowiaci, co to mówili „rusiński”, „unicki”. Dziwię się, że nie dziwiło to rdzennych Polaków, że Ksiądz w „Dziadach” ma dzieci („dzieci chodźcie pod kantorek...”), bo to był właśnie ksiądz unicki, pop, miał żonę czyli popadę no i zawsze wiele córek, popadianek, które przecież trzeba było powydawać za mąż, straszne utrapienie te dzieci dla pasterza dusz ludzkich, to pamiętanie o zbieraniu grosza, za chrzty, śluby, msze na intencję, „pochorony”, „panachidy”, wszystkie te *iura stolae*, a tu bieda aż skwierczy i sami parafianie podrywają ze swego parocha tak zalatanego za ziemskimi sprawami, nawet pazernego na „paski”, białe chleby wielkanocne, znoszone przez wiernych na cmentarz cerkwi dla ich poświęcenia, a które potem stawały się beneficjum duchownych.

A jakże, ci duchowni. Nie obejdzie się i tu bez anegdoty. Alumni seminarium greckokatolickiego we Lwowie, mieszczącego się u Staupigii przy ul. Kopernika pod nr. 36, wyprowadzani parami na przechadzkę do Ogrodu Jezuickiego, dzielili się na dwie kategorie: tych, co jakoś nie mieli jakiejś matury gimnazjalnej, ale jakby nie było mogli przygotowywać się do stanu duchownego, to wedle żargonu seminaryjnego „Formacja”, natomiast ci z maturą, bardziej edukacyjnie przygotowani, musieli szczyć się przezwiskiem „Geschichta”. Zwyczajowo czy kanonicznie i jedni i drudzy po seminarium a przed wyświęceniem musieli znaleźć sobie żonę, bo potem już przepadło. Owszem, wyższa hierarchia cerkwi greckokatolickiej była beżenna, także to zwyczajowo czy kanonicznie. No to był podobno widok przekomiczny, kiedy taki alumn młody w ciągu paru miesięcy przed wyświęceniem uganiał się w poszukiwaniu partii. I stąd też „Geschichta” bawiła się wierszykiem śpiewanym o „Formacji”:

*Oj pojichaw pan Formacja do panny w konkury,
Taj zabuw win neboraczok szczo win bez matury...*

Na co znów tamci odwzajemniali się:

*Kopernyka Trycić Sziś, jiść Geschichta kaszu jiść,
Jiść Geschichta, hałasuje, fundusz kasza jim smakuje,
Bo Geschichta ist kein Mensch...*

Oto anegdoty opowiadane sobie przez inteligencję polską o klerze greckokatolickim, jak to jest wszędzie, jak to zawsze jedna kasta, kategoria, dykasteria podrwiwa z innej. Pewnie, że Argentyńczycy pokpiwają sobie z „Indios”, Meksykanie z „Gringos”, w opowiadaniu Amicisa Lombardczy z północy z Kalabryjczyków, Rosjanie z Ukraińców nazywając ich chacholami, Francuzi z Marsylczyków i z Tarasconu, pewnie Jakuci z Czukczów, pewnie ci z Navary z Katalończyków, Kantończy z tych z Sinkiangu, Małopolanie z Mazurów, Ślązacy z „Galijków”, my wszyscy z Żydów, opowiadając sobie o nich szmoncesy, a Żydzi z nas, zawsze się ktoś gdzieś śmieje w kułak albo otwarcie, tak jak dzicy, tak zwani „dzicy”, z Wyspy Wielkanocnej rechotali na widok dziwnych włochatych, groźnych ale śmiesznych ludzi przygnanych do tamtejszych brzegów w ogromnych okrętach z wiatrem wydymającym dziwnie białe płachty u rej i masztów, jak kiedyś Odyseusz i jego towarzysze spotkali się pewnie z drwiną u Lotofagów, zjadaczy lotosów. Tak samo pewnie śmieją się z nas, ocalałych, unoszących za granicę głowę inteligentów, szczątkowców, z naszymi manierami, honorami, ambicjami, poprawnościami, gestem, grymasami, całowaniem rącek, naszą szczątkową szkolną łaciną („Gdy ty Tytyrze, w cieniu buków, na lichej fujarcie wywodzisz melodie pasterskie, ja porzucam kraj rodzinny...”).

Co każe mi powtarzać anegdoty, szperać, doszukiwać się porównań, wynajdywać paralele, popisywać się pseudoerudycją, usprawiedliwiać tym wszystkim mój opis wobec mnie samego i innych przywoływanych na świadków? Czy ma być to dopełnieniem szczerości podjętego zamiaru, wierności prawdzie, która to prawda jest tak nieuchwytna, tak względna, tak niepokojąca i tak niezaspokajająca, ale bez niej świat jaki mnie otacza, ja sam nie istnieję, bo albo coś jest prawdą, albo nią nie jest, a więc wtedy nie istnieje. A znowuż sztuka mająca nam tę prawdę objawić jest przecież ustawicznie na pograniczu oszustwa, złudy, udawania, mizdrzenia się, sugestii, w sztuce zawsze jedno ukazujemy przez coś innego, prawdę chcemy ukazać przez kształt udany, albo przez wymyślony porządek, jak w muzyce przez uszeregowanie dźwięków, jak w poezji przez słowa, ich rytm, aliteracje, asonanse, współbrzmienia, akcenty, patos, wymysł. Czemu jest tak, że posługujemy się całym arsenałem (gdzieś przeczytane, zasłyszane, zapamiętane) zmyślenia, nieprawdy, ażeby wyrazić prawdę?

Wobec czego niech mi będzie wolno domyślać się i narzucić własne wyobrażenie o tym, jak to panna ksieni pochwała i przy-

takuje okrutnej zabawie dziewcząt, kiedy tą maskarą, tym pajacem jak ze szkicu gobelinowego Goyi w Muzeum Prado, tym „El Pelele” jestem ja sam. To przecież mnie te panny żywcem dręczą, nabijają się ze mnie, kiedy tak po koszarowemu całkiem „dają mi koca”, odbijają sobie na mnie swe panieńskie trwogi, zahamowania, zawstydzenia, marzenia, zachcenia, mszcząc się za wszystkie byłe i przyszłe panieńskie kłęski i zniewolenia. To przede mną abatissa przestrzega i radzi z zimną krwią: „Kolanem, pomiędzy nogi, to zaboli!”.

Panna ksieni może miała na myśli pokusy, nawiedzenia, rozkosz bólu, jaki maluje się na twarzy Karmelitanki Świętej Teresy z rzeźby Berniniego w kościele Santa Maria della Vittoria w Wenecji, zdrożną, grzeszną w uniesieniu i spaźmie ekstazę marmurowej twarzy, o ustach rozchylonych i oczach wywróconych w słupek od bolesnego, rozkosznego doznania, które barokowy rzeźbiarz z barokową perwersją kontrastu, świętości i grzechu w jednym potrafił dać kamieniu, ku zgorszeniu i wzburzeniu znawców, amatorów, poszukiwaczy sensacji i wzruszeń.

A może sobie przepowiadała Pieśń Wieczorną, cudowny hymn, którym jakże przebrzmiewały po capstrzyku głosami rekrutów koszary w Żórawicy słowa wołające o przyjęcie wszystkich naszych dziennych spraw, o odwrócenie nocnych przygód, wszelkiej szkody, byśmy się znowu obudzili. Tylko że twórca jej, inny kochanek innej Justyny, potrafił także i noc zaprzepaścić grzesznie, jak wynika z jego wcale dla panien w klasztorze nieprzystojącego wiersza, o tym jak:

*Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się ze świtaniem;
Miłość sen nam zabrała;
Miłość żyje niespaniem...*

.....

Taka zabawa, wymyślanie historii detektywistycznej. Tytuł? Zbrodnia w klasztorze. Poddajemy sobie pomysły i Nietota odrzuca mój jakiś w stylu historii Barbary Ubryk. „To dobre dla kucharek!”. Tu musi być i groza i węzeł dramatyczny i logika wydarzeń, poszlaki, dedukcja. Tak jak to odbywa się uporządkowanie w przyzwoitej historii detektywistycznej czytanej do poduszki, a nie chaotycznej, bzdurnej, nijakiej, tak jak to bywa w życiu. Dobrze, naprzód fakty. Zbrodnia z premedytacją. Narzędzie zbrodni? Owszem, może to być stary gwer znaleziony

w lamusie klasztornym. Skąd? No jakiś rekrut z austriackiego pułku infanterii, Pułku Mazzuchelli, stacjonowanego przed latami w Przemyślu, dezter, uciekinier z posterunku, przerzucił gwer przez mur do ogrodu klasztornego. Albo z czasów pierwszej światówki, z czasu oblężenia twierdzy jaką był wtedy Przemyśl, karabin znaleziony na glacis festungów z tej strony Sanu albo u kazamat fortecznych, pordzewiały rosyjski karabin, jaki zabłąkał się w obejście klasztorne, może odebrano go stróżowi nocnemu, bo był za groźnym uzbrojeniem, zostawiono mu tylko szpiczasty bagnet nasadzony na kij, z którym z paru dzikich, zajadłych wilczurów klasztornych odbywa swoje obchody, a sam karabin porzucono gdzieś w piwnicznym kącie. Albo jeszcze lepiej stary muszkiet, czy rusznica czy samopał znaleziony w przejściu na dzwonnice, wśród zwałów starych szpargałów... Ale nie ubiegajmy wydarzeń. Ofiara, wartunek wiadomo tak nieodzowny, znajdzie się. Motywy zbrodni? Oczywiście i przede wszystkim wedle klasycznej reguły prawnej: *cui prodest*. No dobrze, niech będzie rusznica. Krogulcze oko panny ksieni dojrzało i porzucony tam stary rożek z prochem. Zadyszana od wspinania się po schodach na wieżę, abatissa w świszczącym oddechu nabija strzelbę. Z dawnych kresowych czasów pamięta jak się to robi. Odmierza, odsypuje proch, nie ma tu pod ręką pakuł na przybitkę, więc z pierwszego pod bokiem foliału wydzierą kartę (tu poddaje: ze starego kanclerza i akurat czernią się na niej drukiem słowa hymnu: *Dies Irae, Dies Illa, Solvet Saeculum in Favilla, David Teste Cum Sibilla...*), „No, niech będzie”, powiada Nietota). „Panna garbatego ciała” ugniata i miętosi z niej przybitkę, wprowadza do wylotu, dzwoni stempel w lufie, a teraz kula! Jaka? Zamawiana, zaklinana, poświęcana. Panna ksieni popłuła na nią i przeżegnała, nim dobiła ją stemplem, a za nią drugą przybitkę. Jeszcze podsypać prochu na panewkę, jeszcze skałkę u kurka odcigniętego ze zgrzytem starej pordzewiałej sprężyny przeczyścić paznokciem, szponem, pazurem.

Teraz już starczo zdyszana panna ksieni kuszykała korytarzem *cellarium* ku oknu wychodzącemu na wirydarz. Za sobą powłoczy, ciągnie po płytach posadzki kolbę rusznicy. Przez kraty okna wysuwa rudą od rdzy lufę z jej zaśniedziałymi mosiężnymi, nikle odbijającymi światło okuciami łoża. Mierzy. Bierze na cel. Z dołu dobiegają głosy roześmianych, rozbawionych dziewcząt. Na ich rozbiegane, roztańczone postaci pada już cień muru. Tylko manekin przybrany w gałgany i podrzucany na kilimku pojawia się za każdym razem w pełni światła, gdy w rozlatanych karykaturalnie pozach ukaże się na tle nieba.

Błysk, huk jakby gromu. U zapachu i wylotu broni kłaczy się

czarny, kwaśny, wionący siarką i saletrą dym i na chwilę przysłania widowisko. Sypie się cieniutko tynk od wstrząsu wystrzału i kawki poderwały się z wież klasztornych. A na niebie zawisł na chwilę rozkrzyżowany jak konstelacja Oriona kształt i poświęcona kula dosięgła i przewierciła me serce, bijące w piersi słomianego pajaca El Pelele.

Kultura nr 268/269, 1970.

BASKIJSKI DIABEŁ

Powie ktoś: coś się tu autorowi poplątało. Przecież Salomea Wiśniowiecka, ihumena Panien Benedyktynek Przemyskich, sam autor to już napisał, zmarła jeszcze w 1716 roku, więc gdzież tu znowu? A tu nagle, ni stąd ni zowąd, wydziwia, że ustrzeliła go z przeciwpancernej rusznicy, porzuconej gdzieś u wstępu drugiej wojny światowej. Jeszcze by brakowało, żeby kazał pannie ksieni i płeć zmienić, kiedy już tak mu się wszystko pomieszało.

A bo naprawdę ustrzeliła mnie z przeciwpancernej rusznicy. Był taki wynalazek, patent pono podpatrzony u Szwajcarów, kb ppanc wzór 35, o dwumetrowej lufie, zamek ryglowany systemem Mausera, broń niepowtarzalna, bo gdzie tu, nabój jak szparag o zdolności przebijania pociskiem dwudziestopięciomilimetrowego pancerza, straszliwie kopie i po jednym wystrzale w uszach dzwoni przez parę dni. Broń będąca najskrytszą tajemnicą wojskową, pod przysięgą przechowywana w magazynach mob w zaplombowanych skrzyniach. Strzelców wyborowych w pułkach szkoliło się po kryjomu, pod ślubowaniem, za specjalnym ustnym tylko rozkazem i wyszkolenie to nie było dostateczne, kiedy broń tę wydano dopiero w chwili mobilizacji, trzy przeciwpancerne rusznice na kompanię piechoty. Taki jeden z tych cudów wojskowych, broń cudowna i ostateczna, mająca zapewnić przewagę i zwycięstwo.

Bo naprawdę panna ksieni ubiła mnie z tej właśnie rusznicy i był to bodaj że jedyny pożytek, jaki na tej wojnie broń ta przyniosła. O, mogę państwu pokazać, o tu, blizna, ślad po kuli. Tyle że historia ta miała pseudokomiczne zakończenie. Otóż po klęsce uciekinierzy i internowani tak przechwalali się, a zwłaszcza przed Anglikami, wspaniałymi osiągnięciami tej tajemniczej a doniosłej broni-wynalazku, że jakiś tam *attaché* wojskowy dał

się nabrać i ustanowił premię, patriotyczną premię na zdobycie i przywiezienie, przeschuglowanie z jakiegoś pobojuwiska tej rusznicy. Bo jakoś żaden egzemplarz w żaden jakiś sposób nie zawędrował na Węgry, gdzie rozbrajano oddziały przechodzące przez Pantyr Pass. I tu zrobiła się heca. Ambicja! To ja! Ja pierwszy! I poszli przez granicę, już w śnieg i przez góry, od-mrażając sobie palce u nóg, i szukali, bojąc się nie tyle Gestapo, czy NKWD, czy łapsów Sigurancy czy Abwehry, ile kolegów z konkurencyjnej paczki.

Mnie samego natomiast prześladowali po większej części ci w uniformach, zawsze chodzący w dwójce, torby, karabinki na pasie, parami. Na Węgrzech, dla kogucich piór noszonych u kapelusza nazywało się ich „bażantami”, w Turynie takich dwu doprowadziło mnie dla indagacji do budynku, na którym wypisane było: *Carabinieri Reali*. W Paryżu wpadłem w łapy dwu żandar-mów na Gare d'Orléans, gdzie mnie wyłuskali z tłumu *permis-sionnaires* i odstawili do koszar Bessières, w których nad bramą powitał mnie napis: *Navarre sans peur!* Ale o tym, o Navarze będzie później. (Powinno być tam jeszcze wypisane, jak podobno stoi to zawsze na koszarach w Chinach: Bójcie się, tu mieszkają żołnierze!)

Jak mnie wzięli już tak na oko, to ledwie zziajany mogłem im się wymknąć. Już z daleka poznawali moją sylwetkę, podejrzane buty wojskowe z wypuszczonymi na ich cholewy nogawkami cywilnych spodni i w cudzej, ciasnej pod pachami marynarce.

Jak mnie wzięli już tak na oko, zawsze we dwu, zawsze parami, za każdym rogiem ulicy albo obstawiają już jakieś bistro: „*Identité*”, to ani nie popasałem w cieniu platanów Tuluzy, ani też, gdzie tam, miałbym czas na oglądanie murów i baszt Carcassonne, bo miałem ich wszędzie na piętach.

Zapędziłem się aż po Bayonne, ale spóźniłem się. Tłumy uciekinierów, to przenocowałem w jakimś pomieszczeniu przy jakimś boisku sportowym, które w dzień okazało się stajnią dla byków, bo miejsce to było areną do ich walk. A rano, raniusieńko wpadłem już nie na parę, ale na cały batalion, hełmy, Mausery, pistolety maszynowe Schmeissery wpoprzek przez pierś, u pasa granaty ręczne. Zakurzeni zdobywcy, już są tu, wcale nie jakieś *Panzers*, ale na rowerach, cały ich batalion, *Radfahrerbataillon*, pompki i wentyle rowerowe już tu ich przyniosły, aż tu dojechali, taki *Tour de France*. No to ja chodu. Gdzie? W góry.

Autostopem, podebrany przez kogoś, w rozklekotanym Citroë-nie, wciąż w górę i w górę, wzdłuż szumiącej po kamieniach Bidassoa, takiej tamtejszej Czezwuy. Ale u szlabanu *douane* po

drugiej stronie stała już jednak znajoma para, tym razem w pelerynach, lakierowane, czarne stosowane kapelusze z podpinką pod brodą, karabiny na pasie, twardo, nieprzychylnie-pytająco-wyciekająco patrzą na mnie: *Guardia Civil*. No to ja z powrotem, ale po paru kilometrach znów para żandarmśka, Castor i Pollux, tym razem w skórzanych kurtkach, hełmy motocyklowe, pasy, karabiny, już ustawiają motocykle na podpórce i do mnie ze stereotypowym: „*Vos papiers, M'sieu?*”. Znalazłem się jak szczur w pułapce.

Działo się to w górach, ale nie w górach jakie znałem, tylko obcych, o których nic mi nie było wiadomo, tak obcych, że nawet o nich nigdzie nie czytałem ani mi nikt nie opowiadał. Oczywiście wszelkie góry są do siebie jakby podobne, tchną taką samą surowizną i tak samo nas zaskakują nagle otwierającymi się perspektywami dolin, stoków, takie same garby podnoszą się i podnoszą, jakieś „Płeczi” czy Maryszeska czy jak szło się na Sywulę, widać jak zwarty las na garbie zaczyna rzednąć, robi się tam przestronniej, świerki rozsypują się tyralierą, już stoją pojedynczo, smagane wiatrem ich „chorągiewki”, szarpane wiatrem w jedną stronę, po czym geofizycy poznają którądy to wieją tu stałe wiatry, wyglądają jak chorągiewki na mapie, znaczące pochod wojsk nieprzyjacielskich. Tak samo w Gorganach, tak samo w Alpach Sabaudii czy szkockich Cairngorm.

Nie znałem tych tu gór i nie chciałem ich znać, czułem do nich rankor i już. A przyszło mi dobrze posiedzieć w tej Dolinie Bez Wyjścia. Leżała gdzieś między departamentem Garonny i Navarrą, odcięta od świata, jakiś zabytek z zamierzchłych czasów, rzeczpospolita z własnym parlamentem a jakże, a że takie ambitne kraje nazywają je po swojemu, Lietuva z Tarybą, Irlandia ma dla swych dwu Izb miano *Oireachtas*, w Hiszpanii jak to nazywa się? *Cortezy*, a w Izraelu *Knesset*, to tutaj po baskijsku nazywał się ten parlament *Batzar*. Rzeczpospolita rządziła się sama, ale jurysdykcję miał tu z jednej strony prefekt departamentu Garonny, a z drugiej biskup z Urgel. Autochtoni żyją z hodowli owiec, turystyki i przemytu, mrukliwi górale w ich wywróconym na wierzch runem kozuchu, z czarnym beretem nasuniętym na brwi, z wielkim parasolem chroniącym przed tygodniowymi słońcami-deszczami górskimi.

Z okna mego pokoju w hoteliku, w którym znalazłem schronienie, mogłem ich widzieć grających w pelotę, kiedy wielkim szponem zakładanym zamiast rękawicy na dłoń miotali piłki o ślepą ścianę absydy kościoła wznoszącego swe mury przy tym samym placu miejskim. Mój gospodarz, właściciel hotelu, który

był także syndykiem parlamentu, a także zdaje się dygnitarzem syndykatu przemysłowców tutejszych, tolerował mnie przyjaźnie, pewnie z sentymentu dla jedyne go w owych czasach turysty w Rzeczypospolitej.

Przepraszam, że opowiem tu historię jedną z tysięcy innych takich, jakich nasłuchiwałem się w tychże czasach, jedną z tysięcy perypetii, wędrówek, naszych anabasis. A do tego będzie to przede wszystkim historia nudy.

Bo proszę, cóż tu do opowiadania. Przyszła jesień i wiatry, ten sam ogieniaszek trzeszczy na palenisku, kiedy schodzę co rana na śniadanie, ten sam kieliszek cienkuszka, kiedy się czeka na *déjeuner*, ta sama jedyna płyta gramofonowa skrzypi porysowana: „*Voulez-vous que je sois, madame, votre amant...*”. Te same złowrogie garby, szczyty zaśniewione i urwiska gór piętrzących się wokół Doliny Bez Wyjścia, ich nazw tamtejszych nigdy nawet nie nauczyłem się wymawiać czy poznać, a i tak z jesienią zakrywał je parawan pędzonych wiatrami chmur. Do czytania jakiś stary, sprzed tygodni numer *L'Éclairneur du Midi*. Nie nasuwałem się ludziom na oczy, po co, jeszcze mnie kto zadenuncjuje i albo wydadzą mnie Biskupowi z Urgel, inkwizycja, *strappado*, *garrotte*, albo odstawią do prefektury departamentu Garonny, i tu znowu *juge d'instruction* i już za uszy ciągną mnie pod, co to u nich? nóż gilotyny. To już lepiej uszy po sobie i sza. Nie ma to jak nasza własna wyobraźnia, żeby napędzić nam stracha.

Przed grozą tych gór, przed piętrzącymi się poza nimi niebezpieczeństwami uciekałem we wspomnienia, tam gdzie było tak swojsko, a przede wszystkim płasko.

Do naszego tak zwanego Tamtego Ogrodu przylegało wielkie płaskie pole dworskie. Raz kiedyś w myśl gospodarki płodozmianowej zasiano je grochem, a że to niezwykle w tamtych stonach, by poza ogrodami groch zasiać na tak olbrzymim płaskim łąnie, to od owego płodozmianowego roku nosiło ono już na zaw sze nazwę Grochowiska. Pamiętam nawet, jak po zbiorze tego grochu pastuchy tamtejsze mogły nazbierać jeszcze wiele jego wysianych strąków i przy ognisku pastuszym na kawałku blachy przypiekali sobie te ziarna grochu.

Ale pole to przechodziło także wiele innych zmian i przy swej pustce i przestrzenności pozwalało dźiać się na nim ustawicznie różnym sprawom. Albo przecinały je okopy przeznaczone dla ćwiczeń piechoty, ośrodka wyszkoleniowego wojsk rosyjskich w czasie pierwszej wojny, który zwał się Uczebna Komanda. Okopy były bardzo solidnie wyrobione, nie ryte naprędce, jak to

już w pierwszych tygodniach tej wojny zaczęto robić, kiedy to od razu, pod ogniem karabinów maszynowych, uczyniła się tak zwana „pustka pól bitewnych”, miały plecenia faszyny z chrustu, poprzecznice, zygzakowate rowy dobiegowe i przedpiersia fachowo jak należy kamuflowane kładzionymi na nich badyłami ostów. Nigdy tu bitew nie było i okopy te zostały tak jak je wykopano, tyle że parapety rowów strzeleckich zaczynały zasypywać się same, a także służyły za cmentarz dla padłych sztuk inwentarza, ścierwa końskiego.

Potem ukośnie przez Grochowisko poprowadzono drogę, skrót transportowy dla terenów wojskowych, i pozwalało to omijać miasteczko. Do wykonania tej drogi okupanci spędzili przymusowo ludzi ze wsi, wytyczyli jej profil i kazali kopać i w czasie suszy droga ta była nawet twarda i solidna, ale nie daj Boże gdy spadły deszcze. Dla jej przeprowadzenia spędzili cierpliwą tamtejszą ludność, nagle, do bezpłatnej przymusowej roboty, i ludzie ci zginali nad nią grzbiety i robili łopatami, wzwyżajeni od setek lat, od pokoleń, że ktoś przychodził, stał nad nimi, poganiał pułą, batem, kijem, pałą, nahajem i uważał, by przykładali się do tej roboty, a pomimo tego wszystkiego była w tych ludziach jakaś godność, której żadna przemoc nie odbierze.

Aha, jeszcze w pobok Grochowiska biegła w wyrwie inna, stara polna droga, wyrobiona kołami wozów w wąwozik, jego urwiska zarosłe burzanami, i tam wielokrotnie z Nietotą brałiśmy ten wąwóz Samosierra, w galopie, cwałując z Koziutulskim na czele czwórek szwoleżerów, aż kurz podnosił się spod naszych bosych stóp i ścinałiśmy szablami głowy ostów tam rosnących, hiszpańskiej piechoty broniącej wstępu przez wąwóz w Górach Guadarrama, wiodący na kopyczyński cmentarz. Jedyna tu rozegrana prawdziwa bitwa.

Tamże na tym Grochowisku ustawiono o jakimś czasie dwa działa przeciwlotnicze i kiedy pojawił się wysoko, wysoko na niebie prawie nieruchomy na tej wysokości punkcik Taube czy Fokkera, to „zenitówki”, jak to się wtedy nazywało, skierowane prostopadle prosto w zenit odzywały się jedna po drugiej i wysoko, wysoko ubierały krzyżyk samolotu w girlandę z kłaczków szrapneli, raz na tle błękitnego nieba białych, innym razem na tle białej chmury śniadych.

I tam także pewnego czasu wybrano miejsce na ubój była jakiegoś polowego szlachtuza wojskowego. I tam także z Nietotą byłem świadkiem straszliwej śmierci wołu. Uczestniczyłem tam w obrzędzie, *misterium taurobolium*, krwawej ofierze, jakby wprowadzany, wtajemniczany w misterium Mitry. Któż to byli ci kapłani namaszczeni do tej ofiarnej funkcji? Dotąd ich widzę,

w rozchełstanej rubaszce, z furazką przekrzywioną na głowie, samych przestraszonych dokonywanym przez siebie mordem, żołdatów z tego wojennego szlachtuza, kiedy uwieszeni u rogów, zapierający się butami w ziemię naciągali powróż mający powstrzymać rozszalałe zwierzę, niewprawni rzeźnicy z morderczym błyskiem oczu. Żle ogłuszony obuchem topora potężny, siwy wół podolski poderwał się z klęczek i z gardłem rozerżniętym, wlokąc uczepionych powrozów ludzi wyrwał się, roztrącił ich olbrzymią lirą rogów i runął przed siebie, wydzierający się okrutnej i przerażającej śmierci, nie chcący się jej dać. I odtąd na zawsze będę pamiętał z dzieciństwa strach przed śmiercią, panikę przed nieznanym, przed czymś co jest przed nami zakryte, czemu przecież idziemy od urodzenia na spotkanie, jedyny, pewny, nieunikniony cel życia. Tylko zgraja, paka psów, wygłodzonych, złych, zaślinionych, parszywych, z pomierzwioną sierścią i poszarpanymi uszami i o wystających żebrach, psów, suk, kundli najrozmaitszego autoramentu, szczerzący zęby i skowyczący pomiot tej wojny czeka na rzeź, na zlizywanie gorącej krwi, na śmierć.

Masz tobie, zapatrzyłem się wstecz gdzie sielsko-anielsko, płasko, bezpiecznie i już pole to stało się areną przerażającego *taurobolium* śmierci. A widzisz, a nie trzeba było tak samolubnie zamykać się, uciekać przed innymi, trzeba było zostawić drzwi otworem. Przyjdą. I przychodzili.

Z odwiedzających mnie stale gości pozwolę sobie wymienić następujące osoby: pan Kasztalewicz, mistrz fryzjerski, Tadzik Patryn, inżynier chemik, Fryderyk Koffler, poeta, Dziunek Fisz, apasz lwowski czyli batiar. I wreszcie, jak Boga kocham! odwiedziła mnie raz para kochanków.

Pan Kasztalewicz przychodził nieregularnie, rano, ażeby mnie ogolić. Był to mały zabiedzony człeczyna o czerwonym szpiczastym nosie. Pod pachą nosił małe etui z przyborami golarskimi, wecował brzytwę na pasku, namydlał mi twarz i zabierał się do golenia. Taki bankrut-golibroda, który zaprzepaścił własny warsztat czy balwiernię i trudnił się domokrażco goleniem młodych ludzi, którzy po przepitej nocy nie potrafiliby utrzymać brzytwy w ręku, a także dlatego, że młodzi ludzie są dobrego serca i co komu szkodzi wydać kilkanaście groszy, ażeby mógł przy tym jakiś biedaczyna wyżyć.

Tadzik Patryn był typem nałogowego pijaka. Było nawet w tym coś strasznego, człowiek w cęgach nałogu, o jakiejś drugiej naturze. Bo wiem od innych, że był technikiem, naukowcem pierwszej wody. Ale wódka była mu potrzebna do życia tak jak innym oddychanie. Przychodził, nawiedzał mnie wtedy tylko, gdy był pod alkoholem. Upodobał sobie coś we mnie, może to,

że słabego charakteru, nie dawałem się zostawić w tyle, że mogłem coś mieć przy sobie z gotówki, a więc czy posłać po wódkę, czy przejść się samemu do najbliższego szynku było mi bagatelą. Nieraz zarzygał mi pokój w niemożliwy sposób. Był asystentem profesora Pilata, naftowca, był potrzebny i ceniony, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, jak mógł zebrać myśli do prac nad jakąś analizą czy frakcją i że mogli mieć zaufanie do jej wyników. Czasem po pijanemu, kiedy go przycisnąłem, to próbował powiedzieć mi coś o swej pasji, specjalności którą były sadze. Tak, sadze, i jak o tym wspominałem jakimś innym znajomym chemikowi, to z uszanowaniem powtarzali, mówili, „tak, tak, sadze”, a mnie aż śmieszyło, że można tak poważnie i z takim uszanowaniem oceniać czyjeś poszukiwania nad sadzami, które znałem tylko z kopczącej lampy, albo kiedy trzeba było wołać kominiarza.

Oczywiście, że bardziej była mi zrozumiałą pasja innego z mych gości, Fryderyka Kofflera, bo ten był przecież poetą. Jak każdy poeta używał sobie na mnie, kazał wysłuchiwać swych wierszy spisywanych na luźnych kartkach papieru. Oczywiście uwielbiał Heinego, ale osobiście skłaniał się ku awangardzie i swoje asonanse umiał wysmakować. Ale cóż, był najwyraźniej stuknięty, miał chyzia i jego rodzina, zamożni hotelarze w Stryju, opiekowała się nim jak mogła, ale trzymała go na dystans, utrzymywała, to prawda, był takim typowym *remittance man*, kochała go pewnie, tak jak zawsze kocha się zapóźnione, niedorozwinięte dziecko w rodzinie, ale trzymała go na dystans, ażeby jej nie dokuczał czy ambarasował, dlatego trzymała go z dala. Miał typową manię prześladowczą, zapomniałem, jak to się w psychiatrii nazywa, był pełen bojaźni i podejrzeń, że chcą go otruć. Kto? A no, jak zawsze, „oni”, i przynosił do mnie ze sobą słoik z mlekiem, które gospodyni podała mu na śniadanie, a mleko oczywiście było zatrute.

O Dziunku Fiszu była już kiedyś mowa. Przychodził, kiedy brakowało mu papierosów, pytał: „Nie ma pan szluga, panie mistrzu?”.

A oto jednego dnia odwiedziła mnie para kochanków, jak Boga kocham! Nie, nie chcę naśmiewać się z nich, chociaż cudze sprawy tego rodzaju mają dla nas posmak jakby komizmu. A tu ja sam, niewiele co od nich starszy, byłem porzuconym kochankiem i znalazłem się w przedziwnej sytuacji niby specja, mentora, niby filozofa miłości, który jakże to już zmądrzał i jak to wie już wszystko. A tu dwoje zakochanych, znaleźli do mnie jakoś drogę, doszukali się mnie i jakby wiedzeni przecuciem, że niby ten co to już zaznał, co już wie, to im opowie, to im wyklaruje, jak się te sprawy mają.

Nawet sam nie wiem, jak do mnie trafili, co ich skierowało, jakim instynktem byli wiedzeni. Czujnością zakochanych? Pewnie koło byłych zakochanych roztacza się jakaś aura, wyczuwa się ich jakimś zmysłem, no i cóż, znalazłem się nagle niby jakiś ekspert od spraw, pożał się Boże, miłosnych, że to niby do mnie puk! puk! jak do chatki pustelnika, a tenże wyjdzie i jakże się rozpromieni, i jakże to wyłoży i doda otuchy i będzie poradą. Cóż to niby za pustelnik, eremita ze mnie, taki sam szczeniak, ale coś im podpowiedziało i naprowadziło, tych dwoje beztrojskich a tak zakochanych, podpowiedziało im, że tu właśnie sięgną prawdy.

Więc wcale się nie nasrożyłem, i owszem, byłem niezmiernie przyjacielski i trochę mnie to nawet połaskotało, w każdym razie, teraz, po latach nawet jest to łaskoczące, ale prawdę powiedziawszy tych dwoje, jakże niewinnych, jakże zakochanych, jakże beztrojskich, tych dwoje niechcący dotknęło we mnie, naruszyło straszliwą drzazgę, rozdrapało niechcący coś we mnie i chociaż byłem dla nich miły i gościnny, to nie wiedzieli, nie wiedzieli...

Tak więc panna ksieni dobrze się na mnie uwzięła. Kiedy zrobiłem unik przed poświęcaną kulą, to rozpuściła za mną sfory żandarmów, nasadziła na mnie w górach z jednej strony biskupa z Urgel, a z drugiej prefekta departamentu Garonny, napuściła na mnie zmory wspomnień. Wreszcie nasłała na mnie, kiedy już sama nie mogła, nasłała na mnie diabła, baskijskiego diabła.

Ten diabeł był zresztą już sam raz dobrze przegrany, czytałem gdzieś o tym, w jakimś uczonym dziele z lingwistyki. Bowiem w tych górach dogadać się ledwie mogłem, przy mojej kulawej francuszczyźnie, bo górale tamtejsi mówili przeważnie po katalońsku a reszta po baskijsku. Ten baskijski to wedle lingwistów jest najbardziej różny od wszelkiej ludzkiej mowy. Różnymi są inne języki z rodziny ugrofińskich i uralskich i wpośród Madziarów, Łotyszy, Estończyków, zawsze u Mordwinów, u Zyrian, u Czeremisów pokutuje jakaś historia o takim, co poszedł o zakład z diabłem, zakład o duszę, w którym warunkiem było, że zły duch ma nauczyć się i osiąść któryś z tych języków. I zawsze oczywiście kończyło się to jego przegraną. Baskijski bije wszystkie inne. Lingwiści spekulują na ten temat, domyślają się, że baskijski był mową człowieka przedhistorycznego, troglodytów z epoki kamiennej, neolitu, i że w tej postaci przetrwał i zachował się do naszych czasów w tych górach. I tutaj ten faustowski pakt z diabłem powtarza się raz jeszcze, powtórzył się w każdym razie w moim wypadku.

W salce jadalnej na dole w hotelu, gdzie jadałem i gdzie był także stary gramofon z jedyną ocalałą płytą („*Voulez-vous que je sois, madame, votre amant...*”) stał także stół bilardowy i w czasie wielomiesięcznych nudów w braku jakiegoś partnera rozgrywałem sam ze sobą partie.

Kiedy za młodu, jak to w młodości, oddawałem się takim różnym młodzieńczym pasjom, żeby nie powiedzieć nałogom, to między innymi także grałem i w bilard. Co prawda nie miałem specjalnych do tego sportu czy gry zdolności, ale szczęście sprzyjało mi w tym, że miałem dwu mentorów, prawdziwych mistrzów w „karambola”. Taki Ignac umiał wyciągnąć pięćdziesiąt „od kija”, a już Kossonoga, mityczny Kossonoga, produkt jednego z gimnazjów w Samborze (w Samborze były dla czegoś aż cztery gimnazja, dwa polskie, jedno z językiem wykładowym ukraińskim i jedno gimnazjum żeńskie, i produkowały te gimnazja takich abiturientów na kopy corocznie i ci, już niezdolni do czegokolwiek innego, a dla braku środków nie mogący iść na wyższe studia, dusili się beczynnie w tymże Samborze, naznaczeni tą maturą gimnazjalną, która odebrała im wszelką zdolność, męskość, do parania się czymkolwiek w życiu), otóż ten Kossonoga był mistrzem nad mistrzami, to on wykształcił Ignaca także na mistrza, a ja zostałem z kolei ich pupilem, ale bez talentu i już.

Czemu o tym tu opowiadam? A no, z kolei ja sam, niedołączny bo niedołączny, byłem mentorem Nietoty, uczyłem ją grać w bilard. Skąd się wzięła w Dolinie Bez Wyjścia? Nie wiem, byłem dyskretny, nie pytałem. Udawała, że przynależy tutaj, była zdaje się dla niepoznaki, uchodziła za córkę patrona, hotelarza, owego syndyka parlamentu tutejszej Rzeczypospolitej, jej trudniących się szmuglem obywateli. Dla zachowania pozorów nawet się jej zbyt nie przypatrywałem, nie dopytywałem, a zresztą w myśl diabelskiego paktu ja przecież po baskijski „ani be ani me”. Lekcji gry w bilard, kiedy zjawiała się wieczorem na salce, gdzie był stół bilardowy, udzielałem po swojemu. Nie bardzo była pojętna, ale też znalazła sobie profesora! Ale znakomicie wypełniało to czas, długie miesiące jesieni i zimy w górach.

„Uważaj”, mówiłem, „tak się kreduje koniec kija bilardowego. W pozie eleganckiej, ale i odpowiednio nonszalanckiej, tylko ma być to naturalnie, bez sztucznej nonszalancji. Ludzie przy innych stolikach patrzą. Niewiele tu klientów o tej późnej porze, światło lamp odbija się w pół czarnej na stoliku obok i zaspany „markier” kawiarni lwowskiej opiera się o ścianę, znużony. Teraz uważaj! Na tym przykładzie pokażę ci, jak w tej sytuacji nie należy zagrać, to nazywało się u bilardzystów „świnia”. A tak się „ściąga”. Nie bardzo mi to wyszło, ale żebyś

zobaczyła, jak Ignac to robił! Ignac miał zawsze pogardę dla mých najgorliwszych wysiłków, mówił mi, nie sił się, nie sił się, najważniejsze to styl! styl! A to znowu nazywało się *massé*, ale gdzie mnie tam!”.

Uważnie celowałem, suwając na wykwinie rozstawionych palcach kijem, pochylony nad zielonym prostokątem sukna, by w odpowiednim celnym momencie uderzyć, pchnąć białą, pożąłką kość słoniową kuli, a ta wdzięcznie, lekko tym wprawiona w ruch toczy się po zielonym krajobrazie stołu bilardowego, i oto stuk! i energię swą przekazała drugiej, czerwonej, a sama toczy się, kręci, leci ku bandzie bilardu i pod kątem dokładnie jednokowym odbija się i już stuk!, dotknęła trzeciej.

A jak się nam to znudziło, to zabawiałem Nietotę rozmową. Właściwie nie była to rozmowa, ale mój monolog, odpowiadałem na jej nieme zapytania. Czemu tu się znalazłem? Jak to jest gdzieś indziej? Skąd ci ludzie co mnie nachodzą, z którymi rozmawiam w samotności, tak że się ze mną w kuchni śmieją? A ci zakochani, jak wyglądali, jakiej to rady szukali? Czy pobrali się wreszcie? Czy byli szczęśliwi? I w ogóle, jak to jest z małżeństwem?

Zawahałem się. Jak to opowiedzieć? Jak nie zgorszyć, jak odrzec to z marzeń, przybrań, zmyślenia? Czy zrobić z tego bajkę, kiedy się nie da, kiedy nawet sienkiewiczowska bajka o kniaziównej ma swoje wpakowane mimochodem zakończenie u początków Potopu, wzmiankę, że kniaziówna „się roztyła”. I bardzo prawdopodobnie. A powinno być tylko jak w bajce: „... i żyli szczęśliwie długie lata”.

No, no, pannie ksieni-kniaziównej nic z tego nie groziło. Co prawda dogadzali jej, mówiła mi Nietota, że w refektarzu podawali jej na stół kwiczoły, owe kwiczoły, co to same w poświęceniu nadziewają się jagodami i nie musi się ich patroszyć, upieka się je tak jak są, tyle że oskubane i same wpadają do gąbki. Ale panna ksieni była chudej, nikczemnej postaci, „garbatego ciała”, przypominała raczej modliszkę, *lou Prègo-Dièu*.

„Ciekawaś, Nietoto, to ci opowiem, posłuchaj. Kiedyś, było to w niedzielę, we wczesne rano, przed południem, kiedy ulice miasta są tak puste świątecznie, a już zwykle tak gwarna Ulica Akademicka, z jej wystawami sklepów, z ich zaciągniętymi w dół żaluzjami, jak wymieciona. I wtedy to, bo akurat wypadłem od siebie, by kupić w budce papierosów, natknąłem się na idący jej chodnikiem orszak weselny. Niedużo tego, owszem pan młody w przepisowym czarnym ubraniu, jacyś pewnie krewni, družbowie i druhny, ubogi ślub z przedmieścia, dla fasonu brany

wczesną porą, przed mieszczańską „dwunastówką”, ale żeby to było w śródmieściu, może w Katedrze, czy u Bernardynów, u Sakramentek czy Klarysek. A potem już ciągnęli do domu, do siebie, może nie stać ich było na dorożki. Otóż z tego wszystkiego zapamiętałem tylko pannę młodą. Miała na sobie oczywiście białą suknię ślubną i welon oczywiście z mirtowym przybraniem, a dlatego ją zapamiętałem sobie, bo rzadko kiedy widzi się w życiu taki tryumf osiągnięcia jak u tej panny młodej. Nawet puściła rękę pana młodego i była jakby sama, jeszcze dziewicza, a kto ją tam wie, pewnie i nie bardzo dziewicza, bo nic to wszystko nie znaczy, miała swoje wesele, swój ślub, swój dzień jedyny w życiu i od tego tryumfu, szczęścia osiągnięcia, apogeum życiowego twarz miała rozpromienioną, rozpryskiwała się jej ta twarz w uśmiechu i oczy miała po prostu w ślup, niewidząca, ale i tak widziała, znalazła sobie we mnie zaprzysiężonego, nieproszonego świadka swego ślubu, swego szczęścia i osiągnięcia i tak do mnie uśmiechała się ślicznie w słoneczny, letni, lwowski poranek owej niedzieli, której był jej! jej! jej! jej! ślub! To nic, że zaraz po tym miała przyjść nędza, urywanie się za złotówką, pewnie balia z brudną bielizną w cudzym domu, nad którą miała się pochyłać, pewnie pijany w sobotę po wypłacie mąż, albo tłukący ją i bez wódki bezrobotny, robiący jej dzieci jedno po drugim, od których to porodów miała zestarzeć się przed trzydziestką, z obwisłymi, workowatymi piersiami i powykrzywianymi obcasami pantofli, w kamienicznym podwórzu z jedynym zlewem-kranem, jazgotliwe sąsiadki i deszcze i mgły i śniegi i upały miejskie i nowy poród z komplikacjami w wybranej klinice Kasy Chorych i kaszel po nocy i plaskawy gnieźdzące się za obiciem nad skrzypiącym łóżkiem i niezapłacony miesięczny rachunek w sklepiu, gdzie nie chcą więcej dać „na kredę” i jazgot i kłótnie z innymi tak jak ona, co drugie słowo wymyślające sobie od kurw, a po latach niewdzięczne dzieci znęcające się nad zniedołężniałą matką, i na pociechę pozostaje jej kruchta z zapachem święconej wody i świec i zawodzący nieszporem chór. Ale teraz w słoneczne rano niedzielne to był jej dzień, jej, nie do odebrania, jej tryumf i gloria i to dlatego była taka jaka była i patrzyła mi w oczy wyzywająco, tryumfując, dumna, zuchwała, pyszna, roześmiana, wyższa nad patrycjuszki Rzymu, bazyliissy bizantyjskie, księżniczki Gotów i Wandalów, kniaziówny halickie, principessy biponckie, baronówny żydowskie i „królewne smalcu”. Gotowa mi się oddać wprawdzie przed nowopoślubionym mężem, mnie obcemu, bo przecież to wszystko jedno, bo był to jej dzień, oblubienicy, tej której wolno, która oddaje się każdemu, symbolicznie. W dniu jej własnego tryumfu, panny młodej, panny nie będącej już

więcej panną, żony, *newistki*, bo to jej dzień, dla którego warto było przyjść na świat, znieść jego szorstkie, bolesne, drapiące dotknięcia już od rachitycznego przeżywanego w głodzie, niedostatku, brudzie, nędzy, potrącanego dzieciństwa, pełnego strachów i przekleństw i zalęknionej, „macanej” dziewczęcości, z jej jadami zazdrości, krzywd, popychania, jej niepokojami dojrzewania, nudą i upokorzeniami szkoły, domu, kaplicy, dniówek („podaj wapno!”), w tym jedynym jej dniu, jej wesela!

I ja tam byłem, miód i wino piłem...”.

Tak to przekładałem Nietocie w długie samotne wieczory nad bilardem, a było to gdzieś daleko, za świątami, w Dolinie Bez Wyjścia, wśród groźnych, ponurych gór, w Pirenejach, w których nigdy nie byłem.

Kultura nr 272, 1970.

BALON

Przyjechałem tam już jesienią. Do pensjonatu podwiózł mnie fiakier, wiktoria w jednego konia, jak w mieście, tyle że góral-dorożkarz w cyfrowanych portkach i kapeluszu z muszelkami przysiadł bokiem jej kozioł i to na niego zdałem się, gdzie się tu zatrzymać. Podwiózł mnie do niewielkiego pensjonatu już na stoku Gubałówki, nie targowałem się o pokój, zresztą miało to być tylko na parę dni, a już po sezonie i do tego zaczął wiać halny.

W pensjonacie ulokowałem się naprędce, zniosłem dosyć burkliwie zaciekawione jak to zawsze w pensjonatach spojrzenia na nowego przybysza. Do wspólnego stołu na kolację mnie przypuszczono, ale na szczęście byłem nic ciekawego, to mi dali spokój. Tylko tam ze sobą pogadywali, już tym tam pensjonarskim, umówionym językiem-żargonem, kiedy to porozumiewa się skrótami, wyslizganymi w codziennej śniadaniowo-obiadowej, werandowej mowie, te same przekomarzania się czy docinki, *lingua franca* kuracjuszy. Ale grunt, że dali mi spokój, spenetrowawszy od razu obcego, niezgrabiasza, nudziarza i już.

Przez okna widać było, jak z wału górskiego zstępowały dymy, kurzawa mgieł, chmur pędzonych od południa przez halny. Dudniły od podmuchów dyle ścian i gonty dachu i łopotały jakieś źle zabezpieczone żaluzje i okiennice i smreki koło domu drgały i dygotały pod uderzeniami wichru. Wiatr był duszny i ciepły i chciał wdrzeć się do domu, który postękiwał pod tym dobijaniem się. Zdawało się że szczelinami, szparami wdziera się i że napompowuje wewnątrz wzmożonym ciśnieniem, że od tego dom puchnie i nadyma się i za chwilę dźwignie się z posad, fundamentów, murowańca piwnicy i pociągnie nim po stoku, pochy-

łości, zawadzając o drzewa, głązy i słupy przewodów, jak zerwanym z uwięzi balonem.

Porównanie z tym balonem napatoczyło mi się z bezwiednie podsłuchiwanej rozmowy przy kolacji, rozmowy pomiędzy stolownikami pensjonatu. Ktoś lamentował, że halny, a więc nowa przeszkoda i zwłoka w przedsięwzięciu, o którym gazety rozpiswały się od dosyć dawna. Bo to tu miało się to odbyć, tutaj dla jakichś tam względów dowodzonych i argumentowanych wybrano miejsce startowe i to na ten właśnie temat toczyła się przy kolacji rozmowa. Jak to zwykle w takich okolicznościach zdania były podzielone, już ktoś z uporem i zapalem dowodził swego i powoływał się na takie i owakie autorytety, meteorologiczne, fizyko-geograficzne, sezony. A że akurat w Dolinie Kościeliskiej? No tak, zacisznie, dolina, a więc jakby naturalna zaślona, stoki zalesione, gdzie tylko sporadycznie z południowego zachodu wieje „orawski”, ale proszę bardzo, żadne to wydmuchowisko jak u dołów, gdzie zawsze może być kapryśnie z tą pogodą, a tu wiadomo, czego należy się spodziewać. A halny to nic?, zrywa się oponent, o proszę, posłuchajcie jak duje, tego przecież zawsze można się było spodziewać, a co za siła, niech się Föhn alpejski schowa. Na to ktoś inny zaczął się popisywać znawstwem wszystkich innych mistralów, sirocco, samumów, chamsinów, Gregale wiejącego z północo-wschodu, mówił o huraganach, tornadach i cyklonach, jakichś tam passatach i monsunach, a o purdze kazachstańskiej słyszeliście? Na to klasyk wyjechał z eurocyklodonami, boreaszami, zefirami, całym tym antycznym workiem eolskim wiatrów. A inny znowu o stratosferze, biosferze, jonosferze, promieniach kosmicznych, profesorze Piccard czy Amerykanach, co to startując w Południowej Dakocie w hermetycznie zamkniętej kuli podwieszanej u długiego, pończoszastego worka balonu sięgnęli gdzieś tam ileś tam zawrotnych dziesiątek tysięcy metrów wysokości. Wszystko to było tylko lat temu czterdzieści przed raketami, pojazdami przestrzennymi, orbitami, tym czym dzisiaj jesteśmy już znudzeni i zbłazowani do młodości.

Ale słuchało mi się tego nieuważnie, piąte przez dziesiąte.

Wybrałem się do miejsca, gdzie ostatni raz ją widziałem, słuchałem jej żywej. Bo już jej nie było więcej. Gdzieś odeszła, zapadła się w nicość, w czeluść, która rozdziawia się przed nami wszystkimi. Wszyscy tam trafimy, czy myśląc o tym czy odpychając myśl o tym, czas obecny, codzienny pozwala nam łaskawie zapomnieć o czekającej nas nicości. Była — nie ma jej. Była i już jest gdzieś poza, tylko oglądnąć się wstecz i zacierać się

rysy, kształty, cień jej. Może wydawało się tylko że była, że żyła, oddychała, śmiała się, płakała, marzyła, mówiła. No i nie mam jej i może była tylko przywidzeniem?

Kiedy to było? W jakieś miesiące po tym wszystkim. Pchało mnie, by te góry zobaczyć z bliska, bo kiedy ją tam przedtem odwiedzałem, to na krótko, zawsze na parę dni. A teraz chciałem zobaczyć kształt tych gór, których sylwetka na zawsze odbiła się w jej oczach. Może by sprawdzić, że nie były one takim jak ona mamidłem, że nie zabrała ich ze sobą, że nie były tylko przywidzeniem i już, że jak tam przyjadę, to nie będzie pusto i nijako, jakby zrolowano jakieś dekoracje teatralne i wywieziono z całym cyrkowym bagażem, larami i penatami. Czyż to nie chowali w kurhanach tych jakichś scytyjskich ludzi, z ich całym dobytkiem, garnkami, kobiercami, utensyliami, bransoletami, bronią, końmi, psami, wozami, nałożnicami i służbą, i dzieci ich w ich dziecinnych przybraniach, koralikach, z ich dziecinnymi zabawkami. Chciałem sprawdzić, czy Nietota nie zabrała ze sobą wszystkiego tego, co było jej zabawą i pasją, przyzwyczajeniem, codzienną sukienką, książką, drobiazgiem, skarbem, pamiątką otaczającego ją świata.

Skąd Nietota? To nie z Brücknera, o którym już była mowa, ani też uchowaj Boże z tego takiego młodopolskiego poety i dramatopisarza, co to sposobem młodopolskim koncipował wielkie poematy, a także na modłę młodopolską odkrywał i zachłystywał się jak to oni Tatrami. Bo Tatry, wiadomo, były dla Młodej Polski rezerwatem natchnień, uniesień, ekstaz, odkryć, ale przeważnie to przesiadywali oni jednak po knajpach zakopiańskich albo po willach dorobkiewiczów, gdzie sobie inteligencja znachodziła wakacyjne siedziby. Tenże Tadeusz Miciński napisał coś, co nosiło tytuł niebylejaki, bo aż *Nietota, Księga Tajemna Tatr*. Nigdy tego nie miałem w ręku i nie próbowałem, musiało to być coś na kosmiczną skalę, napisane z wielkimi ambicjami, ale gdzie mnie tam do tego. Owszem i „Książ Potiomkin” z flagą czarną, a także, jakże to tam było? „Chryste Panie — W konie!”. Owszem bardzo zgrabny wierszyk, nie ma antologii liryki polskiej, ażeby go tam nie było. Był ten Tadeusz Miciński taki sezonowy, feldmanowska *Krytyka* krakowska nawet go sobie zmonopolizowała, ale już jest zapomniany. Tylko przypomniał mi się niesamowity, tragiczny koniec tego poety. Gdzieś na Kresach, w czasie końcowego chaosu po tamtej pierwszej wojnie, było tak, o czym dochodziły groźne słuchy, relacje niekompletne, że gdzieś ten Tadeusz Miciński jechał, pewnie takim kresowym traktem, mogę to sobie wyobrazić, jakimś wynajętym zaprzęgiem, skądś, z kiegoś może dworu gdzie zdarzyło mu się pobytować, czy z mias-

teczka, pewnie w drodze na jakąś stację kolejową, typowo, po inteligencku, zawsze bez miejsca, zawsze przenoszący się w miejsce inne. No, i nawet mogę sobie wyobrazić że gdzieś na jakimś wygonie wsiowym zdziczali przez wojnę chłopci wyciągnęli go z sań i zatłukli kłonicami za to, że był taki inny.

Niech więc będzie Nietota. O swym tu życiu opowiadała mi, niewiele z tego zapamiętałem. To było towarzystwo młodych, jak ona, i wesołe. Bo u gruźlików te stany gorączkowe, rumieńce suchotnicze na twarzy i organizm w stanie fizjologicznego alarmu sobie rekompensuje, stąd podnieceni i wyprawia się brewerie, buntuje wobec nakazów lekarzy, grywa do późna w karty, sporadycznie urządza się jakąś młokosowską pijatykę. Tylko że przychodzi blade rano i w szlafroku czeka się w kolejce na „wysłuchanie” przed ambulatorium, z poczuciem winy, że czytało się coś porywającego do dobrze popołudniowych godzin. No i nie ma ucieczki od diet, brania temperatury, zastrzyków, odmy, od nasłuchiwania, jak na sąsiedniej werandzie ktoś głucho kaszle i odpluwa, a tak, nawet w *Czarodziejskiej górze* Manna przyjęła się tam nazwa Błękitnego Henryka, kieszonkowej spluwaczki z niebieskiego szkła, a *Zauberberg* już dobrze sobie przewertowali, zblazowani, że „bujac to my, a nie nas...”.

Tylko jeden był tam taki, opowiedziała mi kiedyś, co to po naukowemu, systematycznie sam zabrał się z postanowieniem, że on przetrzyma, że się nie da, a że to technik, racjonalny, matematyczny, więc narzucił sobie z zacięciem i przekonaniem nakaz: jak gruźlica krtani, to nie odzywać się. I nie odzywał się. W pasiastym szlafroku, w wielkim jak koło kapeluszu, ze stosem skryptów technicznych na pledzie, na leżaku, odgrodził się i zamknął w sobie, nie odzywał się tygodniami do ludzi, że to ma postanowienie i żelazną wolę wyzdrowienia, nie dania się, po naukowemu, po inżyniersku. I pewnie dotrzymał danego sobie słowa, wydrwił się, wymigał, wiedział czego chciał, kiedy tak samolubnie, skoncentrowanie, z pasją, z zamiślem uczeplił się życia.



A potem, kiedy już się tyle zapomniało, to zacząłem odtwarzać ją sobie w fikcji. Pojawiała się, przychodziła w najbardziej realistycznie budujących się sytuacjach, nie we śnie czy marzeniu, ale tak, jakby to było naprawdę. W sytuacjach nie z przeżycia, ale wymyślonych, uzurpujących sobie prawo do jakiejś rzeczywistości.

Bo czym jest zapatrzenie się wstecz? Można by to przyrównać

do tego, kiedy się prowadzi samochód, a równocześnie patrzy w lusterko, wstecz, ku przejechanej drodze, na której wszystkie znaki, szczegóły uciekają, pomniejszają się, zatracają kształt, nikną, a że do tego odwrócone, więc tym bardziej nas mają tą swoją odwrotnością. Jeszcze chwilę temu widzieliśmy je tuż przed sobą, nadbiegające, nowe, nieoczekiwane, nieznane dotychczas, a teraz, przez mgnienie oka przelatujące obok nas tak wyraziste, a teraz już ledwie zapamiętane, bo cisną się nowe i nowe, więc te znajome, wydawałoby się tak bliskie, już są poza nami. Ale dopomaga nam pamięć, jakieś sprzężenia myśli, błysk czegoś podobnego do innego, już dawniej poznanego, a do tego jak zawsze wysnuwa się w nas nasz własny kłębek myśli, automatyzm doznania, i z tą spontanicznością nowych zjawisk komponuje się to nam w świat osobny, nieprawdziwy, nieistniejący naprawdę. Bo jakżeż to wszystko zależne jest także od stanu naszego samopoczucia, od wpływu, jaki na nas może mieć, jak to uczenie nazywa się? Akcja hormonów wydzielania, od tego jak trawimy czy jak odbywa się w nas proces metaboliczny, albo może nas zaświerzbi, zaswędzi naskórek, nasze poczucie równowagi zachwieje się od jakiegoś innego bodźca, bo samochód bierze jakiś wiraż, przeleci nam po oczach cień drzew, nadleci jakieś bez związku wspomnienie, odwróci uwagę nic nie znaczący szczegół widziany kątem oka i już jest inaczej i nasz obraz przeszłości wykrzywia się, olbrzymieje albo maleje, raz widzimy ją jak pod lupą, gdzie każdy włos czy krosta czy zgrubienie naskórka urastają do rozmiarów szczegółów surrealistycznego pejzażu, albo odbiega znowu i karleje, niby nawet bardziej wyraziście, ale jakby patrzeć przez odwróconą lornetkę. Tak, tak, nie uchwyci odbiegłego czasu, nie odtworzy tego, co działo się przed paru minutami czy przed ćwierćwieczem.

Oto z runów wycinanych w drzewie buku, ze znaków na korze brzoźowej, z podań, latopisów, napisów rytych w marmurze (SENATUSPOPULUSQUEROMANUSDIVOTITODIVIVESPASIANIVESPASIANOAUGUSTO... z tryumfalnego łuku Tytusa), ksiąg sądowych (*„Since you have been found guilty of these horrible treasons, the judgement of the Court is that you shall be had from hence to the Tower of London, there to remain until the day of execution and from there you shall be drawn upon hurdle to the place of execution, there to be hanged and cut down alive, and your body shall be opened, your heart and bowels plucked out and your privy members cut off and thrown into the fire before your eyes then your head to be stricken off nad your body shall be divided into four quarters to be disposed at the King's pleasure. And God have mercy on your soul...”*

z sentencji wyroku jaką usłyszał Sir Walter Raleigh), z napisów nagrobkowych („Tu leży pochowana nieśmiała Sara, córka... Zmarła w drugim dniu Święta Purim, w roku... ery narodu żydowskiego. Oby duchem pozostała wśród żyjących...” na szajbecu starego kirkutu z czasów tureckiego panowania w Budzie) wyczytana z dwudziestotomowej Historii Papieży Pastora czy wyzgadywana z zatartych na pieniążkach, miedziakach, szelągach, obolach, tynfach, groszach, denarach znaków, profili, symbolów odtwarza się nam przeszłość. Powolny, statyczny obraz-widmo jej, w miarę jak czas historyczny dochodzi naszej teraźniejszości wspina się ku górze wierchołkowej nieartykułowanych spraw, dziejących się w tej właśnie chwili, w ich chaotycznym tumultcie, którego nie podobna ogarnąć, ni pojąć, ni uporządkować, kiedy zgrzyt, pisk, wstępujący dysonans, spazm spraw dziejących się w tej chwili ogłusza nas i wierci nam w uszach dojmującym *crescendo*. Ale tu zaczyna przechodzić na powrót w jednostajny pogłos czasu biegnącego w przyszłość, opadająca symetrycznie amplituda, tak samo odchodząca jak przyszła, odchodząca w niewiadome, w świat nadziei, oczekiwania, niosąc ufność w spokój, porządek i symetrię dziejących się rzeczy.

Kiedyś, za czasów wojny, w Anglii, zdarzyło mi się stanąć w hotelu, takim tamtejszym wielkim hotelu kolejowym, będącym jakby przedłużeniem poczekalni dworcowej. W jednym z setek numerów tego olbrzyma-hotelu, gdzie zatrzymałem się na jedną noc, znalazłem współgościa. Był to Polak, młody podporucznik, który co tylko przyjechał z Bliskiego Wschodu, przyniosło go tutaj i gdzieś był w drodze do jakichś przeznaczeń. Był to bardzo młody człowiek, zresztą nijaki, pospolity, blondynowaty. Jedynym co w nim było pociągającego była młodość. Kiedyśmy się na tym jednonocnym postoju zgadali, to dowiedziałem się, że na Bliski Wschód przedarł się z Rosji, przebierając się z jakiejś Workuty czy innego kraju za kołem polarnym, gdzie przyszło mu przed zwolnieniem, w wielostopniowym mrozie, po pachy w śniegu, rąbać sosny arktyczne. Z niechętnie przywoływanych wspomnień dowiedziałem się od niego, czym jest to, kiedy o głodzie, skąpo wydzielanych racjach, kiedy „cynga” i „ponos” i „kurza ślepotą” nocy polarnej, jak to wychodziło się popędzanym na kwartały do powalania drzew. Powtarzam, mówił o tym niechętnie, zbywał mnie ciekawego, bo miał to za sobą, nawet nie pozował się na męczennika, nawet nie tryumfował, że jemu udało się wymigać, bo był młody, a starsi marli tam dziesiątkami. Nie chciał mówić o tym, bo miał to za sobą. Co uderzyło mnie u tego przypadkowego współlokatora na jedną noc w hotelowym pokoju, to jego pęd, krok, zapatrzenie się w przyszłość. Parł ku

tej przyszłości zziębnięty, zachłystując się otwierającą się przed nim drogą.

Nawracam do nękającej mnie myśli: co też ona przemyślała w swej samotności, kiedy ogłoszono jej wyrok, w zasumowaniu, goryczy, trwodze, terrorze przed śmiercią, przed nicością. Wydaje się aż świętokradczym podrabiać cudze myśli, przypisywać niedołęźnie tak samotnej, tak strwożonej własne elukubracje, podpatrywać z daleka i z innego czasu. Jedno jest pewne. Nie przeliczała w palcach lichych pieniędzy, niewytartych monet niedługiego życia. Nie zabierała ze sobą niczego, zostawiała to za sobą, odepchnęła już niewarte, byłe, zapomniane i poszła w nowe, obiecujące, przyszłe, jak tamten młody żołnierz.



Chciałem się wybrać jej śladem, przez Zawrat i Klamry do Morskiego Oka. Nie Morskiego Oka, bo to nazwa wymyślona przez tych tam młodopolskich poetów, nazywało się przecież naprawdę Rybie Jezioro. Te cepy to wszystko poprzekręcali, tak mi się wydaje, zrobili z tych z Podhala jakieś plemię Mohikanów, te wszystkie cyfrowane portki i parzenice, styl zakopiański, ciupagi, nawet obsadki do piór w kształcie ciupagi, cuchy, „oscypki”, bryndza, becą im te barany i owce nawet mówią góralską. A to plemię przechytrze umiało tylko te „dudki” z ceprów wyciągać, a za to, za owe, dobrze popić czystej i wyborowej, a także wypisywać temu z Krzeptowskich co to ich na Goralenvolk chciał przerobić: „Wacusi, bedzies wisioł za coś...”.

No to idę! „Cała dolina moja!”.

Nie pamiętam. Może była to Olczyska, bo to w tamtą stronę, stronę Kuźnic szło się do Pięciu Stawów Polskich, czyż nie? Może mi ktoś z bywalców, co to mu znane, pomoże, bo dla mnie było to obce. Potem wstępowało się na jakiś garb, wał, kamienistą ścieżką, las smrekowy zaczynał rzednąć, zrobiło się przestronniej, ze zwartych kolumn lasu reglowego jodły rozsypały się luzem, już stoją pojedynczo, od południowo-zachodniej strony obsmyczone „orawskim” wiatrem.

Teraz na potęgę duł halny. Pchany nim z góry zstępował ścieżką ktoś, w kim bliżej rozpoznałem juhasa, pewnie idącego z hali z dwiema bańkami mleka. Ten wyglądał już całkiem miastowo, na głowie miał cyklistówkę, a na nogach narciarskie buty. Ale mijając mnie pośpiesznie rzucił w mą stronę po staremu:

— Hej, wiera, halny! Bo ponem ciśnię...

Nie dałem się temu odwieść od zamiaru i pchając się do

góry, dla dodania sobie animuszu przepowiadałem sobie zasłyszane ze sceny pierwsze strofy dramatu Calderona:

*Tyżeś sprzęgnięty w parę z wichrem
bajecznym hipogryfem?
Bezblaskim gromem, bezpiórym ptakiem,
beztuską rybą?
Tyżeś dziwolągiem czterech żywiołów,
zbytym instynktu co by pohamował
ten pęd na złamanie karku?
Kędyż, wpośród labiryntowej pustki skał
ponosisz, rozbiegany koniu?*

Dobrze mi się dostało za tę pretensjonalną egzaltację. Bo kiedy znalazłem się na garbie, z szarugą leżących na nim chmur przyszedł nagle prawdziwy poryw wichru. Ciął piargiem i toczył kamieniami wielkości pięści ludzkiej. Przypadłem do ziemi i już dosłownie na czworakach zacząłem schodzić drogą powrotną.



A na dole, już w pensjonacie, kiedy pakowałem swoje manatki, musiałem jeszcze nasłuchać się niebylejakich lamentów. A stało się to poprzedniego wieczoru. Zapadła jakaś decyzja i miał nastąpić start niewczesny. U baterii wielkich cylindrów ze sprężonym gazem odkręcono wentyle i rozpoczęło się napełnianie sflaczałej na ziemi powłoki balonu stratosferycznego, który miał przecież sięgnąć niedostępnych dotąd wysokości, sięgnąć przyszłości. Ale w przewodach doprowadzających gaz, na skutek jakichś tarć oraz innych zjawisk towarzyszących wszelkim tego rodzaju eksperymentom, doszło do wytworzenia się fatalnej „statycznej” elektryczności, czy coś podobnego, iskra, no wszystko poszło w jednym fajerwerku.

Ten balon miał się nazywać „Polonia”.

Kultura nr 276, 1970.

III

Ś W I A T Y

Wstęp do dłuższej historii

Odkryj się, świecie, pokaż swą twarz położoną na płask, otwartą do nieba, zakisłą wodą, rogatą od gór, strączastą od dróg. Przyjdzie noc i zaciągnie na cię zasłonę jak prześcieradło zaciągnięte na zwłoki w tężcu kanciaste. Tylko księżyc odbije się w wodach jak w pieniążkach położonych na przymkniętych powiekach trupa. Potem przyjdzie dzień jak posługacz prosekatorium.

Kto cię opisze i kto cię nazwie i kto jeszcze raz skłamię o tobie? Kto znowu zaludni cię bogami, którzy rodzą się pośród ciebie jak wszy w szwach nieschludnych koszuli? Czemu pozwalasz, ażeby liszaje czasu zarastały i plamiły twą głupią regularność i pustkę kuli? A mogłeś być jak perła kałakucka, zawieszona w welonach mlecznej drogi. A mogłeś być jak „światy”, wycięte niezgrabnymi nożycami chłopki z poświęcanego opłatka i zawieszane u belki pod sufitem. A wybrałeś sobie właśnie mnie, wybrałeś, upodobałeś sobie we mnie, zdałeś się na moją łaskę i niełaskę. Wydało się, że będę na cię chuchał i dmuchał jak na wielki cymes, ale zapadłem się w sam w sobie i nie stać mnie więcej na podtrzymywanie ciebie. Świecie! Świecie!...



Chciałbym zabrać się do każdego po kolei, wybrać, wyłuskać osobno każdego z masy i ze zbiegowiska. Pooglądać sobie, porabiać do światła, jak to jest naprawdę. Dość tego uogólniania, myślenia i widzenia zbiorowego. Wziąć każdego człowieka z osobna, jakby to był tylko unikat, przekonać się samemu, że jest to

tylko unikat. Taki sam jak ja, taki sam jak tamten drugi. Naprawdę osobny człowiek, naprawdę jedyny.

Jedyny, jedyność człowieka! Jakże mi sobie z tym tu dać radę? Co zrobię, kiedy rozlezie mi się w palcach w ogromny kraj, niedoszukany przestwór? Gubi mi się w przestrzeni i w czasie. Człowiek sprzed kilku lat przepadł mi tak jak woda, która ciekła rzeką przed pięćdziesięciu laty. Pewnie, że naniosło w tym miejscu mułem, pewnie, że, o tu!, leży spróchniały pień, który przyniosła na swym grzbiecie umarła lat temu pięćdziesiąt fala.

Ten, który był tu ze mną, jest teraz, poniosło go na skraj ziemi albo do sąsiedniego powiatu, i już zmałał i rozpułynał się we mgle, albo przepadł za rogiem, zasłonił się czytana gazeta.

A tu ja chcę, najpretensjonalniejszy badacz i dociekacz, chcę tego człowieka zrobić drugim sobą. Chyba że trzymam go za rękę, tak jak trzymało się kiedyś, kiedy odbywa się próba siły. Łokcie położone na stole, zawsze znajdzie się przygodny sędzia, rozjemca, przychyła głowę, mierzy odległość, wyrównywa szanse. Teraz mocujemy się i śmiesznie jest patrzeć w twarz jego, kiedy robi się czerwony jak ja i czuję jego uparty opór, bo niby to zabawa i heca, a jednak... Otóż przychodzi chwila, już wielki czas, aby ta chwila była, kiedy przymuszę się i nawrócę, odwrócę głowę by spostrzec, poznać człowieka drugiego, bliźniego, towarzysza, nieprzyjaciela. Jestem zawstydzony głęboko swoim solipsyzmem, przymuszam się, bo to nie jest tak łatwo, kiedy wszystko stare, własne, osobiste ciąży na mnie nieskończenie. Będę musiał dać sobie radę z tym zagadnieniem. Przecież nie jestem sam, nigdy nie byłem sam, a to czym jestem, zawdzięczam temu wielkiemu tłumowi, który jest naokoło mnie, który był a nawet który będzie, bo to co się ze mną dzieje, dzieje się także za jakimś nakazem na przyszłość.

Więc uważam i jestem trzeźwy i spokojny w tej wielkiej chwili. Nie muszę się znowu rozglądać. Ten mój bliźni jest obecny, jest tuż przy mnie i suszy do mnie zęby albo jestem mu wstrętny, nie uda mi się go uniknąć, jest tutaj. Salut! człowieku drugi, karykaturę mnie samego, ziomku nieszczęsny i powłoko cielesna i osobna tej samej masy. Salut!

Ale jakbym się nie odwrócił na pięcie, nagle i zdradziecko, chcąc zaskoczyć szpiega, tajniaka, który szedł moim śladem, skradł się od rogu do rogu, jakbym nie zwinął się w miejscu, by złapać go za złodziejską rękę, przyskrzynić, nigdy mi się to nie uda, bo już stoi obojętnie przed wystawą sklepową, melonik

tajniaka na głowie, i udaje że patrzy w wystawę, a patrzy w moje odbicie w szybie wystawowej.



Gdzie jest granica pomiędzy mną i drugim? Ten drugi, ten inny, ten osobny pojawia mi się w tłumie, wielkim, niezrozumiałym, zatroskanym tłumie, tłumie ulicznym, w poczekalniach dworcowych, na trybunach sportowych, w zbiegowisku, w restauracjach, w kinie i ciągle dojmująco jest we wszystkim, w gazetach, w propagandzie, w statystykach, równo, masowo, ciągle, ze wszystkich stron, gdziekolwiek się obrócić, wszędzie ślady tego dłubania, klejenia, układania przez innych; jak krajobraz, to porżnięty drogami, wyorany polami; jak las, to przycięty albo obsmykany; jak woda, to tłuste plamy z oliwy i śmiecie ludzkie pływające po wodzie; jak puszcza, to zaraz pordzewiała puszcza po czymś, koleiny wozu, który przejechał, nie da się zapomnieć, że są nimi.

A jak osobno, a jak pojedynczo, w pojedynkę, natknąć się, rusza się, i las już nie jest lasem, bo ktoś tam graci coś wśród tego; jak późna, nadrana godzina, wśród wyludnionych ulic miasta — wyjdzie zza rogu i zastukocze obcasami po płytach chodnika; jak znaleźć się wśród opustoszałego gmachu — nadejdzie, dzwoniąc kluczami i świecąc mdle latarką elektryczną; jak przejść pustymi łąkami nad strugą — wyniesie się samotną kobietą, a że to pustka i uroczysko, więc jej nijakie biodra urastają do gigantycznych rozmiarów Rei, a popielaty włos, świecący od tłuszczu, trzeszczy iskrami jak aureola.

Drugi człowiek i niedrugi, drugi człowiek to tak jak ja, to ja sam. Zanim napotkam wzrok, zanim wymienię spojrzenie, już wiem, już mi wiadomo i aż uroczyście od tego stwierdzenia.

Ten drugi, niezależnie od płci, charakteru, wzrostu, wieku, sterczy przede mną i zastawia sobą inne. Jest mi aż nieswojo i dziwnie, kiedy uprzytomnię sobie jego zdradzieckie podobieństwo i łudzącą podobność. Aż strasznie, że ma takie same odruchy i że kiedy obaj patrzymy w zachód słońca, wzbiera w nas podobnym wzruszeniem, kiedy nagły cień padnie ku nam, płoszymy się w sobie jednakowo, solidarni i okrutni w swej solidarności. Solidarni w myślach, w nawykach, w przesądach. Żyjemy obaj w tej samej cieniutkiej warstewce sprzyjającej życiu i każdy ułamek, każde oddalenie się, przebicie tej błony w jedną czy drugą stronę znaczy dla nas unicestwienie.

Ten drugi, krew z krwi i kość z kości mojej, jest mi drogi i odrażający. Odrażający do wstrętu. Wstrętne mi są zarówno włosy, jakie ma pod pachami, jak i tik nerwowy, jak banały którymi operuje. Jest mi najbliższym przyjacielem i wilkiem zarazem. Odda dla mnie wszystko, wiem, jestem pewien że odda, a także gotów jest zarznąć mnie, rznąć mnie tępym nożem o głupstwo i najmizerniejszą i ułudną wartość. Znamy się nawzajem na wylot, przenicowaliśmy się nawzajem, znamy swoje myśli, drogi i jesteśmy sobie nieskończenie obcy i nieznajomi, jakbyśmy byli z innych gwiazd. Ten drugi, ten osobny, jest mi tak nienawistny i nieznajomy i tak samo drogi, jak ja sam. Przecież ja sam sobie jestem tak nienawistny, złowrogi, i tak samo nie znam się i boję się siebie samego. Tak samo boję się niespodzianki z jego strony, jak boję się tego, co jest we mnie, co w każdej chwili może wyleźć, wyrość ze mnie, moje straszne wnętrza.



A gdy to wszystko zapomnę, a gdy wypłucze się to ze mnie, wyblichuje, złuszczy, czymże zostanę? Nowe rzeczy przechodzą po mnie i traturą, wyszorowują we mnie wklęsły ślad, jak nogi ludzkie deptają i wyszczerbiają stopień schodów, próg domu. Czepiam się wtedy niecierpliwie pozostałych obrazów, naginam ku sobie gałęzie i pręty wspomnień. Chciałbym zachwiać, zatrzęść drzewem, pniem, twardym, niesamowitym, obojętnym, ach, jakże twardym pniem życia, z którego wyrośłem. Czasami wplecione palce targnę z wściekłością, za kurcz, za epileptyczny chwyt, kabłąk uwięzionych dłoni. Ale wiem, że nie puszczę, bo gdybym rozluźnił ostatni uchwyt, cóż mi zostanie poza pustką dłoni o zdartej skórze, gdzie mnie zawlecze dujawica, od solidnego, czcigodnego, statycznego kadłuba mojego drzewa, mojego drzewa.

Tak jest pewnie dlatego, że nie można się od tego odczepić, po prostu nie ma granicy pomiędzy mną i drzewem, jesteście zrośnięci, jakaś symbioza roślinno-zwierzęca, kiedy poprzez dłonie czuję, jak chlorofil roślinny, posoka drzewna przesącza się w żyły i zamienia z krwią. Nie darmo starożytni kładli na skronie wieńce z lauru albo dębu, nie darmo dziewczyzny wplatały we włosy kwiaty, a dzieci plotą ze źdźbeł trawy kluczek i ślinią je własną śliną i szkli się cieniutką błoną, rozpiętą w małym łuczku obręczy zielonej, i odbija „światy”...

W A R I A N T Y

W a r i a n t I

Odchodzę i przychodzę, przybliżam się i oddalam. Jest chwila, kiedy jestem doskonale świadomy siebie, a potem gubię się i rozdrabniam z otaczającym przestworem. Tu jestem, a nie ma mnie, bo wyszedłem na spotkanie wymyślonego.

Jest rano, majowe rano i spadek ogrodu do stawu, stawiska. Kończy się równa wesoła trawka ogrodu jak uciął i zaczyna dokładnie sitowie i podmokłe wodą stawisko. Trzciny ostre, tęgie, inne niż trawowe, odchodzą daleko. Można odważyć się i pójść nimi, woda wysza zaraz stopy po kostki i jest wstrętne i niespokojnie w tym wodnym marszu. Daleko, po drugiej stronie stawiska grunt znowu się podnosi i widać na tę odległość jakieś budynki, brudny komin cegielni, parę drzew i niebo. Jest to ni blisko ni daleko, ale na tyle, ażeby ten nieosiągalny świat był obcy i odgradzony. Zawsze, codziennie widzę ten nieskomplikowany krajobraz, ten sam w swej prostocie, komin cegielni, parę chat, drzewa, parę pasących się krów. Ale nigdy tam nie byłem, nigdy tam nie będę. Pozostanie dla mnie nieznany z bliska ten świat, który towarzyszył mi wiele miesięcy. Kiedy mieliśmy się wyprowadzić z tego miejsca, to stałem w pokoju, w oknie wychodzącym na ten sam krajobraz i myślałem sobie wtedy, myślałem, że już nigdy tego samego miejsca nie zobaczę, nigdy, że było ze mną i już go nie będzie. Ten ubogi krajobraz, komin cegielni, parę domów, pasące się krowy. Było tam rozmaicie, mogło to być pod deszczem, pod chmurami, albo niebo niebieszczące się, chmury letnie poukładane sobie tam, ale już tego nie będzie więcej. Tutaj blisko wszystko było znane dokładnością pokoju ślepego, tak było wymacane spojrzeniem. Trawa ogrodu spadającego łagodnie do stawiska, pokręcone drzewka wiśniowe, krzaki porzeczkowe i malinowe, porzeczki były zawsze zakurzone, zwłaszcza te niżej, przy ziemi, a maliny trzeba było bardzo ostrożnie odrywać, patrząc czy wewnątrz nie jest nadjedzona przez wijącą się w swoim koralowym światku gąsieniczkę.

Tak samo na stacji kolejowej, czekając przed odjazdem po-

ciągu. Jest wieczór, noc, siedzę przy oknie, twarda wagonowa ławka, już mi jest znane to wagonowe wnętrze, pachnące gazem świetlnym, który słabiotko syczy w zbakierowanej siateczce auerowskiej w baniastym kloszu lampy. Upewniające się spojrzenie, że walizka jest ciągle na swoim miejscu, stara pocziwa fibrowa walizka, domowa, kawałek własnego domu w podróży. Głupie napisy nad dźwignią od kaloryferu „ciepło 1/2 zimno”. „Nie wychylać się” i „Nie pluć”. A za oknem jest rozgwieżdżony w światłach lamp stacyjnych krajobraz torów kolejowych, szyny płaskie i proste, te bliżej szeroko rozstawione, te dalej z perspektywą zbiegające się ku sobie. Dziwny krajobraz mechaniczny stacji, torów, jakby kiedyś świat miał być tak przez ludzkie obrabiania wyrównany, podsypany tłustym tłuczniem. Dalej gdzieś idzie kolejarz wzdłuż torów, za każdym krokiem chwieje się jego latarnia niesiona za ucho w ręce, zniknie za wagonami i znowu wychynie, pajak i świętojański robaczek wpośród żelazno-stalowej pajęczyny. A w górze, na wysokich słupach kosmate, jarzące się żarliwie lampy elektryczne stacji, czuwające jak wieloraka opatrność. Czerwone światło sygnałów, czasem nie wiadomo kiedy, w nieuchwyconej chwili przeskoczy ze swego czerwonego koloru w zielony. Ten spokojny kolor, że „wolna droga”, kolor dobra, ale nie ma nic w tym intensywności i siły koloru czerwonego, że „stój!”, że zło. Wszystko w tym krajobrazie wydaje się brudne od pyłu węglowego, barierki żelazne przy jakichś urządzeniach blokowych, tępy koniec ambulansu pocztowego, rura gumowa od gazu, wleczona przez robotnika ku czekającemu zestawowi wagonów pasażerskich. I wszędzie wagony towarowe, niezgrabne pudła, malowane na kolor różu indyjskiego i jak wszystko przybrudzone, z niewidocznymi znakami i literami, grubasne ich osie i obręcze kół lśniące i wypolerowane od toczenia się po piersi ziemi. A nad tym konstelacje lamp elektrycznych, chcących się wypowiedzieć w ich zodiakalnych łamigłówkach, i tylko czasem cień rzucony przez słup semaforu leży i uderza tak ostro, brutalnie, że po prostu dostaje się jakby uderzenie w ciemię.

Szyby okien wagonowych opalizują od tych nokturalnych światel. Para ucieka z sykiem, kiedy szyny zastękają pod manewrującym parowozem. Z daleka, wzdłuż zestawu naszego pociągu zbliżał się coraz wyraźniejszy głos, klangor, kiedy robotnik szedł wzdłuż toru i młotkiem osadzonym na długim trzonku uderzał kolejno w obręcze kół. Jego powolne zbliżanie się było jak ostrzeżenie, powolne, naprzód słabiotki, metaliczny dźwięk, a potem coraz bliżej, perspektywa tonu. Wydawało się, że nie śpieszy się z tym objawieniem, że dzieje się to stopniowo, daje nam czas na namysł, na decyzję, na zrobienie rachunku sumienia,

na stanięcie twarzą wobec obwieszczenia, jakie będzie miał, kiedy znajdzie się przed nami. Słucham tego zbliżającego się odgłosu, w napięciu, w poczuciu tego, że jestem niegodny, że to jeszcze nie jest chwila właściwa, że nie jestem dostatecznie przygotowany. Ale znowu wydaje mi się, że kiedy taki honor ma być mi oddany, że jestem pomimo wszystko uznany za przyszłego piastuna tej wieści, to sznuruje się wewnątrz siebie, zaciskam pięści i jestem gotowy, wyprostowany na przyjęcie tego. Klangor się zbliża, już tylko następny, sąsiedni wagon i zaraz i już! I za chwilę, za moment wahania, uderzenie w obręcz koła, które nas ma unosić, ostre raz! potem chwila wahania i następna oś, raz! I już, to wszystko. I oddala się monotonna, malejąc z oddaleniem. Obeszło się bez obwieszczenia. Zostało to sobie metaliczne, mechaniczne, rutynowane, jak puszczonego mechanizm, jak automat. Wielkiego spodziewałem się efektu od puszczonego gdzieś na krawędziach kosmosu wahadła, wbiłem oko w czarny przestwór, oczekując zbliżającego się wahadła. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi zwiastowały mi jego zbliżanie. Miałem wiele czasu, mogłem się pogłowić, mogłem sobie nawyobrażać jak to będzie, mogłem się zaniepokoić, mogłem sobie perswadować. Mogłem patrzeć z zamierzającym w gardle sercem jak ciężar wahadła z czasem, z przestrzęnią, z prawami fizycznymi nabiera rozpędu, jak mi potem już niewiele pozostawało, jak wpośród skurczeń się w sobie pokory nie czułem się godny, jak z paroksyzmami ufności w sobie, nagle triumfującej pewności siebie stawałem się pewny i zawałdiacki w oczekiwaniu na przyjęcie posłannictwa i przychodzi wreszcie wielki dzień, oczekiwany moment i nic, ale to nic, nawet nic z trywialnego dreszczu spotkania, z eksplozji uderzenia, nic z fajerwerku i temperatury starcia się tego czegoś i mnie, po prostu moment i znowu jestem wsłuchany w oddalający się dźwięk, malejący odwrotnie efekt, znajomy i niestraszny już głos, pozostaje tylko na dnie duszy cienki osad żalu za poprzednim wyczekiwaniem, za rozhuśtaniem razem z tym wahadłem, za dreszczem.

Siedzę w wagonie, na półce znajoma walizka fibrowa, mam jak zwykle ze zdenerwowania podróżą niedyspozycję żołądka, zgagę w ustach, stacyjne, kolejowe pragnienie, powieki mi ciąży, ale w tym znaczeniu, że i tak spać nie będę, a przed sobą, w obramowaniu prostokątnym okna, księżycowy krajobraz torów, światła, wizja świata, jakim ten świat zresztą nie będzie, noc, chmury niskie i jasne od światła stacyjnych, cieniutkie kałuże po niedawnym deszczu pomiędzy progami kolejowymi, stukot buforów w przetaczanym pociągu towarowym.

Myślę sobie, a właściwie nie myślę, ale mam w głębi siebie

przeświadczenie, że już takiego drugiego nie będę w życiu widział. Nie ma dwu takich samych rzeczy na świecie. Kiedyś znowu będę innym razem siedział w wagonie kolejowym, na stacji, po nocy, rozpalą się takie same światła i zajarzą w szynach wypolerowanych i w kałużach, ale nie będzie to to samo. Jestem mały, głupi, niedoświadczony. Napastuje mnie pośród tego myśl, że to dlatego, że to ja sam nie będę już taki sam, nie będę miał w sobie tego samego zestawu kondycji fizycznych i psychicznych. Po prostu powiedziawszy może będzie to dlatego, że innym razem zamiast rozwolnienia będę miał zatwardzenie, może mnie ząb boleć albo głowa dokuczać, może będę miał jakieś inne zmartwienie, może potrafi mnie ktoś poprzednio, albo przedział wagonu będzie pełny i wulgarny i ktoś powie słowo, które nakieruje mój tok myśli w innym kierunku, może będę palił za wiele papierosów i będę pod wpływem depresji nikotynowej, i co? I przyleci tamten krajobraz do mnie, przyjdzie w pośpiechu, ustroi się tak samo na spotkanie, zawtóruje tymi samymi drganiami, a ja będę i ślepy i głuchy na to. Może potrafiło coś powtórzyć się identycznie, może coś powtarza się stale i dobija do nas jak podróżny z wieścią dobija się po nocy do uspiętego domu, a ja nic nie będę wiedział o tym, nic, może takie dobijanie się, straszne, ważne sygnały palą się koło mnie od czasów, może dygocze coś i kołuje koło mnie, jedyne i prawdziwe wytłumaczenie, takie same, powtarzające się dydaktycznie, z uporem i z rozpaczą i wyczekiwaniem, kiedy mnie porwanemu przez czas i przemijanie, zmianę wariacką i błędną, wir szalony nie jest to do odebrania, kiedy ślepy na to daję się ciągnąć usypiany monotonią ruchu. A wydawałoby się, że wystarczyłoby tylko po dziecinnemu wyciągnąć rękę, powiedzieć — stój! chcieć, zatrzymać! I nie, i nie. I już jestem daleko...

W a r i a n t I I

Najserdeczniejsze gusta to te, które zacierają się w nas, kiedy jesteśmy jeszcze nieuporządkowani. Dziwne jest wtedy, w stanie tym niewinności i błazeństwa niedojrzałego czasu, wpatrywać się w ich powstawanie w nas, ich pączkowanie, ich niedorozwinięte kiełki, wpatrzmy się w nie i obok nadziei budzą w nas odrzecz, kaziroducy wstręt, zażenowanie jakby własną słabością.

O niepewności, o wahania! Co wybrać, a co odrzucić? Jakie na to mam miary, jakie warunki, jakie prawdy. I co to jest prawda? Czy to to, że wszystko ma składać się jak w rachunku albo jak w logice, czy prawda jest zależna od mechanizmu, czy od przypadku?

Tam gdzie żyliśmy wtedy to był kraj, który trudno określić i spreparować sobie określenie. Austriacy oficerowie wysyłani tam do pułków kawalerii na okręgowe staże, wiedeńskie fircyki, określali to jako *Arschhöble*, więc już nie samo *Arsch*, więc określeniem najdalej idącym w przepadłości. Że niby wtedy nic nie pozostawało, wśród garnizonu w małym miasteczku gdzie było wszystko w przepadłości i dalekie od Ringu, Żydzi, fizyk miasteczkowy, kilku adwokatów, sąd powiatowy, chłopci, popi, małe chude krowy po wygonach, ubogie stacyjki, gościńce rzadkie i drogi wiejskie, błotniste i życie płynące tak powoli i leniwie.

Wydawałoby się, że tak może wyglądać nicość. Nic się nie działo pośród tego krajobrazu, krajobrazu któremu nic nie było do pocztówkowej malowniczości innych dykasterii, Alp, Pasterzengletscherów, Lido, kanałów Rotterdamu, granitów finlandzkich, dzikiego brzegu Bretanii, gór-miast Hiszpanii, słodczy doliny Loary, zębów Apeninów, melancholii piasków Mazowsza. Ludzie żyli tam bardzo regularnie i ospale, na spokojnie przyjmując zdobycze i dobroczynności historycznego postępu.

Ale tak było po wierzchu i, powiedzmy szczerze, dla uprzedzonych. Ale popatrzeć po drzewach, w lecie powiedzmy po czereśniach, które stały tęgimi gajami Hesperyd, olbrzymie drzewa czereśniowe, olbrzymie jak sekwoje kalifornijskie, pieniające się czarnym, albo czerwonym jak minia, albo wiśniowym owocem. Chłopcy, kilkunastoletnie drapichrusty, wynajmowani do obierania ich, było to na warunkach części zbioru, żyli w dzień pośród gałęzi i liści tych drzew, przyciągając ich obwieszane owocami gałęzie kluczkami i do teraz słyszę ich nawoływania do siebie, kiedy olśnieni, oślepieni mnogością, ilością tego wspaniałego dobra, zawieszeni pośród ich kul zielonych, nawoływali do siebie „Massa jagód, massa!” i to zabawne popisywanie się pańskim, niebywałym, niecodziennym, podchwyconym określeniem „masa” było największym hołdem i pochwałą mnogości, brzemienności, nośności tej kipiącej ilości darów owoców. Dotąd słyszę to „massa” prawie że monotonne, jak śpiew i nawoływania wilg, „massa”, chłopców-ptaków zawieszonych wśród przestworu głowami w dół (mam na myśli jak wszystko inne zwieszane głowami w dół, drzewa, domy w dół niebieskiego przestworu, przepaści strasznej i rozkosznej).

A weźmy inny dzień, kiedy pojechaliśmy wczesnym ranem

daleko, daleko, nazywało się to Popławy, gdzie leżały kwaśne łąki i to było do sianozęci. Dzień był deszczowy, słotny i nic się nie zmieniło po naszym przybyciu na miejsce i z bratem schowani byliśmy pod wyprzęgniętym wozem pod weretą przed deszczem, a kosiarze szli i maleli po łąkach, przesłonięci smugą deszczu, i pokosy leżały krzywymi liniami i było najstraszliwiej pusto i beznadziejnie, nic tylko brudna zieleń traw, woda i wilgoć, ciurki deszczu spływające po wszystkich i deszcz niesiony pochyło i zapylający i zawierający świat do najbeznadziejniejszej pustki, i zgrzyt brzękliwe kosy po trawach i kamień osełki toczący kosę i ten sam garb horyzontu i ten sam deszcz, deszcz i niebo szare jak woda w akwarium. Wydawało się pod mokrymi batami deszczu, że świat już dosięgnął zapowiedzianego błogostanu entropicznego wyrównania, że rozpuścił się w nirwanie jednakości, szarzyni oślizłej i jednakowej, niebo zeszło do ziemi i mieszało się, wszystko stało się płaskie i dwuwymiarowe. Tylko trawy leżały pod deszczem, gęste i otulające w swym ścisku ziemię i tchu zdawało się braknie kontemplując tę beznadziejność łąk.

A inny dzień świąteczny, niedzielny, znowu w słońcu i dwie wieże kościelne, barokowe, białe i kanciaste od gzymsów i akroterii i kościelny zapach kadzidła wosku świec, szuwaksu wyczyszczonych butów i krochmalu spódnic i halek dziewcząt, niosących w procesji feretron na niezgranych nosidłach, kiedy jedna ręka spocona przyciska do piersi książeczkę do nabożeństwa okreconą różańcem, a druga przytrzymując drążek feretronu i gęsta zieleń drzew i wozy chłopskie ściśnięte na postoju koło kościoła, chabety mają głowy całkiem pochowane w napęczniałych sieczką karmiakach zawieszonych u dyszli i kupy nawozu końskiego i wściekle omiatające się przed muchami ogony, i gzy końskie i siwe od zaschłego błota szprychy kół. Nuda długa nabożeństwa, kiedy organy dudnią i złoci się promień słońca wbiegły przez okno i stacje Męki Pańskiej i zacheuszki na ścianach kościelnych, które są twarde i sterczące do góry jak dogmat. Ławka kościelna pokapana świecą, chór kobiecych głosów zanoszący wysoko i ponad organy pieśń o Pannie Niepokalanej. Szur butów i pokasywania w czasie Podniesienia, cieniutki brzęk dzwonek ministrantów i tego i złoto wyszywany ornat księdza, kiedy rozłożywszy ręce czyta z mszału pośród palisady wysokich świec ozdobionych sztucznymi kwiatami.

Po wyjściu z kościoła ma się taki straszny ucisk i próżnię równocześnie serca, jakby wina za to, że brało się porcje wiary jak komunię i świętokradczo, kiedy nie można było w sobie wzbudzić prawdziwej wiary, i stał tęgi, barczysty dzień naokoło

jak klucznik więzienia. Słońce już w zenicie i ponad głowami ludzi i nad parkanami gęste drzewa, smuga cienia, pszczoły ujadające wokoło kwiatów jak psy, dziewczyny, w ich halkach, z ich piegami na twardych, dziewczęcych głupich twarzach, kurz gościńcowy, butla z wodą sodową u drzwi sklepu.

Jak tu uchwycić istotę rzeczy, jak sobie zadać ten worek, któredy pomagać za futryną drzwi? Z wielkim przeczuciem, z naiwnym rozmysłem macam nogą kładkę, kładeczkę prowadzącą na właściwą stronę. Pewnie, że się będę mylił, ale najważniejsza jest decyzja w takim wypadku, jedno co pozostaje, zdecydować się ostro.

Bardzo trzeba się odseparować, odkroić, odlepić, odessać od cycka wiadomości, łona rzeczy omówionych i grubych. Myślenie musi być cienkie, filigranowe, kruche kruchością wyciągniętego na gorąco szkła. Trzeba sobie z tym dać radę.

Trzeba oddzielić się od przestrzeni, jakby to nie było trudne i niemożliwe, powiedzieć sobie, tu jest tu, a tam jest tam. Być sobie takim panem, który jest obiektywnym panem. Posegregować sobie, ale nie systematycznie, bo w całej systematyce można się zagubić dla dobra systematyki samej, ale podzielić sobie i powiedzieć, że inaczej.

Nie dlatego, że powiedziano mi co ino o względności i porządku rzeczy zależnym od kondycji, instrumentu, jakim mierzę, od tego, gdzie przypadkowo się znajduję.

Tylko nie być zaraz trąbą jerychońską.

Kultura nr 33/34, 1950.

CZUWANIE I STYPA

Otworzył drzwi od klasy tercjan, wysoki, niewyraźny i z włosami przyszyzonymi na jeża. Całe swe życie spędzał w małym pokoiku koło furty i nikt go właściwie nie znał.

Powiedział, że czeka na mnie ojciec.

I kiedy pobiegłem szybko korytarzem i zbiegłem po schodach i poniżej klatki schodowej z jedną oszkloną ścianą była poczekalnia dla odwiedzających, z wyslizganymi ciemnymi krzesłami, figurką malowaną z gipsu madonny i kropielniczką przy drzwiach.

W głębi, pod lampą, stał ojciec, wielki i tęgi w zimowym palcie i twarz miał w cieniu i jedynie blask na wysokim, wytłusiałym czole. Na poręczy krzesła leżał przerzucony szal i kapelusz mokry od tających płatków śniegu.

W poczekalni było zimno.

Patrzyłem pytająco na ojca i ojciec zrobił krok w moją stronę i jakby uważnie się wpatrywał, jakby szukał czego w mej twarzy i chciał coś poznać. Wziął mnie za obie ręce i niecierpliwie przyciągnął do siebie. Potem powiedział:

— Zbieraj się. Pojedziesz ze mną. Babka umarła, pojedziesz ze mną na pogrzeb.

Potem dodał:

— Mówiłem już z Rektorem, ażeby cię w szkole usprawiedliwiono.

Potem ojciec usiadł na krześle, które sobie przysunął i znów mi się przyglądał. Dziwna i niezwykajna tkliwość ojca, ostentacyjność tego, zmroziła mnie trochę. Jako że nie demonstrowało się w domu czułości, jako że każdy szanował i nie penetrował

terenu drugih, że był nieumówiony kod na zbliżenie i porozumienie, więc słaba manifestacja ze strony ojca wzruszenia i strapienia i bólu z powodu śmierci babki zahamowała mnie i popsuła mi radość, że widzę ojca.

Ale usiłowałem taktownie dostosować się do sytuacji. Zacząłem sobie przede wszystkim przypominać i uświadamiać sam fakt śmierci babki. Babki prawie nie znałem, słabo przypominałem sobie jej twarz, zbiegłą w siateczkę zmarszczek i czarne, bardzo czarne oczy i ręce, ręce z gałązkami żył na wierzchu dłoni.

Uważałem, że muszę się dostosować do sytuacji i byłem trochę zbuntowany przeciw temu przymusowi, że nie dano mi ochłonąć wobec tego zjawiska, wobec tego zwiastowania śmierci, ale byłem także zaszczycony, że liczę się w rodzinie już jak dorosły członek, któremu należy się to, ażeby brał udział w oficjalnym i ceremonialnym nabożeństwie pogrzebu. Tak niebywale połączone to było z wyjazdem, wzięciem rozbratu ze szkołą, konwiktem. Żał mi także było ojca, który był jednak bardzo inny i złamany.

Ojciec wziął mnie przede wszystkim na późny obiad do Naftuły, gdzie mieliśmy się najeść przed nocnym pociągami z Podzamcza. Postawiono przede mną talerz z olbrzymim kotletem wieprzowym, na stole leżały tekturowe podstawki pod kufle piwa i musztarda i pieprze rozmaitych kolorów, ojciec wypił jeden, dwa, trzy kieliszki wódki, i teraz w jaskrawym świetle lokalu widziałem, jak zmęczone ma oczy. Na ścianach knajpy były duże obrazy w mahoniowych ramach, wyobrażające jelenie na rykowisku, płaszcze zimowe pęczniały na wieszadłach w rogu, tędy jegomoście pili piwo i wódkę przy bufecie i kelner ścierał poplamiony obrus serwetą.

Dorożka zawiozła nas na Podzamcze i wkrótce siedzieliśmy w pociągu. Para syczała na złączach rur między wagonami i w jej obłoku, twardym jak wata, nie można było odnaleźć klamki wagonu. Wagon był napchany ludźmi i było w nim przyjemnie ciepło po zimnie, jakie było na dworze. Potem był gwizdek konduktora i światła peronów przesunęły się przed oknami wagonu i potem nadpływały kolorowe światła semaforów i zwrotnic i odpływały i znów nadpływały i odpływały, potem dalej widać było światła i światełka domów przedmieść i pociąg nabierał rytmu i tętna.

Przypomniłem sobie inną jazdę z ojcem. Było to w czasie zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia, czy też dobrze już po świątach. Ojciec jeszcze w lecie w Domagałach, miasteczku leżącym o dwadzieścia kilometrów stąd, zamówił powóz u tamtejszego specjalisty powoźnika, powóz typu „faeton”.

Otóż niespodziewanie po tych świętach przyszedł list od po-
woźnika bardzo lakoniczny i *nota bene* nieortograficzny.

„Panie Radco Wielmożny. Fajton już gotów.

Z poważaniem

Wincenty Papierski”.

Następnego dnia założono konie do starego wózka i ojciec
wziął mnie i wyjechaliśmy po śniadaniu.

Jechało się do tych Domagał gościńcem, który szedł prosto
jak strzelił w kierunku na południo-wschód. To było w odwilż
przed ponową i stary śnieg, który w ciągu ostatnich ciepłych dni
szybko wytajał, porozlewał się po obu stronach gościńca w nie-
zmierzone tafle wśród pól i wierzby, ogołocone z liści i czupie-
rzące się po miedzach odbijały się w czarnych wodach rozlewisk
i potopów. Wody te w czasie nocnych przymrozków zamarały
lodowiskami pokrywającymi gładko i szklanie bruzdy i skiby pól
i dziwnie było patrzeć na tę pustać, szkłaność, tam gdzie pod
spodem winny być oziminy i oziminy.

Wózek turkotał wartko po szutrze bitego gościńca i konie
szły kłusem, zabawnie, bo czasem ostro i unisono, czasem ten
tupot i klask kopyt przemieszał się, bo podręczny wałach miał
krótszy z krocza.

Wrony i kruki przechadzały się po gładkim lodzie lub zrywały
się ciężkim łopotem skrzydeł, ażeby usadowić się wśród gałęzi
topoli przydrożnych i spędzić te, które tam już siedziały. Słupy
telegraficzne nadbiegały monotonnie, brzęcząc jak harfy. W lewo
poza fałdą widoczne były szczyty chałup i nieutrzymana droga
odbiegała od gościńca w stronę tego osiedla, a tam gdzie dobie-
gała do gościńca była tablica na słupie i na niej było wypisane:
Gromada Dołęż, Gmina Batiatycze.

Ojciec powiedział do mnie:

— Wiesz, skąd to się nazywa Batiatycze?

Nie wiedziałem, więc ojciec objaśniał.

— Jak raz Król Sobieski polował w tych stronach, a były
tu przedtem lasy że ho-ho — takich już teraz nie ma — to
zabłądził. Szukali go wszędzie, na wszystkie strony i nie mogli
znaleźć, aż w końcu taki młody kozaczek miał szczęście i nadybał
go i tak się tym przejął i wzruszył, że na widok królewski
wybuchnął płaczem. Ma się rozumieć, ujęło to bardzo króla
i w nagrodę uszlachcił go, mówiło się wtedy nobilitował i po-
wiedziało, że za majątek może sobie tyle ziemi wziąć z tych lasów,
ile zdąży w zamkniętym kole objechać w ciągu dnia. No to ten

kozaczek wziął sobie konia, na drugiego wsadził takiego dziadygę i jucznego konia dał obładowanego wiechami, tykami do wyznaczania granic i wioo! I co ujechał, to wołał do swego pomocnika: Batja! Tyczy! i ten wbijał znak i dalej. I od tego wołania „Batja! tyczy!” zrobiło się Batiatyczne. Rozumiesz?

Rozumiałem. A właściwie rozumiałem i nie rozumiałem. Kompozycja i rytm opowiadania bawiły mnie, ale zaraz obudziła się we mnie czujna nieufność. To nie jest życie, myślałem. To nieprawda. Życie nie jest ciągłym łańcuchem jakby skomponowanych frazesów, to by było za łatwe i nudne pewnie także, życie nie jest jednym ciągiem przyczyn i skutków, szeregiem przesłanek, z których wynikają ładnie zaokrąglone wnioski, ani też nie jest materiałem do funkcji ani też rodzajem monogramu. No to w takim razie to jest sztuka. Bałem się przymusu wynikającego ze sztuki. Dlatego że tak i tak mnie wychowano, że tak mnie nauczono, że nie pokazano mi tego, a za to pokazano tamto, to jest się jak koń w szorach, w hołobiach i kieracie i okularach, odsłaniających pole widzenia w jednym tylko kierunku.

Po prawej stronie drogi, równoległe do niej, w odległości dwu kilometrów zaczynał się płaski pas wzgórz, Woroniaków, w głębi zalesionych, bliżej łysych i strzępiących się urwiskami i krzakami głogu. Ich spokojne, niesymetryczne obłoki wydymały się pod niebem i cieniowały bladoniebieskim cieniem, jaki niskie, zimowe słońce kazało im rzucać, jak powierzchnie matematyczne czwartego stopnia, puste i niezamieszkałe, obojętne i zimne, dalekie a bliskie, chciałoby się iść ku nim i wstępować po ich płaskich stokach i zajrzeć, co jest za ich krawędzią — horyzontem i dać się zaczadzić nowemu horyzontowi i schodzić ku niemu po przeciwstoku i znowu iść, z pragnieniem w gardle za niewypowiedzianym, co jest za tym nowym horyzontem, który zawsze będzie odskakiwać na zaklęty dystans.

Wózek turkotał usypiająco, przyskało błoto i roztajała woda pod klaskaniem podków końskich i zwolniło się pod pochyłą górkę, a potem, jakby odkrył wieko pudełka, z góry ukazało się miasteczko Domagały i zaczęliśmy ostro zjeżdżać ku niemu.

A potem był warsztat pana Papierskiego i wśród wiórów, trocin, desek, spiętrzonych na stos pionowo, odrobionego i na pół obrobionego materiału stał nowonarodzony faeton, świeży, pachnący pokostem, politurą, lakierem, szmelcowanym żelazem, rzemieniem, lakierowaną skórą, sztruksem i końskim włosiem, błyskający szkłem latarni i okuciem miedzianym, elastyczny, o pałakowatych kołach, z odbiciem promieni słońca na szprychach

kół i z muszlami piast, z pudłem wyrobionym jak skrzypce i szlachetną, tapicerską robotą siedzeń, wałkiem na wysokim siedzeniu woźnicy, faeton.

Kiedy wracaliśmy, to gapie ubogiego rynku Domagał zaaprobowali nas jako apetyczny widok na tle codzienności i jednokowości miasteczka. Chudy Żyd powroźnik powoli cofał się wzdłuż wąskiej szyi uliczki i wywlekał z konopnych pakuł, jakie miał w przewiązanym w pasie worku, wyszarpywał konopne promienie koloru srebra i formował je w palcach w sznur, który nakręcał się i rósł w długość, w miarę tego cofania się, a drugi koniec był zaczepiony do haka prymitywnego kręcidła, obracanego powolnym ruchem przez małego Żydka o delikatnej twarzy i pejsach, zwieszających mu się wzdłuż uszu i spod małej jarzmulki. To koło powroźnicze obracane rączką dziecka wydawało mi się jedynym sensem, środkiem spraw wszystkich, nie mających ani początku ani końca, logicznych jedynie tym, że są dalej lub bliżej, że są koncentryczne do osi ubogiego koła powroźniczego, nasmarowanego dziegiem i obracanego rączką dziecka.

Ojciec obruszył się z zamyślenia i zapytał mnie:

— No, a jak tam ci u tych Zmartwychwstańców?

I nie czekając na odpowiedź pytał:

— A wiesz ty, kto ufundował ten zakład?

— Wiem, pewnie — powiedziałem — to ksiądz Hieronim Kajsiewicz i ksiądz Semeńko.

— Hm, — no dobrze.

A potem dodał: no, Mickiewicz także, jakby nie było... Potem ojciec umilkł i jechaliśmy w milczeniu. Nigdy wiele z ojcem nie rozmawialiśmy.

W przedziale było bardzo gorąco i jaskrawo od palących się gazowych lamp i ciasno od tłumu jadących. Ale nie mogłem zasnąć i patrzyłem na jadących współpasażerów, trochę inteligentów, baby z koszami i szwargocący Żydzi. Za szybą była czarna noc, migająca w szybkim biegu pociągu i odbijały się w niej światła wagonu i jego wnętrze.

Ojciec siedział nic nie mówiąc, z przymkniętymi oczami i wydawało się, że śpi-nieśpi. Potem pochylił się ku mnie i położył mi głowę na kolanach i wydawało się, że zasnął. Coś mi ścisnęło gardło od tego, że ojciec złożył swą głowę na moich kolanach, widziałem jego siwiejące włosy i żyły na skroniach. Było mi trochę wstrętnie od tego i niezwykajnie, powtarzam, nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń. Ale byłem bardzo zmęczony i odurzony podróżą.

Nawet nie wiem, kiedy stanęliśmy na stacji przeznaczenia.

Było już bardzo późno w nocy, a przed nami mieliśmy jeszcze długą drogę końmi.

Pod zajazdem stacji czekały sanie i chłop w baraniej czapie i kożuchu z sękatym biczyskiem i jeszcze ktoś przysiadł się do nas, na tę podróż. Na dworze było czarno od nieba i białe od śniegu. Włożono na mnie jakieś płaszcze z dorosłych osób, kilka takich płaszczy i bund, ojciec wciągnął na siebie olbrzymią szubę baranią, wyglądał w niej jak góra. Zagrzebano mnie w nogach siedzenia w słomę i przykryto po czubek nosa.

Sanie zasunęły zaraz po śniegu i ruszyliśmy. Naprzód jechało się od stacji gościńcem, białym teraz od śniegu w stronę miasteczka, słupy telegraficzne i ogrodzenia ogrodów niknące w nocy. Potem krótko miasteczko, z bardzo skąpymi światełkami o tak późnej nocy, potem przejeżdżało się koło młyna nad zamrożonym stawem i droga była gminna i krzywa. Było potężne zimno, mróz, ale cicho i jedynie od pędu sań w kłusie zawiewało tym mrozem po policzkach i kłuło w nosie. Ciekawie wyglądałem spod mego przykrycia, już bardzo wytrzeźwiałem ze snu. Konie szły kłusika, nie poznawałem ich, były gniade i włochate i nieznajome. Śmierdziało od nich końską stajnią. Jak z tyłu patrzeć na nie, to zabawnie, tylko zady i iksy nóg szybko odrywających się od ziemi i wyżej widać strzygące uszy i parskanie. Małe grudki śniegu odrywały się od podrywanych kopyt i migały w tył i głuchy tupot po śniegowej warstwie jakby biegły w filcowych pantoflach i jedynie czasem lejcowy wałach, zaczepiając kopyta tylnych nóg, krzesał iskrę i dźwięczała sucho podkowa. Czasem sanie szły w zatokę, kiedy wyslizgany łód pod śniegiem nie dawał oparcia bosym saniom i raz lub dwa szły całkiem w poprzek drogi i wtedy woźnica zdzielał je batem po grzbietach i kłął: „A szczob tebe...” i zmuszał do wyprostowania sztywnego dyszla. Słoma, w której mnie zagrzebano, kłuła mnie w uszy.

Jak patrzeć było w noc, to nic nie było widać. W górze niebo, które było czarne i granatowe i mogło być bardzo wysoko albo tak nisko, że jak wyciągnąć rękę, to można było dotknąć jego niskiego pułapu. A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nic dalej. Czasem czernił się mijany krzak głogu, kolczasty i nagi. Czasem mijało się figurę kamienną, krzyż pobielony wapnem, tak bliski temu śniegowi, że prawie go nie było widać, a coś dopiero mówić o wyrzeźbionych w kamieniu szczegółach. A ja sobie uprzytomniałem tam widziane za innych dni, kalwarię, bardzo niezdarnie w kamieniu wyrobioną, kiedy Chrystus skłania głowę w koronie cierniowej na ramię i głowa Jego i stojących na tym samym poziomie Marii i Jana Apostoła są nieproporcjo-

nalnie duże w stosunku do tułowia i zeschnięte kwiaty adoracji z czasu lata i pracowity i koszlawy napis, wydłubany w piaskowcu: Христа Господа Мука Съвята.

Nie było drzew, nie było ich w tych bezdrzewnych stronach. Od Zborowa przez Cecowę, Glinnę, Płauczę Małą, Płauczę Wielką, Taurów, Kozowę, Końskie, Popławy kraj leżał płaski jak tarcza, pod łukiem nieba, otwarty i pusty, leżał polem, jednym oddechem jak ręką zatoczyć, jak okiem zamieść. Czasem urywał się urwiskiem jaru, w którym przeciekała rzeka, która wymyła go tysiące lat przedtem i płynęła teraz kapryśnie wybranym łożyskiem, ażeby z następną powodzią przenieść się w inne i zarósć szuwarem i tatarakiem. U urwisk jarów czepiały się wsie, jak zbiegłe do wody stadko gęsi. Chowały się w gajach konopnych i sterczały nad nimi kopuły cerkiewne i grusze o osiczynowych liściach.

Ale były to bardzo bezdrzewne okolice. Chaty lepione były ze słomianych okłotów i gliny, stodoły, wyplatano im ściany z chrustu i w miast ogrodzeń i płotów sypano wały, na których sadził się krzak kolczasty, dzikiej róży, głogu i jeżyny. Drzew nie było i budulec woziło się wozami z odległych powiatów i ceniono go na wagę złota, a w piecach palono słomianymi powrósłami. Na całą okolicę słynne dlatego były świerki przed domem mego dziadka. Dziadek zasadził je, jeszcze kiedy się tu zakładał i dom stawiał i z tych małych świerkowych choinek po latach wyrosły czarne, samotne, widne z daleka na horyzoncie piramidy świerków, które czarne i żałobne w gorące lato, szarpane wiatrem jesiennym jak chorągwie, stały czarną piłą pośrodku pól, na straży, urągowsko i pohybel zlistej pustce tego kraju.

Po jakimś czasie zgubiliśmy drogę. Furman wstrzymał konie: „Hooou!” i zeszedłszy z sani podszedł ku przodowi i zasłonił go konie, rozbiegany poprzednio dzwonek, zaczepiony u końca dyszla zajęczał raz i drugi samotnie i krystalicznie w ciemności nocy. Ojciec pochylił się z siedzenia i poszukał dłonią w rękawicze po śniegu i powiedział: „Skiby”. Potem furman ujął konie za wodze przy pysku i zaczęliśmy nawracać, ujechaliśmy stępa kilkadziesiąt kroków i znów zawrócił sanie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Było tak czarno, że dalej jak dziesięć kroków nie było widać.

Ojciec kazał mi wygrzebać się i biec koło sań. Śnieżku było niedużo tutaj, tyle że przykrywał skiby i potykałem się i było mi zimno, ale ojciec oglądał się na mnie i wołał: ruszaj się! Nagle zaczął kląć parobka od materi, ale tamten nic tylko prowadził konie przy pysku. Zaczęliśmy teraz podchodzić pod jakąś

górze i dziwnie mi było z tą górą, bo były to strony bardzo, zupełnie płaskie i skąd znowu góra?

Dopiero jak ojciec w swej długiej baraniej szubie zaplątał się w jej poły i upadł w śnieg, przestraszyłem się. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę: zabłądziliśmy. Dotychczas nic, a teraz jak widziałem, że ojciec, taki wielki, olbrzymi w swej szubie, że uosobienie siły i upada w śnieg, to było zbyt wstrząsające. Zacząłem trząść się z dygotu i zimna, które dopiero teraz poczułem.

Wtedy także zaszedł jeden incydent, którego nigdy nie mogłem zrozumieć. Usłyszeliśmy w odległości, w dole, głos jakiś i jak było wyteńczyć wzrok, to można było dalej, w ciemnościach zobaczyć coś, plamę ciemną, która zdaje się była inną parą sani i widać tam było jakiegoś człowieka, postać chłopą, który w naszą stronę coś krzyczał i gestykulował. Byłem zmęczony, śpiący i nie mogłem ani tego zrozumieć, ani pojąć. Mogłoby to być coś w rodzaju tym, że inny człowiek zabłądził po nocy, albo też mógł to być ktoś, kto nas naprowadzał na dobrą drogę i objaśnił. Czegoś innego trudno było dopatrywać się w tym, a jednak wydawało mi się, że ten człowiek w nocy złorzeczył nam i wygrażał, ale co mogło być tego powodem, tego wygrażania i złości do zbłąkanych podróżnych, tego nie mogę pojąć. Może to urodziło się jedynie w wyobraźni niewyspanego i zmęczonego mózgu.

Potem byłem już tak zmęczony, że nie wiem dokładnie, co się działo i jak wybrnęliśmy. Przypominam tylko sobie, jak sanie ślizgały się w poprzek skib i miedz albo tarły po oziminach, lekko przysypanych śniegiem, konie zapadające w rowy, po brzuchy w śnieg, jak gramoliliśmy się do sani i jak w końcu o późnej nocy zaczerniały gałęzie świerków, przydmuchanych śniegiem i psy ujadające przed domem.

W domu było napalone i nieznosne gorąco i jacyś krewni i ludzie i jaskrawo od światła i zaraz zapakowano mnie do łóżka, miałem trochę gorączki od tej jazdy i było przyjemnie od tej gorączki i od ciepła, głowa uciekła mi gdzieś w dół i nie wiedząc kiedy zasnąłem zmorzony.

A rano, zanim obudzono mnie i zanim ubrałem się, to wszystko zbliżało się ku końcowi. Nawet czarna trumna stała już na zewnątrz domu, na ławie, przed czarnymi świerkami, oddzielającymi dom od drogi i przed nią stał pop w wielkiej czarnej kapie, narzuconej na komżę, opinającej się na futrze, czytał z modlitewnika o złoconych brzegach i sięgał kropidłem do miedzianego naczynia, *kropylnicy*, trzymanego przez diaka. Na schodach domu, w przejściu, w bramie i na drodze czernił się tłum, chłopci w kożuchach i baby w chustkach otulających im głowy. W samej bramie

stał dziadyga oburącz trzymający drzewce wysokiej chorągwi, czarnej i oszytej, obrzeżonej srebrną frędzlą i na czarnym tle naszyty był znak trupiej głowy i skrzyżowane piszczele, jakie znałem z książek o piratach i co tam nazywało się „Jolly Roger” i tam przywodziło na myśl awanturę i przygodę, a tutaj chorąg-wisko przyniesione z kąta zakrystii cerkiewnej łopotało się na wietrze, kiedy odnoszono trumnę na cmentarz.

Cmentarz był prawie o płot, pogarbiony chłopskimi mogiłami pod śniegiem. Chłopi stali już tam także tłumkiem, mali chłopcy ześlizgiwali się z tych pagórków, gdzie spychali jeden drugiego, ażeby lepiej widzieć. Czarna ziemia, wyrzucona przez łopatę grabarza, mieszała się ze śniegiem. Pop zaciągnął: „Hospooody pomyyyyłuj...” i wrony zerwały się z drzew akacjowych koło cerkwi. Niebo było białe jak mleko i ciemniało, schodząc ku horyzontowi nad ośnieżonymi strzechami chat.

Potem wracaliśmy drogą do domu i była jakaś ulga, po tym zimowym dniu.

W domu przede wszystkimi podano na tacy wódkę. Naprzód ktoś odkorkował butelkę ze srebrną główką i porozlewał wódkę do kieliszków, których było tak dużo, że niektóre były innego kalibru, i trochę wódki się porozlewało. Na półmisku była także nakrajana kiełbasa i widelce i każdy jak chciał, tak brał na widelec.

— Dlaczego styczeń się tak nazywa? — pytał tłustej żony pocztmistrza pan Fałdziński, geometra z Taurowa. Pan Fałdziński miał brodę i filuterne czarne i kaprawe oczka i wydłubywał zapałką kawałeczki mięska z tej kiełbasy spomiędzy popsutych zębów i filuternie patrzył na biust pocztmistrzowej.

— „... a bo w styczniu wilki się stykają, aha!”

Było gwarno i ciasno od ludzi, w piecach okropnie napalone, ale było to po tamtej ponurej chwili bardzo przytulne i wesołe i chociaż byłem taki niedorostek, sam między tymi wszystkimi głośno gadającymi, to kręciłem się, unikając widoku ojca.

— Ho-ho-ho, ho-ho-ho! — grubym basem śmiał się ksiądz Czoła, pop, który po zdjęciu aparatów cerkiewnych był dalej duży i tęg, nawet bez futra, ale w swej wyświeconej na brzuchu sutannie, z czerwoną twarzą i roześmianą gębą był taki inny i ludzki.

— To się nazywało bardzo elegancko „pudretta”, a to nie było nic innego tylko mielone, suszone gówno. Jak raz mieliśmy to w worku i deszcz trochę przykropił. Iwan przyszedł i sięgnął ręką w worek i powiada do mnie: „Ktoś nasrał do worka — panie rządco”.

— Co panie, Szynda? Taż panie, jakbym, panie, tego waszego Szynde, panie, jakbym wziął go za nogi i tłukł mu głowę w podłogę, to by waszemu Szyndzie, panie, szóstka z portek nie wyleciała, panie, co pan, panie...

— ...to jemu już chałupa śmierdzi, a mnie nie śmierdzi, to nie daj Boże z Iwana pana...

— Radziłabym pani tylko do Czarnomskiego. Inni jeżdżą po doktorach albo do Lubienia, albo Buska, majątki tracą. Co się stało ze Stasiem Jaworowskich. Nie mogli mu poradzić i nie mogli, co się najeździli, do kliniki do Krakowa i do Wiednia jeździli. A Czarnomski przepisał mu tylko nacierania i dietę i żeby leżał w ogrodzie i patrzył na zielone, moja pani...

Mój wuj znizonym głosem mówił do Stahrembergowej z Wielkiej Płuczy: „Te kraty trzymałem za oborą i ile razy matka je tam widzi, to zmiłujcie się, gryzie mnie, że ich nie postawiłem. A u Lenartowicza je zamówiłem w Zborowie, pięć lat temu. A teraz się postawi, podmuruje się i krzyż postawię...”

„*Swynia lubyt' bołoto*”, nie udał się dowcip księdzu Czmole, kiedy nakładłszy gotowanej wędzonki, mieszał kapustę i kartofle na talerzu.

Powietrze było gęste od tytoniu, gorąca, zapachu potraw. Na rzeźbionym zegarze u szczytu otworzyły się drzwiczki i drewniany ptaszek wyskoczył i w gwarze można było domyślić się tylko, że wykukał pierwszą. Za szybami zielonymi widać było śnieg.

Jak jedyna jest w swoim rodzaju — zima. Jedyne i niesamowite, kiedy po rudej, fioletowej, rdzawej, sepiowej i ugrowej, rudej jesieni przyjdzie jednego dnia śnieg. Kiedyś, pamiętam, kiedy byłem w szkole podchorążych, w sieni przed wejściem do koszar czyściliśmy rano po ćwiczeniach buty z błota, właściwie inni czyścili, bo ja byłem służbowym. To było akuratnie pierwszego grudnia. Na dworze było czarno od błota, zimna i jesieni. I czerwone, ceglane mury koszar, i czarny asfalt posadzek, i smród koszarowy, i udręka, i przymus, i fałszywy romantyzm służby wojskowej. Nadszedł dowódca baterii i zdenerwowany, ze ściśniętym sercem zameldowałem mu się, jak było przepisane. Kapitan, sztywny Prusak, w pozapinanym na guziki ciężkim płaszczu i z monoklem w oku i zaciętymi, oślinionymi wargami, zimno i sztywno usiłował nawiązać rozmowę i było chłodno i dreszczowo w tym zimnym dniu. I wtedy w otwartych na ścierzaj drzwiach wychodzących na nijakie koszarowe podwórze, na tle pustki tego podwórza i cynobrowym tle ceglanym innych budynków zawirowały pierwsze tej zimy płatki śniegu. I jak zakręciło się od nich w powietrzu i jak na tle jasnego, mlecznego nieba

zakręciły się płatkami sadzy, a na tle ciemnym podwórza i błotnistego placu ćwiczeń zatrzepotały się pyłem, pudrem, pierzem białym, to zrobiło się jak zwiastowanie i posłanie skądś, gdzie nam sprzyjają, gdzie uważają nas i myślą o nas i wiedzą, że najgorsze z tego, co ma się tutaj do przeżycia, to beznadziejność tych samych rzeczy i mądrze i przychylnie i kojąco i zamaszyście w tym, z taką fantazją sypnięto nam karnawałowego confetti. Jak inaczej wydało się teraz wszystko, jak obiecująco i wesoło.

Prymus i lizus baterijny wyprężył się służbowo i że to było akurat pierwszego grudnia, zameldował służbiście dowódcy:

— Zima zaczęła się regulaminowo — Panie Kapitanie. — Tak jest!

Stałem z boku w swym ciężkim płaszczu, pozapinany w pasie i z podpinką pod brodą i było mi ogromnie dobrze i otucha od tego śniegu.

A potem to już wiecie jak to jest z tym śniegiem. Bywa, że pada kapryśnie i z namysłem, obietnicą zamiecie po szybach i zamieni się w kupy drobnego gradu i rozleje w deszcz. Albo skleją się płaty duże i mokre i zimnym pocałunkiem siadają nam na kołnierzach płaszczów, na mokrych płytach chodników, na oślizłych od jesieni parkanach i gontach, na korze drzew, na grudzie drogi, na powiędłych resztkach grzęd ogrodowych, na sinych i pordzewiałych dachach domów. Albo przychodzi raz tak, że zaczyna padać i padać uporczywie, nieskończenie i jak się przytula twarz do zimnej szyby, to widać nic tylko kurzawę i rojowisko płatków, kapryśnych, kręcących się tam, tu, ówdzie, traci się poczucie, czy lecą one z nieba na ziemię, czy z dołu do góry, traci się wrażenie przestrzeni, czy ja jestem tu? czy ja jestem tam? gdzie te dalsze? mijają się, jedne białe, drugie czarne, zarysy przedmiotów, drzew, domów, zacierają się, zamglają, ludzie za nimi przemykają się ulicą jak konspiratorzy, ale nie umkną temu, bo naznacza i piętnuje ich i siada im na ramionach i garbach, zarzuca ich płaszczem i delią komicznej godności, zawisa im roztopioną kroplą u nosa, rozcwieżdza im się na rzęsach, umacza im wąsy w niesłodkich lodach śniegowych i zdziwionym, kiedy znajdują się w domu ukazuje na rękawie topniejącą gwiazdę kalejdoskopową, a każda inna i przemysłnie skrzystalizowana i niedościgła w swej nietrwałości topniejącej.

Niech ten liryczny panegiryk dla pierwszego śniegu nie będzie mi poczytany za słabość, na jaką zawsze sprowadzi nas solipsyzm, narcyzm, kompleks samolubny, objawiający się ile razy tylko odwrócimy się w siebie samych, kiedy wydaje się, że najbłahszy nawet temat, ale dotyczący naszego wewnętrznego wrażenia, będzie ważny i cenny. Wyciągam rękę i gładzę szybę, matową

od mego oddechu i przez szpary między palcami przesypuję ten śnieg sypiący za oknem, siejący się z klepsydry, którą odwraca i dla mnie i dla innych niewidzialna dłoń. Zapatrzeni ze wszystkich okien, podwórzy i placówek na których postawił nas los, odszukujemy się wszyscy w jej urzekającym ruchu. Patrząc w oczywisty, monotonny, nieciekawý, banalny świat śniegu, spadającego w płatkach czaru, urzeczony i wstrząśnięty. Kładzie się od niego cisza i opatula nas, narzuca się oczywiste porównanie z watą. Wyjdźmy na próg i głosy u sąsiadów, szczekanie psa na końcu ulicy i świst lokomotywy na końcu miasta, oszpułone są już i odizolowane puszystą błoną znanej nowości. Jak się wciągnie powietrze, to dla czegoś każe nam myśleć o tym, że ma inny zapach, dziczyzny, kiedy myśli się teraz o uroczysku, wydmuchowisku i pustej miedzy i skraju lasu i opuszczonym wygonie i zapomnianej kępie wśród nieużytków. Napędza nam ten zapach myśli nowe i zdziwione samymi sobą, jak w rauszu, kiedy wypije się szybko, raz po raz dwa kieliszki wódki.

Zadumani i zabawieni schodzimy po stopniach, a tu śniegu tylko na cał zaledwie, ale już pozostają ślady naszych stóp, ostro i dokumentalnie odbitych i odtworzonych i patrzymy w nie zaskoczeni i zaalarmowani jak Robinson Cruzoe na widok stóp ludzkich, odcisniętych na piasku wybrzeża.

Goście się rozjechali i my także ruszamy. Widać przez gołe krzaki, że tam już zaprzęgli gniadą parę do sani, nic to, że garść słomy na nich, czy grochowin.

Konie niechętnie i puszyste od zimowego włosa ruszają noga za nogą i płozy sań czasem zachrobocą i zasuną po przysypanej śniegiem, zmarzłej, folwarcznej grudzie.

Oboje wujostwo są z nami. „Jak będziecie mieli szczęście, no jak zajedziecie dobrze i nie spłoszy się, to będziesz miał lisa — Panie Dziu”.

To „panie Dziu”, to ma być skrót od panie dobrodzieju i wuj tak sobie pokpiwająco robi z siebie hreczkosieja i na staropolsko, bo w innych rzeczach zaprzecza temu, ale po domowemu to lubi sobie pokpiwać i dlatego nawet, jak jest w humorze, to mówi do żony przez „duszko”. To także ma zajeżdżać dobroduszną staropolszczyzną.

W ogóle są jacyś inni i niecodzienni w czasie tej stypy i aż mi śmiesznie. Dzisiaj nawet, przedtem, to ich złapałem w kredensowym pokoju, gdzie smakołyki ze stypy stoją zimne i porozkładane na półmiskach i we dwoje tam sobie coś ukrawywali i zjadali milczkiem i było to niesamowite i niecodzienne, bo normalnie nie przywiązywali wagi do podniebiennych rzeczy, a teraz w czasie stypy to pilnowali raczej gości ażeby jedli,

toteż ta ich milcząca komitywa nad półmiskami, w samotności, wydawała mi się i zabawna i tak jakbym przylapał ich, niechący świadek jakiejś poufałości małżeńskiej.

I wtedy także przyszedł ktoś z folwarku, był to może rzadca albo może polowy albo któraś z dziewczek i powiedzieli o tym lisie. Zadziwiająca była ta droga wiadomości dochodzących do domu. Wydawało się, że w ciągu naszych rozmów lub milczenia dom rezonuje powiedzeniami, wiadomościami, uwagami, które wypowiadane są w odległości pięciu kilometrów, że jeżeli coś się stało „na Popławach”, albo przy kojach zboża, albo jak załadowywali buraki w Zborowie do lor na bocznicach, albo na plebanii ruskiej coś się mówiło, to te wieści przylatują z wiatrem i uderzają o membranę gontowego dachu lub odbijają się od pudeł powozów w wozowni albo odbrzęczają się od miedzianych kotłów gorzelnii, albo wyją w centryfudze, albo dyszą w miechach kuźni i w ten sposób zmieszane z potocznymi rozmowami dobiegają te wieści i posłania do naszej świadomości.

Przyszedł ktoś i powiedział, że lis wyszedł z parów i myszkuje teraz za myszami koło stert, za „Czarnem”. Stały tam i ciężkie i czarne pod dachami ze śniegu, na wyniosłym garbie od zachodu. Wśród pól, zaoranych lub zabronowanych pod oziminę, za niwami i miedzami długich poletek chłopskich, za wielkimi kwadratowymi akrami dworskich pól. Śnieg na polach leżał nierówno, skiby czerniły się długimi pasami, śnieżek leżał w ich załamaniach, a dalej i biało i mroźnie i pomimo białego i pogodnego dnia jakby mgła, nie, mgiełka i daleko ściana horyzontu.

Ruszyliśmy, ja wyczekując swej nagrody, wyobrażając sobie jak na tym pustkowiu, koło stert, lis myszkuje, jedyne słowo, kiedy wyobrazić sobie, jak z nosem przy ziemi między tymi stertami pobiega, wlokąc za sobą kitę. Ślady tam tylko ptaszków małych, które tam kręcą się o niewiadomej porze, bo teraz o nich głucho, ślady ich łapek, jak odbicia małych gałązek w śniegu i łuska wyplewionego ziarna i żdźbła słomy i ani śladu człowieka, tak tam dziko i dziewiczo.

Ale to sobie na razie wyobrażam, a teraz jedziemy, konie idą kłusikiem, sanie suną z sykiem, droga jest dosyć wyslizgana i śnieg na niej w lód od tego wypolerowany i poślizgł tam, gdzie mocz koński i nawóz go poplamiał i leżą na niej olodowaciałe żdźbła słomy, a na głogach przydrożnych łopotają o ich nagie gałęzie gawrony, niezdecydowane jeszcze, w którą stronę zabrać się na kolację.

Kultura nr 2/3, 1951.

Z A B A W A W „Z I E L O N E”

Pośród łąki, traw, burzanów, założyć ręce pod brodę i patrzeć
po zielonym świecie;
takie oderwanie się od innych rzeczy — aż wstyd.
Co za ucieczka od spraw innej skali!
Trzeba się trochę przymusić i rozluźnić wszystkie muskuły myśli;
nie mówić sobie, że inne sprawy są nieważne, nie artykułować
tego, broń Boże!
nawet pogodzić się z tym, że to ciśnienie głupiego obowiązku
dla innych spraw zostaje ze mną, niepokój,
bo wtedy może bardziej apercepuje się to, co jest tutaj;
taki drażniący faktor i zaciśnięty pasek.

.....

Po łące popatrzeć na ukos, pod światło, przez zmrużone powieki.
Mieć całą świadomość tego, że ze wszystkich stron,
naokoło, na pewno, równiutko, zielono
roztacza się łąka jak tarcza.
Zatrzymać cykający motorek myśli, wstrzymać oddech.
Nic to nie szkodzi, że miesza się niepokój,
że zazielenię sobie nowe jasne spodnie na kolanach.
Nie dać się temu, że może nie tu, ale pięć kroków dalej
będzie lepiej i stosowniej.
Łąka jest taka i tu jak i tam.

.....

Pomyśleć, ale innym zestawem myśli,
że nie ma tu ani początku ani końca.
Jak mi coś podsunie temat, że tego tu nie było,

że erozja wyłusła sąsiednie wzgórze,
ich garby teraz rude od gliny,
na korzyść, na benefis tej łąki, to puścić to mimo uszu.
Jak przyjdzie inna oczywistość, z doświadczeń z przeszłości,
że o swoim czasie przyjdzie kosiarz
i położy tę łąkę na płask
i zostanie z niej tylko pożółkła szczecina
i świadectwo jej dadzą spopielane kretowiska,
to nie poświęcać temu uwagi.

.....

Nie bać się tego, pozwolić sobie na to, przymusić się, kiedy
potrzeba, odważyć się,
eksperyment, który mi się opłaci.

.....

Popatrzyć skosem, pozuć kolanko żdźbła urwanej trawy.
Broń Boże nie wpadać w botanikę.
Co mi tam, że to się będzie nazywać dmuchawcem,
a chłopci powiedzą na to, niańka chłopka nazwie to „babką”,
że tamto to jest tymotka, a to mietlica,
a leżą płąściutko liście dzikiego szpinaku,
że chrzan jest nie do wytępienia, koński chrzan,
którego korzenie wiercą się do środka ziemi.
Cóż mi z tego, że jakieś tam baldaszki, nasienniki, załączki, słupki
i pręciki.

Nie myśleć o koniczyźnie jako o koniczyźnie,
ani o tym, że ma ona pewne właściwości, że dzięki specjalnym
bakteriom żyjącym u jej korzeni,
jak to u grochów, fasoli i wszelkich motylkowatych i łubinów,
właściwości ściągania azotu z powietrza,
a więc cudowny, zielony nawóz.
Co mi tam azot,
powiedzieli, że jest składnikiem powietrza;
widział kto kiedy azot?

.....

No to jak w końcu?
Wypolerować sobie myśl jak srebrne zwierciadło,
tak szkliste i czyste, że nie doszuka się skazy,
że nie będzie prawie nic w tej gładkości i lustrowatości.

Teraz wystarczy chuchnięcie lekkie,
cieniutki chuch człowieka w letargu,
ażeby skontrolować, zauważyć, spostrzec, uchwycić to co jest.
Wystarczy, ażeby zagubiona rzęsa z powieki upadła na tę
powierzchnię nicości,
krzywym łuczkiem, cienkim przecinkiem,
ażeby naokoło tego odbudować świat.

.....

Nie bać się tego, pozwolić sobie na to, przymusić się, kiedy
potrzeba, odważyć się,
eksperyment, który mi się opłaci.

.....

Więc kiedy leżę pośród traw
i nic to, że szaleję koło mnie, bodiaki, że srebrzysty piołun,
jaskry jak płomyki, macierzanka, powój,
a powój kręci się,
dziki owies jest jak włóczęga, wesoły i zadzierzysty,
dziki mak i rosziczka,
a przy wodzie,
gdzie mokre kaczeńce, solidnie żółte i tłuste kaczeńce,
(proszę zauważyć, że używam całej nomenklatury, ale to
nieodpowiedzialnie)
kiedy leżę i słucham, jak grzmi bąk o pluszowym, prążkowanym
odwłoku,
jak leci pszczoła,
kiedy podparuję po odwrotnej stronie liści
mszyce lepiące się cierpliwie do ich zieleni,
to jestem jak w innym kraju.
Moje zwykłe życie zatrzymało się u skraja tej zieleni
i słyszę jego oddech jak szept miechów,
jak ciurkot wody w kaloryferze za ścianą.

.....

Dzień jest gorący i bezchmurny
i nie wiadomo skąd
zanosło paru kroplami deszczu,
ale to tak, ażeby zrobić tylko wrażenie niesamowitości.

.....

Żuję żdźbło trawy i mam niesamowitą pewność siebie.
Coś się odetkało we mnie,
przedtem to było jak wyczekiwanie, a teraz problem jest
rozwiązany.
(Znacie niesamowitą, niepokojącą pewność siebie nabitej butelki
szampa, latami zasnuwanej w gorset pozłacany i w uprząży z drutu,
i przychodzi chwila
i następuje otwarcie,
i stoi szampańska butelka,
dymi się z jej spokojnego teraz wnętrza jak z wulkanu,
i jest spokój osiągnięcia).
Teraz wydaje się wszystko zrozumiałe, otwarte,
nie ma potencjalnej pretensji wyczekiwania,
problem jest otwarty i podany.

.....

Żuję żdźbło trawy,
podpatrzyłem sobie łąkę pod wskos,
jestem bardzo pewny siebie.
Kiedy materia naokoło mnie wlała się w tysiące, w miliardy form,
kiedy odmienia się od czasów jakie tylko pamiętam, jak odmieniec,
jak kameleon,
cała ta morfologia;
jedne powtarzają się monotonicznie aż do znudzenia,
inne mutują się nagłymi skokami,
to wydaje mi się że ma to być rodzaj szyfru, szarady na mój
użytek,
kod niesamowity, który mam odczytać.
Czasem wydaje mi się, że możliwości tego objawienia są bardzo
ograniczone,
jakże prostackie i takie same i jakże niewyrafinowane,
innym razem jest to wokoło mnie skomplikowane do
niemożliwości.

.....

Naturalnie że reaguję na to tak, jak materiał ten na to zasługuje.
Raz dostaję z zaciekłości poszukiwawczej aż gorączki,
innym razem jestem doskonale obojętny.
Dzieje się to — no to się dzieje — mam zmartwienie?

.....

Który stan jest ważniejszy?
Posuwam się od jednego do drugiego.
Pewnie oba są ważne.
Pewnie z obydwu mam tę samą ludzką pociechę.

.....

Obracam się po moim życiu,
podróżnik wśród oceanu prostracji
i rozbitek na wyspach złudzeń,
jak Ulisses swojego autoramentu.
Najadłem się kwiatów lotosu po dziurki w nosie,
ażebym był wyrzygany przez Scyllę wzburzeń innych okresów;
żałem z tego samego koryta ze świniami Kirke
i podpatrywałem u kąpieli towarzyszek Nauzykai.
Niepokoiliem się nonsensem i prolongatą końca mej podróży;
upodobałem sobie w tym nonsensem także
i upatrzyłem sobie nekrofilską przyjemność
w kontemplacji tego końca.

IV

S Z P I C A

Droga jest jak dom. Mijane słupy telegraficzne, czarne od impregnującego je teru, mają zadziory i są od nich włochate i z drogą, z perspektywą maleją i zacierają się w jedną palisadę. Kiedy przejeżdżać koło każdego z nich, to drży i brzęczy raz wyżej, raz niżej, ale zawsze C jakby były troskliwie nastrojone. Droga od lat jest zaniedbana i wyboista i porozlewała się, rozmieszona obręczami kół, rozlała się do rowów, a rowy zarastają łopuchy i trawa jak skamieliny, szare od kurzu drogowego. Ścieżeczka wydeptana przez pieszych biegnie po jej bankiecie i w kurzu tej ścieżeczki widać dokładnie wyciśnięte bose stopy ludzkie. Droga raz podnosi się, raz opada łagodnie ku zlewowi, którym leniwie cieknie sobie jakaś woda, i tam także zawsze będzie most, z okrągłaków betonowych przepuszczony, ponad tą wodą i ogrodzą ją w tym miejscu niskie bariery z grubych belek, które także są czarne i wyjedzone przez czas. Droga jest jak dom.

Bo choć jedziemy nią i przemija się z nami, to ciągle jednakowa i taka sama, takie samo brzęczenie słupów, jakby się było roztarasowanym w jednym miejscu, takie same wierzby ustawicznie się powtarzają, wierzby zawsze tam, gdzie ten spadek wody, jak głównie powtykane w jej boki, palące się swym płomieniem oliwkowo-zielonym liści i prętów.

Po obu stronach są pola i mimo że dobrze oczy wytrzeszczam w prawo i w lewo, patrzę po tych polach i niedalekim horyzoncie, bo od tego może moje życie zależeć, to jestem jak w domu, mam wspaniałe poczucie pewności, że jestem w domu. Bo to już od lat, miesiocy i tygodni to właściwie mym domem jest droga, zwęza się przede mną, ucieka poza mną, droga, jakże mi znajome są du-du, du-du kopyt konia po drodze, doły

wyjedzone przez koła, stary szuter zarosły trawą w miejscach, gdzie kiedyś były przemy.

Mijana czasami kalwaria z pobielonego wapnem kamienia albo dom na pustkowiu, albo drzewo przybiegłe tu miedzą, są czymś bardziej w ruchu, są jak gest, jak sygnał, przestroga, są dziwne i obcokrajowe w porównaniu ze statecznością, spokojem, jednakowością drogi. Patrzę po horyzoncie i coś zaczepia moją uwagę, jakiś daleko, daleko pokrzywiony daszek, kapliczka albo kępa drzew, przysiółek albo spadek gdzieś tam i poisko i stoi w nim kilka mizernych krów, i te szczegóły są bardziej ożywione, zmieniają swoje miejsce, przesuwają się leniwie albo, kiedy nie obserwowane, nagle przyskoczą na krótki dystans. A droga? Zawsze taka sama, zawsze jednakowo, uparcie, od zakrętu do zakrętu prosta, ciągle na wschód i na wschód. Gubi się czasem pod kopytami mojego konia, kiedy rozpada się na kawałki u wjazdu do miasteczka. Przeciął ją tor kolejowy, to prawda, na torze stoi na pół spalony wagon pasażerski, z wyrwanych bocznych drzwi syją się podarte pokrycia ławek i pordzewiałe sprężyny siedzeń. Spalona chałupa tam, gdzie był szlaban rogatki miejskiej, potem domy rozbiegają się w prawo i w lewo w uliczkę miściny, ogródki mieszczańskich domów w całą gmatwaninę miejsca, które także nie jest statyczne, bo rusza się w oczach i ćmi jak rozsypane szkło, jak kryształ w roztworze, przyrasta go albo ubywa mu, chce coś znaczyć, oddać się czemuś, choćby to miał być cmentarz albo kirkut żydowski, zaśmieca się drobiazgami nieważnymi i aż mi tęskno do drogi na nowo, i oto już jestem po drugiej stronie i droga wraca ku mnie jak żywy dom, wstępuję na nią kopytami swego konia jak gdybym wstępował w progi domu, na których koń pozostawi swą podkowę na szczęście.

Czasem przejeżdżamy most, most prymitywny, postawiony na spalonych słupach dawnego mostu, palonego przez najeźdźcę, i czarne i usmalone są izbice, pochyło patrzące w stronę nadbiegającej wody, i głucho potyka się koń na świeżych jeszcze poprzecznych dylach mostu, głucho stukają hacele po drzewie i widać wodę pomiędzy szczelinami mostu jak łuszczy się od wiatru i oto drugi koniec mostu.

I znowu droga-dom, znowu popielaty, różowy kurz w słońcu, suche łajno krowie i milowy kamień mówiący o dystansie, jakże nieważnym teraz i nieistotnym, jak gdyby kilometry jakie dzielą mnie od tego co było i co będzie miały się liczyć, jak gdyby miało mi zależeć na tym, jak daleko dom mój jest od miejsc, które przestały być domem, do których jako do domu już nie tęsknię.

Kiedy jechać było po nocy, to pozostawała ona tak zwyczajna jak dzień. Jechać drogą to tak jak poruszać się po znajomym domu. Nawet noc była bardziej sprzyjająca i wjeżdżać w nią było, zaciągnąć się jej zapachem, to jakby porosnąć nową własną skórą. Przez noc stawałem się bogatszy o czarny kożuch, włochaty płaszcz czerni, jakim się okręcałem.

I wtedy to po nocy, wpośród własnego domu-drogi natknąłem się na obcą rzecz, i pierwsze wrażenie było bolesne jak potknięcie się we własnym pokoju i bolesne ucięcie się w goleń.

Zanim jeszcze do tego dojechałem, to zastraszył się koń, prychnął i zrobił wstydlivy krok bokiem, ale zaraz się otrząsnął jakby w jednym mgnieniu oka zrozumiał i pojął i przebaczył temu i nie miał pretensji i jakby wśliznął się w swym spokojnym ściepie z powrotem w naturalny porządek rzeczy. Mineliśmy po drodze czarną zwaliznę leżącą połową w rowie, trupa końskiego.

I zaraz potem zaczęli się znowu przed nami w kurzu drogi i leżały dwa inne. I potem to już ciągle, mijać było i mijać zlepkę czerni, skoncentrowaną ćmę nocną. Z wdzięcznością pomyślałem sobie o swym koniu, uczyć mi się od ciebie, zrozumieć, pojąć tak jak ty to pojmujesz i przebaczasz.

W jednym miejscu leżała para wielkich, ciężkich koni artylerijskich, Meklemburgów czy Clydesdale, i leżały nienaturalnie, po psiemu, na brzuchach. Jeden z nich miał wygięty łukowato kark, ciężki kark i głowę położoną na karku towarzysza od pary, pieszczołliwie i jak to widzieć czasem konie na pastwisku, kiedy kładą swe łby nawzajem na swych karkach i łby, szyje były ich wykręcone i ciężkie, i leżąc tak na brzuchach wydawało się, jakby się pławiły w fali oceanu, jakby wprzęgnięte w monstrualną konchę nocy, i grzywy ich mieszają się i mieniają z pianą, z grzywami bałwanów, ta olbrzymia para dyszlowa, w swym kołysie wpośród płaskiej drogi, jakby zamieniona w kamień i granit pomnikowy rwała się wprzód, ciągną swój rydwan czarnego, wygasłego słońca.

Trudno było przejechać koło tej grupy, komponującej się po nocy w pomnik, w wyrzut, w protest. Gdybyż nie było to aż tak zajadle obstać w swej słuszności, w swej bezwładnej rezygnacji. Gdybyż nie wyciosało się to w ten sposób, czarne wygięte karki, wspięte przednie kopyta, zaschłe od kurzu i potu grzbiety jak z brązu, jak gdyby ktoś ukomponował je żywe w tragiczną grupę, przygnoił je do ziemi, ściągnął munsztuki w pyskach, aż spośród wykręconych patetycznie warg końskich wyszczerzyły zęby jak metop Partenonu, jak konie kwadrygi słońca, wypalonego, czarnego, zetlałego w popiół słońca, wobec którego czarna noc wydała się dniem białym.

Gdybyż nie wyprowadzono ich ze stajni, nie wprzęgnięto w rydwan o rozkraczonych kołach, nie wparto w suche fale oceanu niebieskiego, gdybyż nie kazano spalającemu się słońcu, w strąkach promieni, mickiewiczowskich papilotów spalonych, zwęglonych i stroszących się komiczną koroną naokoło głowy i nie postrzelano im szybko, raz, dwa, trzy w łby, ażeby tę tragikomiczną kompozycję utrwalić w błazeńskim kurczu *rigor mortis*.

Bo w dzień było całkiem inaczej. W biały dzień jechało się drogą i wpoprzek leżało padło końskie, rozdęty brzuch i sztywne nogi, i gazy wysadziły kiskę odbytnicy, muchy zbierały się u warg i powiek. W dzień nie było to „kompozycyjne”, w dzień ścierwo końskie walało się ohydnie pośrodku drogi, cyniczne wyzwanie, beczelne mruganie kaprawego oka losu w kierunku mnie, słodkawy zapach ścierwa, aluzja nekrofilska, baudelairowskie naśmiewanie się do mego wzdraganania,

*Rappelez-vous l'objet que nous vîmes, mon âme,
Ce beau matin d'été si doux:
Les jambes en l'air, comme une femme lubrique.*



Zawsze myślimy o sobie jako o sobie, a zaraz potem jak wyglądamy w oczach innych. Jeżeli mamy trochę oleju w głowie, to żeby nie wiem jak krygować się, to i tak dojdzie nas w końcu słuszne mniemanie, że to nie będzie w oczach innych tak, jak-byśmy sobie sami wymarzyli.

Dzisiaj rano, kiedy jechałem drogą, powoli, powoli, na pogłom stoku po prawej stronie drogi widziałem chłopską chałupę. Niebo od wschodu było jedną czerwoną żagwią i od tej czerwoności wszystko miało różowe obwódki, jakby farba puściła po generalnym praniu wszystkiego. Z chaty wyszedł chłop, w koszuli tylko i portkach, boso i stał pośród nędznego podwórza, włosy miał zmierzwione od snu, to było jeszcze bardzo wcześnie rano, i stojąc w ten sposób tyłem do chaty i do wschodzącego słońca, czochrając się jedną ręką pod pachą brudnej koszuli patrzył w moją stronę. Patrzył w moją stronę i jakby przeze mnie, jak-bym ja miał być tylko pryzmatem, przez który patrzy w rzeczywistość rozszczepioną moim spektroskopicznym pojawieniem się. Wydawało się, że moje pojawienie się pośród tego rana, niespodziewane, miało posłużyć mu, miało raz wreszcie rozwiązać jego problem rozumienia rzeczy. Myślałem sobie, to jest człowiek osobny, a ja jestem tylko środkiem dla rozumienia rzeczy. Ja,

w swoim ruchu z zachodu na wschód, wykreślam jakąś linię, do której będzie sobie mógł wszystko odmierzać i wreszcie raz, nareszcie, w końcu pojąć.

◆

Tak więc jestem jakby w zamkniętym wrzecionie, zwęża się poza mną aerodynamicznie, opływowo, potem rozpucza się w puchliżną obecną chwilę naokoło mnie, jestem otorbiony w tej wrzecionowatej puchliżnie jak węgry w mięsie i przede mną zwęża się wprzód, ostro, w oczekiwane i nieoczekiwane, jak szpic. Zacząłem wtedy tę historię, tak jak wtedy wydała mi się, jakby z nicości, jakbym narodził się z nicości, bez początku, samorodnie, potem rozděło się to w przypadkową, fanatyczną, genialną soczewkę, galaktykę, przez którą skupiłem w sobie wszystkie nadbiegłe promienie, zapulsowało w niej galaretowatą materią wspomnień, tego co jest, co było i co ma być i potem zwęża się i cienieje w ostry stożek, szpic wślizgujący się w przyszłość.

◆

Jestem bardzo niefortunnym wyborem, kiedy powierzono mi jazdę na szpicy. A może bardzo fortunnym. Bo kiedy jadę na przedzie, na samym ostrzu wysuniętego oddziału straży przedniej, to tak wzywam się w swoją rolę, że jestem i sobą i domem, przepraszam, drogą i krajobrazem i szczegółami terenu. Mam taki zapas wyobraźni, że mogę, że potrafię siebie samego widzieć z daleka, jak figurkę z kineskopu, albo jak kurka na dachu. Kiedy patrzę w oczy spotykanych ludzi, to widzę swoje własne odbicie w ich oczach, jak w wypukłych zwierciadłach. Skarykaturowane odbicie, nieprawdziwe i jeżeli im niosę coś, to widzę w ich oczach, jak jest to zniekształcone. I dzieje się to z ich milczącym przyzwoleniem, z ich oczami, żrenicami, tęczęwkami, które podobne i barwne, jednakowe, rodzinne, rzęsy, brwi i białka oczu i zostawione we mnie, pływające po wierzchu mej duszy jak oka na rosole.

Więc jest to bardzo fortunate, bo potrafię wżyć się w otaczający przestwór, odgadnąć myśli, wrażenia tych, których mam napotkać. Wybór mnie jest także niefortunny, bo rozprasza mnie to i tępi moją uwagę, która powinna być aż bezosobowa, zupełnie płaska, to wtedy na jej powierzchni każdy szczegół, każdy znak ma odbić się i krzyczeć w szalonym spaźmie, że stój! że wróg, że co innego.

Zadaniem szpicy, według regulaminu służby polowej, jest wywabić, nabrać, wykiwać palcem wroga. Niech się zdradzi. To

jest najważniejsze, nie dać mu się powstrzymać. Choćbym miał tysiąc oczu, to i tak to nie pomoże, bo on, bo wróg roztopił się w terenie i moim tysiącem oczu go nie wypatrzę, nie wyszukam w polu. Ja mam ściągnąć na siebie ogień. To jest to, od czego tu jestem. Mam na to szeroką pierś, szeroką jak horyzont i tę pierś mam nastawić do niego, na cały widnokrąg, „po winkelriedowsku”. To ja mam na siebie wziąć wszystko, odkryć całą prawdę.

A że zawsze się tego spodziewam, to w krótkie noce wypoczynku, kiedy leżałem pod przygodnym dachem, albo pod niebem, w cieniu nocy, w pogłosie chrupiącym futrowanych koni, kiedy śmierdzi skóra siodła podłożonego pod głowę, to sobie umyśliłem i wyperswadowałem wszystko, przechodziłem ten moment wiele razy w wyobraźni, nauczyłem się tego na pamięć, mówiłem sobie, że kiedy przyjdzie moment, to będzie krótki, że nie czas wtedy będzie ani żałować, ani cieszyć się z wypełnionej chwili, ani zatchnąć się samą chwilą, kiedy jedyna i nieunikniona i nigdy więcej nie powtórzona przyjdzie, że to się stanie tylko raz, tylko raz i bezpowrotnie, że nawet gdybym nie wiem jak myślał, to sama chwila będzie inna i niespodziewana.

I przyjdzie w letnie rano, kiedy cienie jeszcze będą długie, kiedy będzie bardzo spokojnie, i w polu porwie się w górę skowronek i pójdzie wysoko, jeszcze wyżej i jeszcze wyżej i rozćwierka się tam w górze, na szczycie piramidy swego głosu, której za fundament na dole żdźbła trawy, zielone i błękitne od rana. Będzie spokojnie i swojo i cicho, zaskrzypi tylko skóra siodła, cieniutki kurz uniesie się spod kopyt końskich i nagle — to już! to już!

Kultura nr 45/46, 1951.

DO DWU RAZY SZTUKA

Niski budynek kasyna oficerskiego miał kilka sal jadalnych, ubikacje kuchenne i dużą salę kawiarnianą. Posiłki, śniadania, obiady i kolacje i jedzono pośpiesznie, w przerwach pomiędzy zajęciami służbowymi; do stołów usługiwali „czerwoni” Hiszpanie, młodzi ludzie, których przywożono wcześniej do zajęcia ciężarówkami i wieczorem odwożono. Usługiwali oni do stołu wprawnie i dyskretnie i w przerwach pomiędzy daniami stawali pod ścianami, z założonymi na piersiach rękami. Ci niedawni kombatanci, zamienieni teraz w kelnerów, usługujący obcym i niezrozumiałym językiem mówiącym ludziom, mieli w sobie hiszpańską godność ludzi.

A w sali kawiarnianej wieczorem było gwarnie i pełno dymu papierosowego i kiedy nie było już miejsca przy stolikach, stawaliśmy przy kontuarze i każdy sobie smakował to, co sobie niewprawnie wybrał, zamówił, wino białe czy czerwone, czy jakiegoś Courvoisiera czy Cap Corse. Czarne okna wychodziły na drzewa, których się domyślić można było po nocy, i coraz to ktoś nowy wchodził i przeciskał się ode drzwi, a u kasjerki można było dostać papierosy jakie kto chciał.

„To ten blondyn, co widzisz, stoi tam przy barze, za bilar-dem”, mówił mi Staszek Doczyński i zobaczyłem tęgiego młodego kapitana o czerwonej twarzy i blondynowatych włosach, jak pochylony, nieskładną francuszczyznę coś sobie zamawiał; właściwie widziałem tylko jego szerokie plecy. — „Tak ci wsiadł na kobyłę i przyjechał na stanowisko i powiada do niego — do tego majora: 'Co tu się dzieje?', a tamten jakby go nie widział, z takim obłąkanym wzrokiem, do ludzi, do kanonierów — że wszystko stracone, że koniec, że rzucić broń — a ten powiada: 'Co mi ludzi buntujesz', i do kabury, i wyciągnął efena i tak

z konia, na dwa kroki buchnął do niego i zawrócił kobyłę, i dał jej łydkę i wrócił na punkt, a tego wieczora to i tak zdemontowaliśmy działa...”.

Szukałem go wzrokiem i teraz znów go widziałem, miał nos trochę zadarty i śmiał się i do kogoś coś mówił, ale właściwie niewiele w nim widziałem humoru, bo przecież człowiek co zabija drugiego człowieka z odległości dwu kroków pewnie nie ma za dużo humoru w sobie. Ale przyłapałem się na pewnego rodzaju podziwie i ciekawości zobaczenia człowieka, co na zimno zabił drugiego, bo Staszкови Doczyńskiemu chyba można było wierzyć; nie miał za grosz fantazji i nic by nie potrafił zmyślić, nawet głupstwa. A przy tym był szczerze, do teraz jeszcze zszokowany.

Marthe przyniosła nam dwa kieliszki Cap Corse i certowaliśmy się, kto ma zapłacić. Dwie tylko były kelnerki, ta Marthe i jeszcze druga, szkaradna i ordynarna. Marthe była mała, zniszczona, zabiedzona i stroskana, musiała mieć pod czterdziestkę. Kiedyś zwierzała mi się, że ma pięcioletniego synka i męża, który już powołany został *aux drapeaux*, i kiedy w tych pierwszych czasach jakoś podniecony jej ubogą kobiecością smała koperczaki, jak to nasi, była opryskliwa i opryskliwie zaskoczona i ci pierwsi szarmanci mieli nawet dosyć zmyte miny. Ale długo nie mogła wytrzymać pod tym obstrzałem. Raz miałem kilkunastodniowy wyjazd służbowy i gdy wróciłem i zaszedłem do kawiarni, nie poznałem Marthe. Jak zwykle błada, miała wypieki początkującej suchotnicy, ale te niezdrowe rumieńce były grubo zapudrowane, usta ukarminowane, miała zalotny błysk w oczach, ale kiedy przeciskała się wśród komplementów między stolikami, żałośnie wyglądały jej biedne ramiona w czarnej sukience subretki-niesubretki i ledwie mnie poznała, a natknąwszy się na moje zdziwione spojrzenie, jeszcze te ramiona zniecierpliwieniem zgariła, w podświadomości drażnił ją mój zadziwiony krytycyzm.

Znów szukałem wzrokiem tego blondynowatego kapitana, ale go już nie było przy barze, poszedł w stronę stolików.

Myślałem, jak to jest tak, że można zabić człowieka, ni stąd ni zowąd, buch — nie ma...

.....

Raz, kiedy siedzieliśmy w saloniku czy pokoju „do wszystkiego”, na dole, było to około szóstej wieczorem, w przeddzień Wigilii, przyszła pokojówka i powiedziała pani, żeby poszła zobaczyć w kredensie Miśka, głowa go boli, chodzi o proszki czy coś podobnego.

Zawsze w kredensie, koło szóstej, działały się jakieś konszachty.

Albo przychodził rządcą zdawać rachunki z dnia, albo pachciarka, zatroskana Judka, rówieśniczka pani, i ta pachciarka gdy pokreśliła coś ze sprawami pośrednictwa, mogła dostać nawet kilka autentycznych szturchańców, sam to widziałem i bardzo tym byłem zmieszany, widokiem jak jedna dorosła kobieta daje kuksańce między chude łopatki drugiej dorosłej kobiecie, a obie przecież były takie same, miały nawet dzieci w tym samym wieku. Albo ogrodnik wrócił z targu z niesprzedaną brukselką, miał jej całą garę, nie poszło, no i zmartwienie. Dójka obracała w korytarzu centryfugę i wirówka wyła ponuro, niskim głosem i zjawiał się tam zawsze kot, niepomny na straszliwe niebezpieczeństwo ze strony zjadłych jamników. A za oknami była wczesna, zimowa noc, i wszystko było już w cieniu i niewyraźne.

Że Miśko tam już był, poznać było z konszachców, w końcu przyszła pokojówka i powiedziała pani, że Miśkowi coś jest i może proszki. Nawet bez chodzenia do kredensu mogłem sobie wyobrazić jak to tam jest, obojętne zainteresowanie pokojówek, pewnie że zwierzęca, prawie że roślinna rezygnacja samego pacjenta na przypadłość czy ból, skurczenie się w sobie, chyba żeby tego było za dużo, to wtedy coś w rodzaju chłopskiej hysterii bólu.

No więc pani poszła po aspirynę do łazienki, a potem zajrzał do niego do kredensu rządcą, kiedy wychodził z kancelarii, i nagle okazało się, że Miśko zabił człowieka.

Miśko miał dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Nastął niedawno jako pomocnik Pawła, gajowego. Przejął się bardzo swoim stanowiskiem i prawie że instynktownie nadał sobie zaraz styl i sznyt strażnika leśnego, *garde-chasse'a*, jakich mają w państwowych lasach, umundurowanych, zdyscyplinowanych po wojskowemu, w mundurach khaki, z zielonymi otokami czapek o okutym daszku, z salutowaniem, z postawą na baczność itp. A Paweł był mały, zgarbiony, w wypłowiałym okrągłym kapeluszu, zielonych pończochach, w które miał wpuszczone kortowe bryczesy kupione na jarmarku w Rawie Ruskiej. Paweł nie stawał na baczność i swoje obowiązki służbowe traktował dyskretnie i z tą chłopską zdolnością do upraszczania, sprowadzania spraw do automatyzmu roślinnego i spokoju, a tym mu to łatwiej przychodziło, że tu się miało do czynienia z lasem.

Natomiast Miśko, jako prawdziwy nowicjusz i entuzjasta, sprowadził swe funkcje do drażniącego stanu zniecierpliwienia. Paradował w swej sztywnej czapce z daszkiem i zielonym otokiem leśnika, nawet miał złote liście dębu na froncie tej czapki; przepasany pasem na kurtce wdział się swą postacią, prosty

jak świeca i czerwony na twarzy od wiatru i podniecenia. Widać go było i na wsi, i na gumnie, i baraszkował z dójkami koło obory albo przystawał u opłotków domu, który był lokalem „Strzelca”, Koła Gospodyń i straży pożarnej na tej ruskiej wsi.

Paweł jako wyposażenie służbowe miał stary, pordzewiały karabin wojskowy. Miśko miał dostać pistolet, który w popleśnianej skórzanej olstrze leżał w szufladzie szafy z „rurkami” pana. Miało nadejść z policji pozwolenie na broń dla Miśka i czekał na nie z niecierpliwością.

.....

Staszek Doczyński trzymał pusty po Cap Corsie kieliszek i okrągłą jego podstaweczką rozmażywał na blacie marmurowym stolika rozlany wermut w mokrą, okrągłą płamę, i nie mogliśmy się doczekać Marthe, ażeby nam znów coś przyniosła.

„Jak tu tak patrzę naokoło, to wydaje się, że ci wszyscy co tu są, to niby każdy powinien, jak przyjdzie co do czego, wyciągnąć tylko pistolet... A on, masz, to potrafił...”

Blondynowaty kapitan grał teraz z kilkoma innymi w „grzybka”. To taki mały bilardzik, na którym w czasie gry nie należy kulą trącić toczonoego z drzewa grzybka, stojącego na cieniutkiej nóżce na zielonym suknie, jak kieliszek Cap Corse. Mogłem go widzieć teraz wyraźnie jak ze skupionym wyrazem twarzy, pochylony, na szeroko rozkraczonych nogach uważnie celował kijem, opartym na grzbiecie dłoni spoczywającej na suknie bilardu, uważnie celował, jakby z pistoletu do człowieka. Może wtedy, jak zabijał tego majora, też miał taki zimny, skupiony wyraz twarzy.

.....

Szafa z „rurkami” była zawsze zamknięta na klucz, ale przez oszklone jej drzwi można było widzieć stojące sztywno w swych stojakach strzelby. Więc „Rumuna” do kniej, a był to ekspres o lufach szerokich i tęgich w komorach nabojoych i zwężających się i krótkich do wylotów, z ujęciem pistoletowym i „poduszką” na kolbie do położenia policzka; u niektórych, na odwrót, zamiast „poduszki” jest wgłębienie na ten policzek, i nazywa się to wtedy „kontra”.

Obok stała dwunastka o długich lufach, L. C. Smith, o kolbie z pięknego orzecha w kapryśnych i wijących się słojach drzewa, a na metalowej obsadzie luf były wyobrażone cienkim grawerowaniem to kuropatwy wystawiane przez wyżłą, to słonka, to kaczki, i wreszcie rozbiegany zając. Była jeszcze druga dwunastka bez ozdób, miała tylko wyraźnie wycięty znak Holland and Hol-

land, London. A obok ciężki i ordynarny browning, któremu wpompowywało się w magazyn pod lufą pięć ładunków, broń prawdziwie nie *fair*, niesportowa, wielostrzałowe narzędzie mordcze.

Potem były repetyery. Więc Mannlicher-Schonauer, z łożem biegnącym wzdłuż całej lufy brunatnym drzewem, z lunetą w uchwytach na lufie, chronioną tulejkami o ładnej rymarskiej robocie. Potem Mauser przerobiony w „Armie” we Lwowie z typowej broni wojskowej, zaadaptowany świetnie, ze wspnianym szmelcowaniem lufy i części zamka i dobrą robotą części drewnianych. A potem był jeszcze Savage, z kluczem koło kabłąka na cynglu do łamania, i także z lunetą.

To były „rurki”. Były tam także wyciory i „sztoki” do ich czyszczenia, pakuły, wata, patentowana oliwa „kościanna” do zamków, kartonowe pudełka z nabojami do dubeltówek, maszynka do robienia nabojów, chociaż w domu nigdy się ich nie robiło, kilka rzutków asfaltowych i zakorkowana próbówka z nasieniem pszenicy.

Otóż pokrótce sprawa wyglądała następująco. Pozwolenie na broń przyszło dnia poprzedniego i Miśko dostał pistolet, ten chowany w szafie z „rurkami”, i dzisiaj zapolawał sobie na człowieka.

Myślał, że to gładko i łatwo zabić człowieka, tak jak panowie strzelają zające, jak to ma być jutro, kiedy w Wigilię rano będzie polowanie. Myślał, że jest to tak samo składne i uporządkowane, jak kiedy Paweł w przeddzień pochodzi po wsi, ażeby zamówić „chłopczyków” do nagonki (rzeczywiście, szli na to mali chłopcy w za dużych ojcowskich butach i wytartych w szwach kurtkach, szli łąwą przez zarośla i przesieki, stukali w martwe i znieruchomiałe w zimie poszycie lasu i pohukiwali oszczędnie, i wychodzili potem na linię myśliwych z twarzami zsiniałymi od mrozu i ucierali siarczyście nosy rękawami i patrzyli na „panów”, jak ci przekładali dubeltówki pod ramię, a gdzieniektóry chłopak szukał w śniegu wystrzelonych, tekturowych gilz ładunków i dostawał taki kawaler za dzień w nagonce 50 groszy, no tyle co kosiarz w lecie). Tak jak dobrze zorganizowane polowanie z wozami fornałskimi, czekającymi na gości na przesiece, kiedy podwoziło się ich od jednego miotu do drugiego, jedna drabina wozu wyjęta, ażeby można było przysiąść na desce wymoszczonej słomą i zwiesić nogi. Z bigosem w parującym kotle jaki podwozi się pod zmrok, ażeby przy ogniu kieliszkiem wódki zakropić wspniały, byczy dzień.

A człowiek na którego się poluje ma także regularne i stereo-

typowe zwyczaje, jak zwierzyna w lesie. Wie się gdzie, o jakiej porze będzie, wie się nieomal, z której jest wsi, nieomal jak się nazywa. Kłusownik. Chłop, pozostawiający za sobą w chałupie swą codzienną skórę razem z babą, dziećmi, pługiem, zmartwieniami, chorą krową, i idący do lasu, pędzony dziwnym instynktem, odziedziczonym za sprawą jakichś genów od pokoleń wstecz, kiedy odbywało się czyhanie na zwierza. Gdyby Miśko wiedział, co to jest *fair play*, miałby jeszcze jedną wymówkę, bo kłusownik, zwykły człowiek zamieniony w polujące zwierzę i napotkany w lesie, jest tak samo niebezpieczny jak ranny tygrys — proszę państwa — kłusownik — proszę państwa — zabija napotkanych. Wszystkie prowincjonalne meldunki policji i komunikaty prowincjonalnych korespondentów są zawsze pełne tego. Zabija dlatego, że prawo bardzo drastycznie karze kłusownictwo i nachodzenie lasu. I dlatego, że łączy się to także z konfiskatą broni, której zdobycie i posiadanie daje mu taką satysfakcję, czy będzie to pordzewiała od przechowywania w strzesze kurkowa dubeltówka, czy *obriez* (tamta wojna przysporzyła dziwoląg przystosowalności, powtarzalny karabin wojskowy, w którym upiłowano lufę i kolbę i można to było nosić pod połą). Kłusownik zabija, bo pewnie zamienia się na tę noc w zwierzę i kąsa, i uchodzi.

Ale racje Miśka swoją drogą, a zabicie człowieka swoją. Potem było śledztwo, autopsja, obdukcja, sekcja zwłok przez „fizyka” powiatowego i odtworzono mniej więcej całą sytuację. Otóż Miśko wiedział gdzie i kiedy najdzie kłusownika, nie darmo był strażnikiem. Dostał ten pistolet i poszedł prosto do lasu. Był już zmrok, kiedy koło Jakobichy natknął się na postać szarą i niewyraźną na tle poszycia leśnego, które go od niej przedzielało. Widział go tam, i tamten go widział. Usłyszał dźwięk stali, jaką wydają lufy dubeltówki, kiedy się je pośpiesznie składa z kolbą, ażeby złożyć strzelbę przyniesioną w kawałkach pod połą kozucha do lasu. Miśko przykleknął i wycelował, dzierżąc pistolet w obu dłoniach, w szarą przykucniętą postać, i wypalił raz. Więc zabił człowieka. Potem, zataczając się miedzami i potykając o skiby przydęte śniegiem, doszedł do wsi i dworu. Nie umiał nawet uprzytomnić sobie tego wszystkiego, co przeszedł. W kredensie dostał nudności i zwymiotował, i chichoczące pokojówki zawołały panią.

Miśko nie był przesubtelnym inteligentem, refleksje jakie go nachodziły po tym wszystkim były może raczej instynktowne i podświadome, zresztą był młody i spełzło to po nim, albo zamieniło się w jakieś uwarunkowania, które objawiały się może w innych, oddalonych sprawach. Może miał po tym jakiś ner-

wowoy tik, albo może jąkał się w pewnych okolicznościach, nie należy to już do naszego opowiadania. Posłużyliśmy się jedynie tym, by dać przykład, dowieść, że niełatwo, nie każdy może zabić człowieka.

.....

Tak mi to opowiedział przedtem Staszek Doczyński, że naprzód byli bardzo pomęczeni i nikt nie wiedział co będzie, że nikt nie wiedział gdzie jest sztab, gdzie odwody, gdzie jest front, a gdzie są tyły, że furazowali konie gdzie i kiedy popadło, a konie miały łopatki poodparzane od zła w mobilizację dopasowanej uprzęży i od marszów, i słońce świeciło zimno i obojętnie wysoko w górze nad spopielałym od dymów horyzontem.

Najbardziej denerwujące było, że punkt obserwacyjny gubił się, urywał wciąż z nikłym kablem telefonicznym i wtedy zostawało się samemu wśród pól, z ludźmi pomęczonymi i końmi szczerzącymi zęby do przydrożnej trawy, i ciężar odpowiedzialności i nic nie wiadomo.

A drogą w jedną i drugą stronę szli, uciekali, wlekli się ludzie. Albo pchali wózki dziecinne, albo trzymali się drabin wozów załadowanych wysoko. Ciągnęli swój dobytek w walizach i tobołach, na taczkach. Szli z nogami owiniętymi w szmaty, boso, kobiety w pantoflach o powykręcanych obcasach. Wlokła się Żydówka, dźwigając na plecach otyłe i bezwładne ciało kilkunastoletniego chłopca, oczywistego i tępego matofka-idioty. Żydówka ugięła się pod tym ciężarem, dysząc i stękając, z uporem, jakby to co niosła było najlepszą częścią tego świata i jakby chciała to dla świata tego ocalić. Przechylony karkołomnie w rowie palił się samochód ciężarowy. Na wozach patetyczne matki z niemowlętami przy piersi, poduszki, obrazy świętych pańskich, jeszcze popstrzone przez muchy, nocniki, maszyny do szycia Singera. Szli księża co rzucili parafie, policjanci co zostawili posterunki, urzędnicy izby skarbowej, więźniowie z ciężkiego więzienia, których wypuszczono, gdy dach im zapalił się nad głową, pozrzucali więzienne pasiaki i w gaciach wędrowali przez pół kraju.

Mówił mi Staszek Doczyński, że najbardziej drażniła go — a mówił tak nieskładnie, że właściwie to raczej domyślałem się jego wrażeń, cóż, szczerzy był chłopak z kośćmi, ale jego „artystycznych wrażeń” musiałem się dopiero domyślać — otóż najbardziej z tego wszystkiego drażniła go oczywistość tego całego zjawiska, patetyczność i już po prostu rodzajowość całej tragedii,

która w swym tragizmie oczywistym i koturnowym rozpływała się prawie w komunał.

„Wiesz, że już mnie szlag trafiał — mówił mi Staszek Dochymiński — coś buntowało się we mnie, i chyba nie tylko we mnie. Powiadam ci, że chciało mi się, właśnie na przekór temu wszystkiemu, być wesołym, skakać, bić piętami, zrobić jakieś głupstwo, do cholery miało to wszystko być tak oczywiste i usmarkane. Dziwię się tylko, że ja tego wszystkiego nie przewidziałem, tego że jak gdzieś pali się, to uciekają, a jak uciekają, to zabierają tyle śmiecia, że na magistrali stoją pociągi i pociągi, parowozy z wystygłymi paleniskami, i te żałobne, zderzak do zderzaka, stoją milami, szczelnie, że miasteczka są na pół wymarłe, szkło i drzwi sklepów zrabowanych przez maruderów leżą na miasteczkowych ulicach, że po łąkach ryczą niedojone krowy, a chłopci wychodzą na drogi patrzeć na ten nieustający smutny odpust i święto, że nawet powkładali do tego niedzielne ubrania.

No dosyć o tym. Staliśmy, mieliśmy stanowisko baterii pod taką wsią i mieliśmy nawet łączność z punktem obserwacyjnym. Amunicji to nawieźliśmy sobie o świcie, taki był jej skład na gazonie małego, starego dworu, góra granatów większa jak ten dom, niektórzy kanonierzy grali w karty, wiesz, mieli taką samą potrzebę ucieczki od rzeczywistości jak ja, i kapral Gabryszewski grał na harmonii: „A w Brzuchowicach festyn klawo gra...”

Działa stoją na stanowiskach, porządnie okopane i przykryte gałęziami i lufy patrzą na dozór 4200, wygląda to jeszcze bojowo i fajnie, i podchodzi do nas od drogi jakiś zakurzony oficer, major. Jest dzień ale ma na sobie płaszcz porozpinany i ma chudą, nieogoloną twarz i głęboko wpadnięte oczy i wypieki na twarzy, „Wszystko stracone!” — powiada — „Żołnierze! Rzućcie broń! Idźcie do domów! Wszystko stracone!”

— Mówię ci, że zgłupiałem. Po pierwsze dlatego, że mówił oczywiste rzeczy i rzeczywiście wszystko było stracone. Po drugie, że sztabowy oficer przychodzi i rujnuje to, co jeszcze funkcjonuje, co jeszcze gra, jak popsuta maszyna, ale gra. Musiał facet mieć chyba gorączkę, w każdym razie był bardzo podniecony, aż mu głos wpadał w dyszkant piskliwy, jak u ludzi kiedy zaczynają gadać w natchnieniu. Stał tak, rozwiane poły płaszcza, kanonierzy patrzą od kart, jezdni zagapieni i nie wiedziałem co zrobić, jeszcze byłem szczeniakiem, jeszcze miałem się uczyć — cholera! No to poszedłem do telefonu, kręcę korbką induktora, kręcę — Demon dwa! wywołuję — tu Demon jeden! Zawołajcie pana kapitana do słuchawki. Zawołali. Powiadam mu, tak i tak, jest tu na baterii jakiś major, namawia ludzi do składania

broni, powiada ten major, że wszystko stracone. On słucha, powiada: „Poczekajcie tam, zaraz przyjadę”. Siadł, miał taką gniadą kobylę, przyjechał.

Ten major jakby go nie widział, rozkłada ręce. „Chłopcy — mówi — nasza sprawa przegrana, przeciwności za wielkie, ocalić naród, tamto stracone, do domów...”.

— A ten, tak jak siedział na koniu, rozpina kaburę i blade na twarzy powiada: „Co mi tu ludzi buntujesz!” — i z efena strzelił mu w pierś, i dał łydkę kobyle, zawrócił i pojechał.

A tego wieczora to i tak zdemontowaliśmy działa.

Wiadomości nr 887, 31 marca 1963.

MELDUNEK O NIEPRZYBYCIU WEŁNOWSKIEGO

Podczas gdy w Kodni na Wołyniu odbywał się przetarg na remonty dla pułków strzelców konnych i ułańskich korpusu jazdy Królestwa, na drugim końcu świata, w dalekiej Bretanii, czekałszy na stacji w Guer na transport koni dla naszego dywizjonu.

Poprzedniego dnia, po *déjeuner* w naszym kasynie, powiedział do mnie dowódca dywizjonu:

— Jest awizo — jutro rano na stacji w Guer — transport — około czterdziestu koni. Pojedziesz, szczegóły będą w rozkazie dziennym. O szóstej trzeba być na miejscu. Ludzie — kantary — sobie to oblicz — około czterdziestki koni.

A właśnie przy obiedzie była mowa o koniach, na które czekałszy od dawna, o pierwszych dla nas tu koniach. Dyplomowany kapitan Świebodziński opowiadał o swoim stażu w kawalerii włoskiej, jeszcze przed wojną.

— Marsze zawsze kłusem i galopem.

— Ciekawe — mówił pułkownik — a właściwie to można tak, tylko trzeba dobrze karmić. Zawsze byłem zdania — karmić — doglądać i gnać. A jakie konie?

— Dobrze. Szwoleżerowie mieli lekkie konie, ale dragoni i „lancieri” — a dlatego pewnie tak się nazywali, że w przeciwieństwie do dragonów i szwoleżerów nie mieli lanc — dragoni i „lancieri” mieli kościste, ciężkie. Ale dobre konie. Moja klacz była twarda w pysku, jakbym miał wodze uwiązane do pnia. Jakie rzędy? Czerwone od rdzy, siodła po prostu historyczne, kryte kozimi skórąmi — wszystko przy siodle — szablą, karabinek w olstrze.

Moim sąsiadem przy stole był inny kapitan, Heybowicz, tego znałem jeszcze z Polski. Fasonował się na koniarza, ale coś w tym

było podejrzanego. Coś nie było z tym w porządku, coś nie klapowało. Miał ostrogi obszyte skórą, tylko ich same żgadła były gołe, więc bardzo to oryginalnie, bo tego nigdzie przedtem nie widziałem. A ostrogi to bardzo ważna rzecz, to niesłychanie ważna rzecz. Na ten przykład część podchodząca pod obcas nigdy nie miała być z metalowego łańcuszka, takiego jaki konie noszą przy munsztuku. Nigdy oficer nie mógłby sobie na to pozwolić, to był fason „podoficerski”. Więc kapitan Heybowicz miał je oszyte skórą, dobrze, ale i tak nic to nie pomogło, coś było z nim nie w porządku. To potem, o ile wiem, poszedł do artylerii konnej, do daku, gdzieś do którejś ze wschodnich brygad.

Spotykam go teraz, i to już tyle lat, i jest teraz tęgi jakiś, i co tu mówić chamski. Jakiś cynizm zakradł mu się do oczu, ale głupi chamski cynizm. Przydzielili go teraz do nas, zawodowego kapitana, i zagrywa po zawodowemu, pewny siebie, o nas nie dba, zajęty jakimiś swoimi machinacjami. Ma samochód, chamski zwyczaj dochrapywania się jakiegoś samochodu, chodzi sobie sam i widać, że kombinuje. Był jakiś czas w „Reginie”, ale zdaje się, że się go pozbyli, wylali, nakopali. Ale że w trywialnym znaczeniu facet mógł pewnie i zaszkodzić, to uważali, że nie będzie to znowu taką degradacją, no to do dywizjonu, do linii. Od pierwszego rzutu oka już mu się tu nie podobało, już przygadali sobie z pułkownikiem, ale o tym cicho, sza, bo to na innym szczeblu, pomiędzy zawodowymi.

— Dużo jazdy w terenie — ciągnął dalej dyplomowany kapitan Świebodziński — co? Czy specjalnie dobrze jeżdżą? Ułani, jak u nas, przeciętnie, oficerowie poprawnie. To tak wyglądało: pobudka o drugiej, za to praca wcześniej się kończy, obiad, i po obiedzie obowiązkowo wszystko śpi, sješta, właściwie mają to podzielone, śpią dwa razy w ciągu doby. To tam, na tamtejszy klimat, jak to się nazywa? Sješta. A dragoni mają wspaniałe hełmy, takie, o! Projektował je Canova...

Kapitan Heybowicz na mój widok ożywił się, bo mu przypominałem dawne czasy. Powiadam do niego, to pan kapitan był w daku? Byłem, mówi, nareszcie przy koniach. A gdzieście byli, pytam, w kampanii. A, powiada, w tej i tej brygadzie. A ta, jak wiadomo, obracała się koło Prus Wschodnich, to potem, ale tu kapitan zagubił się w jakichś topograficznych szczegółach i niewiele z tego wyrozumiałem. A potem, po siedemnastym wrześniu, to mówi najechali nas na szosie, na dziśieńskim trakcie, i czołgi jak wyjechały. I pociskami po bateriach... Tylko kwik koński poszedł po dywizjonie. Głupio gada i chamsko, i wyjechał z tym kwikiem końskim, aż mnie zatkało. Chciałem to sobie wyobrazić jak to mogło wyglądać, w tamtejszych stronach, ale

mickiewiczyzna to nic? „Wpółród pagórków leśnych, wpółród łąk zielonych...”, zielone kopuły drzew i trakt litewski, z rozjechanymi koleinami, ale zawsze markuje się czterokołowy ślad, jako że to tam koniki chodziły w hołoblach, nie tak jak u nas dyszlowe pary, to wyjeżdżały cztery koleiny, kiedy to koń szedł to raz jedną, to drugi raz inną koleiną.

Chciałem sobie wyobrazić jak to wyglądało, kurz i mokra sierść na koniach, ścisk i ciągłe przystawania pochodu, aż tu znagła, ni stąd ni zowąd, tak jak tamte brzozy, poruszyło się coś niesamowitego, dotąd niewidzianego, i zaczerniło i zaszarzyło i oderwały się stamtąd czerwone pociski i właśnie stąd ten kwik po koniach, bateriach...

— Podjechał taki do mnie — mówił mi kapitan Heybowicz — podjechał takim „gazikiem” i powiada do mnie: „Ty polska świnią, ty oficer. *Smotri, kakaja u niego tołstaja roża, kak żopa...*”.

Po obiedzie poszedłem do adiutantury, by zapoznać się ze szczegółami swej misji, które tam do rozkazu dziennego redagowano. Kiedy tu każdy z nas urządził się jak mógł, to nasz adiutant dywizjonowy, przystojniak i poprawny jak to zawsze adiutanci, zakręcił się koło tego najszybciej i już, ani się oglądając, miał swoją kancelarię kubek w kubek urządzoną na modłę i podobieństwo tej w starym garnizonie. Stoły porozstawiane i teczki z papierami i dziennikami rozkazów, i ten sam podoficer do pisania na maszynie, i adiutant nachmurzony nad swym stołem i bibułą podawał wchodzącym jak dawniej przez szerokość stołu linijkę do liniowania do uściśnięcia na dzień dobry, przedłużając w ten sposób rękę, by nie wysłać się na szerokość blatu. Zapachniało tu jak dawniej farbą do hektografu i papierami, i już jest tak samo, siedzi w swej dawnej skorupie, niech go szlag trafi. Tu naokoło inny, dziwaczny świat, kamienny i jakby porośły liszajem inności, a tu ten sam młody człowiek już obudował się w swą ślimaczą skorupę swojskości i wciągnął w nią z mlasknięciem satysfakcji.

Zajrzałem do notesu, bo trzeba wybrać ludzi. Kto może pójść? Dzisiaj o dwunastej bateria wystawiała wartę, jeden, plus zastępca, plus dziewięciu, plus goniec. Dowódca warty Grzesiak, zastępca Szkoła, potem już Grot — Grot jest przekreślony, poszedł Adamek — poszedł za niego, bo Grot choruje, Majda, inni. Goniec Kołodka, ale mam zapisane, że trzeba wyjaśnić, bo gońca dawaliśmy wczoraj. Kapral Ogrodnik jest podoficerem służbowym, a bombardier Antczak zastępcą. Natykam się na memorandum, że ma być podana zmiana naszego adresu, ale jaki u licha ten nowy adres? Gdzie go zapisałem? Meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego. Wykaz kwater do siódmego. Lista

żołdu do ósmego. Meldunek — buty — jedenaście par za małych. Aha! Jest! *Secteur Postal 370*. Aha! Jutro kanonier ze starszego rocznika, mówiący po francusku, u księdza, o ósmej. Wszyscy mówią po francusku. Niektórzy nie mówią wcale po polsku. Z wyjątkiem oficerów i paru podoficerów wszyscy są stąd.

Patrzę na listę baterijną: Antczak Stefan, Bat Jan, Bożek Piotr, Bachowski Bolesław, Dziektarz Leon, Dłubak Józef, Foryś Wacław, Fryga Franciszek, Fryga Marian — to bracia... Makara Michał (dlaczego zapisałem przy nim departament Tarn et Garonne? Pewnie dlatego, że to osobliwość, bo wszyscy są z Nord, albo Pas-de-Calais, albo Seine-et-Oise). Patrzę dalej: Piecko Józef, Pacuł Stanisław, Rzepisko, Rozwałka, Różniecki, Stasik, Sobkowicz...

A oficerowie i podoficerowie nie byli stąd. Weźmy szefa mojej baterii, ogniomistrza Góralczyka. Kiedy go tu przysłali i meldował się pierwszy raz, rośły, przystojny młody człowiek, pytam o dane potrzebne dla ewidencji. Kiedy doszło do tego, czym był w cywilu, zawahał się. Przecież z książeczki wojskowej wyraźnie wynika, że był z rezerwy. Więc jak? Panie poruczniku, mówi mi, proszę tylko żeby się nie wydało. Po co? Niech ci ludzie nie wiedzą. Po co? Był w cywilu przodownikiem policji państwowej. Był to bardzo solidny, świetny podoficer.

W nocy ciemne jak atrament, poświecając sobie latarką elektryczną, chodziłem, potykając się o kamienie i ciapiąc w błocie po kostki, po odległych fermach. Bré-du-Coq, La Turtelier, Plouaret, Saint-Gildas-de-Bois... U okien, za którymi jarzyło się czerwone światło latarni, poruszały się leniwe cienie żołnierzy po suficie. Słyszałem: „*Dis donc, mon vieux — sans blague...*”, „*U nas w Melun...*”, „*A u nas w Avesnes...*”, „*Qu'est-ce que tu voudras — toi...*”, „*Ça va?*”, „*Merde alors!*”, „*Eh, ne bougez pas...*”; i to Konieczny Piotr, Kutyla Kazimierz, Kowal Michał, Klubka Roch, Kazeł, Kędzia, Kuśnierz (Kuśnierz w ogóle nie mówił po polsku), Koziołek, Pogoda, Sagan, Stuż, Wielobób, Zych, Żyła... Ale w dzień nawet dzieci bretońskie śpiewały za nami podsłuchane u maszerujących oddziałów, śpiewały „grasejując”:

*Rhano, rhano, rhaniusienko, rhano po rhosie
Wyganiata Kasia wołki, rhozwidniało się. Rhaz! Dwa!
Rhozwidniało się...*

słowa, których nie rozumiwały.

Był tylko jeden nietutejszy, ale i to nie z Polski, ale z co niedawno przyłączonego Śląska Cieszyńskiego. I do tego nazywał

się bardzo niezwykle, nazywał się Palmi. Był w baterii trębaczem. Bardzo ładnie.

Ale właściwie miało to być o koniach, które dopiero miały przyjść. Patrzę, gdzie mam zapisaną uprzęż. Więc kantary. Mamy kantarów surowcowych ze sznurami 28, kantarów surowcowych z łańcuchami 39, kantarów bez niczego tyle a tyle... Razem... No, wystarczy.

Ktoś zniecierpliwiony może i zapytać, skąd ta precyzja szczegółów, aż podejrzana ścisłość imion, pedanteria nawet liczb? To przyznam się, że ja, który nie mam pietyzmu dla osobistych szpargałów, natrafiłem na ocalały gdzieś na dnie kufra stary kalendarzyk sprzed lat, notes, w którym wtedy zapisywałem konieczne w warunkach służby i ważne memoranda. Z tego lichego dokumentu, który okazuje się w tej chwili dla mnie tak bezcenny jak CORPUS INSCRIPTIONUM LATINORUM dla historyka, odtwarza mi się umarła przeszłość.

Tak jak odtwarzała mi się, gdy przeglądałem stary sztambuch Salomei Wiśniowieckiej, w którym jakaś inna ręka, na odwrocie welinowych kart, porobiła także jakieś notatki dotyczące się koni, ich ras, rodów, maści i odmastków. Było tam zapisane: skarogniady, jabłkowity, myszaty, wilczaty, tarantowaty, mroziaty, cisawy — jasno-gniady (i w nawiasie — „koń cisawo pleśniwy, rycerzom szczęśliwy”), bułany dropiaty, szreniowaty, srokaty w jaskier, żelazno-siwy, piegowaty, popielczaty, światło-siwy, ciemno-rydzy, złocistawy, konopiaty, sobolowaty, porcelanowaty, dereszowaty, wrony, moregi — o ciemnej maści.

Było tam wiele innych notatek dotyczących się spraw końskich, pokroju koni, charakterystyki, było o rączności, sprawności koni, o ogierach czołowych, ogierach starego zawodu polskiego, rumakach, drygantach, dzianetach, i znowu o ich chowach i rasach, od prymitywnych bitiugów ze stepów koło Woroneża, koniach kirgiskich, kałmuckich, kabardyńcach, garbonosach dońskich, criollo i bronco z pampasów i prerii, o odmianach kulturowanych, tekińcach, turkmeńskich, perskich, im pokrewnych karabachach, o pełnej krwi arabach z pustyni Nedżeb, najcenniejszych, kochejlanach, seglawi, berberach, andaluzach, o anglo-arabach, hunterach irlandzkich, anglo-normandach... O ich chodach, rysią, cwałem, „*ventre à terre...*”.

Było o rzemieniach, skórach surowcowych, solonych sucho, suszonych, piklowanych, juchtowych, faledrowych, blanko-juchtowych, napalanych, peccari, *glacé*, *nappé*, zamszach, irchach, skórach nubukowych, lakierowanych, welurowych, szewro, safianach, o ściągniętym licu. O rzędach, siodłach, uprzężach, cuglach, wodzach, uzdach, trenzlach, czepcach...

W staropolszczyźnie czepce to były ozdobne uzdy końskie. Stąd to pewnie w tymże kalendarzyku sprzed lat, obok tak potrzebnej mi listy uzd i kantarów, z którymi trzeba nam było wybrać się na stację kolejową w Guer po odbiór koni, znalazła się inna lista, katalog, zbiór i kolekcja, a nawet odręczne szkice innego gatunku czepców. Było to o czepkach, *coiffes* noszonych przez kobiety w Bretanii. To już zamiera tam, może teraz już ich nie zoczy, już ich nie noszą. Ale wtedy można je było widzieć, zwłaszcza u starszych kobiet. Młodsze wkładały je pewnie dla kokieterii. Każda parafia inne. Zacząłem nawet je rozpoznawać, a że te to z Ploërmel, a tamte koronkowe z Pontivy, a te krochmalone z Carhaix, Saint-Brieuc, Saint-Gildas-de-Bois, Bré-du-Coq, Paimpon.

A więc przede wszystkim czepki na co dzień, *de tous les jours, de la campagne*. A potem inne do wyjścia, od święta, *de cérémonie, de jours de fête, coiffe de la ville. Bonnet tuyauté, coiffe de dentelles, coiffe à oreilles* czyli z rodzajem jakby nausznic, *cornette, bonnet à pompon, bonnet ruché, les ailes*, zebrane krochmalone szarfy w stojący ich pęk na głowie, i zaraz inny czepiek skrzydlaty równie, a nazywał się *coiffe de papillon*. Zastanawiające jest, że w sąsiadujących ze sobą parafiach nie istniało jakieś współzawodnictwo, w jednej były bardzo skromne, gładkie, nieozdobne czepki, a zaraz obok na głowach piętrzyły się jakieś bezprzykładne, krochmalone, po prostu orchidee. Były i czepki przypominające tak zwane „budki”, z epoki biedermeier, zasłaniające twarz, a nazywały się *quichenotte*. Dopiero znacznie później gdzieś wyczytałem, że to przyswojone z angielszczyzny, że *quichenotte* to po prostu przekręcone angielskie *kiss me not*.

Skąd mi się to znalazło w zapiskach? A no, z uporem i bezceremonialnością amatora-zbieracza po prostu naprzykrzałem się i rozpytywałem. W drodze do baterii natykam się na kobiecinę, staruszczkę, takie to skurczone, skarłowaciałe, powłóczące w błocie sabotami, twarz same zmarszczki i brodawki, ma chyba ze sto lat. Ale ja nic, nic to, że mogę starowinę i przestraszyć, etnolog-entomolog pożał się Boże, pytam: *Madame, excusez-moi, comment on appelle ça?...* Starowina ogląda się, nie wie o co mi chodzi, wreszcie dorozumiewa się, że chciałbym dowiedzieć się nazwy czepka, jaki przystraja jej głowinę, uśmiecha się bezzębnymi ustami i mówi: *Corne de Sainte-Hermine... ou... grisette...*

W żalobie, po stracie kogoś bliskiego czepiek przystrajało się w czarną aksamitną wstęgę, nazywało się to *coiffe de grand deuil*. I to właśnie przypomniało mi historię Wełnowskiego, o którego nieprzybyciu miałem zanotowane w mym kalendarzyku, a jakże,

w notesie, który już przyrównywałem do *Index Inscriptionum* czy *Corpus Inscriptionum Latinorum* czy też EPIHEMERIS EPIGRAPHICA.

Wełnowski figurował u nas w ewidencji, na liście bateryjnej, ale nikt go nigdy nie uświadczył na oczy. Ale że pokutował na tej liście, to periodycznie meldowałem gdzie należy o jego nieprzybyciu. Po kilkunastodniowych poszukiwaniach zawiadamiano mnie, że Wełnowski jest gdzieś tam, w wojskowym szpitalu, kurują go. A potem zaczynało się od nowa: meldować o Wełnowskim. I znów siedł meldunek o nieprzybyciu Wełnowskiego.

Aż jednego dnia przychodzi fonogram. Wełnowski zmarł w tym wojskowym lazarecie i bateria, na której był liście, ma wysłać oficera i pluton do Rennes, gdzie przy ulicy takiej i takiej mieści się ów wojskowy szpital i przy tej asyście, po załatwieniu wszelkich urzędowych spraw związanych ze świadectwem zgonu, pogrzebu i tak dalej, można go kazać szefowi-ogniomistrzowi wymazać z listy. No dobrze. Aha, z funduszu kwatermistrza zakupić i trumnę.

To powiedział mi adiutant, podawszy mi przedtem przez stół do uściśnięcia linijkę do liniowania, którą przedłużał sobie rękę, by nie facygować się jej wyciąganiem.

Dookoła naturalnie dzieją się normalne sprawy, tyle ażeby osłonić samotność każdego z nas. Gdzieś tam o wyznaczonej godzinie mają stawić się trzytonówki, ażeby pobrać chleb, kapustę, mąkę, mięso. Kierowcy co odbijają się od reszty, „fajfusy”, Gauloise w wargach i głaszczce koło kierownicy. Gryzipiórki kancelaryjne, zblazowane to i eleganci, spodnie zaprasowane, pochylają przyłizane czoła nad kwitariuszami i cedułami. Do brudnej tu roboty to zawsze zapędzą, „wyznaczą” jakąś oferme baterijną, zahukanego, niedorozwiniętego, zafasowali mu miotłę i hajda do roboty. Kucharz — kucharza poznać po poważnym wyrazie twarzy i zaszmelcowanym drelichu, kiedy zimnym okiem oderwie się od swędzenia i smalenia na kuchni, ażeby popatrzeć na intruza. Osobno ci co dłubią w warsztacie samochodowym, spawają, przykręcają. Daleko, daleko, za rżyskiem i łąką, pod drzewami, obciążnięte brezentem skrzynie z amunicją i szary wartownik przy nich, tylko hełm mu kłania się na czoło i karabin i wysoko upięte ładownice, i wartownik patrzy po horyzoncie jakby był z innego świata, jakby podniósł się z pola bitwy, lata temu w niej poległy, i jeszcze raz odmaszerowuje swój żołnierski spacer, piętnaście kroków w jedną stronę, piętnaście w drugą.

Obramia to wszystko dookoła smuga drzew, kępy i skupiska drzew, widły i okapy gałęzi i liści drzew, szarych od kory, oliwkowych od liści wysp drzewnych.

A odprawa warty odbywała się o godzinie pierwszej po południu. Ale już o dwunastej zmieniało się „starego” oficera inspekcyjnego i czekało się, kiedy na placu zmiany warty pojawi się mały oddziałek i rozmaici służbowi z poszczególnych oddziałów. Parę minut przed pierwszą zastukał do drzwi mojego pokoju służbowego goniec z siódmej baterii i zameldował, że wszyscy są na miejscu. Kiedy siedziałem tam w płaszczu i wszystko na mnie pozapinane, to wystarczyło mi tylko włożyć na głowę hełm i poprawić podpinkę, ażeby być gotowym.

Ale nie! Kiedy wyszedłem przed drzwi i spojrzałem jeszcze na swoje buty, to przekonałem się, że od chodzenia pomiędzy kwaterami zabłocili się, więc zaszedłem za budynek wartowni, gdzie wiedziałem, że pod rynną jest kałuża deszczowej wody i w tej kałuży delikatnie wykąpałem te buty, ażeby zmyć z nich tę trochę błota. Nie można przecież iść na odprawę, kiedy się samemu nie jest w porządku.

Idę w stronę placu gdzie stoi rządek warty. Plac jest rozległy i w kałużach po deszczu. Od szeregu odrywa się figura nowego dowódcy, robi pół obrotu i słyszę głos: „Naaa pas ...oń!”, „Na lewo — patrz!”. Zanim do niego dochodzę, stanął już znowu wzdłuż szeregu i recytuje: „Melduję wartę do przeglądu. Skład: jeden, plus jeden, plus dziewięć. Wartę wystawia bateria siódma...”. Jest to wielki chłop, kaprał, nieznany mi zupełnie, jeden z tych, co przyszli niedawno. Może ma trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Mówię: „Dać do nogi broń”.

Wspomnienia nakładają mi się jedne na drugie. Bo oto jedziemy trzytonówką na pogrzeb Wełnowskiego. Rennes. Pluton i trumnę załadowałem pod brezentową budę ciężarówki, sam siedzę koło kierowcy. Kierowca nazywał się Smełka, Franciszek Smełka. Mamy między sobą na pieńku, bo wczoraj wieczorem był urżnięty, ale to w sztok, i jak mnie do niego zawołali, bardzo drażliwa sytuacja, stał przede mną na chwilejkach się nogach i miał twarz czerwoną i oczy niewidzące mnie. Albo może widział mnie pomnożonego do czterech. Nieprzyjemne to mieć poczucie, że się jest poczwórnym w czyichś oczach, a do tego pijaniusieńki. Powiedziałem mu wtedy tylko jedno, najspokojniejszym na jaki mogłem się zdobyć głosem, powiedziałem mu, niech Smełka idzie spać.

Kierowca wspiał się na swe siedzenie i nacisnął starter. Na jakimś skrzyżowaniu drogi, kiedy stanęliśmy by przeczekać i motor ścichł, doszły nas spod budy trzytonówki jakieś słowa rozmawiających tam kanonierów. Zrozumiałem tylko: „dzwónka” i „żołądz”. Kiedy już dobrze ruszyliśmy, Smełka powiedział do mnie: „Panie poruczniku, cholery grają w karty na trumnie”

i zrobić zęza, żeby zobaczyć, jaki to będzie miało na mnie efekt. Nie jest zgorszony, tylko jakby przekorny, jakby chciał mnie złośliwie zajechać, pewny mej bezradności.

A już dobrze nauczyłem się nie przejmować się, wyrobić sobie taki styl, ażeby nie być zaskoczonym czymkolwiek, co by się nie zadziało. Najspokojniej sięgnąłem po papierosa, a po namyśle wyciągnąłem paczkę Gauloise Bleue i do kierowcy. Ten, nie odrywając oczu od szosy wprawnie wybrał papierosa, potem błyskawicznie zapalił zapalniczkę i nie patrząc ku mnie posłużył mi ogniem, lewa ręka cały czas na kierownicy. Kierownica jest „samozwrotna”, bo to wspaniała trzytonowa amerykańska „Szevroleta”. I jeszcze pstryk! wyskoczyła popielniczka z plastyku na desce rozdzielczej.

Mam zmartwienie. Było w rozkazie, że mieliśmy zabrać na pogrzeb kapelana. Ale nasz kapelan pułkowy gdzieś od dwu dni zapadł się jak pod ziemię. W dowództwie nie mogłem się doszukać telefonicznie wyższej szarży duchownego *castrensis*. A czasu nie starczyło. Kanonier ze starszego rocznika, mówiący po francusku, który miał być na miejscowym probostwie po księdza tutejszego, zameldował mi że *monsieur le curé* wyjechał do kurii. A więc pochówek odbędzie się bez księdza. Trzeba będzie samemu odmówić pacierz za duszę. Brrr! Jak to tam przedrzeźniało się w sztubie? „A światłość wiekuista niechaj mu śwista...”.

Może trzeba było zabrać ze sobą granat, niewypał podniesiony na poligonie, i włożyć go w trumnę u stóp, jak to w czasie pochówków na morzu za dawnych lat, u nóg zwłok zaszytych w płótno żaglowe przywiązywało się armatnią kulę, „... a ciało niechaj spocznie w morzu...”.

Na zakończenie formalności związanych ze zmianą warty oficer inspekcyjny obejmował komendę nad całością. Komenderował baczność, prezentuj broń, chwilę wytrzymał i wypowiadał sakramentalne: „Służba wartownicza!”. Na to stojący o trzy kroki za oddziałem wartowniczym Cieszyński Palmi podnosił do ust munsztuk i rozlegał się sygnał: Hasło wojska polskiego. Trzebaż było przynajmniej zabrać trębacza...

Taki był koniec meldunku o nieprzybyciu Wełnowskiego. Koledzy grali na jego trumnie w „belotę”, kapelan się zapodział, o trębaczu zapomniano, kiedy resztki jego powierzano morzu obcości. Jedna Bretania zlitowała się nad nim i niebo nad sobą zaciągnęła kapturem czarnych chmur, *coiffe de grand deuil*.

Kultura nr 286/287, 1971.

WIEZIEN Z ISLE OF ELY

Z mego łóżka w szpitalu mogłem widzieć przez okno jedynie szczyt dachu i na nim żelazną różę wiatrów, na której pionowej osi obracała się chorągiewka wyrobiona w kształcie dżokeja na rozbieganym koniu. Ten jeździec blaszany z uporem i determinacją galopował nieskończenie i stał w miejscu, i ta dwoistość kinetyczno-statyczna była niepokojąca, ale zrozumiała.

Oddział szpitala w którym się znalazłem nosił nazwę *Pageant Ward*, od imienia fundatora zdaje się, i w normalnych czasach był oddziałem dla dzieci. Ale teraz został przeznaczony dla pacjentów ze stopniem oficerskim. Zastanawiało mnie, pamiętam, a co z dziećmi-pacjentami na czas wojny? ale jakoś nie mogłem tego wypenetrować. Ściany tu były wymalowane w kulawe kaczątko i kominek miał siatkę taką, jakie zawsze są w dzieciennych pokojach, ażeby milusińscy nie wpadali tam, gdzie nie potrzeba.

W pokoju o kilkunastu łóżkach połowa z nich była pusta. Po mojej lewej stronie, przedzielony ode mnie pustym łóżkiem, leżał młody podporucznik, Anglik, o chudej, zielonej twarzy i podkrążonych oczach i miał nogę w gipsie. Coś tam źle było z tą nogą, bo w szpitalu leżał już bardzo długo. Na skamieniałym gipsie opatrunku miał chemicznym ołówkiem wyrysowane jak ma tam te kości połamane i na tę białą gazę wystąpiły brudne plamy od przesiąkającej materii.

Od tej jego nogi, za przeproszeniem, śmierdziało, ale to strasznie, trudno to opisać. Są wonie, które rodzą się i żyją w jedyńskich, odosobnionych miejscach, w szlachtuzach, jakichś fabrykach, na przykład wokół fabryk drożdży, browarów, cukrowni w czasie kampanii, wytwórni nawozów sztucznych i jak

tam natknąć się na te ścieki przypadkowo, to sobie myślimy: co za gama!

Kiedyś oglądałem na swym kocu szpitalnym jakieś pismo ilustrowane i był tam taki rysunek z podpisem. Miało to być zabawne, rysunek przedstawiał parę skunksów, śmierdzieli amerykańskich (proszę mi wybaczyć te zapachowe historie — zaraz skończę) i była tam także ich młoda progenitura, a słowa miały uzupełnić ten dowcip: „O, mały nasz już dorasta, zaczyna śmierdzić”. Są takie okoliczności, że jakiś bardzo prosty, naiwny kawał, choć prymitywny, podrażni nasz zmysł poczucia komizmu nieproporcjonalnie do wartości podniety i nie możemy utulić się od śmiechu, napada nas to jak czkawka. Czasem zarazimy tym kogoś będącego podobnym do nas wyjątkiem i wtedy to już prawdziwe konwulsje, ile razy spotkać porozumiewawczy wzrok. Ale tym razem trząśłem się sam od bolesnego śmiechu, bo aż mnie szwy bolały i to może potęgowało jeszcze bardziej moje chichoty. Po prostu nie mogłem wytrzymać.

Mój sąsiad zainteresował się moimi dreszczami i podałem mu ów magazyn z tym kompromitującym naiwnym dowcipem. I co się okazało? Co zaraz pojąłem i odżałowałem jako niechcianą z mej strony gafę? Każdy inny dowcip, tylko nie na temat zapachów, ubawiłby może mego sąsiada z lewej. Ale ten wywołał jedynie bolesny grymas na jego twarzy.

W parę dni potem przyjechali do niego w odwiedzin rodzice. Przywieźli mu tam jakieś smakołyki i siedzieli przy jego łóżku, tacy szczęśliwi, że go widzą, zatroskani ale już znudzeni tym długim popołudniowym siedzeniem, kiedy nieopatrznie w ciągu pierwszych dwudziestu minut wyczerpali wszystkie domowe i wojskowe i szpitalne perypetie i tematy. I siedzieli potem godziny całe, ładnie skupieni, wypowiadający jedno zdanie w ciągu całych okresów milczenia. Można było widzieć trwożny niepokój zaczajony na stałe w źrenicach ojca, a przy tym nerwowe drganie mięśni szczęk, ażeby nie zaszewać. Czasem matka poprawiała coś tam z poduszek albo wygładziła koc i znowu zapadali w milczenie. Czasem rodzice grzecznie pomagali w czymś tam innym pacjentom, ot jakieś drobnostki, zapytanie o przyniesienie książki czy podanie wody. Było dla nas i dla syna dużą ulgą, kiedy wreszcie sobie pojechali.

Naprzeciw Anglika było łóżko, które zajmował Polak, kapitan. Naszedł gdzieś na minę talerzową i wykręcił się z tego tym, że urwało mu palce u prawej nogi, ale już było wszystko bardzo ładnie wygojone i kusztykał teraz całkiem raźnie i niedługo miał się wypisać. Co rana przychodził i meldował się u niego jego

ordynans, młody chłopaczek. Stawał w progu, stukał obcasami i salutował i pojawienie się jego było witane przez wszystkich sympatycznym uśmiechem. Zawsze coś tam przynosił swemu panu i coś tam zawsze prowadzili jakieś konszachty. Mały żołnierz polski pytał się innych pacjentów na sali, czy nie mają jakichś życzeń czy spraw do załatwienia.

Polski kapitan był bardzo zamknięty w sobie i zawsze zagłębiony w jednej i tej samej książce. Mógł to być kryminał, albo Biblia, albo regulamin służby w polu, książka zawsze ta sama i nie mogłem wypenetrować co to było, bo, jak powiedziałem, kapitan był zamknięty w sobie i nieprzystępny. Facet miał chyba pod czterdziestkę, był z batalionu czołgów, bardzo typowy zawodowy oficer.

Potem było znów puste łóżko i dalej, już naprzeciw mnie, był pacjentem mały młody podporucznik, Szkot o rumianej twarzy. Coś mu tam było w pośladek, który mu raz dziennie smarowano za parawanem. Poza tym wyglądał najzdrowiej w świecie. Rano ubierał się kompletnie i zabierał do polerowania swego pasa koalicyjnego. Robił to z ogromnym nabożeństwem i uwagą. Miał do tego cały zestaw flakonów z płynami, pasty, flanele i irchę. Po godzinach czyszczenia i chuchania na kocu leżało coś, co w blasku i połysku i iskrzeniu się było czymś nieprawdopodobnym. Muszę zaznaczyć, że w tym codziennym ćwiczeniu inni byli bardzo zainteresowani i nie szczędzili artyście uwag, porad i aprobaty.

Następne łóżko oddzielone przejściem przez salę było zajęte przez holenderskiego oficera. Był to młody jegomość i miał także jakieś historie z nogą. Ale co to był za facet! Nigdy nie wyobrażałem sobie przedtem, że takim może być Holender. Był atletyczny i przystojny, brunet o gęstych brwiach i silnym zaroście, który nawet po solidnym wygoleniu się rano kładł mu na policzkach ciemne smugi. I ustawicznie gadał. Gadał i gadał jak najęty, trzymał prym, rej wodził, perorował i pryncypalił. Usadowiony wygodnie w na poły leżącej pozycji, popodpierany poduszkami, z nieczytaną książką na kolanach, omiatając pokój szpitalny pewnym spojrzeniem, pobudzał do rozmowy, argumentów, dowcipkował, mówił paradoksy, udzielał rad i wskazówek na wszystkie strony. Z zasiedziałymi pacjentami był w doskonałej komitywie i mieli już własny język i styl, jaki rodzi się w zamkniętych środowiskach i porozumiewali się łatwo, a mnie trudno było połączyć się, o czym mówią.

Potem był kapelan wojskowy, typowy *padre* w okularach, któremu nie wiem co było, tak zdrowo i normalnie wyglądał i był

wścibski i interesował się sprawami innych, to już z powołania. Ale nawet Holender krępował się używać przy nim grubszych słów, tyle że siostrę, pielęgniarkę z nocnej zmiany nazywał *night mare*.

Potem było łóżko Polaka, podporucznika od czołgów, który miał przetrącony kręgosłup i chodził w gipsowym gorsecie, tak, nie leżał ale chodził, i kręcił się wszędzie. Rano pomagał przesuwając łóżka i w czasie robienia porządków na ochotnika zabierał się do zmiatania. Był z tego samego batalionu co starszy kapitan i ten kapitan to jakby szorstko opiekował się tym podporucznikiem.

Potem, już naprzeciw niego, leżał milczący i chory francuski major, *commandant*. Potem angielski porucznik, który miał coś tam z nerkami. A następnie, już najbliższy mnie, po mojej prawej stronie, ale przedzielony przejściem, mały angielski kapitan od czołgów, którego przysłali na dogojenie z Libii. To byliby wszyscy.

Nie, nie wszyscy. Był tu jeszcze jeden pacjent, ale nie z nami, tylko w separacie, osobno. Dochodziły mnie o nim tylko słuchy, skróty, uwagi. Istniał gdzieś tam i swoją obecnością tam narzucał się mimowoli, jak to zawsze zaprzątnie umysły czyjaś właśnie nieobecność, a przez to wszechobecność. Był gdzieś tam i istniał przez niedomówienie, niedopowiedzenie, zagadkę, poprzez szept, współczujące westchnienia.

Jak tu dociec, kim był naprawdę? Wszystko co o nim wiedziałem to tylko poprzez słowa. A same słowa tylko to jak palce ślepeca wodzące po twarzy bliskiej osoby, mające coś o niej powiedzieć. Jak tu obmacać czeluść głęboką, jaskinię wielopiętrową, jak słowami pokryć, odgadnąć wszystkie jej załomy, odgadnąć wklęsnięcia, zmierzyć niezmierzoność niezmierzonej groty?

.....

Było to kiedy indziej, gdzie indziej.

Rano, w dzień Nowego Roku, przez interkom szpitalny zapowiedziano, że *chers malades* odwiedzi tradycyjnie, jak co roku, jego ekscelencja biskup Saint-Jérôme, *Monseigneur* Ferret. I od samego rana zrobił się szalony ruch.

Pielęgniarki, zamiatacze, siostry zakonne, interni, cały szpital wpadł w niezwykły ferwor. Lśniące i tak podłogi polerowano do ostatecznego połysku. Jak wiadomo, nawet w szpitalu pokój staje się z dniami prywatną norą, drobiazgi, książki, szlafroki ubierają go w swojskość właściwą i bliską okupantowi. Tę jedyną wewnątrz, w którym zdarzyło mi się pokutować, zbiorowe siły

załogi szpitalnej usiłowały zredukować do jednakowej nicości. Wszystkie drobiazgi z mego stolika powędrowały do szuflad, potrzebne mi podręczne rzeczy pochłonęła głębia szafy. Z wielkiego zapachu omal nie zapomniano dać nam śniadania. Story zostały opuszczone, okna, pomimo zimy, utrzymano do połowy otwarte.

Przykryli mnie aż pod brodę, chociaż mój wielki palec u nogi wystający z gipsu byłby wrażliwy nawet na dotknięcie przez welon oblubienicy. Zbliżała się wielka chwila. W ostatnim momencie wpadła jeszcze siostra zakonna z rozpylaczem i skropiła wodą leśną klamkę u drzwi mego pokoju.

Nastało wyczekiwanie, jakieś szmery, kroki. Znowu cisza. Nagle drzwi drgnęły i otworzyły się i do pokoju wpadł mały, zaśnieszony chłopak, z tępą, czerwoną od mrozu twarzą i zwichrzonymi od zdartej czapki włosami. Gazeciarz, który co rana przynosił mi paczkę gazet, nowojorskiego *Times'a* i lokalne kanadyjskie gazety, a że to w prowincji Québec, to oczywiście gazety francuskie.

Znów nastało wyczekiwanie. Znów drzwi drgnęły i otworzyły się i tym razem, w asyście całego orszaku z kierownictwa szpitala, siostr i pielęgniarzy ukazał się zapowiadziany wizytator. Spodziewałem się, że będzie to jakiś majestatyczny prałat, a tymczasem był to niedużej postaci, wzrostu co tylko przepadłego chłopaka-gazeciarza, starszy ksiądz w sutannie. Podszedł do mego łóżka i podał mi rękę, którą wykonał drobny, jakby steno-graficzny gest błogosławieństwa. Przypominałem sobie, że całuje się wtedy biskupi pierścień, co też i zrobiłem. Patrzył, uśmiechnięty łagodnie, trochę jakby przeze mnie, jakby nie ześrodkowywał soczewek oczu. Tak jak pisze o tym Proust, kiedy był dzieckiem w jakimś Dieppe czy Ostendzie z babką na plaży i był świadkiem spotkania tej starej, bogatej Żydówki z jakąś księżniczką? młodą arystokratką?, która przegrzecznie rozmawiała z tą babką, ale arystokratycznie nie ześrodkowywała wzroku na niej, tak jak się jest miłym i grzecznym wobec dzieci, ale naprawdę się ich nie widzi.

— *Vous-êtes un Polonais, on dit?* — powiedział do mnie *Monseigneur*. — Znam pański kraj, byłem kiedyś w Polsce.

W czasie tej krótkiej wizyty, przystanku u mego łóżka, *Monseigneur*, łagodny biskup Saint-Jérôme, znalazł chwilę czasu, by powiedzieć mi, jak przed laty zdarzyło mu się, w charakterze jakiegoś sekretarza? wikarego? na jakimś misyjnym objeździe czy rekolekcjach pobytować w stronach, które tak dobrze znałem. Już nie pamiętam, o czym z tego wspominał. Owszem, z wielkim pietyzmem mówił o tamtejszym biskupie polskim, o świątobliwości tej postaci, o człowieku, który wedle powszechnej opinii

zmarł *in odore sanctitatis*, o kimś, kto dla tego kanadyjskiego księdza zabłąkanego aż na Wołyn pozostał uosobieniem wiary, dobra, nieskazitelności.

A może wspominał krajobraz tamtej ziemi, wody jej rzek, Stochodu, Słucza, Horynia, Ikwy, Seretu, wody lazurowe i srebrzyste i twarde jak szkło, czyste i zwierciadlane, z piaskiem przeświecającym z ich dna, piaskiem tak białym i czystym, że można nim wysypywać posadzkę kościoła przed wielkim świętem. I wiklinę, gąszcze wikliny nadbrzeżnej, osobny kraj wikliny, nie mający nic wspólnego z innymi krajami, kraj należący do wody.

A może był świadkiem tego, jak innym odbiera się wiarę. Jak rewindykuje się stare świątynie, w asyście policji, starosty, szwadronu KOP, jak zdziera się blachę z cebulastych bań cerkiewnych, wyważa z zawiasów stare carskie wrota, wyrывa płótna poczerńniętych wizerunków świętych z ram obrazów, rozwłócza z posad przyciesie, narożniki dzwonnice...

.....

Prospekt usłyszenia jeszcze jednej opowieści szpitalnej zapowiada już prawdziwą nudę, banał, antycypuje ekshibicjonizm, kliniczny opis dolegliwości, krytykę fachowców, co to niby mają nieść ulgę cierpiącej ludzkości, ale wbrew hipokratesowskiej maksymie *primum non nocere* dobrze jeszcze doleją pacjentowi.

Już z góry powinienem był przeprosić za tło i przyrzec, że nic tu nie będzie o mnie i moich cierpieniach. Natomiast...

Rano zaczynał się tu ruch bardzo wcześnie. Po śniadaniu, po wyporządkowaniu mego pokoju pojawiały się prawdziwym stadkiem młodzieutkie pielęgniarki, a właściwie nie pielęgniarki, ale istoty tego gatunku *in spe*, bo były to kursistki? studentki? praktykantki? pielęgniarskiego *college'u* związanego ze szpitalem i ich półdniowy, poranny najazd był widocznie w *curriculum*, programie kursu. Były świeżutkie, młodzieutkie, w sztywno nakrochmalonych czepkach i fartuszkach. Każda miała, a jakże, z tyłu, w pasie u węzła ciasno zapiętego fartuszka wetkniętą parę nożyczek, takich do rozcinania bandażu i innych podręcznych operacji. Były rozświergotane i uśmiechnięte i takie zdrowe i sympatyczne i aż jasno się robiło od tego najazdu. Poprawiały poduszki, patrzyły pod światło na słupek rtęci w termometrze, poprawiały kwiaty we flakonie, kazały dobrze się naginać, kiedy masowały zbolały grzbiet i nacierały spirytusem, ażeby nie porobiły się odleżyny. Aha! już odleżyny, a obiecywałem, że nic nie będzie o fizycznych, cielesnych dolegliwościach. No, już dobrze, przyrzekam, że nic nie będzie.

Jakże je tu zabawić? Już wiem! Kiedy jeszcze wcześniej rano przyniesiono mi gazetę, która teraz leżała porzucona na podłodze obok łóżka, nie! bo już ją skrzętnie podniesiono i złożoną uplasowano na stoliku obok baterii słoików i pigułek, otóż przerzucając jej szpalty natrafiłem tam na swego rodzaju historię.

Była to historia żołnierza, dezertera, który wiele lat temu w czasie wojny na kontynencie europejskim, a było to gdzieś w Normandii, zdezerterował po prostu i już. Nie chciało mu się stawiać karku, po prostu nie mieściło mu się w głowie, by wyrwany z jednego kraju miał służyć za cel ludziom innego kraju, walcząc o wolność i tak dalej. Wielomilionowe armie, już z racji wielkich liczb i nieubłaganych praw statystyki socjologicznej liczyły dziesiątki tysięcy dezertarów i pewnie to było i brane w obrachunek i jakoś to pewnie załatało się w końcu po wojnie i skończyło *happy-end'em*. I tu w gazecie był wypadek właśnie takiego grubo zapóźnionego *happy-end'u*. Ów niechętny żołnierz po zdezerterowaniu znalazł sobie schron, przytułek i azyl w ramionach prowincjonalnej dziewczyny, kochanki, takiej na pół chłopki, normandzkiej dziewczyny, co to pewnie pracowała w jakiejś manufakturze, albo była *une bonne*, a może była bileterką w kinie, albo prowadziła sklepik z materiałami piśmiennymi albo modami w malutkim miasteczku, a ukochanego ukrywała w domu i doglądała i dogadzała. Sypiał tam w tym domku w kryjówce pod schodami, bo to przecież wojna, dezercja, żandarmi.

I żyli tam, jak to w zakończeniu każdej bajki o miłości dwojga, szczęśliwi, razem, długie lata, pod schodami, on i ona, jak w bajce, i miało przyjść zakończenie jak w bajce.

Oczywiście, na francuskiej prowincji, w malutkim miasteczku wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Bo *mademoiselle*, oczywiście pracowita, skrzętna, poprawna, pilnie bywająca w niedzielę w kościele, jak na *mademoiselle* przystało, nie potrafiła czy nie chciała ochronić się od następstw nieodłącznych w pożyciu dwojga młodych ludzi. Po prostu co rok to prorok. Dzieci pojawiały się z nieubłaganą logiką i oczywistością, pewnie bez jakichś położeń komplikacji, podrastały w ciągu lat, lata biegły, nie? Mama w wolnych od zarobkowej pracy chwilach doglądała je, hołubiła, warzyła im kaszki i rozdzielala całusy i klapsy, co kiedy się należało. Już najstarsze zaczęły i do szkoły chodzić, chłopcy w czarnych, klotowych fartuszkach nakładanych zwyczajem francuskim dzieciom na ubranka. Ojciec pewnie dzielnie pomagał w tym wychowywaniu, jako że to on miał specjalnie wiele czasu, kiedy pokazywał się ze swej kryjówki pod schodami.

Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi i w małym miasteczku przyjęto to nawet zgodnie i bez specjalnych gestów zgorszenia, bez szczególnych łamań rąk, a nawet ten matrymonialny dziwolak, będący pewnie przedmiotem plotek, rozmów i dyskusji, stał się i rodzajem jakiejś dumy tego zapadłego kąta, w każdym razie ułożyło się to wcale ładnie. A mogło być inaczej. Trzebaż-bo to znać straszną francuską prowincję. Mogło to przyjąć inne formy, zawijasy ludzkiej-nieludzkiej pasji, potępienia, zjadłości, okrucieństwa, braku pobłażliwości, niezrozumienia, nienawiści dla faktu nieuszanowania konwenansu, dla czegoś nie mieszczącego się w zaściankowym kodzie przyzwoitości.

Wojna się skończyła i zapomniano o niej, minęły lata i leniwie i gnuśnie obracające się tryby maszyny porządku społecznego bez szczególnych zgrzytów zmeły i wchłonęły niestosowne pozostałości tego romantycznego incydentu. Wszystko zostało przebaczone i zapomniane, jak zapewniła o tym notatka dziennikarska, którą zachwyciłem moje pielęgniarki bez miary.

.....

W całym tym gadulstwie, głośnym marzeniu, kiedy wodzę sobie oczami po otaczającym świecie, odrywam je zmęczone od jednych przedmiotów, zaczepiam o drugie, kiedy mi z falą myśli nadpływa takie czy inne zac zadanie, naraz gdzieś mi się to wszystko gubi i szukam wśród gratów myślowych naokoło, tak jak to nam kiedyś coś się zapodzieje, tuż-tuż było i może leży gdzieś na wierzchu, ale nie widzimy tego zaślepieni i trochę to irytuje, ale nie bardzo, bo i tak wymyślimy sobie coś nowego, a jak nie, to to stare się znajdzie.

Inni wybiorą sobie z życia jakiś wycinek, okienko na jedną sprawę i dopiero nanoszą w to dodatków, krawiec czynę, to obłoczek, to wachlarz, to ścierwo, odbije się im coś po jedzeniu albo zaświerzbii w ucho, ubiorą to w sieczkę konwersacji, usmażą razem w tragicznym sosie, odcedzą, nachuchają na to i już gotowe.

A tymczasem tak nie jest.

Są sprawy nierozumiałe i tak pozbawione początku i końca, sensu, tak wyzbyte nawet cech zagadki, aluzji, że nie ma o co się zaczepić, by wyprowadzić ciąg dalszy. A gdy przymusić się do pójścia w jedną stronę, to wychodzi się na inną albo kręci w koło, jak podróżny, który zabłąkany wśród zadymki natrafia na własne ślady.

.....

Stąd i zakończenie urywków tych historii. Raz byłem w nich

dezerterem wielkiej wojny, ukrywającym się w ramionach uko-
chanej pod schodami domku na dalekiej prowincji francuskiej,
innym razem świętokradczą ręką pomagałem przy „rewindykacji”
greckich cerkwi na Kresach polskich, a jeszcze innym razem byłem
tajemniczym „więźniem w masce” w separacie szpitala w *Isle
of Ely*.

Kultura nr 291, 1971.

P T A K I

ALBO

„ZANIM ZACZNĄ SCHODZIĆ SIĘ GOŚCIE
PRZETAŃCZMY JESZCZE RAZ MENUETA...”

W dniu 1 maja 1904 roku Hector Munro, reporter londyńskiego dziennika *The Morning Post*, pisujący z Bałkanów, Rumunii, Węgier, Rosji, w czasie pobytu w Warszawie udał się na spotkanie z Amerykaninem Mister Locke, w jednym z domów w Alejach Ujazdowskich. Z okien tego domu, pisał potem do swej gazety, miał owego ranka widok na Aleje Ujazdowskie i mrowiący się tam tłum ludzki. A złożyło się tak, że w dużym podwórzu domu mógł zobaczyć także stacjonowane tam pół sotni Orenburskich Kozaków, tudzież jakieś dwie dziesiątki żandarmów. Sutereny domu były przygotowane na przyjęcie ewentualnych aresztowanych.

Właśnie dwaj żandarmi, jak o tym w sprawozdaniu, wlekli tam malutkiego, szarego warszawskiego ptaszka, gazeciarza, okładając go po drodze pochwami szaszek i waląc pięściami po zakrwawionym dzióbku i głowie, którą osłaniał sobie złamanym skrzydełkiem.

W dniu 15 sierpnia 1939 roku eskadra samolotów taktycznego bombardowania, JU 87 Geschwader, miała wykonać ćwiczebne bombardowanie z lotu nurkowego, bombami cementowymi, celów w lesie koło Kottbus. Komunikat meteo owego ranka zapowiadał wysoki pułap chmur i spodziewaną pod nimi bezpieczną tolerancję gruntu. Okazało się jednak, że w międzyczasie pułap zszedł w dół, o czym nie zaalarmuje wariująca przy nurkowaniu strzałka altymetru. „*Achtung! Aus! Aus!*” dowódcy

Geschwader, który pierwszy po przejściu chmur ujrzał na mgnienie oka czuby drzew strzelających ku niemu, było spóźnione. On jeden ocalał, bo trafił akurat na przesiekę leśną i mógł jeszcze wyciągnąć w górę z wysokości dwu metrów nad ziemią. Reszta, trzynaście JU 87, każdy z załogą pilota i strzelca, poszła „do lali”, mimo mającego oduroczyć: „Złam kark! *Hals und Beinbruch!*”, jakim żegnali ich koledzy przy starcie. Rezultat owego ćwiczenia pozostał skrytą tajemnicą Luftwaffe do czasów grubo po wojnie.

W cztery tygodnie później ta sama eskadra wykonywała tym razem „ostre” już bombardowanie „celów taktycznych” Warszawy. Pogoda tym razem dopisywała. Słabo odpornym na atak z powietrza nurkowcom Stuka nic już nie groziło. Uzupełnienie w maszyny i załogi, również wyszkolone na poligonie Hiszpanii, grało.

Czarne, garbate ptaki, z ich opływowymi szponami kół podwozia, „pikowały”, jak się to mówi, bezkarnie ku rudym dymom podnoszącym się z rozwalanego miasta.

To właśnie o tym mieście chciałem napisać, o jego ptakach. Ale że samo miasto mało znałem, to robiłem poszukiwania, a także korespondowałem, i złożyło się tak, że nawet jeden ze znalezionych adresów zaczął o ornitologię.

.....

Wielmożny Pan
Aleksander Głowacki
ul. Krucza 25, albo ul. Żurawia 8 m. 6
Warszawa
Generał Gubernia Warszawska
Rosja
na stację Szczakowa-Granica

Wielce Szanowny Panie!

Proszę wybaczyć obcesowość listu od kogoś nieznanego, piszącego z innego kraju, z innego klimatu, w innej epoce. Niechaj jakimś usprawiedliwieniem będzie to, że piszący rości sobie pretensje do bliskiego poznania Pana przez Pańskie utwory, że jest wielbicielem Pańskiego talentu pisarskiego. Liczę na Pańską pobłażliwość i wyrozumiałość, a zwłaszcza dobroć, która tak przebija ze wszystkiego co dla nas Pan zostawił. Jest mi Pan tak dobrze znany i z książek Pańskich i ze studiów i prac krytycznych o Panu, tak współczesnych Panu jak i późniejszych. A także liczę na znakomity zmysł humoru, którego szczególny

dar tak przybliżyć Pana czytelnikom, czego to skutki ponosi Pan w tym listownym dowodzie poufałości dalekiego admiratora.

Ale może myślę się w tym co mówię, że tak dobrze znam Pana. Bo tak samo na przykład mógłbym rościć sobie pretensje do tego, że znam Pańską Warszawę. Nie tę Warszawę, której wyraźny obraz Pan nam zostawił, ale tę, którą sam poznałem. Co prawda tylko z przelotnych wizyt, bo byłem prowincjuszem i zdarzało mi się odwiedzać stolicę rzadko i to zawsze tylko na parę dni. Była ona już wtedy inną od tej Pańskiej i jakże pewnie inną od dzisiejszej. Gdybym chciał ją opisać z zachowanych w pamięci fragmentów, to ani Pan nie poznałby jej, ani jej dzisiejsi mieszkańcy by jej nie rozeznali. Pozostanie Warszawą podpisanego.

Więc co nam zostało z tej Warszawy Pana? Nie jej obraz, czy opis jej przestrzeni. Nie, bo wiemy, że tu zachodziła trudność ogromna i nieprzezwyciężona. Biografowie nadmieniają w życiorysie Pana o bolesnej dolegliwości, której los Panu nie oszczędził, o tym że cierpiał Pan na to, co w psychopatologii nazywa się agorafobią, lękiem tej właśnie przestrzeni. Wyobrażam sobie, jak trudno było Panu wstępować schodami redakcji, kiedy ręką macał Pan ścianę klatki schodowej, z zamkniętymi oczami, byle tylko jak najdalej od balustrady, jak odwracał Pan oczy od sinej smugi, lasów na horyzoncie widzianych z okna mieszkania na piętrze, jak wahał się Pan przed przejściem z jednego chodnika Nowego Świata na drugi, odwracał Pan oczy od perspektywy Alej Jerozolimskich i unikał tak zaludnionej, zadrzewionej pustki Ogrodu Saskiego.

I jaka szkoda. Bo gdyby nie ta przypadłość, to moglibyśmy Pańską Warszawę oglądać do dzisiaj. Przecież wbrew zahamowaniom sylwetkę jej dalekich dachów ocalił nam Pan, jak Canaletto. Przypomnę, jak to bohaterka pańskiej powieści w drodze pociągiem z powrotem do Warszawy imponuje swej towarzyszce, pani naczelnikowej, znajomością miejskiego pejzażu: „O! wieża kościoła ewangelickiego... na lewo Święty Krzyż... na prawo kościół Panny Marii... Coraz wyraźniej!...”. Tyle wszystkiego. Ale o ludziach, o stosunkach ludzkich to niezmierzenie u Pana.

W swych powieściach, opowiadaniach, w swych Kronikach Tygodniowych w *Kurierze Warszawskim* i w artykułach w *Tygodniku Ilustrowanym* zajmował się Pan tym niestrudzenie. Troszczył się Pan i pisał o nędzy mieszkań stróżowskich, opisywał nam Pan, jak wyglądały szpitale warszawskie i warszawskie rajszule, tak samo interesowały Pana mody damskie jak drożyna

mięsa i pieczywa, zabawy w Ogrodzie Saskim i wycieczka Wisłą do Góry Kalwarii parowcem „Paryska Gondola”, kwesty wielkanocne, epidemia kankana, tak samo Polki wyjeżdżające na studia na uniwersytet petersburski, jak tragedia ulicznicy „szupasem wydalonej” z miasta, tak samo bale w resursie obywatelskiej w mieście, jak sprawy serwitutów czy plagi stonki ziemniaczanej na wsi.

Nie ma już i tej Pańskiej Warszawy, ani tej, jaką ja sam znałem przelotnie. Więc co z tamtego ocalało? Może Pan i z politowaniem i pobłażliwością przypomni mi że przecież, jak to tam było? „... płomień rozgryzie malowane dzieje... pieśń ujdzie cało...”, że niby słowo, mowa, tego nic nie wykruszy, to się ostanie, po tym się poznamy. To i prawda, i nie. Co zostało, powiedzmy, z mowy, którą rozzmieszały nas figury z Pańskich Kronik Tygodniowych? Kto dzisiaj zrozumie ich bohatera, eleganta jakby wyciętego z karykatury Kostrzewskiego, co to wybiera się na bal sylwestrowy „en frak, en biały krawat, en lapisowe rękawiczki...”. Ale nie tylko te pełne wówczas galicyzmów warszawizmy mieszczańsko-szlachecko-kupiecko-burżuazyjnej warstwy, ale i język przekupniów, tragarzy, rzemieślników, kolejarzy, piaskarzy, badylarzy, przedmieścia, Targówka naszych czasów, ten już zupełnie się przeinaczył. Co prawda gwary czy dialekty czy żargon miejski, zawodowy, środowiskowy zmienia się z roku na rok, i choćby nie wiem jak trafny i dosadny słownik jego ulega zatraceniu. A z mową tak zwanego „towarzystwa”, profesorów, literatów, pięknoduchów czyż nie to samo? Nie byłem nawet pewien, jak zacząć list do Pana dzisiaj, jak go zainwokować, bo przecież niedawno przed Panem ludzie tamtej emigracji pisywali przez „Czcigodny Ziomku”, co już Panu wydałoby się dziwaczne i śmieszne, któż tego nie wiedziałby lepiej niż Pan sam.

A słownik inwektyw! Kiedy autor niezapomnianego dziennika subiekta w Pańskiej powieści, po powrocie za młodu z wojny na Węgrzech dojechał z Lubelszczyzny wynajętą furą żydowską do Warszawy, i gdy ten podróżny już w mieście płacąc za transport miał pretensje do woźnicy, że to za drogo, że byli z nim także i inni, co na rogatce ulotnili się jak kamfora pasażerowie, furman żydowski zbył go: „Jacy pasażerowie? Te parchy?”. Semantyka tej inwektywy nie przeszłaby dzisiaj, proszę Pana, a nie znaczy to, by zabrakło innych inwektyw pod adresem Żydów. Nawet gdy nie ma już, czy uwierzy Pan? nie ma już więcej w Warszawie Żydów...

W opowieściach i opowiadaniach Pańskich o Warszawie, które i słusznie pozwolą historykowi odtworzyć sobie klimat, świat,

ludzi, stosunki tamtejsze z niesłychaną dokładnością, zadziwiającą ale i rozumiałą jest jedna omisja. Ten historyk i poszukiwacz za lat sto czy dwieście nadaremnie będzie rozglądał się w Pańskim dziele za tym, co stanowi o politycznym ustroju kraju i miasta. Dowie się na przykład, że poza pierwszymi liniami kolejowymi funkcjonowała jeszcze tu na przykład poczta, nie tylko fury żydowskie, ale ekstra poczta wożąca „pasażerów”. Ale nie dowie się, jaki był język urzędowy tej instytucji paszportowej, która przykładała pieczęcie na dokumentach ludzi podróżujących. O niektórych najważniejszych wydarzeniach czasów Pańskiej wczesnej młodości, w których brał Pan udział i które były szokiem Pańskiego życia wspomina Pan zagadkowo, że „warzyło się piwo, które dzisiaj wszyscy pijemy”. O tym, że Pan sam jako młodziutki chłopaczek mieszał w tej kadzi, ani słowa.

Kiedy w studiach z literatury zaklasyfikowano Pana jako „pozytywistę”, to pewnie rozczytywał się Pan w pozytywistach, szczególnie angielskich, jak Buckle, Darwin, Huxley. Czy przypomina Pan sobie, jak Darwin w czasie swej słynnej podróży naokoło świata na statku H.M.S. Beagle wylądował z partią majtków i naturalistów na wybrzeżu nieznanej wówczas Australii. Napotkali oni tam wtedy parę tubylców, mężczyznę i kobietę, dwoje przedstawicieli dziwnej rasy, będącej na najniższym stopniu rozwoju gatunku ludzkiego. Byli dosłownie nagi, żadnych ozdób nie nosili, nie mieli żadnych narzędzi czy broni. Byli czymś niższym niż koczowniczy pasterze czy łowcy, byli z kategorii podczłowieczej, którą uczeni antropologowie klasyfikują jako zbieraczy, włóczęgów, łazęgów, poszukiwaczy jaszczurek, glist, korzeni, pędów jadalnych którymi wzgardziły nawet zwierzęta. Tych dwoje schylonych i kucających nad swoją zbieraniną nagle znalazło się w obliczu ludzi z innego świata, zbrojnych, przyodzianych, porozumiewających się pomiędzy sobą jakąś inną, artykułowaną mową, groźnych i obcych, silnych i brutalnych. Przyniósł ich tu ogromny, przerażający, pływający obiekt, uskrzydłony w wydymane wiatrem błony. Wobec tak przemożnej, przerażającej, niepojętej i groźnej zjawy tych dwoje znalazło jedyną drogę ucieczki, ocalenia: zignorować ją. Darwin notuje, że tych dwoje w dalszym ciągu błdziło po tym wybrzeżu pierwotnego kontynentu, pochylało się nad swoimi znaleziskami i nie obdarzało najeźdźców nawet spojrzeniem. Ci jakby dla tych dwojga nie istnieli. Czy dobrze Pana zrozumiałem?

A nawet w ostatniej powieści Pańskiej, kiedy po 1905 roku zelżało dla piszących, stare uwarunkowanie kazało Panu w dalszym ciągu nie widzieć intruzów, pisać tylko o swojszczyźnie, i tragicznie i z humorem, jak to u Pana (pisk dziewczęcia w tyl-

nich rzędach zaciemnionej sali w czasie podziemnej prelekcji bojowców: „Proszę nie szczytnąć!”) i łomot po nocy w okna chałup ówczesnych, dobijających się tam „chłopców z lasa”.

Wpadł mi ostatnio w ręce jeden przewodnik, prawdziwe curiosum, co tylko wydany przedruk, facsimile angielskiej wersji przewodnika Baedekera po Rosji, tej jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Jak wszystkie inne przewodniki, które zapoczątkował dr Karl Baedeker w Lipsku, a syn jego dr Fritz Baedeker kontynuował, jest on bardzo akuraty, rzeczowy, z prawdziwie niemiecką pedanterią i dokładnością dający opis miast i krajów, jakie wypadnie zwiedzić podróżującemu, a z najbardziej praktycznymi informacjami dotyczącymi się spraw paszportowych, opłat celnych, możliwości hotelowych, cen w restauracjach, łaźni, włącznie z cenami kursów dorożek jednokonných i dwukonných, na gumach i bez, z wyszczególnieniem wysokości napiwków, wstępów do galerii, biletów teatralnych.

Ten *itinéraire* po Rosji carów daje do wyboru kilka dróg wiodących do Petersburga, Moskwy, Kijowa, Odessy, praktyczne szczegóły dla tych, co zechcieliby odwiedzić miasta krajów bałtyckich, Finlandię albo Kaukaz. Zdziwiałące jest, że na zakończenie jest tam zaproszenie do podróży koleją transsyberyjską, potem przez Mandżurię aż po Władywostok, odwiedzenia niedawnych pobojuwisk Portu Artura, Mukdena, Liao-yanu, co precyzuje ostatnią datę wydania. Najbardziej zaskakuje w nim propozycja skromnego wypadu po drodze do Pekinu i oględzin przy tym Muru Chińskiego, *side-show* w tym gabinecie osobliwości. A więc od Warszawy po Pekin, kawał świata.

Bo oczywiście u samego wstępu *itinéraire* ten oprowadza nas po kraju przywiślańskim, z pierwszym wielkim miastem do zwiedzenia, Warszawą. A że całość jest naszpikowana informacjami nie tylko praktycznymi, ale i historycznymi i pokrótką charakterystyką wszystkich szczepów, narodowości imperium, ich języków, religii, sekt, wyznań, mówi o ich cechach antropo- i etnograficznych, napomina o sztuce takiej i owakiej, o zabytkach przeszłości i wytworach kultury folklorów, to znajdzie się tu i profil ludności kraju przywiślańskiego. I tu pedantyczni Niemcy są prawie że liryczni. Pełno tu superlatywów, których poskąpili i Wielkorusom i Białorusom i Małorusom. O Tatarach, Tadyżkach, Karabachach, Lezginach, Czerkiesach, Czeremisach, Turkomanach, Kirgizach, Jakutach, Samojedach, Kamczadałach tylko pobieżnie i rzeczowo. Ale o Polakach po prostu lirycznie, warto posłuchać, przepisać: „Polacy są wzrostu średniego, szczuplej ale muskularnej budowy, o włosach jasnych. Kontrast pomiędzy niższymi klasami i *noblesse* (czyżby dr Karl Baedeker czytywał Piekosiń-

skiego i jego elukubracje o pochodzeniu szlachty polskiej od Normanów?) jest uderzający. Tych ostatnich, tak co do strony fizycznej jak i charakteru, cechuje elegancja w najwyższym stopniu. A Polki to już słyną z wdzięku i urody...”.

Warszawa wedle Baedekera jest całkowicie polska, pomimo dwujęzycznych nazw ulic i szyldów sklepowych. O rosyjskości jej mówi tylko świadectwo Cytadeli, kopuły soboru pod wezwaniem Świętego Aleksandra Newskiego na Placu Saskim, Pomnik na pobojuwisku Grochowa, który miał upamiętnić decydującą podobno szarżę kirasjerów rosyjskich pułku Księcia Albrechta Pruskiego, no i mundury, wojskowych, urzędników, studentów, „stójkowych” na ulicach, sinych szyneli żandarmów, „fiółków”, na „woksalach” kolei warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-terespolskiej. Przewodnik daje krótką (i akuratną) historię Polski przedrozbiorowej, a przy opisie kościołów, pałaców Brühla, Staszica, pałacu Kazanowskich, Zamku, Belwederu, Wilanowa nie mało informacji równie dokładnych z historii kultury miasta. Jest tam i o kościele farnym Świętego Jana i o Starym Mieście, o Dynasach i Królikarni, o warszawskim towarzystwie łyżwiarzy i cyklistów i o tym nawet, że Ogród Krasieńskich frekwentowany jest wyłącznie przez żydowskich mieszkańców miasta...

Moje pretensje dotyczące się mej znikomej wiedzy o Warszawie, mam na myśli Warszawę mi współczesną albo Panu współczesną, a nie historyczną, kieruję pod adresem beletrystów. Bo autorzy piszący o Warszawie brali za oczywistość to, że każdy tę Warszawę zna, że ma tę swoją własną o niej wiedzę. Tak samo i malarze, z wyjątkiem Gierymskiego może i Podkowińskiego, omijali jej temat. I tak będzie zawsze. O Paryżu nie napisze paryżanin, o Nowym Jorku nowojorczyk, o Xanadu napisze ktoś nawet kto nigdy tam nie był. Pan sam, Panie Aleksandrze, napisał kiedyś ustęp w swej powieści o Paryżu, zanim zdarzyło się Panu go zobaczyć.

Kiedy już jednak wyczerpałem i stare reportaże dziennikarskie i niezapomniane Pańskie Kroniki i przewodnik Baedekera, wypada dać i coś samemu.

Powiedziałem już, że znałem Warszawę z paru przelotnych wizyt. Ale cóż to ja mogę o tym napisać? Dojeżdżało się do niej od nas pośpiesznym pociągiem, linią Lwów - Rawa Ruska - Piaski Lubelskie - Rejowiec... Gdzieś pod Otwockiem do przedziałów zapchanych śpiącymi podróżnymi wtłaczali się mieszkańcy podmiejskich osiedli dojeżdżający do pracy, urzędnicy, oficerowie do GISZ-u z teczkami, uczniacy. Za oknami pociągu był ten podmiejski krajobraz zabudowań, torów, fabryk, ruder Wawra, Grochowa, Pragi, will Saskiej Kępy. Potem most przez

Wisłę i tunel i oto... Ale przed tym jeszcze, gdzieś na którejś stacji podmiejskiej wcisnęła się do wagonu para, starzec zgarbiony ale tęgiej postury i dziewczyna w szalu. I zatrzymując się u drzwi przedziałów dawali koncert. Stary pan miał przewieszoną przez szyję, wspartą na ciężkim brzuchu gitarę, której struny potraçał palcami akordów i on barytonem, a dziewczyna cieniutkim głosem zaciągali słowa jakiejś sentymentalnej ballady, słowa których nie spamiętam. Ale pamiętam, aha, że ten pan miał piękne, pokrętne wąsy i chytrze przymrużone oko i wiedział, jak podejść słuchaczy, stary cwaniak estradowy, dzisiaj grajek w podmiejskim pociągu, a dziewczyna była odpowiednio cienka i zabiedzona i wyciągała do podróżnych tackę z miedziakami. Taka para biednych, podmiejskich ptaków.

A w Warszawie już przed wieczorem, w przedwieczornym ruchu stałem u krawężnika Marszałkowskiej i właśnie Alej Jerolimskich, stałem i gapiłem się jak zaczarowany na małego, malutkiego gazeciarza, który smyrzał pomiędzy ludźmi z paczką gazet pod pachą, wydawał resztę, dawał nura pomiędzy taksówki by wskoczyć w biegu do tramwaju i zaraz wyskoczyć, po przecięściu się wzdłuż wozu, wyskoczyć z tylnego pomostu i znowu nurkował wśród tłumu przechodniów, zalatany i ważny i miał nawet czas, by rzucić mi w przelocie: „Co się tak na mnie wygłupia?”.

Na tym samym ruchliwym skrzyżowaniu ulic, w tym przedwieczornym ruchu, na skraju chodnika stał niedużego wzrostu, prosty jak świeca, ściśnięty po wierzchu długiego kawalerskiego płaszcza pasem, w okrągłej, z jej amarantowym otokiem i okutym daszkiem czapce pierwszego pułku szwoleżerów, kapral, o surowej, twardej twarzy młodzieńczej, z wielką szablą, której garda sięgała mu pod pachę (*sabre de cavalerie modèle 1815*, jakie były na uzbrojeniu tego pułku), kapral, który wybrał się na przepustkę do śródmieścia i stał tam na rogu, osobno od tłumu, „*Der traurige Bua*”, bezdomny żołnierz, tak znany z pocztówek, ilustracji i propagandowych plakatów, jeszcze jeden z ptaków tego wielkiego miasta.

A innego dnia znowu byłem w Parku Łazienkowskim, bo jakżeż to być w Warszawie i nie zejść do Łazienek Królewskich. To było w takie jesienne, słoneczne popołudnie, Pan wie, słońce przeciekające złoto przez czerwone i złote liście. Było niespodziewanie pusto tam i bezludnie i minąłem tylko siedzącą na ławce przy ścieżce parkowej jakąś pannę. Nie jakąś pannę, ale najprawdziwszą, słynną, szykowną warszawiankę i do tego bardzo przystojną, piękną, tak sobie tam czujnie zadumaną, i miała oczy! jak Boga kocham, miała oczy lazurowe, niezwykająn lazuro-

wością. Aż mnie to zżymnęło, żeby zwykła wycieczka do parku miejskiego miała mieć właśnie tyle uroku w tym zjawisku, tak oczywistego że aż banalnego, dziewczyna w parku, dziewczyna o nadzwyczajnie lazurowych oczach, banał, co tu ukrywać.

Ale że było to tyle lat temu, to nawet nie mogę opędzić się dzisiaj podejrzeniu, że to może ja sobie to jakoś sam dośpiewałem, może to nie była dziewczyna, ale samotna stara kobieta o zażawionych oczach, może nie było słońca tylko nagie gałęzie drzew, mokre od wody deszczowej, a ja sobie to na odległość upiększam. Czy można sobie samemu ufać, Proszę Pana?

A może był to jeszcze jeden ptak tego miasta?

Mam za sobą jeszcze inny urywek warszawski i tu mi Pan nie zarzuci, że wymyśliłem coś czy upiększyłem. Było to w zimie, także w czasie jednego z mych krótkich wypadów do Warszawy. Zima była ostra, z Wisłą skamieniałą pod lodem. Śnieg leżał wszędzie, jak to zawsze śnieg miejski brudny i poczerwiał, z wyraźnie w nim rysującymi się konturami dachów, bezlistnych drzew, czarnymi, ruchliwymi przecinkami ludzi, dymami ulatującymi z kominów miejskich i parą kłaczącą się w kłębach, parą oddechów ludzkich i końskich. Z wysokiego brzegu Powiśla Praga również wydawała się jak negatyw fotograficzny, białło, białło aż po horyzont. Mosty przeskakujące po przesłach z jednego brzegu na drugi, kolejowe, drogowe, na nich sunące tramwaje i samochody, lory ciężarowe i wozy, dorożki, przechodnie. Wzdłuż Mostu Poniatowskiego, dołem, poprzez pokrytą warstwą śniegu lodową powłokę rzeki biegła wydeptana w śniegu krzywa ścieżka pieszych, co to z fantazji czy dla jakichś innych potrzeb i przyczyn wykorzystali zamarłą, nieruchomą solidność wód rzeki, by z Saskiej Kępy przejść po śródmieścia. No to i ja, nowicjusz, przybysz, obcy, wybrałem się na praską stronę, pieszo, ścieżką po lodzie, by poczuć pod podeszwami butów solidność i nieruchomość żywiołu o innym czasie przegradzającego oba brzegi. Wybrałem się, by podkreślić moją tutaj obcość, przyznać się do niej samemu, intruz w miejscu, w którym wydawało mi się, że za moją inność wszyscy wytykają mnie palcami. Dlatego ta wyprawa na Pragę po lodzie...

To wspomnienie warszawskiej zimy uprzytomniło mi, że dysponuję jeszcze jednym źródłem nieocenionym znawstwa Warszawy. A tym była literatura dzieciennego pokoju. W tych opowiadaniach na użytek niedorośli było i swojsko i egzotycznie i niebywale. W jednym było swojsko o warszawskich Józkach, Jaśkach i Frankach i Joskach, Mośkach i Srulach tamtejszych ulic, w innym o niedorośliwych dzieciach-snobach, które wystrojone,

chłopcy w sztywnych wykładanych krochmalonych kołnierzach a dziewczęta z kokardami na rozczesanych włosach zjeżdżają się na zamknięcie i popis co tylko ukończonego „kompletu” tańca. Wszystko tam pomieszane, taka gmatwanina i typów ludzkich i zwierząt i przede wszystkim ptaków, warszawskich ptaków, wróbbli ulicznych, gili, szczygłów, tak kolorowych, bo to w zimie, żywych na tle zimowych gałęzi drzew Alej Jerozolimskich, a jakże, bardzo dziwnie brzmiące to dla uszu z dalekiej prowincji — Aleje Jerozolimskie! I „metr”, Pan Puchała, w jednej ręce skrzypce w drugiej smuczek, sam we fraku i z chustką batystową podłożoną pod brodę, proponuje: „Zanim zaczną schodzić się goście, przetańczmy jeszcze raz menueta...”.

Ażeby już Pana całkiem zanudzić, pozwolę sobie na jeszcze jedną relację z wydarzenia najzupełniej dzisiejszego, mam je co tylko poza sobą. Ale i tak wydać się ono może zamglonym przypomnieniem albo i snem, chociaż to była zwykła jawa. Sny nas prześladową, w nich to nawracają ku nam sprawy dawne, zapomniane, w nich odpokutowujemy za grzechy popełnione po trzēwemu. Ale żeby pokutować na jawie? Sen to co innego, Pan sam zresztą ma za sobą jedno opowiadanie o tytule „Sen”, nieprawda?

Otóż jakiś czas temu wybrałem się w podróż nocą, samochodem, gdzie i po co to nieważne. Jechało się w grudniu, kiedy drzewa są takie inne, te liściaste o gołych i patykowatych gałęziach, a sośnina czerni się włochatymi od szpilek czubami. Po grudniowej nocy niewiele i tak zobaczy, tylko światła reflektorów samochodowych zamiatają po tych drzewach na krzyżwiznach drogi i pusto wszędzie, żadnego ruchu, bo to noc i rzadkie osiedla uśpione i ciemne. Jechało się od nas na południowy wschód, naprzód szeroką, wielotorową arterią a potem z autostrady nr 95 skręcając w boczną drogę stanową nr 17, i jechało się po nocy, wśród lasów, historyczną krainą, bo Tidewater Wirginii to przecież najwcześniej zasiedlone wybrzeże Stanów. Już życie stąd dawno odeszło gdzie indziej i jest tu po nim tak pusto, tli się jeszcze powolutku w najstarszych osiedlach. O dawnym świadczą tylko liczne tablice przydrożne dla turystów, ufundowane przez jakieś towarzystwo historyczne, informujące o zapadających w niebyt wydarzeniach w danym miejscu, markujące pobojowiska, miejsca urodzin słynnych ludzi i inne markantne sprawy, których na tym najstarszym wybrzeżu kontynentu bez liku.

Przed świtem zatrzymaliśmy się, a no w jakiejś budzie wpośród niewielkiego osiedla, do której przylegał zamknięty o tej wczesnej porze sklepik z drobnicą i jakiś magazyn, ale najważ-

niejsze było to, że był tam i kontuar i parę stołków i zaspany gospodarz tego lokalu mógł nam coś upitrasić naprędce, jajecznicę i boczek, bo okazuje się, że obsługiwał tam stale pracowników z nocnej szyciły tutejszych jakichś zakładów drzewnych i tartaków.

Bo naokoło lasy i lasy, a tu, po nocy, sterty, zwały pni, kłoców, desek i wszędzie te trociny i światła tartaków. Przy tym ich światło, kiedy po śniadaniu wyszliśmy do samochodu, patrzę, na skrzyżowaniu dróg, w pobok jakiejś starej budowli o murach z poliszajonych cegieł jest na słupku tablica, a jakże, z informującym napisem:

WARSAW

When Richmond County was formed in 1692, this place became the County Seat and was known as Richmond Courthouse. The village was renamed Warsaw in 1848 in sympathy with the Polish struggle for liberty...

W Stanach jest kilka Warsaw, Warszaw większych i mniejszych, ta nie należy, jak widać nawet i po nocy, do tych największych. Może jest tej wielkości co Warszawa książąt mazowieckich, kiedyś w trzynastym czy czternastym wieku, pewnie ma jakieś niecałe tysiąc mieszkańców, gdy za czasów książąt co siedzieli po swych zamkach w Rawie, Ciechanowie, Czersku przyszła stolica była osadą drwali. Bo z etymologii wiadomo, że nazwa prawobrzeżnej Pragi wywodzi się z przemysłu, „prazenia” drewna na węgiel, smołę, popiół, potaż, spławiane potem Wisłą. A naokoło były lasy, puszcze i bory i knieje, podrosty, poręby, zapusty, wywały, wiatrołomy, naloty dębów, jesionów, jaworów, klonów, wiązów, grabów, brzoź, jodeł, świerków i przede wszystkim sosny. I jakie sosny! Boże! Sięgające niebotycznych wysokości pnie ich borów, różowiące się w słońcu. I wpośród nich ptaki...

Bo sosna jest wszędzie. I w Luizjanie i w Patagonii, w Maine, na Bermudach i na Uralu. Ale nigdzie jej do naszej. Tutejszy najpowszechniejszy gatunek to *pitchpine*, niezły gatunek, ale gdzieeee tam...

Ale do rzeczy, wróćmy do tej skromnej tablicy w dalekim Tidewater Virginii. Dla nas obieżyświatów natknięcie się na jakiś rezonans polszczyzny wśród obcych to albo deprymująca niewiedza o niej u napotykanym obcych, albo gorsza jeszcze od tego zdawkowość i banał. A tu, ni stąd ni zowąd, w świecie

dosłownie zabitym deskami, gdzieś daleko, za światami, kiedyś z górą sto lat temu taki wyraz porozumienia.

Pakujemy się do samochodu, jeszcze mile drogi i o twardym, stalowym świcie odsłaniają się przed nami wody zatoki Chesapeake Bay, celu naszej podróży. Lasy zostały za nami, wierne nam tylko ptaki. Górą słychać świst skrzydeł kaczek ciągnących o świcie na żerowiska, a na czarnym piasku płycizn po ustępującym odpływie zbierają się kuliki, dekadce, brodzie, szczudłaczce, bekasy, siewki, ostrygacze i przechadzają się i podrygują i kłaniają na sprężynowatych nogach, długodziobe i podkasałe, czekając na komendę dyrygenta przed porannym popisem:

„Zanim zaczną schodzić się goście, przetańczmy jeszcze raz menueta...”.

Kiedy napomknąłem już poprzednio o tym, że nie bardzo wiem, jak za czasów Pana należało zapoczątkować list, tak samo nie bardzo jestem pewien, jaką formę zastosować przy jego zamknięciu. Ale podpatrzyłem taką w opublikowanej korespondencji Pana i chociaż teraz może brzmieć ona staromodnie i uroczyście, proszę mi pozwolić posłużyć się nią, bo użył jej Pan wtedy w liście o treści najbardziej Pana obchodzącej. Pozwolę sobie ją przepisać:

Zapewniam o najgłębszym szacunku i czci

Sługa

Zygmunt HAUPT

Kultura nr 304/305, 1973.

TRZY

Nazywa się ta rzecz: *Wieczory rodzinne*. Był to dobrze oprawny w angielskie czerwone płótno tom *in quarto*, o świetnym papierze i z dobrymi kliszami ilustracji. Właśnie jakby z powodu tych ilustracji był tam także artykuł o sztuce ilustracyjnej, o całej technicznej stronie grafiki, a więc o drzeworytach, miedziorytach, sztychach, akwafortach, monotypiach, o litografii, jak to tam wytrawia się w kamieniu kwasami rysunki, a rysunki te oczywiście robione są „na lewo”, jako że dopiero po odbiciu mają wyjść jak należy. O ilustracjach wykonywanych metodą cynkografii siatkowej, i były tam w powiększeniu przykłady tego jak przy użyciu „rastrów” wszystko na kliszach wychodzi w czarnych i białych punkcikach, które jakżeż to przepływają i zlewają się tam, gdzie trzeba by dać efekt plastyczny.

Czego tam nie było! Była tam historia Hajoty czyli Pani Rogozińskiej o wyspie Fernando Po u brzegów Afryki, o internowanych tam przez rząd hiszpański powstańcach z dalekiej Kuby. Była tam historia, „Dwaj mali dobosze” o walkach na Północno-Zachodniej Granicy, historia po kiplingowsku wcale „jingo” ale jakże po majstersku opowiedziana. W lata potem zapoznałem się z nią w oryginale, którego tytuł brzmiał nieprzetłumaczalnie: *The Drums of Fore and Aft*. Historii tej towarzyszyła znowu kolorowa ilustracja (metodą offsetu), na całą stronę, na tle skał Khyber Pass jakiegoś Waziristanu czy Kafiristanu, dwie czerwone figurki chłopców, jeden w białym korkowym hełmie, a drugi z gołą głową, idący samotnie naprzeciw zmasowanej gdzieś za brzegiem ilustracji armii Afrydów czy Pathanów, i te dzieci londyńskiego rynsztoku dają przykład bohaterstwa i giną. Co może i lepiej dla nich, jako że Afrydzi i Kurdowie bardzo byli łasi na chłopięce pośladki („szkoda, że za rzeką, a ja nie umiem pły-

wać...” — brzmiała koszarowa piosenka angielskich Tommies). Oczywiście to nie na owe czasy i Kipling, po którym przetrwały jedynie ballady koszarowe, nie posunął się za daleko.

Cóż tam jeszcze było w tych *Wieczorach rodzinnych*? Aha, był Cypriana Norwida szkic dramatyczny, tytułu nie pomnę, dramat z czasów rzymskich, wojen punickich, oczywiście z ilustracją, na której umiera ukrzyżowany Kartagińczyk Mago. Był sążnisty artykuł Leona Pinińskiego, o sztuce, a za tytuł miał „Przechadzki po muzeach madryckich”, z wieloma oczywiście reprodukcjami arcydzieł tam nagromadzonych, już nie pomnę co z tego tam było, pewnie Velasquez, Goya, El Greco, Zurbaran, pewnie te krynoliny i gorsety i koronkowe kołnierze i upończoszone łydki sztywnych grandów, infanty i karły i wielkie zady końskie i te tam dalekie andaluzyjskie, kastylskie i z Navarry pejzaże w tle. Już tego wszystkiego nie pamiętam, co ten szekspirolog tudzież namiestnik Galicji napisał o tym, sam z fotografii trochę na granda hiszpańskiego wyglądający, o którym pewien radca lwowski opowiadał mi, że kiedy w czasie socjalistycznych demonstracji huzarzy szarżowali z jego rozkazu na kotłujący się na Placu Strzeleckim tłum robociarski, to pan namiestnik zasiadł sobie do fortepianu, aby ten moment zilustrować sobie muzyką.

Było tam wiele innych rzeczy, groch z kapustą, ale jakże to dobrze zrobione i inteligentnie i ze smakiem i umiarem, i potem zawędrowało to sobie do dalekiej miłośnicy podolskiej, do pokoju z jego żarliwą lampą naftową pośrodku stołu, z jej zielonym abazurem i można było zagłębić się w kartach tej książki i odpłynąć w jakieś inne kraje i czasy, zaczadzić się sprawami odmiennymi, byle innymi, byle odległymi.

Był tam jeszcze wyjątek z pomnikowego dzieła tego dociekacza i podpatrywacza życia owadów, jakim był Jean Henri Casimir Fabre. Ale w pamięci pozostało mi z tego nie to, co było przedmiotem owego wyjątku, ale pasja, upór, skoncentrowanie się tego *voyeur’a*. Miał mi pozostać za wzór niedościgniony. Nawet wtedy, gdy pisze, czym za swe pasje musiał zapłacić.

Bo kiedy od świtu trwał na kamieniu w zasadzce u dołu wąwozu, podpatrując obyczaje os, to mijały go tam kobiety, pisze o tym, pracownice w drodze do winnicy. Kiedy o zachodzie słońca wracały z pełnymi koszami na głowie, ten wciąż tam siedział zagłębiany w rozmyślaniach, z oczami utkwionymi w to samo miejsce. Jego bezruch, upór z jakim trwał w tym samym miejscu musiał zrobić swoje wrażenie. Kiedy przechodziły, widział kątem oka, jak jedna puka się w czoło i słyszał jej szept pod adresem innych: „*Un pouré inoucènt, pecàire...*”.

I żegnały się znakiem krzyża świętego.

Powiedziała idiota, *un inoucènt*, biedaczysko, zgoła wcale nieszkodliwy, ale półgłupek i przeżegnały się, bo idiota to taki, co nosi piętno boże.

„No masz, pomyślałem. Cóż za ironia losu! Tylko co w takim trudzie chcesz dociec, czym jest instynkt i inteligencja stworzeń, a sam w oczach tych kobiet jesteś rozumu pozbawiony! Co za upokorzenie! Ale niech tam: *peccaire*, w dialekcie prowansalskim określenie najgłębszego współczucia, wypowiedziane tak z głębi serca pozwala mi zapomnieć o *inoucènt*”.

.....

A próbowali mnie odstraszyć, namówić do powrotu. Już pomijając sam fakt uporu z mej strony, bo to im było wcale zrozumiałe, dzisiaj poszukiwacz i badacz nie jest, jak Fabre, uważany za pomyłonego i dziwaka, nauka dopięła się swego prestiżu, ma swoje uważanie, ale mój całkiem amatorski pomysł wydał się im naprawdę z pierza. Mówili mi: „Ukamienują!”. Najzupełniej biblijnie ukamienują. Miejscowi, od pokoleń tu zasiedzieli coś o tym wiedzieli, nie? Przecież, mówili mi, mają całkiem ludzkie, chwytne palce u rąk, a w tym veldcie kamieni a kamieni, zatłuka jak nic.

Veldt. Rano, kiedy się nań wyszło, jarzył się różowo od afrykańskiego słońca, suchy, sterczący badylami i krzaczowiskiem. Wiem o tym, bo z czasów *Wieczorów rodzinnych* zapamiętałem go z innej książki, jaką mi ojciec raz przywiózł, a tytuł jej był *Dżok, przygody psa i jego pana w puszczy*.

Ale nie dałem się odwieść. Nie robiłem żadnych specjalnych przygotowań, wybierałem się w veldt prawie nagi. W porwanej koszuli khaki i wytartych na siedzeniu szortach i na nogach miałem tylko trochę keksów i kilka pastylek aspiryny. W kieszeniach szortów nóż składany i fularową chustkę do nosa, z której w razie czego mogłem zrobić sobie prowizoryczne nakrycie głowy przed słońcem. Nawet nie miałem ołówek, wszystko chciałem zawierzyć pamięci, a nie odstraszać jakimiś dziwnymi gestami zapisywania czy robienia notatek. Dla poczucia bezpieczeństwa, bo jest się ostatecznie tchórzem, nie? pod pachą lewego ramienia miałem umocowaną, przypasaną olstrę, w niej mały, 6,35 m/m pistolet automatyczny, Mauser, z zapasowym magazynkiem. Bo przecież w razie czego...

Przestrzegali, mówili mi: „Ukamienują!”. Toteż zachowywałem się jak najprzystojniej, jak najspokojniej, wlokąc się powoli na czele, po bokach i z tyłu. Pośrodku samice z małymi. Te albo

uczezione ich brzuchów, albo w podskokach i podrygach dziecięcych, ale zawsze trzymające się matek.

Kiedy banda zatrzymywała się, by zająć się zbieraniną, to porządek trochę się rozluźniał, ale teren wciąż obstawiały pikiety i posterunki, bacznie obserwujące przedpole, horyzont. Ja sam przysiadłem wtedy w kucki na ziemi, znieruchomiały, wystrzegający się jakichś nagłych, mogących wzbudzić niepokój ruchów. Powoli przyzwyczajono się do mnie, do widoku mej postaci, bo wlokąc się za nimi garbiłem się i upodabniałem jak najbardziej sylwetką i ruchami do reszty. Starłem się być jak najmniej zauważalny, nie istnieć, swoje własne istnienie poświęcić tylko życiu innych, oderwać, odwrócić uwagę od siebie, nie być. Jak to mówi się retorycznie, cały zamienić się we wzrok, w słuch. Nawet nie czułem much obsiadających spoconą powierzchnię niezastłoniętego ciała, nie czułem nawet pragnienia ani nie chciało mi się jeść, nie dokuczało mi palące z góry słońce. Kiedy przysiadłem w kucki wśród wypalanej trawy veldtu, to nie czułem nawet bólu i skurczu mięśni nóg niewzwyczajonych do tej pozycji. Sam nie istniałem. Udało mi się tego dokonać. Czyżby?

Zgraja posuwała się powoli, leniwie, ale stale i uporczywie w jednym kierunku. Flankierskie placówki zmieniały się na jakiś niewidoczny, nieuchwytny sygnał dawany przez jej herszta. Czasem dochodziło do starcia pomiędzy jakimś dwojgiem, wydzierającym sobie jakiś smakołyk, glistę czy jaszczurkę znaną pod odwróconym kamieniem. Czasem padał sygnał, fałszywy alarm, na który rozbiegane towarzystwo skupiało się w obronny, wędrowny obóz. Alarm był fałszywy, wywołany przez płochliwe antylopy, wśród których pasącego się rojowiska posuwaliśmy się zdecydowanie i pewnie, chociaż tak niezauważalnie.

Pomimo powolnego ruchu, a częściej bezruchu, kiedy w swoich obserwacjach przysiadłem na piętach, to jednak koszula lepiła mi się do pleców, poczerniała od potu. Ale pochód odbywał się bezustannie i od czasu do czasu uprzytamniałem sobie, że jestem dobrze w tyle, poza strategicznie obronnym kręgiem zgrai i wtedy doszłusowywałem co rychlej. Bo przy całej narzuconej sobie pozie nieistniejącego obserwatora miałem pełne poczucie braku bezpieczeństwa i przypominały mi się ostrzeżenia autochtonów i macałem pod pachą kolbę Mausera.

Bo przestrzegali, mówili mi, że jak mnie nie ukamienują, to kiedy tak starałem się upodobnić, to najpewniej stanę się ofiarą czającej się za bandą, idącej w jej ślad cętkowanej bestii, „krążącej, szukającej kogo by pożreć”. Mówili mi, jak się upodobnisz to nawet się nie spostrzeżesz, skok, kły wczepione w kark,

straszliwe pazury wyszarpujące ci wnętrzności, rozorywujące ci twarz, zobaczysz. I nawet wydało się im to śmieszne, zabawne, makabryczny kawał, że przez pomyłkę będę uznany za jednego z tamtych, ofiarą *qui pro quo*.

Z nadejściem nocy, która tu zapada nagle jak opadła na oko powieka, całe towarzystwo sadowiło się wpośród gałęzi drzew akacjowych veldtu. Mnie przychodziło noclegować samemu wśród traw.

Nade mną rozciągało się dziwne, obce, czarne niebo, ponabijane dziwnymi obcymi gwiazdami. Układały się w jakieś nieznane, nieogłądane w naszych stronach konstelacje, Krzyż Południa, Corona Australis, Argo, Alfa Centauri i Beta Centauri, Obłok Magellana... Zaczynałem układać je i komponować w przez siebie wymyślone, chciałem ich rojowisko jakoś uporządkować i ponazywać, pozawieszać wpośród nich mitologię własnego wyboru imion. A ładnie sobie ci Grecy wyrzeczowali mitologię, swoich bogów i półbogów, wyposażając ich we wszystkie ludzkie pasje, przywary, okrucieństwa, zawiści, kłótnie, intrygi.

Gwiazdozbiór Centaura nasunął mi pomysł wyrysowania na tym obcym niebie jeszcze jednej konstelacji. Będą to owe karmione ludzkim mięsem konie, ludojady, Klacze Diomedesa. Tylko zaraz! Wedle *Dictionnaire de la Fable* Chomprégo, konie te nosiły imiona wcale męskie: Podargus, Lampus, Xanthus i Dinus. Wyraźnie tam tak stoi. Więc skądże klacze? Powinno być ogiery.

A może były to konie-hermafrodyty? Wiadomo Hermafrodyt, cudownej urody syn Hermesa i Afrodyty, stał się za sprawą nimfy w nim zakochanej dziwolągiem natury, gdy ta uprosiła bogów, by połączyli ich na zawsze w jedno, w postać o oznakach obu płci, piersiach kobiecych i tak zwanych prywatnych częściach męskich. Kształt ten pokutuje w perwersyjnej sztuce od setek lat. Kiedyś, zwiedzając Luwr, widziałem pośród jego zbiorów rzeźb klasycznych, w rogu którejś sali, marmurową postać w na poły leżącej pozie, odwróconą od widzów ale z widocznymi pełnymi piersiami dziewczyny. Od strony ściany mur był dobrze wyszurany przez ciekawych chcących sprawdzić oznaki płci rzeźby, a dobrze musieli się precisić.

Proszę się nie śmiać, ale nawróciłem z tej „puszczy”. Co tu ukrywać, i stchórzyłem i dałem się powodzić fantazjom i ucieczkom myśli nie licującym z naukowym dociekaniem. Okazuje się, że nie było w mnie materiału na poszukiwacza, obserwatora, odkrywcę, kronikarza, plutarcha nawet prymitywnego gatunku.

.....

Do skarbów przechowywanych w panińskich biureczkach, szufladach, wśród puszek do pudru, wstążek, „harnadli”, mydełek, szpilek, żetoników, haftek, koralików, zatrząsków, szydełek, włóczek, kremów należą także zabłąkane tam stare bilety, przepisy na galaretkę, fotosy gwiazdorów, wycinki z magazynów, szarady, programy teatralne, święte obrazki, liściki. Należą się tam także kompendia przekazywane pensjonarską modą, zeszytiki z wykaligrafowanym na okładce tytułem PELE-MELE. Podobne do sięgającego dawnych lat „pamiętnika”, romantycznego albumu czy biedermajerowskiego sztambucha. A tam... Mój Boże, czegoż tam nie było! Prawdziwe *silva rerum* wierszy, epigramatów, powiedzeń, zaklęć, kuplecików, aforyzmów (w rodzaju: „Fikuniku, już ja jestem w Twoim Pamiętniku...”) do natchnionych ód czy inwokacji czy „złotych myśli” (w rodzaju: „Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały, choć przemija rażno, szparko, cios jej dłuta wiecznie trwały...”). Tak jak w starym sztambuchu: „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi, bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci...” czy w albumie tej złowrogiej Johanny urwany sonet o Jastrzębiu i tamże innego, obcego poety: „*Czto w imieni Ciebieja mojem...*”. A do tego wszystkiego rysunekki piórkiem czy blade akwarelowe girlandy kwiatków, niezapominajek, amorków, gołąbków, wstążeczek, słabo się robi...

Wspomnienie przeglądane kiedyś skromnego zeszytu pensjonarskiego Nietoty nasunęło mi pomysł historii jego pierwowzoru.

Miało to dziać się w okolicach, w których dóbr swych wyrzekła się panna ksieni Benedyktynek przemyskich. Co roku odbywały się tam przetargi na młode konie, zakupywane przez komisje remontowe korpusu jazdy Królestwa Polskiego i Imperium Rosji. W Kodni stał sztab remonty polskiej, czterech pułków strzelców konnych, pułku strzelców konnych gwardii, czterech pułków ułańskich i baterii artylerii konnej gwardii. W Berdyczowie była główna kwatera remontowa dywizji huzarów, pułków aleksandryjskiego, achtyrskiego, mariupolskiego i księcia orańskiego.

Konie spędzano do Berdyczowa na jarmarki, na świętego Onufrego 13 czerwca, na Preczyste 15 sierpnia, na Kosmy i Damiana 1 września, na Pochwalne w dniu 24 marca. Na targowicach u rogatki Machnowieckiej i rogatki Białopolskiej widzieć można było hurmy, tabuny i zgony ze stadnin Sanguszków w Gumnińskich, Padlewskich z Czerniawki, ogiery z Ołyki, kłacze z Jabłonowa spoza austriackiego kordonu, konie Boguckich z Czarnokońców, Dzieduszyckich z Jarczowiec, z Kuniszowiec pod Horodenką, konie z jarmarków na Pobereżu w Bałcie, w Ułaskowcach nad Seretem, z Dubna, chowy Grocholskich,

Abramowiczów, Podhorskich, Żurowskich, z Kulczyniec i Białej Cerkwi.

Miało to dziać się w Kodni, w karczmie, pod wieczór. Na stole miała palić się świeca przyniesiona przez Żyda, miała tam stać wódka w butelce z mętnego szkła, nadkrojony bochen chleba, kałamarnica z gęsim piórem i miał tam leżeć właśnie wspomniany tomik oprawny w safianową skórę, ze złoceniami brzegów jego welinowych kartek.

Przed gankiem karczmy miał stać huzar w dolmanie, z obnażoną szablą, z mosiężną łuską podpinki czeka okalającej jego dziobatą od ospy twarz. Miały podźwiewać ostrogi jego butów z ich rozetami u sercowatego wycięcia cholew. Na podwórzu miała paść się żydowska koza uwiązana na sznurze, a dalej, u żurawia, inni huzarzy w stajennych kitlach mieli poić w korycie konie.

Widok huzarów pojących konie miał mi nasunąć wspomnienie jakiegoś wiersza, nie jakiegoś wiersza, ale puszkinowskiej ballady o huzarze, i miałem nawet przytoczyć jej zwrotkę, chociaż ja to ledwie dukam w tym języku:

*Zdjesz na tiebia, kak lutiż zwierz
Gładiť chaziaj, a z chaziajkój —
Niebojsz, nie wimanisz za dwierz
Jejo ni czestju, ni nagajkoj...*

Tak to kiedyś przyzwocie zaczynało się opowiadanie, historię z niegdyśiejszych czasów. Zaczynało się oczywiście od wprowadzających szczegółów. Zacznijmy od Kodni. Gdzie to ta Kodnia? A no, na północ od Berdyczowa, na pół drogi do Żytomierza, chyba nad Teterewem. A Teterew? Pewnie podobny do Stochodu, do Ślucza, do Ikwy, do Horynia, leniwie przeciekający pomiędzy szuwarami, a te przecież znałem. Karczma jak karczma, z jej szynkwasem, stołami. Świeca będzie potrzebna, by można było przygrzać nóż nad jej płomieniem, ażeby odkleić wosk pieczęci listu znalezionej pomiędzy kartkami sztambucha, listu zaadresowanego do Panny Salomei Wiśniowieckiej. Wszystko musi być jak należy, logiczne, niczego nie pozostawi się czytelnikowi do sztukowania, domyslenia się, odgadywania.

Nawet z huzarami trzeba uważać, by czegoś nie poplątać. Chyba że wymaga tego specjalna *licentia poetica*. Bo weźmy, kiedy pan hrabia Aleksander Fredro wystawił nam tę znakomitą komedię o damach i huzarach, to pomieszał to umyślnie. Bo przede wszystkim na korpus jazdy Królestwa Polskiego składały

się, jak nadmieniono już wyżej, cztery pułki ułańskie i pięć pułków strzelców konnych, w tym jeden gwardii, i nie było tam ani dragonów ani huzarów. Ale Fredro musiał uważać, żeby sobie kogo nie narazić, choć żył za austriackim kordonem. A w komedii tej mamy i postać komiczną i zabawną, kapelana, ni stąd ni zowąd luterskiego. I czemu to? No, no, czyż w komedii polskiej na scenie można było wtedy, a i teraz chociażby, pokazać księdza, może jeszcze w sutannie? Niemożliwe! Fredrze, który wiadomo był wcale libertynem, była potrzebna komiczna postać kapelana, a jak nie mógł go pokazać w sutannie, to bodajże jako lutra, w kusej czamarce i w butach, jeszcze ucieszniej.

A nawet uwiązana na sznurze koza, pasąca się pod parkanem, nie miała być czymś przypadkowym. Po pierwsze miała podmalować rodzajowy pejzaż, zawsze na żydowskim podwórzu była taka koza, należała do tego śmietniskowego sztafażu, wspinała się na pochyły pień wierzbry czy na poły uschłej gruszy. A tutaj miała jeszcze posłużyć jako symbol. Proszę się nie śmiać, ale tu właśnie miała przywieść na pamięć czarnego kozła, w którego postać przyobлека się czart na szatańskich zborach czarownic i wiedźm na uroczyskach i Łysych Górach, gdzie odbywają się nabożeństwa ku jego czci, sprawy o których powiadają bajki, stare protokoły sądowe i wiersze poetów. Jej obecność miała wzbudzić i spotęgować nastrój przechodzącego w półmrok wieczoru, chwili zawieszanej jak zatrzymane wahadło zegara, godziny niepokoju i grozy. W owej chwili zostajemy sami. O tej porze, o której mówi się, że jest *entre chien et loup*, jesteśmy niewinni, zagubieni, bezbronni wobec złowrogich zamiarów, kiedy z zapartym oddechem nasłuchujemy, nie rozeznając przedmiotów, konturów, kształtów znajomych, zapatrzeni w jakieś niewidziane przedtem sylwety, stwory wyszczerzające do nas bezzębne dziąsła w grymasie bezgłośnego śmiechu...

.....

Ktoś może, i słusznie, zapytać: czemu wydziwiam i w tym urwanym wpół opowiadaniu, czy szkicu do niego, posługuję się taką formą składni na przykład jak: „... uwiązana na sznurze, pasąca się pod parkanem koza miała być podmalowaniem rodzajowego pejzażu...”. Skąd to?

A bo obok *Wieczorów rodzinnych* i historii mającej za tytuł *Dżók, przygody psa i jego pana w puszczy* na stole z lampą z zielonym abażurem pojawiała się i gramatyka języka polskiego, abyśmy się uczyli, bo ojciec bał się, że mu dzieci w czasie tej wojny zdziczeją. I tam w tej staromodnej gramatyce było o tym, że forma składni *coniugatio periphrasis*, to znaczy przyszłości

czynnej, pozwala nam mówić o dalszej dopiero przewidywanej przyszłości.

Chyba nie muszę dopowiadać że my, dzieci, z Nietotą, nudziłyśmy się śmiertelnie, słuchając o częściach mowy nieodmiennych, przysłówkach czasowych i sposobowych i przydawkach. Ojciec zniechęcony naszą nieuwagą sam zaczytywał się w tej gramatyce. W pewnym miejscu, chcąc nam dać wzór „dopowiedzenia” w zdaniu, cytował głośno zamieszczony tam przykład:

„Orszuli Kochanowskiej, wdzięcznej, uciesznej, niepospolitej dziecinie, swojej najmiłszej dziewczce...”.

Kultura nr 280/281, 1971.

ZŁOTA HRAMOTA

„Wo Imja Otc'a i Syna i Swiatoho Ducha i nyni i na wiky
Amin!

Panowe Hromada Chrystiane! Czy czuły wy szczo Polszcza
prynymaje was za swoji Bratja i chce szczo wy z neju zariwno
buły wilni i wsich praw doznawały? Ne budete uże znaty ni
pysariu ni ekonomiw waszych, szczo to was honiat' samych deń
po dniu, szczo ne znajete ni świta ni widpoczynku, a z kanczukom
stojat' za wamy, abo w dyby abo w husaka was zabywajut'.
Waszi bratja Polaky wzięły sja szczo by was wsich do sebe pryłu-
czyły — wsich... i Wołynciw i Polisja i Ukrainu i Pobereża —
szczo by wy z namy razem znaty jich prawo i do kotroho prawa
choczut' was prypustyty...”.

W Kodni w karczmie za stołem siedział rotmistrz żandarmski
Fiodor Fadijewicz von Elsterau. W ściemniającej się pod wieczór
izbie karczemnej na stole paliła się świeca, którą pan rotmistrz
kazał przynieść Żydowi, była wódka w butelce z mętnego szkła,
nadkrojony bochen chleba, kałamarz z gęsim piórem, były jakieś
papiery i leżała na nim czyjaś szabla i *sabretache*.

Przed gankiem karczmy stał huzar w dołmanie, z obnażoną
szablą, i tak dalej, i tak dalej, o tym już było.

Pomimo upalnego wieczoru z zanoszącą się w nim burzą pan
rotmistrz nalał sobie kielich wódki, rozpiął kołnierz munduru
i rozluźnił halsztuk. Po czym sięgnął po *sabretache*, płaską torbę
z wytłaczanej skóry, jaką kawalerzyści nosili przy rapciach szabli.
Ale nie było mu śpieszno.

Rotmistrz kazał dać sobie wódki, bo był zdrożony, kawał
traktu upalił aż z Warszawy. A skąd von Elsterau? A bo to
przecież wielu tych zruszczonych Niemców, kurlandzkich, in-

flanckich, pruskich wiernie służyło imperatorom, czyż to nie i hrabia Benckendorff, adiutant carski i szef żandarmów? Świeca będzie potrzebna, by rotmistrz mógł przygrzać nóż nad jej płomieniem, kiedy będzie odklejać woskowe pieczęcie listów znalezionych w *sabretache*, niedyskretnie, tak po żandarmsku odczytywanych, bo znalazły się w *sabretache* porucznika artylerii konnej gwardii Królestwa Polskiego, oficera detaszowanego do sztabu remonty w Kodni, teraz będącego pod aresztem i w śledztwie.

„Jak tylko wymkną się spod oka Wielikawo Kniazia Konstantina Pawłowicza, to od razu folgują sobie”, mówił do siebie rotmistrz, „już im służba, regulamin gdzie... *Sabretache* należy się tylko do moderunku huzarskiego. Pan porucznik jest z artylerii konnej, do tego z gwardii, powinien wiedzieć...”.

Pan rotmistrz przywiózł ze sobą okazałe *dossier* dotyczące się aresztowanego co tylko porucznika, raporty i instrukcje-donosy tego masona i generała, dowódcy korpusu jazdy Królestwa, Aleksandra Rożnieckiego, ale do śledztwa potrzebne mu były bardziej namacalne rzeczy. Już tu wywiadywał się, ale dowiedział się tyle, że porucznik nie ustępował gwardiakom-kornetom w picu gorzałki („Zdrowie Jego Imperatorskiej Mości Polskiego. Ura!”). Był za pan brat z huzarami, kwaterującymi tu oficerami sztabu remonty dywizji, pułków sumskiego, jelizawietgradzkiego, mariupolskiego, izjumskiego, huzarów grodzieńskich, achatarskich, pawłogradzkich, litewskich i pułku księcia orańskiego, remonty zakupującej młode konie na jarmarkach w Berdyczowie. I oto z całej zawartości *sabretache*, tak nieakuratnego moderunku porucznika, okazało się, był tylko panieński sztambuch.

Pan rotmistrz, Niemiec z pochodzenia, był sentymentalny, czuły na romantyczne sprawy dziejące się na stronach welinowych kartek oprawionego w wytłaczane w safianie złote liście tomiku, ale żandarmskim swym okiem doszukał się zaraz w albumie czegoś. Oto na odwrotnych stronach kart porobione były jakieś notatki. Widoczne było, że jeżeli nie posiadacz, to depozytor z konieczności, w braku innego papieru, posłużył się sztambuchem do celów wcale praktycznych. Bo notatki te tyczyły spraw bardzo konńskich.

Było tam o maściach i odmastkach, farbach* [...] koni przeglądanych przez komisje remontowe. Pan rotmistrz był, jako się rzekło, sentymentalny, czuły na romanse, ale koniarzem to on

* Maszynopis autorski uszkodzony. Tylko niektóre brakujące słowa udało się w tym fragmencie opowiadania zrekonstruować. — Red.

nie był. Nic nie mówiły mu dalsze notatki dotyczące się rzędów, forgozów, trenzli, cugli, wodzów, rzemieni. Konie, uprzęże, skóra mu śmierdziały.

Co innego mówił mu cuch, zapach smoły czy liny konopnej. Jego przeznaczeniem za młodu miało być morze. Miał zostać [podróżni]kiem. Jako chłopak zaczynał nawet we flocie bałtyckiej, w Kronsztadzie. Naprzód jako „junga”, potem „miczman”. Ale dla jakichś względów ta morska kariera urwała się u samego wstępu. Może zakup oficcerskiego stopnia we flocie był poza finansowymi możliwościami rodziny, może wcześniej poznano się na pedantycznych zdolnościach Niemca z pochodzenia. Został żandarmem.

Ale w uszach na zawsze pozostał mu ryk i szum fali *priboju*, skrzyp bloków, świst wiatru w linach, a w ustach smak słonej wody. W marzeniach (każdy z nas ma swe marzenia o dalekim i nieosiągniętym, nie?) widział się na przechylonym w bejdewindzie pokładzie korwety, zapatrzonym w fosforyzujący po nocy szlak kilwateru. Za młodu, w Kronsztadzie, był świadkiem, kiedy to z ukazu imperatora Aleksandra Pawłowicza admirał Bellingshausen wyruszał do Antarktydy, z zazdrością patrzył na niknące we mgle żagle jego fregaty „Wostok” i barki „Mirnyj”, płynące w nieznane. Chciał, jak ten inny nawigator, hrabia Yves de Kerguelén-Trémarec, w którego sprawozdaniach się zaczytywał, odkrywać nowe wyspy, nadawać im imiona.

Okręt marzyciela miał nazywać się „Pałłada”. [...] „Pałłady” miały rysować na nieboskłonie Terra Australis [...] konstelacje i gwiazdozbiory. Ze szkoły, jeszcze w cars[...] wyniósł niezłą znajomość mitologii. Stąd miano jego [...] korwety. Stąd pomysły nazwy nie oglądanej dotąd, [...] nie odkrytej jeszcze konstelacji owych karmionych lu[dkim mię]sem ludojadów, Klaczy Diomedesa.

Uwagę rozmarzonego rotmistrza przyciągnął z nagłą wypadły spomiędzy kartek sztambucha świstek papieru, zadrukowanej bibuły. Jest!

.....

Otaczali mnie półkręgiem, kiedy stałem tak przed nimi, jeszcze w uprzęży spadochronowej Irvinga, jeszcze mi biła z emocji upadku krew w skroniach i nogi pode mną drżały, i zdawało mi się, że to ziemia tak drga pode mną, i czułem dławienie w gardle i ucisk w piersiach od wstrętnego uczucia strachu.

Ten strach chwycił mnie za gardło, kiedy pilot Liberatora przez interkom kazał nam wyskakiwać. Oba silniki prawego skrzydła paliły się jak meteory, kiedy bąble spadochronów załogi

nikły w chmurach, jak meduzy w falach oceanu, a ja nie mogłem wyszarpać się z potrząskanego pęcherza wieżyczki. Nie pamiętałem nic potem i musiałem wyrwać sznur *ripcordu* w stanie zupełnej podświadomości, ale musiałem to zrobić, bo przecież wylądowałem cało i nawet w boleśnie zaciśniętej garści miałem jeszcze ten *ripcord*, ale że wylądowałem bez tej świadomości i najbardziej nieprzepisowo, bo na nerki, to czułem, że coś we mnie jakby się oberwało, i stałem chwiejąc się na nogach.

Ludzie, którzy mnie otaczali byli zapewne oniemieli od wrażenia niespodziewanego zjawiska, jakim musiałem się im wydać, nie mówili nic, jedynie gestykulowali i przeciskali się jedni przez drugich. Mali chłopcy nurkowali między nogami starszych i kobiety osłaniały trwożnie niemowlęta usadzone im okrakiem na biodrze.

Zrobiło mi się niedobrze i zachwiałem się, ukląknęłam, ale nikt nie przyskoczył mi z pomocą. Tłumek się cofnął, jakiś chłopak zaśmiał się bezgłośnie i przestraszył się tego, i nurknął poza starszych. Ale inni z tyłu pchali się, jak w tłumie kiedy koń konnego policjanta chodzi bokiem i ci inni z przodu cofają się, a ci z tyłu napierają i ja, żeby nie upaść, chwyciłem się odzieży najbliższej osoby.

„Już nigdy” — powiedziałem, chciałem powiedzieć, że już nigdy nie będę wyskakiwał ze spadochronem, ale nikt na to nic nie powiedział. W ogóle nie słyszałem jeszcze jakiegokolwiek głosu.

No tak, nie rozumiem. „*Never again! Jamais...*”. Jak będzie to po niemiecku? „*Nie wieder...*”. Nie rozumieli.

Przybrani byli w owcze skóry i mieli także jakieś poncha na sobie utkane z grubego samodziału i widziałem ich stopy, bose, o podeszwie zrogowaciałej wskutek stąpania po kamieniach. Jechało od nich zapachem koziny i dymu, jak zawsze śmierdzą pasterze z gór.

Jeden z nich pochylił się ku mnie i wykonał cały szereg mimicznych i śmiesznych znaków. Do czego to było podobne? Aha, kiedyś widziałem na wyścigach, jak bookmakerzy porozumiewają się na odległość umówionym kodem znaków — *tic-tac* — ludzie *tic-tac*. Pewnie ten *tic-tac* chce mi coś powiedzieć. Znów zrobiło mi się słabo. Podtrzymali mnie tym razem z obu stron i ślaniającego się poprowadzili kilkadziesiąt kroków ku jak gdyby kopcowi, który z bliska okazał się prymitywnym domem o niskich murach uskładanych z górskich głazów i o darniowym dachu. Wewnątrz było ciemno, palił się jedynie mały ogieniaszek i dym ścielił się i wisiał u pułapu kurnego domowiska kamiennego.

Czyjaś ręka przysunęła mi do ust glinianą skorupę z jakimś napitkiem i wtedy poczułem, jakie mam łapczywe pragnienie. Dziwny mi się wydał smak napitku; było to jakieś zgęstniałe mleko, jak żętyca, i było ono sfermentowane, bo pomyślałem, że tak pewnie smakuje kumys, i znakomicie mi ono zrobiło, bo osłabienie zaraz minęło i wszystko mi się nagle wyklarowało.

Unosząc skórę u wejścia wpychało się do środka coraz to więcej ludzi i nagle uprzytomniłem sobie, że jest świdrująco cicho w uszach, bo nikt nie wypowiadał ni słowa, słowa nie usłyszałem od samego początku. Zachowywali się przy tym bardzo dostojnie, jak czerwonoskórzy amerykańscy, ale wcale do nich nie byli podobni. Mężczyźni byli brodaci, brody mieli widać nigdy nie tknięte nożycami i byli przeważnie rudzi, o białej skórze twarzy, usianej piegami, „jak indyjskie jajo” — pomyślałem. Ktoś dorzucił do ognia na głazach albo wyblichowanych czaszkach wołów i gestami zasadzono i mnie.

Ruda dziewczyna obeszła wokół i z miecha zrobionego z koziej skóry udoiła każdemu pełną glinianą skorupę tego kumysu. Napiłem się jeszcze, smakował mi ten napój i chciałem nawiązać rozmowę ze starym dziadem z prawej strony, kiedy znowu napelniono mi naczynie i podsunięto na drewnianym rożenku kawałek zimnej baraniny. Smakowało mi to bardzo i tak jak inni zagryzałem czosnkiem górskim, który tamci jedli całymi pękami. Kiwali się dostojnie i jedli z wielką rezerwą, widocznie dobrym tonem było nie okazywać łapczywości ni też rozmawiać w czasie posiłku.

We mnie, po wstrząsającym przejściu jakiego zaznałem rano, nastąpiła reakcja i pomyślałem: co za stypa! Ale będzie o czym opowiadać, jak wrócę do bazy! I napiłem się jeszcze kumysu, brodacze uroczyście kiwali się na swych siedzeniach i chrustał czosnek i zgrzytała kość barania miażdżona trzonowymi zębami.

Kiedy napiłem się jeszcze, to już całkiem rażnie mi się zrobiło i tamci wydali mi się tak bliscy. Skłoniwszy się w stronę dziadygi po mej prawej stronie, który widocznie był amfitrionem, poprosiłem go o udzielenie mi głosu.

Chciałem po prostu podziękować za przyjęcie i opiekę jakiej zaznałem i chciałem także wyrazić nadzieję, że na wielkoduszną pomoc tej czcigodnej gminy można liczyć w przyszłości, tak co do informacji jak przewodnika i transportu.

Ale nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się wygłaszać publicznie mowy. I teraz, kiedy przyszło do tego, to okazało się, że nie potrafię. Nie umiałem, nie wiedziałem jak zacząć i wydało mi się, że cisza jaka panowała poprzednio wpośród tego milczącego grona zagaściła się i skondensowała jeszcze bardziej. Ale patrzyli

na mnie i jakby wyczekiwali i wtedy wiedziałem, że muszę coś powiedzieć; za wszelką cenę, byle co, ale muszę mówić i rozpaczliwie wyteżywszy pamięć przypominałem sobie, że utkwiała mi w głowie usłyszana kiedyś na wieczorowych kursach z historii inwokacja. Więc uradowany („...i tak mnie bambry nie zrozumieją...”) zacząłem ni stąd ni zowąd:

„*Wo Imja Otc'a i Syna i Swiatoho Ducha, i nyni i na wiky. Amień!*”

Czy czuły wy...”

Włożyłem w swój adres dużo uczucia i pamiętałem o tym, by nie skąpić emfazy, ale żeby i nie galopować, i pod okopconą powałą koliby rozbrzmiewały wspaniałe okresy hramoty, jak dzwon (byłem trochę ululany kumysem. „Jak nie rozumiecie sensu, to wyczują z intonacji” — pomyślałem).

Otóż jak kiedy indziej, gdzie indziej, ta hramota nie spotkała się z aplauzem, tak też i teraz odtworzone w tym górskim pustkowiu, uderzyły jej słowa jakby w próżnię. Jej efekt wydał się jakże nikły. Słuchacze wydawali się jakby zgorszeni. Odczułem dziwną dezaprobatę treści tego, co wypowiedziałem.

Podnosili się ze swych miejsc i wymieniałą między sobą kolejno tajemnicze znaki kierowali się ku wyjściu. I wtedy wzrosło we mnie nagle podejrzenie. Kiedy dziewczyna usługująca nam przy jedzeniu podeszła do mnie i pociągnęła mnie za rękaw, (miała, jak się już rzekło, rude włosy i siwe, prawie białe oczy i patrzyła nimi przyjaźnie), otóż ta obca dziewczyna chciała mi dać coś do poznania i ukazywała swe usta, roześmiane ale nieme. Uderzyło mnie znowu pętające się wokół świadomości wrażenie milczenia tych ludzi i nagle przeraziłem się, że cicho, że ich nie słyszę. Pewnie poszły mi bębenki w uszach przy skoku, przy raptownej zmianie wysokości i ciśnienia...

Wybiegłem przed dom i ogarnąłem wzrokiem świat. Wokoło piętrzyły się niebosiężne góry, tu, tuż, i stromo trzeba było zadzierać głowę, by ujrzeć ich lodowce i śniegi rozpalone w słońcu i lazurze, kiedy u stóp ich wiatr przeganiał niski pułap chmur.

Ale z ulgą usłyszałem szum i gadanie potoku górskiego, pieniącego się wpośród głazów kilkadziesiąt kroków od domu i usłyszałem krakanie orła górskiego.

A więc słyszałem!

Tedy więc oni nie słyszeli.

.....

Straciłem rachubę czasu, pojęcie o tym jak długo przyszło mi żyć wśród ludzi głuchych. Kiedy jednak myślałem o nich, to nie nazywałem ich w ten sposób — nazywałem ich ludźmi *tic-tac*

albo syndyko-anarchistami (dlaczego? — o tym później). Przyzwyczaiłem się do nich i oni do mnie.

Dawało mi się we znaki jedynie zimno górskich nocy i dostałem egipskiego zapalenia oczu od nisko zalegającego dymu kurnej, kamiennej koliby i odbłasku śniegów zalegających szczyty. Ale od zimna chroniły mnie baranie skóry posłania, a od dymu uciekałem w cień cedrów pod reglami i słuchałem szumu ich czarnych gałęzi. Słuchałem, wsłuchiwałem się, w całej świadomości tego, że to ja jeden tylko je słyszę.

Tamci nie słyszeli.

Byli samotną gromadą zagubioną wpośród gór, byli czymś bardzo innym od czegokolwiek com widział i znał poprzednio. Kiedy po pierwszych dniach pobytu przyszedłem do siebie i zacząłem zapoznawać się z otoczeniem, to sytuacja nawet bawiła mnie, taka przygoda fantastyczna jak z *Podróży Guliwera*, znaleźć się bohaterem jakby wyjętym z mych ulubionych lektur o podróżach do niebywałych krajów i wysp, *Naufrage des îles flottantes, ou Basiliade du célèbre Pilpai*, czy markiza de Sade *Histoire de Zamé*, czy wellsowskiej doliny ślepców. Myślałem, co to będzie za historia do opowiedzenia w mesie, po powrocie!

Teraz, mądrzejszy o parę miesięcy, czułem marność mej guliwerowskiej pychy. A powrót? Czy kiedy dane mi będzie powrócić?

Ulokowano mnie w owym domu, gdzie odbyła się pierwsza stypa. Dom należał do starego człowieka, którego wnuczką była ta ruda dziewczyna. Dziadek był garncarzem. Obok domu był prymitywny piec do wypalania garnków i zagroda dla owiec i rodzaju długowłosych yaków czy wołów pizmowych.

Liberator powracający z rajdu porzucił mnie w tej części gór, w całej nieświadomości tego, na którym odcinku tysięcznokilometrowej trasy zostałem zagubiony. Z mimicznych rozmów z ludźmi *tic-tac* oraz z własnych wycieczek wzdłuż doliny zacząłem domyślać się niepokojącej prawdy: byłem tu zamknięty jak szczur w studni. Góry sterczały wokół skrawka, na którym żyła odcięta od świata, zdegenerowana przez endogamię, zwyrodniała na skutek specyficznych warunków czy nieznanej choroby gromada głuchych ludzi.

Ale trzeba to uporządkować. Byłem — proszę państwa — byłem wtedy zwykłym, zdrowym młodzieńcem, normalnie unerwionym i miałem trzeźwy stosunek do rzeczywistości. Kiedy stawałem twarzą wobec jakiejś rzeczywistości, to wyrabiałem sobie jej odpowiednią koncepcję, albo kilka jej koncepcji, zależnie od tego jak ta rzeczywistość apelowała do mego poczucia humoru,

ambicji i potrzeb. W tym wypadku miałem wyrobione trzy takie koncepcje; z czasem ustąpiły one czwartej i ostatecznej, po czym zadałem sobie wiele trudu, ażeby powrócić do rzeczywistości w której wyrosłem. Czy udało mi się to, nie wiadomo, miejmy nadzieję że tak, w każdym razie nie należy to już do tego opowiadania.

Koncepcja Guliwera wśród Liliputów nie wyszła. Pewnie, że nie byłem codziennym zjawiskiem wśród tych rudobrodych troglodytów, kiedy sam ciemnowłosa, w swym workowatym kombinezonie lotniczym poruszałem się pośród nich. Kilka tricków nowoczesnej cywilizacji jakie dzięki zapalniczce, latarce elektrycznej, zegarkowi i innym drobiazgom ocalały w kieszeniach, nie wzbudziło entuzjazmu. Tubylcy, jeżeli idzie o kulturę materialną, żyli gdzieś na pograniczu ery kamienia gładzonego i epoki brązu. Dla krótkości przytoczę oderwany epizod.

Jak już nadmieniałem, mój gościnny gospodarz i jego wnuczka trudnili się garncarstwem. Skorupy które wypalali były najprymitywniejszym dziełem rąk ludzkich. Nie znali koła garncarskiego, toteż z gliny lepionej w ich palcach wychodziły one niekształtne i nieforemne. Ale w okresie kiedy chciałem im zaimponować ekwilibrystką cywilizowanego mózgu, zadałem sobie wiele trudu i w końcu skonstruowałem coś w rodzaju prymitywnego koła garncarskiego i zaprodukowałem garnek symetryczny, okrągły i gładki (wyszło mi to, jako że nie święci garnki lepią). No i co, no to jedynie dzięki sympatii ku niesamowitemu domownikowi nie wyrzucono tego na stos odpadków.

Zniechęciłem się i pozwoliłem uschnąć idei zrewolucjonizowania ręcznego foluszu do utłukiwania grubego samodziātu z wełny, czym trudniła się rodzina najbliższych sąsiadów, foluszu, który chciałem zmodernizować i zmechanizować, używając do tego energii bieżącej wody i tak dalej. Tubylcy byli ciężcy i apatyczni, jak ich woły-yaki przeżuujące paszę z łąk górskich. Ich prymitywizm, a zwłaszcza wstręt do innowacji graniczył z komizmem.

Przyzwyczaili się do mnie, niesamowitego gościa, mali chłopcy przestali ciskać za mną kamieniami, kiedy przechodziłem rozrzuconym osiedlem i dzieci nie chowały głów na ramieniu matki, kiedy zasiadałem przy ich ogniskach.

Było już po owym pierwszym okresie, kiedy wydawało mi się, że powinienem być ośrodkiem zainteresowania, czymś niezwykłym, wtedy, kiedy jednym słowem mój egocentryzm był mile połączony wrażeniem, jakie wywołało moje niespodziewane pojawienie się. Ale wkrótce potem przekonałem się, że moja osobliwość i jedyność była właściwie czymś potworowatym na tle tego odmiennego świata. Zdałem sobie sprawę, że byłem czymś

w rodzaju cielęcia o dwu głowach, zjawiskiem teratologicznym, albinosem wśród czarnych. Co gorsza, czułem nawet wstręt, jaki ludzie ci mieli do mej inności, obcości intruza z innego świata. Naturalnie, że wtedy moja miłość własna doznała dotkliwej porażki. Pocięsałem się staropolskim przysłowiem: „Mów wilkowi pacierz — a on woli kozią macierz...”.

Więc przeszedłem nad tym do porządku dziennego i znalazłem się w następnej fazie, w fazie poznawania, czyli w fazie pozbawionej osobowości. Nawet doznałem pewnej ulgi, kiedy odjęty mi został ciężar odpowiedzialności, jaki jest na nas nałożony kiedy reprezentujemy własną osobowość. Z pasją zacząłem studiować to społeczeństwo głuchych. Robiłem to na zimno, rzeczowo, z całym brakiem tolerancji młodych, bo byłem wtedy młody.

A nie było to czymś łatwym. Jeżeli ktoś pobierając nauki przeszedł na przykład kurs geometrii, jeżeli nauczono go, że na przykład suma kątów w trójkącie równa się 180 stopniom, to trudno mu nagle przejść gładko nad tym, że w nieeuklidesowej geometrii równać się będzie ona czemuś innemu.

Interesowało mnie studiowanie nieeuklidesowego świata tamtejszych ludzi, miałem zamiar spisać to w wielu tomach by kiedyś przedłożyć je szwedzkiej Akademii Nauk...

.....

Jest!

Pan rotmistrz żandarmski von Elsterau ostrożnie wygładził wypadły spomiędzy kartek sztambucha świstek papieru, bibułę, druczek wytłoczony w jakiejś krzemienieckiej drukarence koślawymi literami ruskiej azbuki, z jego nierównymi spacjami i czerpidłem drukarskim. Przy mdłym blasku świecy, w zapadającym wieczorze czytał:

„Wo Imja Otc'a i Syna i Swiatoho Ducha, i nyni i na wiky. Amiin!”

Panowe Hromada Chrystiane! Czy czuły wy szczo Polszcza przyznaje was za swoi Bratja... i chce szczo by wy z neju zariwno były wilni i wsioho prawa doznowały?... szczo by wy z namy razem znały jich prawo i do kotroho prawa choczuł was prypustyty...”

Jest!

Nadszedł i zamiótł żydowskimi śmieciami na podwórzu, zadzwonił blachą wiechy karczemnej, rozłupał niebo piorunem, cisnął kamieniami i żwirem o szyby okienne, zamiótł czubami

drzew, zadał wzdłuż traktu wiodącego do rogatki, nawrócił znowu i porwał i poniósł wir i lej kurzawy, słomy, półsnopków wyrwanych z dachów szop, stodół, i znowu nabiegł i zatargał drzwiami karczmy, wdarł się przez rozwarte z trzaskiem okiennice, podniósł kurz z podłogi karczemnej i rozmiótł papierzyska leżące na stole.

Pan rotmistrz żandarmski von Elsterau rzucił się całym ciałem na stół, rękoma, rozczapierzonymi palcami przytrzymując wyrywane podmuchem kartki, bumagi, dokumenty, świstki, notatki, rysopisy, dowody, zeznania, relacje, protokoły, tajne zapiski, przesłuchany, listy imion i nazwisk podejrzanych, paszporty, sekretne instrukcje i donosy, akta z odfajkowanymi na ich marginesie uwagami i znakami, od których zależał los setek, tysięcy, degradacje, odpisywania od heroldii, zsyłki, transporty, kibitki, kantony, bataliony żołdackie, cytadela, tury, martwe domy, kopalnie, posiedlenia, wyspy i klasztory, różgi, pałki, piętna wypalane na czole i cęgami wyrywane nozdrza, kaptur zakładany u stryka szubienicy, straszny werbel tarabanów przed odczytaniem wyroku, i słup...

Płomień świecy położył się poziomo, zapęłgał błękitnie i zgasł, i zrobiło się ciemno.

Pierwodruk.

INWOKACJA DO POWIATU LATYCZOWSKIEGO

Ludzie Wielkiej Emigracji, obdarzeni na pociechę poetyckim arcydziełem, nie mogli jednak pogodzić się z inwokacją tego eposu: Litwo! Ojczyzno moja! Brzmiało im to partykularzem. Nawet Zygmunt Krasiński obruszony suponuje, że brakowałoby tylko jeszcze inwokacji do powiatu latyczowskiego.

Każdy z nas wywodzi się z jakiegoś „praiłu”, każdy pozostał za sobą wody, które kiedyś „czepał w niemowlęce dłonie”, każdy zapatrzy się we wspomnieniach w te dawne tonie. By posłużyć się przykładem z nauki o ewolucji gatunków, wywodzimy się od stworzeń wylęgłych z wody i, dźwignąwszy się, wypełzliśmy na suszę, skrzela nam przetransformowały się w oskrzela płazów, potem w płuca ciepłokrwistych ssaków, byśmy, rozwinąwszy się pod innymi względami, mogli ewentualnie wymigrować do Stanów, Wenezueli czy Australii. Tu, ocaleni już i syci, możemy pozwolić sobie na sentyment odwiedzenia miejsc pochodzenia, powiatu latyczowskiego.

Chciałbym przypomnieć tu niezwykłą książkę Güntera Grassa, *Blaszany bębenek*, i rozdział w niej zatytułowany „Pocztą polską”. W nim bohater tej powieści, karzełek Oskar, znalazł się we wrześniu 1939 roku na polskiej poczcie w Gdańsku, przeczekując tam jej obłożenie w koszu na listy. „*Ich schlief in einem Wäschekorb voller Briefe* — pisze autor w imieniu Oskara — *die nach Łódź, Lwów, Toruń, Kraków und Częstochowa hinwollten...* Ale nie marzyłem tam ani o Matce Boskiej Częstochowskiej, ani o Czarnej Madonnie,... ani nie marzyłem o mym wciąż jeszcze nie zreperowanym bębenu...”.

Francuzka, pani Rose Bailly, była innym znowu fenomenem

wśród obcych, których polskość oczarowała, i miała także dar widzenia rzeczy i spraw, na które my sami byliśmy ślepi i głusi. W swych wędrówkach po Podolu i Wołyniu, od Dniestru, Skały po Podkamień, Zbaraż, Krzemieniec, z wizyt na wsi, w Matwijowcach, w klasztorach, w Podkamieniu, Poczajowie, rozbrzmiewają tam u niej w tych wspomnieniach niezliczone imiona miejsc, jak drogowskazy.

Czytelnika polskiego ujmie akuratna, jak to nazywa się naukowo? toponomastyka, nazewnictwo miejsc tamtejszych u tych obcych pisarzy. Już to jednak toponomastyka może nam dać dobrego łupnia! Jak zasłuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi, miasteczek i miast, to jedne swym brzmieniem przywołują całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci, a znowu inne zaskoczą nieznanym odkryciem, nigdy nie zasłyszonym czemuś echem. Rumienimy się ze wstydu, że jak można tak było zapomnieć, roztrwonić, porzucić albo zagłuszyć w sobie, kiedyś nie przyswoić bogactwa, które dopiero przypadek, dobry los potrafi nam dzisiaj przywrócić.

Właśnie taki dobry los przyniósł mi ostatnio w upominku aż cztery naraz książki, które dotyczą się powiatu latyczowskiego. Stanisława Lema, wielce utalentowanego zresztą autora tak modych dzisiaj fantazji naukowych *science fiction*, książkę o młodości we Lwowie, zatytułowaną *Wysoki Zamek*. Podobną, innego bez pretensji pisarskich pana o nazwisku Witold Szolginia, z tytułem *Dom pod żelaznym lwem*. Andrzeja Kuśniewicza powieść-autobiografię *Strefy*, Andrzeja Chciuka *Ziemię księżycową*.

Te dwie ostatnie mówią głównie o stronach wprawdzie nie rodzinnych mi, ale znajomych, i to nawet dobrze znajomych, a to z wypraw tam w góry, wakacji na wsi i służby wojskowej i stąd to nasiąkłem tamtejszością. Niezwykłością tego podgórze karpackiego były przede wszystkim góry. Ich sąsiedztwo sprzyja jakby odosobnieniu, bo są jakby naturalną przeszkodą, przegrodą, wałem, w którym każda dolina jest osobnym światem, w każdym z ogniw tego łańcucha gór zachowuje się osobny język, obyczaj, strój, kultura materialna. A znowu paradoks chce, że te same góry, będąc barierą, w jakiś nielogiczny sposób wciągają, kuszą do wędrówki szukających w nich przejścia, albo na przekór właśnie każą im wędrować swymi grzbietami. Stąd, pomimo odmienności tych Hucułów, Bojków, Łemków, Beskidziaków, Podhalań, Spiszaków, Orawian, język ich ma wiele wspólnego, przetkany słownictwem ruskim, polskim, węgierszczyzną, rumuńszczyzną, od Czarnohory, przez Gorgany, Bieszczady, Beskidy, Podhale, Beskid Wyspowy, po Beskid Zachodni, Babią Górę i Karkonosze. Powiadają, że aż na Podhalu zachował się ślad po

Owidiuszu, bo Obidowa to nie co innego jak Owidowa! Czyżby wygnany do Dacji Owidiusz, wbrew ekstradycyjnym zakazom podróżywał wzdłuż Karpat, spekulował w handlu realnościami gdzieś aż pod Giewontem?

O tamtej ziemi... Inna jest niż inne okolice. Z dolin widać tam, z daleka widać jak sinieje piła, sierra Karpat, od przełęczy użockiej po pantyrską. Stokami gór zbiegają lasy ku wodom Świcy, Łomnicy, Czeczwy, Bystrzycy. Świecą pośród tych lasów białym drzewem wyslizgane koryta „ryzarni”, których stromością spływają w dół pnie jodeł górskich. Słyszysz się cienki świst lokomotywy, kiedy pracowicie, po wąskim torze ciągnie długi ładunek pni do broszniowskich tartaków, gdzie zetną je w niebotyczne usypiska złotych trocin.

A w dołach ziemia ta przechodzi w pola, łąki, wsie, osiedla pochowane w gęstwach drzew. Osmołoda, Synowódzko Wyżne, Bolechów, Sołotwina. Nad nimi gonty i blacha bani cerkiewnych, na zielonych wygonach nad stojącą wodą czerechy gęsi, pasy rozciągniętego tam bielonego płótna, weret. Kalina rośnie tam „liściem szerokim”, jarzębina, dereń, czereśnia, leszczyna, głóg. Człono szoruje swym dnem o żwir dniestrowy, kiedy podchodzi do zarosłych wikliną brzegów Kochawiny, Żydaczowa.

Tamtejsza ziemia jest inna niż zwyczajne okolice. Puchnie i wzdyma się od wzbierających w niej gazów, poci się i ocieka nadmiarami soków, żywic, przesiąknięta ropą, tłusta od wosków, fosfatów, słona od soli. Wody jej mienia się tęczowo cieniutką błoną porozlewanych na nich olejów i nafty. Na stokach wzgórz stoją tam lasy czarnych wież wiertniczych, „kanadyjek”, sztybów, cystern, a po nocy buchają gejzery pary i świecą konstelacje lamp elektrycznych Tustanowic, Borysławia, Daszawy, Staruni, Kałusza. Wyrzuca ta ziemia ze swego łona potwory i dziwadła, szkielety smoków i ciała dyluwialnych gadów.

Powstają z tej ziemi jak upiory, by zaprzeczyć pozornej jej słodyczy i sielskości. Tu przecież niedawno jeszcze temu paliło się, trzeszczała ogień pepeszy „partyzanów”, stukały zderzaki wagonów transportów i wywozek. A przedtem jeszcze? Ułani szarżowali pod Krechowcami na Niemców. A jeszcze przedtem? Dziaki ryją w starych okopach legionowych biegnących grzbietami gór, w gęstwinie kosówki („Major Roja, chłop morowy, nie dał Mochom Rafajłowej... Buffalo Bill!”). A jeszcze dawniej? Rabacja w Horożance... A jeszcze, jeszcze dawniej?

Władysław Łoziński, w swym *Prawem i lewem*, opartym na aktach grodzkich tamtejszych stron w XVI i XVII wieku pisze o Sabatach siedmiogrodzkich, których naprowadził Diabeł Stad-

nicki. Zbrojni w półhaki i topory przyszedł „tą dziurą ku Samboru”, jak mówił Żółkiewski. „Bandy te rozłożyły się w Husnej, Krywce, Żupanju, Rykowej, Jabłońce i Wysocku Wyższym... po czym powiedli w głąb kraju, najpierw do Topolnicy... stamtąd ruszyły ku Samborowi Staremu, a po drodze obrabowali klasztor bazyliński w Spasie. W Starym Samborze podzielili się Sabaty na dwa skrzydła: jedno poszło na Sozań, Bereżnicę, Taranowice, drugie na Kobło, Straszewice i Błażów, zajmując całą okolicę od Soli do Sambora. Gdzie tylko stanęła ich stopa, tam znaczyła się krwią i pożogą... W Taranowicach (dziś znanych pod nazwą Torhanowce) zjechała się była właśnie szlachta okoliczna na pogrzeb dziedzica tej majątności, cześnika halickiego Taranowskiego. Sabatowie napadli na dwór podczas żałobnego aktu, wielu ze szlachty zabili, młode mężatki i panny pogwałcili, całą wieś z dworem spustoszyli, zabierając ze sobą wszystko. Wśród rozbojów i mordów i wznienych zbrodniczo pożarów posunęli się dalej w drohobyckie i stryjskie ku Tuchli i jeszcze dalej, a podzieliwszy się bogatym łupem, powrócili na Węgry...”.

Ale z tegoż Siedmiogrodu przyszedł także jeden z największych królów i wojowników polskich. A był także, okazuje się i wielkim pedagogiem, bo któż nie pamięta jego świetnej rady: *Disce puer latinae — ego te faciam Mości Panie!*

W książkach które wymieniłem powyżej uderza także ten wspólny im temat pedagogii, reminiscencje z czasów szkolnych, „ferdydurkizm”, o czym rozpisują się autorzy wspomnień galicyjskich: Stanisław Lem, Witold Szolginia, Andrzej Kuśniewicz, Andrzej Chciuk. W retrospekcji dawne pretensje do pedagogów zbladły u nich, poszły w niepamięć (wbrew znanej, sztubackiej, nieporadnej piosence: „On mnie zapytuje, czy ja umiem greki, ja mu odpowiadam, kocham ją na wieki”, z nieodzownym refrenem: „Oj juchy, juchy, belfry psiajuchy, łotry, gałgany, psy!”).

To pod ich światłym kierunkiem, w długie godziny szkolne czytało się historie z Homera, o tym jak na rzemieniu przeciągniętym przez ścięgniętych stóp i uczepionym do wozu wojennego wleczono ciało bohatera. To z pomocą niezawodnych „bryków” i nieocenionych w trudach nad przekładem wydawnictw Zuckerkandla ze Złoczowa i Księgarni Westa w Brodach poznawało się złowrogie dzieje wojen peloponeskich. To uczony traktat Stagiryty z *Poetyki* mówił nam, jak należy objaśniać przestrogi zazdrosnych bogów, byśmy uniesieni pychą nie doznali kary większej niż ta, na jaką zasłużyliśmy, byśmy naszym przykładem nie musieli wzbudzać w widzach tragedii współczucia i trwogi.

Stanisław Vincenz poprzedza swe studium o Iliadzie dedykacją: „Pamięci Zachariasza Dembicera, nauczyciela greki w I Gimnazjum Kołomyjskim”; ktoś z dawnych przyjaciół pisze mi z kraju, wspominając swego profesora „od polskiego” w Złoczowie, Rzepeckiego; wiemy o Bemie, który w kieleckim gimnazjum natchnął do pisania jedną z ofiar najcięższych „szyzofowych prac”. Ja sam nie zapomnę dwu swych takich nauczycieli, profesora Komenzy w jarosławskim gimnazjum, który był tak chudy, że jak sam o sobie powiadał „nie użyłbym nawet gdyby mnie przy poćciu słoniny powiesili”, i niezapomnianego Wincentego Kubika w I Gimnazjum Lwowskim, który wydał drukiem swój heroikomiczny epos szkolny, zapoczątkowany klasyczną oczywiście inwokacją: „Nudo! Patronko szkoły! Wszechwładna Bogini!”.

Właśnie w tym lwowskim gimnazjum ćwiczyłem, wraz z tysiącami uczniów innych gimnazjów tamtejszych do monstre-występu, jakim miało być oddanie przez te tysiące kantaty, specjalnie napisanej i skomponowanej dla uczczenia bodajże 150-tej rocznicy (ach te rocznice!) ustanowienia Komisji Edukacyjnej. Co ze strony galicyjskiej dykasterii było bardzo bezinteresownym gestem, jako że dobrodziejstwo reform nauczania tego pierwszego w świecie ministerstwa wychowania nie dosięgło już Galicji, po pierwszym rozbiore „rewindykowanej” przez Marię Teresę. Do dzisiaj brzmią mi słowa tej uroczystej kantaty, wyciąganej tysiącami głosów:

*Słyszcie o Cienie, Wyyy Doostojne,
Głos naszych serc i pacierz dusz,
Z szatanem mroku wieczną woóojnę
My Wam ślubujem — Polska Młódź
Hosanna, Hosanna, Hooosanna Wam!*

Z czasem i oni, ci nasi nauczyciele, profesorowie stali się Dostojnymi Cieniami, i to o nich rozpisują się autorzy wspomnień galicyjskich.

Na stare lata zdarzyło mi się także powrócić na ławkę szkolną, a to dzięki temu że, szczęśliwiec, znalazłem jeszcze jednego profesora, nauczyciela, który przychylnie, z cierpliwością i zamiłowaniem udzielał mi lekcji na odległość, drogą korespondencji. Był nim Jerzy Stempowski.

Mówił mi w swych listach:

„... To, co Pan pisze o roli kraju pochodzenia w twórczości literackiej, odnosi się także do wielu pisarzy literatury światowej

wej... Kraj pochodzenia ma swe miejsce także w tym, co można by nazwać talentem czytelniczym. Pochodzę wprawdzie z innych stron, z dalszej Ukrainy, bliższej Morza Czarnego, ale bywałem w Galicji Wschodniej i uległem też do pewnego stopnia urokowi tego kraju...

Świetny krytyk francuski René Dumesnil poświęcił całą obszerną książkę elementom normandzkim u Maupassanta. Zdaniem jego, Maupassant traci połowę talentu, gdy oddala się od tematów normandzkich.

Jeszcze bardziej uderzający jest przykład Sacher-Masocha, który był prawdziwym piewą Galicji Wschodniej. Pisarz ten został całkowicie i niesłusznie zapomniany na skutek spisku niemieckich profesorów, którzy nie mogli mu darować powieści satyrycznej o Berlinie z czasów Bismarcka... Sacher-Masoch figuruje dziś tylko w traktatach o patologii seksualnej. To też da się znaleźć w jego książkach i *Venus im Pelz* uchodzi słusznie za alfę i omegę masochizmu. Ale, zwłaszcza dla nas, nie to jest w jego dziełach najbardziej interesujące. Sacher-Masoch, ściślej mówiąc Leopold Ritter von Sacher-Masoch, urodził się w 1835 we Lwowie jako syn tamtejszego dyrektora policji. Znał na wylot okolice Stanisławowa i Kołomyi i około 1860 ogłosił swe pierwsze *Galizische Erzählungen*. Potem był docentem historii w Gratzu, bardzo wziętym pisarzem... zmarł w 1895... Jakkolwiek nigdy już nie wrócił do Galicji Wschodniej, bredził nią przez całe życie... kiedy oddalał się od Galicji Wschodniej, tracił talent...

... Pisał dla pieniędzy i miał niebezpieczną łatwość pisania, prowadzącą go przy pisaniu do nieprzyjemnej zamaszystości...

... Według mego zdania, dzieła S.-M. zawierają teksty, przy pomocy których można by rozważyć zagadnienie sentymentalizmu. Od 150 lat literatura i sztuka uciekają wciąż na próżno od sentymentalizmu, wpadając tylko w nowe jego odmiany, coraz bardziej nieznosne. I. A. Richards w *Principles of Literary Criticism* mówi, że sentymentalizm jest rozbieżnością między wyrazem uczuć i okolicznościami motywującymi te uczucia. Jest więc, powiada, sentymentalizm płaczący bez dostatecznego powodu i sentymentalizm krzepy, nie wiadomo czemu spluwający, wzruszający ramionami i klnący siarczystem słowem. Jako przykład tej drugiej odmiany przytacza Hemingwaya. W obawie przed łzami nasi współcześni wpadli w manieryzm krzepy. S.-M. jest typem wybitnie uczuciowym, jak można wnosić chociażby z jego fanatycznego przywiązania do Galicji Wschodniej, ale pisząc, mimo zamaszystości pióra, zatrzymuje się przed nieopatrzonym słowem. Te elipsy, *litotes*, *understatements* dają mu najlepsze efekty artystyczne. Zachęcałem pannę Saternus do uwzględnienia tej strony jej dziada, ale nie wiem, czy profesorowie Sorbony, pod których kierunkiem pracowała, aprobowali takie dochodzenia. Jak mogłem wnosić z jej słów, S.-M. był dla nich przede wszystkim rodzajem *pendant* do Markiza de Sade. Dla

mnie i zapewne dla Pana będzie przede wszystkim piewą Galicji Wschodniej, co dla Francuzów jest *du grec...*".

Trapią się jakoby dzisiaj, co zrobić z jedyną pozostałością skraweczka powiatu latyczowskiego, jaki ostał się po stronie zachodniej, tamtejszymi cerkwiami i kaplicami. Czy pozwolić im gnić i próchnieć w tamtejszym zdziczałym pustkowiu? Przenieść je wraz z ludźmi gdzieś daleko, na północ, jakoś nie licowało. Jakoś nie pasowałyby wśród żarnowca wydm nadbałtyckich, czy między sosnami Szwajcarii Kaszubskiej. Pomysł przeniesienia ich w jedno miejsce, gdzie odlakierowane i chronione stałyby się skansenowskim pokazem pod gołym niebem, muzeum, wydaje się zbyt skandynawski.

Co zrobić z tym uporem martwych rzeczy?

Kultura nr 310/311, 1973.

DZIŚ, PRZEDWCZORAJ, WCZORAJ, JUTRO...

Dzisiaj

Przeglądając onegdaj jakiś tygodnik krajowy, natrafiłem tam na dziennikarski felieton z dzisiejszej Polski, obrazek z jej prowincji, podbeskidzkiego skrawka Dzikich Pól. Była tam historia o koniu ze złamaną nogą. Rano jakiś nieuważny kierowca samochodu, który poniesiony pasją motoryzacji wybrał się tam swoim wartburgiem czy pobiedą na wycieczkę, zderzył się z chłopską furą zaprzęzoną w jednego konia i w rezultacie nieszczęsne zwierzę zostawił ze złamaną nogą. Obrazek z *mondo cane*.

Felieton był z kategorii tych gromkich, piętnujących niedołęstwo, brak decyzji, upominających się o porządek, prostowanie krzywd, nawojujących do podejścia do tego rodzaju spraw rzeczowego i rozsądnego i ludzkiego. Bo jakże tu, u dyszla przechylonego do rowu wozu stoi przecież na widoku ludzkim koń ze złamaną nogą, a więc sytuacja i patetyczna i domagająca się natychmiastowego rozwiązania, interwencji. Koń ze złamaną nogą jest skazany na doraźną, prędką śmierć. Nawet cennym, rasowym koniom wyścigowym strzela się wtedy w łeb. Tylko że tu nie było z tym tak łatwo. Było w tym sprawozdaniu o tym, że najbliższy zaalarmowany posterunek MO wysłał oczywiście na miejsce swego przedstawiciela. Ten jednak skonstatował, że wypadek zdarzył się na terenie, który nie podlegał jurysdykcji powiatu, gdzie mieściła się jego komenda, a więc nie miał prawa czy autorytetu interweniować z tej drażliwej sytuacji, użycia dla humanitarnych celów swej broni służbowej. Do właściwej egzekutywy porządkowej tego terenu było wiele mil. Tak więc koń

ze złamaną nogą stał tam dzień cały, a pewnie i noc, i gdyby ktoś chciał bardzo zlitować się nad nim, to i tak nic by tu nie zrobił, bo niby jak?

Działo się to w miejscu, gdzie trzydzieści lat przedtem porzucana broń walała się wszędzie i mógł ją każdy podnieść, a kulę z niej wpakować bez ceregieli — co tam koniowi — byle człowiekowi.

Przedwczoraj

W Wenecji, w roku 1653 wyszła spod prasy tamtejszych tłoczni książka, której autorem był Natan Hanower, syn Mojżesza Hanowera Aszkenazego z Niemirowa. Żydzi, którzy od czasu Henryka Pobożnego znaleźli w Polsce schronienie, nadawali krajom swej diaspory biblijne nazwy, wzięte z mowy sprzed dwu tysięcy lat. Niemcy nazwali od miana Fenicji Corfath. Sephard od nazwa Bosforu przeniesiona na Hiszpanię. Aszkenaz było imieniem własnym północno-azjatyckiego ludu i tym nazwali kraje słowiańskie, nazywane także przez nich Ziemią Kanaan.

Książka Natana Hanowera jest historią spraw, które zaszły pięć lat przedtem na tej ziemi — terenie pierwszej części powieściowego tryptyku Henryka Sienkiewicza. W tej relacji o strasznym całopaleniu, wojnie religijnej zażętej od co tylko wygasłego pożaru wojny trzydziestoletniej, o piekle rzezi w Niemirowie, Tulczynie, Zasławiu, Konstantynowie, Barze, Piławcach, Ostrogu, Korcu, Połonnem rozpisywali się inni autorzy ówczesnych kronik, latopisów i pamiętników, nie szczędząc obrazów okrucieństw, pastwienia się, z pedantycznymi opisami wbijań na pal, gwałtów, pożarów, ludobójstwa. Natan Hanower wyliczając tysiące męczenników nigdy nie zaniedbał w zdaniu wtrąconym dodać „niechaj Pan w niebiosach pomści ich krew”. Zawsze przy imieniu króla polskiego dodawał „oby Pan wzniośł majestat jego”. A kiedy przychodziło mu wymieniać Bohdana Chmielnickiego, herbu Abdank, a jakże, przedtem pisarza zaporoskiego a potem hetmana kozackiego (bo atamanem kozowym nie mógł być, jako że warunkiem wyboru na kozowego było, iż kandydat miał być niepiśmienny), to zawsze z nieodzownym „oby wymazane było imię jego”.

Czy Natan Hanower, spisujący pod italskim niebem swą ukraińską historię, był jej świadkiem naocznym? A może słuchał tylko wieści opowiadanych trzęsącymi się wargami tych, co ocaleli? A może do realistycznych i akuratnych opisów posłużyły mu sztychy, w których współczesny mu Jacques Callot ukazał

tak dojmująco okrucieństwa i potworności niedawnych wojen religijnych na Zachodzie?

Zadziwia epizod jakby żywcem przeniesiony z Ukrainy do powieści wywodzącego się stamtąd pisarza, który wprowadzie tam urodzony poszedł w świat, zapatrzył się w piramidy żagli, w dalekie miraży wysp, w zwierciadła mórz i oceanów, przyjął obcą mowę, by w wieku dojrzałym zabrać się do spisywania opowieści o tym innym świecie, poobwlekany w mgły, rozhuśtanym tajfunami i zastygłym w bezruchu cisz morskich, by ukazać innym uniwersalność cnót honoru i wierności. Ale skąd zadziwiająco w swym *Nostromo* wskrzesił z nicości postać jakiegoś żydowskiego męczennika? Był nim Senor Hirsch, handlarz skór z Sulaco, nad którym znęca się uniwersalny prototyp nieludzkości. Czyżby pisarz z dalekich domowizny zachował w pamięci opowieści i legendy zasłyszane kiedyś po chałupach, czworakach, na jarmarkach, u wejść do cerkwi, przy tołokach, czy bajdurzone przez nianie?

Ale i współczesnym mu Ukraina była już niewyraźna, daleka i romantyczna. Ten jej romantyzm, te tęsknoty za nią, dumki, wieczernycie i haiwki, i tak dalej, były bardzo zawsze w modzie i młody Henryk Sienkiewicz kiedy w Warszawie początkował jako dziennikarz i pisał sprawozdania z warszawskiego karnawału dla swej gazety, nadmienia o tym, jak zjeżdżające tam i olśnione Warszawą po prowincjonalnych balach kijowskich, berdyczowskich i odeskich kontraktów panny na wydaniu, córki ukraińskich obszarników, i tych urodzonych i tych dorobkiewiczów co urodzonych wyzuli z ich czarnoziemiu i cukrowni, te panny kokietowały tęsknotą za bezbrzeżną Ukrainą, stepami, kurhanami — „a hakami by ich na tę Ukrainę z warszawskiego karnawału nie wywłókl”, pisał młody Sienkiewicz.

Bo naprawdę jednak jest tak, że ziemia tamtejsza w jakiś sposób uwodzi, chciałoby się powiedzieć, że biją w niej jakieś kastalskie źródła natchnień, jeżeli wybaczoną mi będzie klasyczna uroczystość tej paraleli. Nawet teraz, kiedy na jej daleki bezkres spadła zasłona nie do przebicia, kiedy wydawałoby się, że odeszła, nie myśmy odeszli, ale ona odpłynęła gdzieś, dokąds...

Przedwczoraj

Choć zabij, nie pamiętam, co to był za film, na który wybrałszy się wtedy, bo to było przecież dawno, lata temu, przedwczoraj. Może to była *Ekstaza* (z Heddy Lamarr), prototyp niewinny w porównaniu z tym, co można teraz sobie oglądać.

A może był to *travelogue*, film podróżniczy, ukazujący znudzonemu jednym miejscem daleki świat gór, mórz, dżungli, pustyń, lodowców, palm, wiszących ogrodów, pałaców i metropolii, byle tylko z daleka od zasiedziałego.

Ale jak się przymuszę, zawezmę się, to sobie przypomnę, co to było. Tylko komu mam to opowiedzieć, przedstawić po tylu latach? Po takim przedziale czasu? Za takim rumowiskiem spraw i dzieł się, jakie mnie od tamtego przedzielają i odgradzają. Zapytają, a cóż to za ważniak jakiś popisujący się tym wszystkim? Ale może z grzeczności, uprzejmości, delikatności, dobroci nie zbęda, nie odwróca się, nie wzrusza ramionami, zechcą nawet pomóc. I zapytają także oczywiście. A przepraszam, jak godność? A z których to? Tyle lat, pan wybacz...

We Lwowie — „w mieście Lwowie, w sławnym mieście, w każdym domu okien dwieście, w każdym oknie piękna pani, za sto koron suknia na niej...” — we Lwowie był tak zwany Teatr Skarbkowski. W tymże teatrze, po dniach chwały, kiedy już jej więcej nie stało, kiedy tak zwaną świątynią Melpomeny stał się nowy w stylu wiedeńsko-burżuazyjnym teatr z kopulastą sylwetą, wysztucznionymi gabarytami, posągami muz z palmowymi liśćmi w rękach, ten pierwszy był zapomniany, z czarną czeluścią łuków *porte cochère* i wykorzystano go utylitarnie, pomieszczając w nim kino. Kino Lew, KINO LEW, i ten lew figurował stale u nagłówka jednej z kolumn gazetowych, reklamując aktualny program na ekranie. Figurował tam przez całą szerokość płachty gazetowej, kroczył tam wydłużony, na solidnie postawionych łapach z ogonem zwieńczającym esowato potężne lwie barki i tułów. Tylko ciężki, obramiony wspaniałą grzywą łeb zwracał ku admirującemu jego lwią potęgę, z twarzą namarszczoną i starczą, lwią, groźną i łagodną zarazem.

To jemu, zredukowanemu do roli famulusa, kazano zawsze podtrzymywać kartusze herbowe, jego lwiej paszczęce przydano pierścienie i kołatki u bram, zdobiono nią guzy mundurów i podpiniek u hełmów. Jego pazurzaste łapy zakańczały nogi krzesel kurulnych i kanap w stylu Récamier. Uskrzydłony w symbolu Ewangelisty, będzie przywłaszczony przez chytrą, potężną, kupiecką republikę, od niego zapożyczą nazwy dla dynastii i państw, Castilla y León, albo wywiodą wspaniały przydomek Lwiego Serca. Rzyga krwią kiedy na asyryjskich płaskorzeźbach z boków jego sterczą powtykane w nie włócznie. Herkules rozdarł mu na ogrodowej rzeźbie szczęki i zdarłszy zeń żywcem skórę, zwiesza ją sobie z barków, podpierając się sękatą pałą. Rozpalonymi do czerwoności żelazami wypędzą go z lochów na przeraźliwy blask

areny, by podał tam na komendę „servus!” łapę Androklesowi i będzie jeszcze musiał z wdzięcznością polizać rękę pana kolczasnym lwim językiem. Pokazują go na monetach, na pieczęciach, podpira balkony, wartuje u podejść i schodów, zwieńcza tympanony, przyozdabia naczynia i wazy, a nawet urynały. Grubo to on zapłacił za tę przystojność, jaką obdarzyła go natura, wszędzie teraz pokutuje ten o kudłatej grzywie, nie tyle król, co kłown świata zwierzęcego.

A naprawdę to przecież tylko duży kot, tchórzliwy i leniwy, namarszczony ale łagodny. Najchętniej wysypiałby się całymi dniami; polowanie zostawia lwicom swego haremu, które dobrze muszą się napracować, kiedy zgrają ścigają i naganiają coś na stół władcy. A najczęściej żyje ścierwem, odpędziwszy od niego złe hieny.

No dobrze. Wielka sala skarbkowskiego teatru była odrapana z dawnych, galicyjskich splendorów. Nie zostało ni śladu z łóż, pluszów foteli, balkonów, galerii, portier, złoceń, pilastrów, najrozmaitszych fidrygałków przystojących stylowi galicyjsko-biedermajerowskiemu cesarstwa, żadnych tu kinkietów, lamp, żyrandoli, gołe, pionowe ściany, odrapane ale w nikłym świetle i tak to nie widać bardzo. Tylko widownia z rzędami krzeseł na parkiecie i mrocznym cieniem plafonu. Nieliczni o tej porze popołudniowej widzowie, kinomani jak i my, ja i ona, wreszcie światła się ściemniają i na prostokacie ekranu pierwsze kolorowe litery taniej reklamy przed filmem.

A że zapomniałem co to tam było na tym przedwczorajszym ekranie, to niech już będzie *travelogue*, temat zawsze z dalekich podróży, więc o drogach, o widokach z nich przywiezionych. Takim idealnym sprawozdawcą z tych podróży ktoś to będzie? Oczywiście Sienkiewicz, taki pan Sienkiewicz, którego córki Sienkiewiczówny brały lekcje u naszej matki, on sam był maszynistą kolejowym. Bo dbał, by mu dzieci w czasie tej wojny bez nauki, szkół, świadectw nie wyrosły dziczkami.

Sienkiewiczze mieszkali w domkach kolejowych przy stacji węzłowej, skąd rozchodziły się odnogi, na wschód, przez Husiatyn, Jarmolińce, Żmerynkę, na południowy-zachód przez Czortków, Buczacz, Monasterzyska na Stanisławów, na północny-zachód przez Mikulińce, Strusiów, Trembowłę, Tarnopol do Lwowa. A miejsce było w ogóle rozdrożem, którym przetaczały się wszystkie armie, zaciągi, pochody, marsze, treny, forszpany, zagony, watahy („Śława Melnykowy i jeho Kozakam!” na transparencie wpoprzek ulicy), tabory, podwozy, gruzowiki. Na stacji, na tyłach magazynu towarowego odbywały się naprędce egzekucje, rozstrzeli-

wano tam dzień w dzień ludzi, za coś, za jakieś niewiadome winy i zbrodnie, a może by wzbudzić postrach dla jakiejś chwilowej, chwytającej się na glinianych nogach władzy politycznej.

Pan Sienkiewicz wytaczał z na poły rozwalonej pociskami parowozowni, takiej stajni dla parowozów-ogierów, cielsko maszyny na obrotnicę a potem pod rampę. Tu piętrzone na tendrze zwały polan, węgla już dawno nie było, wreszcie pod cysternę, z której zakrzywiona fajkowato rura przelewała do zbiorników wodę, aż przepełnione ściekały jej nadmiarem po blasze. I w świat! Cóż to nam pan Sienkiewicz przywoził z tego świata? I owszem, pamiętny na rodzinę, a także na naszą matkę, która dawała lekcje jego córkom, jakże zdrowym, tryskającym życiem i młodością, z bijącą od nich dziewczęcością, przywoził jakieś z okazji podróży wyhandlowane, wyszabrowane wiktuały, materiały i umiał podzielić się tym z innymi w czasie tej „smuty” i braków.

Czy z podróży tych przywoził jakieś opowiadania, relacje o pięknie widzianych z pokładu lokomotywy wzgórz, łąnów kwitnącej hreczki, oczeretów, stawisk, gajów i wertepów, o kolorach słończników i malw na tle lepionych ścian chałup pochowanych w kępach drzew, o czereśniach i pasiekach na cmentarzach przycerkiewnych, weretach bielonych na błoni nad wodą, złocie stogów użątka, o porośłych zielenią mchu łopatkach i szprychach młyńskiego koła znieruchomiłego pod stawidłem?

Czy też o tym, jak pociągi godzinami stały u rozmytych nasypów, a w wagonach, na ich dachach i złączach powieszane tłumy, rozpacz, hamulcowi to pouciekali, w niektórych wagonach „pali się oś”, para w kotle nie podnosi się i strzałka manometru ani drgnie, a nad karkiem stoją mu z naganem, a za lasem łąna pożaru palącej się wsi, wzdłuż toru nieopgrzebane trupy końskie i mijane stacje to pogorzeliska z poopalanymi kikutami drzew i most położony naprędce na pokrzywionych, sterczących z wody stalowych belkach starego wysadzonego i u słupa semaforu, z jego zwichniętymi bezradnie ramionami na drucie kołysze się wisielec...

Wczoraj

Więc jak to było z tymi źródłami kastalskimi natchnień tej ziemi? Te krynice, „kiernycie” inspirowały tylu piszących: Vincenz, Wołoszynowski, Bogusławski, Iwaszkiewicz, Choromański, Stempowski Jerzy, Buczkowski, Kuśniewicz, Lem, Szolginia, tylu innych. O wczorajszym pisze o niej najmłodszy — Włodzimierz Odojewski w swym *Zasypie wszystko, zawieje...*

Wszyscy oni, jak tata Sienkiewicz-maszynista, zabierają nas w podróż sentymentalną po tej ziemi, oglądanej przez muślin wyobraźni, majaczącej się jakby to była jakaś daleka Ultima Thule, albo obraz innej, wymyślonej przez jakiegoś autora fantazji naukowej planety, zagubionej w przestrzeni i w czasie.

Dzisiaj, przedwczoraj, wczoraj, jutro...

Tu chciałbym powtórzyć to, co ten jakże nieprzyjemny, obleśny, łasy na beneficja i prebendy duchowny, czuły na rozgłos i sukces towarzyski autor *Podróży sentymentalnej* umiał jednak powiedzieć:

„Co tu ubierać w słowa! Czas przemija, jakże chyżo! Kiedy piszę to, z jakimże pośpiechem ten czas ściga pióro, którym wodzę te litery. Jego dni, godziny — Heddy Lamarr, Kochanie — bezcenniejsze niż perły wokół twojej szyi, przelatują nad naszymi głowami jak nikłe obłoki pędzone wiatrem, by już nigdy więcej nie nawrócić. Wszystko tak goni, przegania się — kiedy kręcisz w palcach swój loczek! widzisz! siwieje... Niech Bóg zlituje się nad nami obojgiem...”.

Kultura nr 328/329, 1975.

Z LACCZYNY

„Powiadali — a było już o tym, nie? — a powiadali, że przywiózł ze sobą żonę, obcą, czarnobrewą, Greczynkę. Bo to miało należeć do tego orientального bagażu, bo jakże inaczej miałoby być? Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista i powłócząca spoza welonów spojrzeniem, była pewnie tak nieodzowna jak kobierce wschodnie, jak bogactwa, srebra, wierzchowce, czwórki bałagulskie i smycze chartów. Wieść po prostu sama zaokrągląła w kompozycję tę historię powrotu.

A naprawdę jak to było? To pewnie nadąsana lewantyńska piękność, wywodząca się ze stambulskiego rynsztoka, paplająca rynsztokową francuszczyzną i w chwilach kłótni plująca lewantyńskim przekleństwem. Swoją nudę, chciwość, kaprysy, podejrzliwość i złość skupiająca na głuchawym starcu. Można się domyślić, jak w długie jesienne, zimowe wieczory dojadła staremu za wygnanie, zamknięcie, niespełnione marzenia, niewyżytą młodość, jak pod pudrem i szminką pokrywającymi niedomytą twarz wędzła szybko i jak w strachu przed nadchodzącą własną starością, przed zmarnowanym i nieuniknionym losem, umiała kąsać na ślepo i boleśnie.

Dodajmy do tego inne, nijakie towarzystwo. Będzie nim nieunikniony półprzyjaciół, półsługa, factotum, towarzysz wierny jak pies, uczepiony zawsze wielkości, cień i zaradny brat łąta, zawsze taki jakiś adiutant, rękodajny, głupi, nudny i uczciwy, wierny psią wiernością do ostatka, *alter ego*, ludzki sprzęt przydatny w porę, człowiek-kij, na którym wspiera się do ostatka, wyzbyty własnych ambicji i własnych pasji, echo powiedzeń, odbiornik, rezonujące pudło i kozioł ofiarny gniewów i kaprysów „szefa”. To on zawsze przeżyje, choć niedługo, swego pana, ażeby przekazać o nim potomnym konterfekt, rozplywające się

w nicość, zacierające się we mgle zapomnienia rysy i linie twarzy. To on nie doje, byle jego pan, generał, „wódz” miał co jeszcze do gęby włożyć, to on bierze na siebie odium cudzych pretensji skierowanych do tamtego, to on będzie pamiętać o terminach, tenutach, procentach, to on będzie zacierał ślady grzesznych postępów czy gorszych niż grzechy pomyłek tamtego, a wyolbrzymi, rozdmucha nikłe czy nawet urojone sukcesy, zdobycze i osiągnięcia swego ideału. To on będzie ujadać się z dłużnikami, kupcami, dostawcami siana i owsa, to on po nocy zwlecze się z łóżka do chorego konia, będzie pamiętać o tym, żeby rzemienie uprząży wyłatać, żeby dzwona kół wymoczyć we wodzie, żeby pozbyć się ochwacanej chabety i dopatrzeć złęgu suki.

A kiedy już mowa o suce, to stawać będzie mężnie w chwilach kryzysu i kłótni pomiędzy tamtymi dwojgiem. Raczej na siebie ściągnie odium i pretensje tej nieszczęsnej pary, zniesie obrazy i zniewagi ze strony niegodziwców, aby jeszcze chętnie i poddańczo dla udobruchania starego przegrać do niego w „chapankę” grosze ze swej adiutanckiej chudoby.

To dzięki jego zapobiegliwości, chytremu gospodarowaniu pozory będą zachowane do ostatka. Będzie domagał się dla starego respektu, choćby przy tej okazji jego własną część sponiewierano. Ale tego nawet nie poczuje, bo to przecież nie ze ścieriałów się wywodzi i byle kto tej godności jego nie naruszy, nie nadweręży.

I córka...”

Nie, nie wychodzi. A pomysł już miałem, a także poszukałem za jakimś materiałem, porobiłem notatki. O tym jak ten niegdyś porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej Karola Różyckiego, tudzież emigrant, a także i autor romantycznych opowieści (*Kirdżali, Ukraińki*, i tak dalej), a potem Mahmud Sadyk, wreszcie Sadyk Pasza, twórca Pierwszego Pułku Kozaków Otcmańskich (w którego drugiej sotni na liście wolontariuszy figuruje imię Adama Mickiewicza) powróci w 1872 roku do Kijowa, by z imperatorskim przebaczeniem dostać folwarczek Borki w guberni czernichowskiej, by za łaską cesarską zabezpieczyć wychowanie, posag i miejsce frejliny na dworze dla córki z drugiej żony Greczynki, by wreszcie starcem z górą osiemdziesięcioletnim, zgrzybiałym i głuchym odebrać sobie życie w tychże Borkach. Nawet miałem gotowe zakończenie:

„...w gęstniejącym mroku tli się w kącie kłak przybitki i skąpymi kroplami wycieka krew z przestrzelonej starczej skroni, kiedy palce zmartwiałe obejmują ostatnim jeszcze kurczem kolbę stygnącego pistoletu”.

Nie, nie wyszło. A pomysł już był, materiału się nazbierało, na zakończenie makabra, już pisało się potoczyscie, pewny samograj, no i nie wyszło.

A może zacząć należało w rodzaju tak zwanej „gotyckiej” opowieści, z jej znakomitym elementem nieoczekiwanego. Tym niespodziewanym bywa zawsze obcy, „niepilak”, gość nie z naszego środowiska, tajemniczy przybysz, *outsider*, ktoś kogo przyniosło z innego klimatu, pojawiający się wśród nudy i jednakowości naszego bytowania. Tak jak takim dziwnym przybyszem bywał wędrowny przekupień, Cygan, Słowak, góral, który z niesionej na plecach skrzynki wypakowywał i rozkładał chusty, korale, harmonijki, świecidełka i kiedy mówił, to jakby wobec zbiegłych do siebie dziewcząt, kobiet rozwijał z kłębków nici i kolorowe wstążki, albo jakby pokazywane przez niego święte obrazki i oleodruki nabierały z tym jego w łamanym języku zachwalaniem tym większego lśnienia. A słowa te, obce i nietutejsze, tym bardziej były podobne do paciorków, tombakowych medalików i cynowych kogutków.

Ale ten obcy który miał pojawić się w moim opowiadaniu miał być jeszcze bardziej inny, a i tło miało być odmienne nastrojowo.

„W taką zimę, straszną, mroźną, dującą śniegiem, oblodzającą gałęzie drzew, z jej czarnym niebem nad białą, śmiertelnie, od grudniowej pokrywy ziemią, w taką zimę, urodzone z jej pustki nadeszło niepokojące, przyprawiające o dreszcz zjawisko obcego. Spomiędzy jej kopnych zasp, od horyzontu czerwonego od zachodu kończącego się dnia, kiedy wszystkie szczeliny najbliższego życia pozatykane są jakby watą, tak że każdy głos brzmi osobno, bez perspektywy, jak głuchy, owinięty szmatami dzwonek u sań, albo martwy jak stuk laski ślepego, niespodziewanie zatrzymała się u wrót naszego podwórza czwórka, jaką powoził.

Od parujących, zgrzanych boków końskich, od zgrudzonych gruzłów śniegu uformowanych u pęcin końskich, od grzyw i chmyzów i delikatnego, słodkiego dzwonienia sprzączek uprząży, twardych od lodu postronków i słomy gubiącej się z siedzenia wymoszczonych nią sań i od „Prr...prrru!” powożącego nią obcego, kiedy omotywał lejce o koły sztachetów, zaleciało oddalą i innością i tajemniczą obcością.

W zwórcie dyszłowe różniły się maścią, podręczny był gniady a lejcowy skarogniady, a już orczykowe wporacz zaprzężonej czwórki, to jeden był siwy, a drugi srokaty, wszystkie z wielkimi chmyzami na czole, głęboko wpadłymi kośćmi skroniowymi, z ogonami podwiązanymi w węzły i pianą u gryzionych wędzideł. Srokacz miał jedno rybnie oko, mówiło się był „zerkaty” i chwycił

zębami, kiedy było podejść od strony tego ślepego oka. U kopyt dymiły się kupy świeżego końskiego pośladu i konie niecierpliwie biły nogami kiedy nasz As próbował obwąchać ich pęciny. Zimowy włos koński stroszył się i rozczapierzał tam, gdzie leżały obiegowe pasy i napierśniki prostej, z surowej skóry uprząży, cuchnącej juchtem i smołą i tłuszczem, pociągowe postronki zwisały luźno łukami ku ziemi, lejce z postronków omotane mocno wokół słupa ogrodzenia...”.

Tu spauzuję, bo trzeba dobrze zastanowić się i namyślić, kiedy mam opisać uprzęż końską. Bo ubrać konia niewłaściwie to przy pięknej głowie końskiej byłoby tak, jakby to powiedzieć, to tak jakby to była śliczna dziewczyna i przybrano ją złośliwie i umyślnie, jakby jakaś zła macocha wystroiła ją na czupiradło i dziwoląga.

Nic sam nie wymyślę, bo wychowałem się na Podolu galijskim wśród tamtejszych Rusinów. W tamtych stronach to było jeszcze bardzo prymitywnie. Chłopi chodzili całe boże lato boso, w koszulach wypuszczonych na białe gacie. Było coś bardzo patriarchalnego w tym białym ich prymitywnym stroju. Nosili kapelusze plecione ze słomy. W podolskim słońcu, w lecie, kiedy było bardzo gorąco i upalnie wyglądało to bardzo pierwotnie.

Ale było to dawno i teraz to wydaje się to rodzajem raju, z aniołami w słomianych kapeluszach. Niech to nie wyda się zaraz jak jakaś scena z jasełek czy biblijnego widowiska. To było inaczej i broń Boże, wcale nie rodzajowo. Było daleko.

Ale teraz ma być zima i sanie przysypane wymykającą się z nich słomą i zapach rzemieni, niewyprawionej, surowej skóry i ten proustowski zapach przypomina mi jarmark ułaskowiecki na Świętego Jura, zapach wapna świeżo wybielonych słupów podcieni „sklepów”, warowny obóz wozów, szprych, kół, dyszli drabin, kramy obwieszane festonami świecideł, kolorowymi frędzlami batów z żółtej skóry i znów niezapomniany zapach juchtu, garbnika, chromu, uprząży, szlei szytych smołowaną dratwą, powrozy, sznury, postronki, kłaki konopi, srebrne i tęczowe, obręcze i dzwona kół, piramidy paszy, worki z owsem, mąką, góry harbuzów i kopce czereśni. I tłum.

Ale nawróćmy do podolskiej uprząży. Ktoś tam gdzieś wymyślił, że to chomąto miało być tym epokowym wynalazkiem i że to od niego, jako że umożliwić miało pierwszy racjonalny sposób na pociąganie ciężarów, że to niby od niego zaczęła się prawdziwa cywilizacja materialna. Ale przecież z wizerunków na płaskorzeźbach czy z monet rzymskich widać wyraźnie, że tamte kwadrygi końskie ciągną nie jarzmem chomąta, ale że cią-

gną piersią, na której leży rodzaj szorów czy szlei. Taką właśnie szleją jest chłopska uprząż podolska. Widać jak nakarcznik jej pionowy zbiega się z poziomym napierśnikiem w rodzaj ucha, o które zaczepiony jest pętla postronek. I żadne tam u nas hołoble, ale para u dyszla. A hamowanie odbywa się w ten sposób, że u końca dyszla zaczepiony pierścień rozdziela parę naszelników obejmujących szyje końskie, albo pasy obiegowe zawieszane na szelkach nośnych, pasy obiegające zad koński. I teraz już możemy puścić się na łeb na szyję z góry, gdy rozbiegane konie zapierają się zadami, ich szyje rozchylone, kiedy błyskają i toczą białkami oczu, kiedy strach, oszołomienie i pijacka radość z niebezpieczeństwa i wariackiej straceńczej jazdy.

Skóry na uprząż wyprawiano, garbowano wedle od wieków przyjętych sposobów, przepisów, tajemnic. Po zeszkrobaniu od strony mizdzy żył i tłuszczu moczono je w roztworach ałunu, saletry, bejcowano garbnikami, po czym szły na kołowrót, na którym ciężko obracająca się rama wykręcała i rozciągała tęgą skórę wołową, co nadawało jej miękkość i czyniło ją podatną. Od garbarni niosło ciężkim cuchem, tam na deskach rozpięte i rozkrzyżowane skóry schły. Po czym je rozcinano warstwami, krajano, cięto w pasy, rzemienie, troki, przystuły, puśliska, popręgi, baty.

Potem rósł gaj konopiany, dzungla podolska na wysokość podwójnego wzrostu człowieka, odorująca wonią konopianą, męskich „płoskunów” i żeńskich „głowaczy”, aż w żniwa wyrrywano je z korzeniami i długo schły w polu, ich długie wiązki ustawione jak w kozły broń. Potem zwożono je nad rozciekłą spokojnymi wodami rzekę i kazano im kisnąć we wodzie przez dni całe, wpośród stojącej wody, przyciśnięte w niej kamieniami i rozchodził się po ich wyciągnięciu jakiś odór, ciężki jak haszysz. A potem schły w słońcu, bieleły się ich paździerz, kiedy na międlicy, z łamanych na niej łodyg oddzielano szorstkie włókna i kiedy wyczesywano je na żelaznym grzebieniu w długie, srebrne, konopiane włosy.

Kopczyńskie powróznictwo to na tyłach, zaułkach domów żydowskich długie pasaże, wzdłuż których wyciąga się i skręca sznury, postronki, liny konopne na uprząż. Tutaj pod dachem szopy spiętrzone motki kłaków. Kołowrót powroźniczy to kombinacja koła wprawianego w ruch korbą, przenoszącego swój ruch na kilka w trybach osadzonych haków. Na stołeczku u koła siedzi mały Żydek, dziecko niedorośle, o drobnej główce, którą obramiają wymykające się spod jarmułki pejsy. Dziecko cierpliwie i monotonnie obraca korbę warsztatu, mechanicznym ruchem rączki, zapatrzone niewidzącymi, słodkimi oczami w nicość i za

sprawą tej powoli obracającej koło rączki, w migotaniu szprych wielkiego koła odbywa się obrzęd uplatania powrozu na uprząż.

Ojciec, wysoki, chudy Żyd, jest przepasany workiem, który na brzuchu wypina mu zapas konopianych kłaków. Kroczy tyłem od warsztatu, wychodzonym śladem powroźniczej ścieżki i wyszarpuje z worka kłaki, których wysnuwany początek uwiązany jest u obracającego się haka. Ręką nieomylnie wyskubuje i popuszcza z dłoni strzępiący się wątek, który w miarę odstępowania rzemieślnika skręca się w długi sznur. Już tuziny tych sznurów leżą wzdłuż całej długości chodnika, by zostać z kolei splecionymi w powrozy o jednym, doskonałym, nieomylnym skręcie, ciężkie, solidne, gładkie i tęgie.

Krzywo na zawiasach wiszące drzwi kuźni otwierają się w jej czeluść. Jej zasmolone, zakopcone wnętrze rozświeca żar węgla na palenisku. W powietrzu rozchodzi się narkotyczny swąd spalonego koksu. Monotonnie chodzi dźwignia miechów i z ich świszczącym westchnieniem rozjarza się w półmroku rozpalona, w węglach zanurzona podkowa. Po kątach walają się kawałki żelastwa, obręcze, noże lemiesz, wszędzie żelaziwo powleczone rudą warstwą rdzy albo nowiutkie błękitne sztaby. Kowalskie kleszcze, cęgi, stągiew z wodą. I kowadło na potężnym pniu pośrodku przestrzeni, która nawet teraz, w przerwie pełnej ciszy, zda się drgać od rozjęzycznego, metalicznego bicia młotów, jakim kuźnia wita i mówi na odległość.

Obrządek jaki się tu odbywa ma w sobie coś z magii czarów. Nie darmo kowalskim, konowalskim radom i zabiegom, doktorowaniu koniom, kazano rozszerzyć zakres i na ludzkie przypadłości. Tu nie tylko wrywano zęby, ale odczyniano i uroki. A także, za dawnych czasów kuźnie, jak świątynie pańskie, uważano za miejsce, gdzie ścigany mógł znaleźć schron, azyl, w kręgu tym bezpieczny i pewny ocalenia.

Tutaj ocalenie przed nudą znajdzie ścigany nią przechodzień. Nigdy nie zabraknie gapia, kiedy na niskim trójnogu koźle stawiają kopyto, któremu strugiem i raszplą przydaje się kształt, przypasowuje rozpaloną podkowę, aż róg skwierczy i śwędzi się dymem. A kiedy wreszcie szybko przyklepywane podkowiaki wyglądają się równo, to pomaga przytrzymać, ściskając nozdrza wierzgającemu i cofającemu się koniowi.

I wozy. Szprychy, obręcze kół, przodki, rozwory, luśnie, wagi, szynkle, sworznie, kłonicie, drabiny, półkoszki. A już wielkie, ciężarowe wozy towarowe przystosowane do dalekich, wielomilowych podróży po przestrzeniach Podola, z ich wysokimi plecionymi drabinami, ze specjalnymi pałąkowatymi zamknięciami przodu i tyłu wozu, podróżne, wyrobione z giętego drzewa, opły-

wowe jak łodzie motorowe do pójścia na przestwory „suchego oceanu”, z ich latarnią u osi hamulca z tyłu, jak pozycyjna latarnia na rufie galeony.

A ich przeciwnością „linijka”. Po prostu deska położona na osiach czterech kół, z której powozi się przysiadłszy ją okrakiem. Konie pomimo niewielkiego ciężaru idą powoli, wyrzucając łbami i oganiając się od much siadających im na szyi i łopatkach. Koła z ich szprychami chropawymi od zaschłych grud błota obracają się powoli.

Kiedy zatrzymać je u skraju lasu, chciwie, żarłocznie nurzają pyski w trawie przydrożnej, ich pyski ociekające zieloną śliną. Na porębie leży drzewo, pocięte i porządnie poukładane w sęgi, niebo odbija się w spiłowanych tarczach pni, wokół stare już i fioletowe trzaski, wióry i odciosy tego leśnego gospodarowania. Las to las, „nie było nas, był las, nie będzie nas — będzie las...”.

Jakby tym wyczarowany, daleko na lizjerę wyszedł lis. Bieli się koniuszek jego kity, lis daleki, niezwykajny, jakiś taki węzowy, lisi, taki jakiego nigdy nie widzieliśmy i nigdy już nie zobaczymy. Musi od niego śmierdzieć lisem, ale to tylko domysł, bo to daleko. Lisi i chytry, pewnie dlatego ma taką szpiczastą mordę, jakby uciekł z ilustracji do bajek La Fontaine’a, jeden, jedyny, ostatni z lisów...

A miało być przecież o tym „obcym”. Otóż taki „obcy”, „przybysz”, gość z daleka pojawiał się w moim życiu kilkakrotnie. Przynosił ze sobą jakąś wieść, posłanie, powierzono mu jakieś szczególne zadanie, sekret który miał mi zakomunikować, ale to do mnie nie doszło. Kilka razy natknąłem się na niego samego, innym razem dobijał się po nocy do domu, gdzie mieszkalem, jeszcze innym razem dawał znać o swym nadejściu przez kogoś innego. I nie doszło to do mnie. Być może że jakieś zakazy nie pozwalały mu na wypowiedź wprost, być może że hasło czy kod w jakim mi to miał przekazać były zbyt skomplikowane, być może że działo się to w okolicznościach wyjątkowo niesprzyjających porozumieniu, albo w warunkach kiedy groziłoby to całej sprawie niebezpieczeństwem, narażało ją na nieudanie. Nie wykluczam także tej możliwości, że to może ja sam nie dopisałem, może byłem zbyt tępy, niedomyślny, bez daru zrozumienia języka, jakim do mnie mówił.

.....

„Owej nocy wiosennej, a było to z dnia 26 na 27 kwietnia w roku 1928 — spadł deszcz krwi...”.

I tu urywa mi się od samego początku. Bo co? Czyż to i przedtem i potem nie zdarzały się sprawy na kosmiczną skalę,

ale były najnaturalniejszymi? Był taki jeden wieczór, po krótkiej burzy. Zdarza się że nijakie, normalne, niskie niebo, zwykłe i po prostu, takie jakie miesiącami rozpina się nad naszymi głowami, to niebo, dzięki szczególnie sprzyjającym warunkom po burzy przybierze obraz, który mnogością swego wyrazu sprawia, że oczu od niego nie można oderwać.

Wieczór ciągnął się długo. Nad nim, pionowo, w górę wznosiły się zamki z chmur, postawione jeden na drugim. Pomiędzy ich różowymi blankami przedzierało się niebo błękitne i fioletowe, w górę, a nad nim nowe kondygnacje murów, fos, przypór i baszt chmurowych. Pomiędzy zamkami otwierały się dalekie krajobrazy, w głąb i w górę i cieniowały się liliowo. Były wpośród nich drogi wijące się stokami wzgórz, urwiska, skarpy i przepaści. Pomiędzy murami wznoszącymi się na tych stokach wykwiwały nowe widoki, dalekie i wysokie zbiorowiska chmur, jak szranki wojsk uszykowanych do szarży. Wymieniały się pomiędzy tymi widokami tęcze, mosty, łuki, fantastyczne akwedukty, gaje, fontanny, szpalery i perspektywy. I nagle wystrzelała ponad nimi w górę masa wieży aż czarnej od cienia, ażeby przez okna jej na przestrzał ukazać niebo tym różowsze i tym błękitniejsze. Pomiędzy tymi krajobrazami wojny i zawieruchy bitewnej jak strzały z armat i moździerzów oblężniczych wymieniały się błyskawice pozostałe po burzy. Te dreszcze błyskawic rozświećlały na mgnienie oka partie murów w cieniu i ukazywały ukryte dotąd dla oczu nowe krajobrazy i widoki.

Daję słowo honoru, że wszystko inne, ziemia, pola, lasy, miasta, rzeki, tory kolejowe, ogrody, fabryki, wszystko wydawało się niczym, i znikomym, i niezauważalnym wobec tej olbrzymiej panoramy innego świata. Jakbym przez dziurkę od klucza oglądał jego stworzenie.

.....

No i cóż? Okazuje się że nie umiem opowiedzieć nawet jednej rzeczy, że nie ma we mnie materiału na Szeherazadę z jej bajkami z tysiąca i jednej nocy.

Kultura nr 295, 1972.

ZYGMUNT HAUPT (1907-1975)

Szkic biograficzny

Zygmunt Haupt urodził się 5 marca 1907 roku w Ułaszkwicach, w powiecie Czortków województwa tarnopolskiego.

Jego ojcem był Ludwik Haupt (1878-1928), inspektor szkół, a matką — Albina z domu Mazurek, nauczycielka.

Pierwsza wojna światowa spowodowała wielki wstrząs w ich życiu. Ludwik Haupt został powołany do armii austriackiej, podczas gdy jego rodzina stale zmieniała miejsce pobytu, pragnąc uniknąć inwazji Niemców i Rosjan. W czasie okupacji matka pisarza została postrzelona we własnym domu przez niezidentyfikowanego napastnika, który zbiegł. Incydent ten znalazł się po latach w opowiadaniu „Z kroniki o latającym domu”.

W 1918 roku Albina Haupt zmarła na tyfus. Wychowaniem dzieci zajęła się jej niezamężna siostra, Helena Mazurek. Zygmunt Haupt uczęszczał najpierw do szkoły w Tarnopolu, następnie w Jarosławiu, a w 1924 roku ukończył Państwowe Gimnazjum imienia Kopernika we Lwowie, otrzymując doskonałe stopnie na egzaminie maturalnym.

Za namową ojca rozpoczął studia najpierw na wydziale inżynieryjnym, a następnie na architekturze Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, ale na każdym z kierunków wytrzymał jedynie rok. Nauczył się jednakże kreślenia i ujawnił talent do rysunku.

W 1928 roku umarł Ludwik Haupt. Zygmunt Haupt przeznaczył swoją część spadku po ojcu na dwuletnie studia urbanistyczne w Paryżu, w Université de la Cité, na przełomie lat dwudziestych. Utrwalił ten okres w opowiadaniu „W Paryżu i w Arkadii”.

Po powrocie do Polski Zygmunt Haupt zajmował się różnymi dorywczymi pracami, między innymi malowaniem stacji Męki

Pańskiej dla jednego z kościołów i dostarczaniem rysunków do gazety lwowskiej. Któregoś razu, gdy pojawił się w redakcji i dowiedział się od redaktora, że nie ma żadnego artykułu do zilustrowania, zaproponował, że sam coś napisze dołączając rysunek. W ten sposób zaczęła się jego kariera pirsarska.

Na początku lat trzydziestych został powołany do wojska, do kawalerii, a potem do zmechanizowanej artylerii. Życie w wojsku zrobiło na nim duże wrażenie, był głęboko przywiązany do koni oraz do kawalerii.

Wróciwszy do życia w cywilu Zygmunt Haupt zajął się pisaniem i rysowaniem. Otrzymał także zamówienie architektoniczne: na przykład przebudowanie domu rodziny Łęczyńskich, bogatych ziemian spod Lwowa. Zaprzyjaźnił się z nimi i często ich odwiedzał, przywoząc niekiedy przyjaciół. Łęczyńscy zaznajomili Zygmunta Haupta z nowym dlań stylem życia: brał z nimi udział w polowaniach, grał w amatorskich przedstawieniach teatralnych, uczestniczył we wspinaczkach wysokogórskich. Dzięki nim nauczył się też początków angielskiego. Znał już niemiecki i francuski.

W maju 1939 roku został zmobilizowany i otrzymał stopień podporucznika. W czasie kampanii wrześniowej jego jednostka zmechanizowanej artylerii walczyła przez trzy tygodnie na obszarach południowo-wschodnich i była przypuszczalnie jedną z ostatnich, jakie zaprzestały walki.

Po klęsce wrześniowej Haupt i około stu pięćdziesięciu ludzi z jego jednostki uciekli przez zieloną granicę na Węgry, gdzie wszystkich internowano. Hauptowi udało się jednak uciec i przedostać do Francji, gdzie dołączył do formującej się armii polskiej. Stacjonował na południu Francji, a następnie został skierowany do Bretanii. Ten okres opisał między innymi w opowiadaniu „Dziewczynka z nóżkami na księżycach”. W czasie bitwy o Dunkierkę przedostał się do Anglii na pokładzie m/s „Batory”. Został skierowany do jednostki polskiej stacjonującej w Gosford w Szkocji. Stamtąd przeniesiono go do Londynu, gdzie zbliżył się z Antonim Słonimskim, wówczas redaktorem pisma *Nowa Polska*, i Mieczysławem Grydzewskim, redaktorem *Wiadomości*.

Inny Polak, Wojciech Chełkowski, poznał Haupta z Sir Owe-nem O'Malley, brytyjskim dyplomatą i ministrem d/s Polski, oraz z jego siostrą, Corą Sanders Hodgson. W czerwcu 1944 roku pisarz poznał w domu Cory Sanders jej amerykańską kuzynkę Edith Norris — mieszkankę Nowego Orleanu, która przybyła do wojennego Londynu w charakterze pracownicy Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Haupt i Edith Norris pobrali się 7 września 1944 roku w kościele polskim pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej w Londynie. Zamieszkali w Cornwall Gardens. W owym czasie Haupt pisywał do *Nowej Polski* i do *Wiadomości*.

W październiku 1945 roku urodził się ich jedyny syn, który na chrzcie otrzymał imię Arthur.

Po demobilizacji Zygmunta Haupta w październiku 1946 małżonkowie postanowili przenieść się na stałe do Stanów Zjednoczonych. Do czerwca 1951 roku mieszkali w Nowym Orleanie. W owych latach Zygmunt Haupt ogłosił sporo opowiadań po polsku i część ich przełożył na angielski; opublikował je w pismach amerykańskich. Jednocześnie malował i jego obrazy znalazły się na indywidualnych i zbiorowych wystawach organizowanych w Nowym Orleanie. W 1951 roku zaczął pracować w nowojorskiej rozgłośni Głosu Ameryki. Rok później otrzymał obywatelstwo amerykańskie.

W 1958 roku Haupt został przeniesiony z radia do nowopowstałego pisma *Ameryka* w charakterze redaktora i tłumacza. Pracował tam do przejścia na emeryturę w 1969 roku. Jednocześnie ogłaszał kolejne opowiadania po polsku w *Wiadomościach* oraz w *Kulturze*, a ich tłumaczenia, najczęściej własnego autorstwa, w takich elitarnych lub niskonakładowych pismach amerykańskich jak *Accent*, *Nassau Review*, *Furioso*, *The Paris Review*, *New Directions*. Prócz twórczości własnej, tłumaczył utwory współczesnych poetów angielskich i amerykańskich.

W czasie lat spędzonych w Waszyngtonie Zygmunt Haupt miał wystawy obrazów w Baltimore i w Atlancie, ale malował już rzadziej. Natomiast nadal dużo pisał. W 1962 roku otrzymał nagrodę literacką *Kultury*. Odebrał ją osobiście na początku 1963 roku. Tego roku Instytut Literacki ogłosił zbiór jego opowiadań pt. *Pierścień z papieru*.

W 1971 roku Zygmunt Haupt otrzymał doroczną nagrodę im. Kościelskich za twórczość literacką. W tym czasie po raz drugi odwiedził Francję, licząc na ogłoszenie drugiego zbioru opowiadań, ale zmarł nie doczekawszy realizacji projektu.

W maju 1975 roku dostał jednocześnie ataku serca i wylewu krwi do mózgu. Zmarł w szpitalu w Winchester w stanie Wirginia 10 maja 1975 roku. Pochowany jest na cmentarzu Metairie w Nowym Orleanie.

W 1982 roku Stanford University w Kalifornii przyjął do archiwum jego spuściznę literacką — rękopisy, listy, w tym obszerną korespondencję po polsku. Stanowi ona teraz część kolekcji słowiańskiej tej placówki naukowej.

Spisał Arthur HAUPT
tłum. R.G.

SPIS RZECZY

WSTĘP

Renata Gorczyńska: „*Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu...*” 9

I

<i>Lutnia, albo przewodnik po Żółtkwi i jej pamiątkach</i>	23
<i>Lili Marlene</i>	38
<i>To ja sama jestem Emmą Bovary...</i>	49
<i>Wesele na wsi</i>	65
<i>Entropia wzrasta do zera</i>	69
<i>Ogród Jezuicki</i>	80
<i>Kapitan Blood</i>	90

II

<i>Nietota</i>	103
<i>Perekotypołe</i>	112
<i>El pelele</i>	121
<i>Baskijski diabeł</i>	135
<i>Balon</i>	147
	283

III

<i>Światy — wstęp do dłuższej historii</i>	157
<i>W a r i a n t y</i>	
<i>Wariant I</i>	161
<i>Wariant II</i>	164
<i>Czuwanie i stypa</i>	168
<i>Zabawa w „zielone”</i>	181

IV

<i>Sz p i c a</i>	189
<i>Do dwu razy sztuka</i>	195
<i>Meldunek o nieprzybyciu Węłnowskiego</i>	204
<i>Więzień z Isle of Ely</i>	213

V

<i>Ptaki, albo „zanim zaczną schodzić się goście, przetańczmy jeszcze raz menueta...”</i>	225
<i>T r z y</i>	237
<i>Złota Hramota</i>	246
<i>Inwokacja do powiatu latyczowskiego</i>	256
<i>Dziś, przedwczoraj, wczoraj, jutro...</i>	263
<i>Z Lacczynny</i>	270
<i>Zygmunt Haupt (1907-1975) — szkic biograficzny</i>	278

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 25 JANVIER 1989
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1989.

N° d'imprimeur 9267.

